



SANDRA
BROWN
PRZEKRĘT

Świat Książki

SANDRA BROWN

PRZEKRĘT

Z angielskiego przełożyła
Alina Siewior-Kuś


Świat Książki
wydawnictwo

Prolog

– Do knajpy weszła kobieta – powiedział Mickey Bolden, wrzuciwszy w usta garść popcornu. Do spotkania ze Stwórcą zostały mu dokładnie dwadzieścia dwie minuty.

Obok niego przy barze garbił się Shaw Kinnard. Wpatrzony w swoją tequilę, ze wszelkimi oznakami znudzenia kilka razy zakręcił kieliszkiem.

– Tak? I co?

– I nic.

– To żart?

– Wcale nie i nic w tej popieprzonej sprawie nie jest śmieszne.

Jakby wystrzelono go z gumy, Shaw nagle się ożywił. Gwałtownie odwrócił głowę i spojrzął na Mickeya.

Facet miał oczy nie większe niż rodzynki i do połowy zasłonięte wałkami tłuszczu, ale Shaw bez trudu podążał za ich ruchem po całej piwiarni. Choć kusilo go, żeby popatrzeć samemu, nie odrywał wzroku od pokrytej plamami twarzy partnera.

– Jakaś konkretna kobieta? – zapytał, obawiając się odpowiedzi.

– Bardzo konkretna. Nasza.

– Jest tutaj?

– We własnej osobie, jak ja. – Mickey otrzepał z dłoni sól z popcornu. – Teraz za twoim prawym ramieniem, siada na stołku przy łuku baru, więc się nie odwracaj, bo jest twarzą do nas.

Uśmiech Mickeya sugerował, że prowadzą luźną rozmowę, choć w rzeczywistości nieoczekiwane pojawienie się Jordie Bennett zbiło ich z tropu.

– No to się kurewsko popieprzyło – mruknął Shaw. – Jest sama?

– Na razie. – Jedno z obrzmiałych oczek Mickeya znacząco się przymrużyło.

– Ale noc jeszcze młoda. – Uśmieszek wzmocnił jego brzydotę, o ile w ogóle było to możliwe.

Shaw opuścił wzrok na kieliszek Patrón Silver.

– Myślisz, że nas zdemaskowała?

– Nie. No bo jak?

– To co tu robi?

Mickey wzruszył ramionami.

– Może zachciało się jej pić.

– Akurat jak my przyjechaliśmy do miasta?

– Zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

– Dziwne rzeczy mnie denerwują.

– Bo nie masz takiego doświadczenia jak ja – oznajmił Mickey.

Shaw obrzucił go pogardliwym spojrzeniem od stóp do głów, myśląc, że teraz to „doświadczenie” sprowadza się do głupiego i niebezpiecznego zadowolenia z siebie.

– Trudno mnie uznać za żółtodzioba w tej branży – powiedział.

– W takim razie powinieneś pamiętać, że trzeba trzymać nerwy na wodzy, jak w planie pojawia się supełek.

– Supełek? To potężny węzeł.

– Może. Ale dopóki nie dowiemy się więcej, będę na to patrzył jak na pieprzony zbieg okoliczności i nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków, które pewnie są błędne. Sprawy się pierdola. Najlepsze plany idą w diabły. Czasami trzeba poddać się nurtowi i improwizować.

– Tak? A jeśli nurt zanieś cię do oceanu gówna?

– Wyluzuj, brachu – poradził przeciągle Mickey. – Wszystko gra. Ona się rozgląda po knajpie, ale spokojnie, nic nie wskazuje na to, żeby szukała kogoś w szczególności. Jej błękitne niemowlęce oczy właśnie mnie omiotły i wcale się nie zapaliły.

Shaw parsknął, unosząc kieliszek do ust.

– Bo jesteś paskudny.

– Hej, jest mnóstwo kobitek, którym się podobam.

– Skoro tak twierdzisz. – Shaw wypił resztę tequili. Stawiając pusty kieliszek na blacie, zerknął na obiekt ich zainteresowania. Kobieta dziękowała barmanowi za podane białe wino.

To z jej powodu byli tu z Mickeyem. Tu, czyli na zadupiu gdzieś w południowo-środkowej Luizjanie, a nie w tym wodopoju z porzewiałego metalu, niepewnie usadowionym na błotnistym brzegu mętnej zatoki. Może knajpa miała nazwę, ale Shawowi nieznaną. Nad drzwiami wisiał neon, czerwone litery składające się na wyraz BAR syczały i trzaskały.

W środku powietrze było gęste od dymu i ostrego odoru robotniczej klienteli. Muzyka *zydeco* huczała z szafy grającej, która wyglądała, jakby przetrwała ze dwadzieścia huraganów będących próbą generalną przed Katriną.

Shaw i Mickey nie odstawali przesadnie od ogólnej niechlujności, ale w takim lokalu człowiek nie spodziewałby się zobaczyć Jordan Elaine Bennett, wśród krewnych i przyjaciół znaną jako Jordie. A jednak tu była. Piła białe wino, na litość boską. No i rzucała się w oczy w spelunie, gdzie piwo mieli butelkowane, a mocne alkohole lano czyste.

Mickey nabrał kolejną garść popcornu z plastikowej miski i wrzucił w usta. Gniotąc zębami przypieczone ziarna, zapytał:

– Myślisz, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, że ona tu jest?

– Diabli wiedzą – mruknął Shaw. – Po prostu coś tu nie gra.

Barman bez słów zaproponował napełnienie kieliszka, co Shaw potwierdził

kiwnięciem głowy. Facet był domyślny i od razu otworzył też następną butelkę piwa dla Mickeya.

Ten upił łyk i przymrużył oczy, patrząc na drugi koniec baru, gdzie kontuar tworzył łuk. Przełknął, beknął, uwalniając opary lagera, i od razu powiedział:

– Może być, że się po prostu włóczy.

Shaw z powątpiewaniem uniósł brwi.

– I szuka faceta, o to ci chodzi?

– A czemu nie?

– To nie ten typ.

Mickey zarechotał i łokciem trącił Shawa w ramię.

– Wszystkie są w tym typie.

– Znowu przemawia przez ciebie doświadczenie?

Mickey kiwnął głową niczym mędrzec.

– Trudno to pojąć? Kretyńskie babskie sztuczki, żeby nas zmusić do działania.

Shaw rozważył przemowę Mickeya, podniósł kieliszek i osuszył jednym haustem. Stanowczym gestem odstawił szkło, po czym zsunął się ze stołka, upewniając się, że koszula zakrywa rękojeść pistoletu zatknętego z tyłu za pasek.

Mickey o mało nie zakrztusił się piwem.

– A ty gdzie...

– Poddać twoją teorię testowi, grubasie.

– Nie możesz... ona...

Shaw zostawił bełkoczącego kumpla.

Kiedy szedł wolno wzdłuż rzędu stołków, przyglądali mu się goście obu płci, kobiety z namysłem albo z otwartym zaproszeniem. Nie interesowało go to, nie próbował więc nawiązać kontaktu, nawet się nie uśmiechał. Mężczyźni obrzucali go twardym, zimnym, wyzywającym spojrzeniem, na które odpowiadał jeszcze twardszym, zimniejszym i bardziej wyzywającym. Wszyscy pierwsi odwracali wzrok.

Shaw miał to w sobie.

Nikt jeszcze nie zebrał się na odwagę, żeby zająć wolny stołek obok Jordie Bennett. Miejscowi prawdopodobnie rozumieli, że dla nich to za wysokie progi. Shaw zapewne musiał też kwalifikować się do tej kategorii, bo kiedy się zbliżył, złapał przelotnie jej wzrok, zaraz potem skierowała swoje wyżej wymienione błękitne jak u niemowlęcia oczy na kieliszek z winem. Żadnej zmiany w wyrazie twarzy i mowie ciała, żadnego drgnięcia długich rzęs.

Niedostępna była ta Jordie Bennett.

Cóż, z tą twarzą i figurą mogła sobie pozwolić na wybredność. Jedna kwestia nie ulegała wątpliwości: na jej widok każdy facet zaczynał się ślinić.

Co właściwie było do dupy.

Ponieważ Shawa wynajęto, żeby ją zabił.

Rozdział 1

Trzy dni wcześniej Shaw wygrzewał się na brzegu szafirowego basenu, obserwował dwie dziewczyny w stroju topless baraszkujące na płytkiej wodzie, czuł miły szmerek, popijając drinka z kwiatem hibiskusa, i rozkoszował się hedonistycznym stylem życia, który można kupić za nowe pieniądze w starym Meksyku.

Był gościem w willi usytuowanej na klifie z widokiem na Zatokę Meksykańską. Biała budowla rozłożyła się na szczycie okrytego dżunglą zbocza, które prowadziło na piaszczystą plażę. Właściciela tego pałacu Shaw tej samej nocy miał pozbawić życia.

Jednak kiedy po południu patrzył na rozbawione dziewczyny i sącył tropikalny drink, jeszcze o tym nie wiedział.

Po pływaniu gościom dano czas na pójście do pokoi i przebranie się w swobodne, modne stroje. Spotkali się znowu na przedłużonych koktajlach. Następnie usiedli do czterodaniowej kolacji serwowanej przez pełnych szacunku kelnerów, z których wszyscy nosili białe rękawiczki oraz czarne pistolety zatknięte za paski pod wykrochmalonymi uniformami. Na deser każdemu gościowi zaoferowano słodczy, nalewki, substancje kontrolowane oraz seniority.

Shaw dokonywał selekcji, kiedy zawibrowała jego komórka. Przeprosił i wyszedł z tarasu do jednego z przylegających doń otwartych pomieszczeń. Było bogato wyposażone. Zbyt bogato. Świadczyło o młodzieńczej ekstrawagancji oraz fatalnym guście właściciela.

– Taa? – rzucił lakonicznie do słuchawki.

– Wiesz, kto mówi? – zapytał ochrypły głos.

Mickey Bolden.

Shaw miesiącami pracował nad zdobyciem dostępu do tego płatnego zabójcy. W końcu Bolden zgodził się na spotkanie, podczas którego obaj byli czujni i nieufni... jasne, wobec otoczenia, ale przede wszystkim wobec siebie wzajemnie. Starannie zaszyfrowanym językiem Shaw przedstawił Mickeyowi swoje résumé oraz doświadczenie w ich wyjątkowej branży.

Może to subtelność i brak przechwałek przekonały Mickeya, że znajomy jest kompetentny. Na zakończenie kawowej randki Mickey powiedział, że odezwie się, gdyby zaszła potrzeba skorzystania z usług kompana. To było pół roku temu. Shaw przestał już liczyć na wiadomość od Mickeya.

– Nadal chcesz tę robotę?

Shaw spojrzał na taras, gdzie deser zmienił się w najprawdziwszą orgię.

- Przedstawienie jednoosobowe?
- Będziesz moim partnerem.
- To musi być wyjątkowa impreza.
- Chcesz czy nie?
- Jak się dzielimy?
- Pół na pół.
- Sprawiedliwiej się nie da.
- Na kiedy mnie potrzebujesz?
- Na czwartek.

Był wtorkowy wieczór, co zostawiało Shawowi bardzo mało czasu na załatwienie tutejszej roboty i stawienie się w Nowym Orleanie o wyznaczonej porze.

Miał do Mickeya Boldena sto pytań. Okazja była za dobra, żeby ją przepuścić, poza tym uznał, że już niedługo pozna wszystkie szczegóły kontraktu, zapanował więc nad ciekawością i zapewnił, że Mickey może na niego liczyć.

Wymagało to zręcznych manewrów i męczącej podróży, ale tamtej nocy sfinalizował interesy w Meksyku i zdołał dotrzeć do Luizjany przed czasem. Wczoraj spotkał się z Mickeyem, a rano razem przyjechali do miasteczka Tobias.

Dzień spędzili na rekonesansie i ustalaniu najskuteczniejszego sposobu pozbawienia życia Jordan Elaine Bennett, właścicielki Extravaganzy, rozchwytywanej firmy organizującej imprezy w Nowym Orleanie. Była siostrą i jedyną żyjącą krewną Joshui Raymonda Bennetta, bardzo poszukiwanego oszusta.

Shaw i Mickey śledzili Jordie Bennett, gdy ta załatwiała w mieście zwyczajne sprawy. Tuż po osiemnastej wróciła do domu. Czekali trzy godziny, ale już się nie pojawiła. Przekonani, że obiekt zamierza spędzić w domu cichy piątkowy wieczór, poszli na kolację. Przy twardych stekach i tłustych frytkach Mickey przedstawił plan.

Shaw wyraził zdziwienie, kiedy wczoraj Mickey zidentyfikował obiekt. Teraz Shaw kwestionował pośpiech w działaniu.

- Dlaczego jutro?
- Dlaczego nie?
- Za szybko. Myślałem, że poobserwujemy ją przez kilka dni, poznamy jej zwyczaje i dopiero potem wybierzemy najlepsze miejsce i czas.
- Czas wybrał Panella – zakończył dyskusję Mickey. – A klient zawsze ma rację. Chce, żeby zrobić to jutro, zrobimy to jutro.
- Goni go termin?
- Na to wygląda.

Po kolacji postanowili zapić niedobre jedzenie alkoholem, dopiero potem odbyć godzinną jazdę samochodem do Nowego Orleanu. Ten bar polecił im pomocnik kelnera, którego najwyraźniej nie interesował wysoki standard.

Lokal jednak odpowiadał ich celom, ponieważ w takich bezimiennych knajpach jak ta wszyscy trzymali głowy pochylone.

Na pewno robiła to Jordie Bennett. Kiedy Shaw się ku niej zbliżał, koncentrowała się bez reszty na swoim winie, jakby czekała na dalszą fermentację. Na końcu baru nie zmienił tempa, przeszedł obok niej. Wyczuł aromat drogich perfum. Korzenny zapach. Coś egzotycznego i kuszącego, co sprawi, że mężczyzna będzie chciał obwąchać całe jej sto sześćdziesiąt sześć centymetrów w poszukiwaniu źródła.

Zatrzymał się dopiero przy szafie grającej. Oblany wielokolorową poświatą pulsujących rurek, oparł się ramieniem o zaokrąglony szczyt, przez co stał pochylony i z udawanym zainteresowaniem przeglądając karty z tytułami piosenek, mógł kątem oka obserwować Jordie.

Napiła się wina ustami prosto z niegrzecznego snu, postawiła kieliszek na barze i nie cofnęła lewej ręki. Długie szczupłe palce. Bez pierścionków. Bardzo blade lakier na paznokciach. Shaw się zastanawiał, dlaczego dzisiaj po południu Jordie poświęciła godzinę na wizytę w salonie kosmetycznym. Miała prosty zegarek z porządnym brązowym paskiem ze skóry aligatora, bardziej praktyczny niż ładny, ale pewnie można by kupić dobry używany samochód za pieniądze, które na niego wydała.

W wykroju białej bluzeczki bez rękawów widać było ramiączko satynowego stanika, przy najmniejszym ruchu głowy muskały je długie pasma mahoniowych włosów wyglądające na jeszcze bardziej satynowe. Nosiła sandałki na wysokich obcasach i obcisłe dzinsy. Jej tyłek usadowiony na stołku wydawał się naprawdę słodki.

Nie tylko Shaw to zauważył. Faceta młodszego od niej co najmniej o dekadę i dwa razy tyle od Shawa prowokowali kumple od bilardu. Napędzany whisky i poganiany rehotami, podszedł do wolnego stołka obok Jordie.

– Można?

Na barze leżała jej mała czerwona torebka na srebrnym łańcuszku, nie większa od koperty. Jordie przysunęła ją do siebie, żeby kmiotek mógł zająć stołek.

Może Mickey miał rację, może szukała okazji. Tylko że nie spojrzała na potencjalnego Romea z zainteresowaniem ani zachęta i Shaw nie postawiłby ani centa na to, że chłopakowi uda się coś więcej niż ją wkurzyć.

Popatrzył w kierunku Mickeya, żeby się przekonać, czy zauważył, że Jordie zyskała towarzystwo. Zauważył. Świńską gębę miał zaczerwienioną i spoconą. Rozmawiał przez komórkę. Shaw nie musiał się zastanawiać, kto jest po drugiej stronie linii. Mickey konsultował ze zleceniodawcą, co powinni dalej robić, skoro nieoczekiwane pojawienie się pani Bennett wsadziło im kij w szprychy.

Shaw przeniósł uwagę na rozwój romansu. Jak się spodziewał, Jordie Bennett z rosnącym zniecierpliwieniem odpowiadała na bełkotliwe zaczepki.

Chłopak był młody, pijany, chciał dowieść swojej atrakcyjności u płci pięknej, ale nie widział, że daleko mu do jej ligi? Co nie znaczy, że Shaw miał za złe temu głupkowi, że postanowił spróbować. Bzyknałby się z nią, to do końca życia miałby prawo do przechwałek.

Ktoś zaszedł go z drugiej strony i położył mu ciężką dłoń na ramieniu. Shaw instynktownie sięgnął po pistolet.

– Wyluzuj, to ja – burknął Mickey. Wskazał listę piosenek. – Mają coś Merle’a Haggarda?

Shaw przerzucił kilka kart z tytułami.

– Z kim gadałeś przez telefon?

– A jak myślisz?

– Co powiedział?

– Najpierw długo rzucał mięsem, potem stwierdził, że w speluncie zrobiło się tłoczno i powinniśmy się rozdzielić. Od razu. – Subtelnie przekrzywił głowę w stronę rozgrywającej się za jego plecami sceny. Pijak nachylał się ku Jordie Bennett pod tak ostrym kątem, że z trudem zachowywał równowagę na stołku. – Co robią? Co z nim? Widzisz coś, co powinno nas zmartwić?

Shaw przez kilka sekund obserwował parę, po czym pokręcił głową.

– On tylko chce się dobrać do jej majtek.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Dobra. Zbieramy się. – Mickey odwrócił się od szafy grającej i ruszył do drzwi.

Shaw poszedł za nim. Oparł się pokusie, żeby po raz ostatni spojrzeć na Jordie Bennett.

Zaraz za progiem wziął głęboki wdech, żeby zmniejszyć napięcie pomiędzy łopatkami i oczyścić głowę z barowego zaduchu.

Na dworze jednak powietrze było gorące i wilgotne, tylko odrobinę świeższe niż w knajpie. Rozluźnił mięśnie, gdy szedł za Mickeyem do samochodu. Zaparkowali na odległym krańcu parkingu, który był pokryty pokruszonymi muszlami ostrzegającym pasem ziemi w kształcie wachlarza.

Mickey wcisnął się na miejsce pasażera. Shaw w tej robocie był podwładnym, dlatego na niego spadł obowiązek prowadzenia. Co mu pasowało. Nie cierpiał jeździć obok kierowcy, bo kiedy sytuacja robiła się paskudna, lubił mieć kontrolę nad pojazdem.

Włożył kluczyk do stacyjki, ale Mickey go powstrzymał.

– Poczekaj. Na razie nigdzie nie jedziemy.

Shaw poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Dlaczego nie?

– Robimy to teraz.

Shaw popatrzył na niego.

- Żartujesz?
- Nie. Panella powiedział, że nie ma lepszego czasu niż terazniejszy.
- Nieprawda, cholera – syknął Shaw, wskazując bar. – Widziano nas.
- Co jest kolejnym powodem, dla którego Panella kazał działać.
- To nie ma sensu.
- Wręcz przeciwnie.
- Chyba że chcesz, żeby cię złapali. Ja nie chcę.
- Więc nie daj się złapać. – Mickey stęknął, z wysiłkiem wyłuskując pistolet z kabury, która utknęła pomiędzy fałdami jego brzucha. – Panella też ma dla nas taką radę.
- Łatwo mu mówić. Nie naraża własnej dupy, no nie?

Mickey rzucił mu spojrzenie z ukosa.

- Pierwsza robota, a ty puchniesz.
- Wcale nie. Jestem rozsądny. Nie rozumiem, kurwa, po co się tak śpieszyć.
- Wyjaśniłem ci.
- Owszem, ale jutro też będzie dostatecznie szybko.
- Już nie. Panella zmienił zdanie. Małe miasteczko, w którym wszyscy się znają? Od razu rozejdzie się plotka, że jest tu dwóch obcych.
- Okay. Więc poczekajmy, aż wróci do Nowego Orleanu.
- Może minąć wiele dni. Nie wraca do miasta regularnie. Dużo pracuje w terenie. A poza tym decyzja nie należy do nas. Panella mówi, żeby ją załatwić, zwłaszcza że przypadkiem znaleźliśmy się pod tym samym dachem co nasz obiekt.

Shaw rozumiał argumenty, ale nadal mu się to nie podobało. Ani trochę.

- Tak jak ty – ciągnął Mickey – Panella się boi, że jej przyjdzie tutaj wcale nie jest zbiegiem okoliczności.
- Owszem, ale ja tak tylko gadałem. Jej przyjdzie tutaj to na pewno przypadek. Wykluczone, żeby o nas wiedziała.
- Nieważne. Panella powiedział, żeby zrobić to teraz, więc... – W przerwie Mickey włożył pocisk do komory pistoletu kaliber dziewięć.

Shaw uświadomił sobie dwie rzeczy: jego głos się nie liczy, dalsza dyskusja nie ma sensu.

- Cholera. – Wyjął swój pistolet i obejrzał się na drzwi ze skwierczącym neonem. – Więc jak chcesz to zrobić?
- Poczekamy na nią. Jak będzie jej towarzyszył ten wsiowy dupek, to go załatwisz. Ja się zajmę nią.
- A jak wyjdzie sama?
- Będę czynił honory – oznajmił Mickey, wciągając lateksowe rękawiczki. Drugą parę podał Shawowi. – Weźmiesz jej torebkę. Panella mówi, że to ma wyglądać na napad, który poszedł nie tak. Przypadkowa zbrodnia.

Shaw uśmiechnął się drwiąco.

– Jakby ktoś w to uwierzył.

Mickey zarechotał.

– To nie twój problem, kto w co wierzy. Będziesz daleko, ciesząc się swoją połową dwustu tysięcy.

– Wystarczy na fajną łódkę.

– Wystarczy na fajną cipkę.

– Masz głowę w rynsztoku, Mickey.

Znowu zarechotał.

– Gdzie się czuję jak u siebie.

Dostrzegając ruch kątem oka, Shaw ponownie spojrział przez tylną szybę.

– Oto ona.

– Sama?

Shaw poczekał z odpowiedzią, aż drzwi zamknęły się za Jordie Bennett i nikt więcej się nie pojawił.

– Tak.

Budynek nie miał oświetlenia zewnętrznego, toteż parking tonął w niemal kompletnej ciemności. Blady chudy księżyc zasłaniały okryte mchem hiszpańskim gałęzie dębu, które sięgały do trzech czwartych parkingu. Wąska droga stanowa w obu kierunkach była pusta.

Mickey otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, poruszając się z większą zręcznością, niż Shaw by go podejrzewał. Tłuścioch był nakręcony. Mickey Bolden lubił swoją robotę.

Shaw także. Kolejki tequili nawet w przybliżeniu nie dawały mu takiego kopa jak czysta adrenalina.

Tak bezszelestnie, jak się dało, podążyli za Jordie Bennett, idącą zygzakami przez parking zatłoczony powgniatanymi pikapami i zżartymi korozją od słonej wody gruchotami. Jej nowy model sedana stanowił tu lśniący i smukły wyjątek. Drzwi otworzyła pilotem przy kluczyku.

Kiedy nagle się odwróciła, Shaw uchwycił kolejny powiew uwodzicielskiego aromatu.

Widać ich kroki na pokruszonych muszlach nie były takie lekkie, jak im się wydawało. A może zwierzęcy instynkt przestrzegł ją przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tak czy owak, kiedy zobaczyła, że się ku niej pośpiesznie zbliżają, nabrała powietrza przez rozchylone usta i z przerażeniem otworzyła szeroko oczy.

Mickey błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość, jego prawa ręka oderwała się od boku z precyzją i śmiertelną determinacją.

Tłumik zagłuszył strzał, ale w ciszy dokoła prychający odgłos zabrzmiał w uszach Shawa tak głośno jak alarm pożarowy.

Mickey zwał się niczym worek cementu, z jego dziurawej głowy na pokruszone muszelki wylał się czerwony strumień.

Jordie Bennett z przerażeniem patrzyła na krew podływającą ku jej sandałkom. Potem spojrzała na Shawa, który nie opuścił pistoletu, tylko w nią celował.

– Moja połowa właśnie się podwoiła – powiedział.

Rozdział 2

Agent specjalny FBI Joe Wiley już zasiadał do pieczeni wieprzowej, gdy zadzwoniła komórka.

Jego żona Marsha skrzywiła się. Musiała podgrzać mu danie, bo wrócił do domu za późno, żeby zjeść z nią i dziećmi. Wiedziała jednak, że lepiej nie protestować, gdy oznajmił:

– Przepraszam, ale muszę odebrać. – Nacisnął klawisz. – To ważne, Hick? Siadam do kolacji.

– Przykro mi, że przeszkadzam – odparł agent Greg Hickam ze smutkiem. – Ale owszem, to ważne. Pomyślałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

Joe posłał Marshy przepaszające spojrzenie i wszedł do pomieszczenia gospodarczego.

– Okay, słucham.

– Kilka godzin temu w gminie Terrebonne znaleziono martwego Mickeya Boldena. Leżał na parkingu zapyziałej piwiarni jakieś piętnaście minut samochodem od Tobias.

I tak oto gorący posiłek przestał być elementem najbliższej przyszłości Joego.

Przeciągnął ręką po ustach i brodzie.

– Nie wydaje mi się, żeby był jakiś inny Mickey Bolden.

– Niewykluczone, że jest, ale to akurat ten, którego znamy i kochamy. Kochaliśmy.

– Uściślij „znaleziono martwego”. Domyślam się, że nie odszedł spokojnie we śnie.

– Strzelono mu w tył głowy. Pocisk rozwalił prawie całą twarz.

– To skąd wiemy, że to on?

– Prawo jazdy w portfelu było fałszywe, ale patolog pobrał trupowi odciski palców. Miejscowe władze bardzo się podnieciły na wieść, że miał związek ze sprawą Billy’ego Panelli, i zgodnie z przepisami powiadomiły najbliższe biuro FBI.

– Szczęściarze z nas. – Joe przez drzwi zajrzał do kuchni, gdzie Marsha siedziała przy stole i z niespokojną miną popijała mrożoną herbatę. Do telefonu powiedział: – Bolden dostaje kulkę niedaleko Tobias w piątek wieczorem, tylko trzy dni po...

– Wtorku. To się musi łączyć.

– Jesteś pewien czy tylko przypuszczasz?

- Prawie pewien. Kiedy zginął Bolden, w knajpie była Jordie Bennett.
 - Powtórz?
 - Jordie Bennett...
 - Nieważne. Usłyszałem za pierwszym razem. Jasny gwint. Zaraz, powiedziałaś „była”?
 - Przebywali w knajpie w tym samym czasie.
 - Razem?
 - Nie. Ale wyszła kilka minut po nim. I tu mamy zagwozdkę, jej lexus nadal jest na parkingu. Mickey stał jakiś metr dalej, kiedy go puknięto.
 - Ona?
 - Mało prawdopodobne.
 - Dlaczego?
 - Skoro go zabiła, to czemu zostawiła samochód?
- Joe nie miał zielonego pojęcia.
- Brakuje mi informacji. Mów.
 - W knajpie jakiś facet podrywał panią Bennett. Uprzejmie kazała mu spadać, a kiedy tego nie zrobił, powiedziała, żeby szedł do diabła, złapała torebkę i sobie poszła. Od tamtego czasu nikt jej nie widział ani nie miał od niej wiadomości.
 - Jezu. Proszę, powiedz, że tego nie słyszę.
 - Przykro mi, słyszysz – odparł Hick. – Rozpłynęła się w powietrzu.
 - Myślałem, że od wtorku obserwują ją miejscowi ludzie.
 - Owszem, rotacyjnie dwóch zastępców szeryfa. Ten z nocnej zmiany zanotował, że o dziewiątej trzydzieści dwie wyszła z domu. Bez pośpiechu przeprowadziła go przez miasto, ale jak znaleźli się na zadupiu, przycisnęła gaz do dechy i go zgubiła.
 - Pojechała do piwiarni?
 - Tam ostatnio ją widziano. W domu i w firmie nikogo nie ma, oba miejsca są zamknięte na cztery spusty. Nikt nie próbował wejść. Alarmy są nastawione. Biuro szeryfa podejrzewa nieczystą grę...
 - Bez jaj.
 - ...i już wystawili list gończy za nią i tym facetem.
 - Podrywacz za nią poszedł?
 - Nie tym, tylko tym drugim.
 - Jakim drugim?
 - Kumplem Mickeya.
 - Mickey miał kumpla?
 - Wiem, niepojęte. Ale przyszli razem, wypili kilka drinków, wyglądali na zgodnych. Żadnych niemiłych słów ani złych zachowań, nic z tych rzeczy. Nie nawiązali z nikim rozmowy i razem wyszli. Skoro jednak odstrzelił Mickeyowi

twarz, to nie mogli być takimi znowu bliskimi przyjaciółmi. – Hick przerwał i nabrał powietrza w płuca. – Tak to wygląda i dlatego przeszkodziłem ci w kolacji. Powiedz Marshy, że przepraszam.

– Miejsce zbrodni zabezpieczono?

Agent pociągnął nosem.

– Powiadomił mnie detektyw z wydziału zabójstw w biurze szeryfa w Tobias. Wydaje się bystry. Przyjechał krótko po funkcjonariuszach, którzy odpowiedzieli na wezwanie, ale i tak było za późno. Mówił, że kiedy odkryto ciało, klientela piwiarni rozpiezchła się na wszystkie strony jak karaluchy po zapaleniu światła. Kilkunastu z nich ma pewnie wystawione nakazy aresztowania, bo pogwałcili warunki zwolnienia warunkowego, bo po wyjściu za kaucją zwiali, bo handlują na małą skalę prochami. To tego rodzaju knajpa. Razem z zastępcami szeryfa złapali kilku nie dość szybkich. Niewielu. I niezbyt się palili do rozmowy z władzą.

– To przeciwne ich naturze.

– Owszem, ale też marudzili, że ich zatrzymano z powodu Josha Bennetta. Podobno jeden splunął na podłogę, wymieniając jego nazwisko.

– Nie przypuszczam, żeby widziano tam Bennetta albo Billy’ego Panellę.

– Tylko w zastępstwie.

– Jordie, siostra Bennetta.

– I Mickey Bolden. Wiemy, że był człowiekiem Panelli do mokrej roboty.

– Wiemy, ale nigdy tego nie udowodniliśmy – uściślił Joe.

Wyobrażając sobie niechętnych do współpracy świadków i miejsce zbrodni tak zanieczyszczone, że badanie go przestało mieć sens, Joe westchnął i przesunął dłonią po rzednących włosach.

– Powiedz chłopakom z biura szeryfa, żeby zatrzymali świadków, dopóki nie puszczą farby. Nie obchodzi mnie, jak głośno będą płakali. Zatankuj helikopter. Spotkam się z tobą na lotnisku.

– O której?

– Już wychodzę. Poślij na miejsce zbrodni naszą ekipę techników.

– Zrobiłem to, zanim do ciebie zadzwoniłem. Pewnie będą tam przed nami.

– Świetnie. Do zobaczenia.

Rozłączył się i wrócił do kuchni. Z grymasem rezygnacji na ustach Marsha szykowała kanapkę z serem i szynką. Joe założył na ramię pas od kabury i z haczyka na drzwiach zdjął kurtkę.

– Gdyby to nie była sprawa Panelli i Bennetta, zostałbym na kolacji. Pieczeń pachnie wyśmienicie. To rozmaryn?

Marsha gwałtownie wepchnęła mu w rękę kanapkę owiniętą w folię.

– Nie cierpię, kiedy po ciemku latasz tym cholernym helikopterem.

– Wiem, ale...

– A poza tym ile ty masz lat?
– Jestem stary, ale można na mnie polegać. – Pocałował ją w usta, choć w rewanzu dostał coś na kształt wydętych warg. – Powiedz dzieciom, że przepraszam, że się z nimi nie zobaczyłem. Zadzwoń.
– Mogę nie odebrać. Będę oglądała *Top Gun*.
Przystanął w drodze do drzwi.
– To mój ulubiony film.
– Wiem. Dam podwójną porcję masła do popcornu i zrobię poważną szkodę butelce wina. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Baw się dobrze!
Wrócił do niej, nachylił się i szepnął:
– Wiesz, która jest moja ulubiona scena w tym filmie? – Ścisnął ją za pierś. – Kiedy Maverick i ta laska zabierają się do rzeczy.
Machnęła ręką.
– Idź! – powiedziała surowo, choć się uśmiechała.
*

Gdy Shaw uznał, że odjechał na tyle daleko, że może bezpiecznie się zatrzymać, skręcił z autostrady na wyboistą ścieżkę, która prowadziła w gęsty las. Wyłączył silnik i reflektory. Do tego, co zamierzał zrobić, wystarczy latarka w nowej komórce. Tylko on znał numer.

Poświecił na Jordie Bennett. O ile potrafił stwierdzić, nadal była nieprzytomna i nie poruszyła się, odkąd umieścił ją na tylnym siedzeniu. W końcu jednak się ocknie, więc musiał się przygotować na nieuniknione.

Wysiadł, wyjął z bagażnika potrzebne rzeczy, następnie otworzył tylne drzwi i umieścił telefon na podłodze.

Była bezwładna jak ścierka do naczyń, co ułatwiło mu ułożenie na nowo jej ręk i nóg. Raz mruknęła niezrozumiale, przerwał więc swoje poczynania, aż zyskał pewność, że Jordie nie oprzytomnieje. Im dłużej była wyłączona, tym lepiej dla niego.

Dla niej też.

Ale nie oprzytomniała. Pośpiesznie zdjął jej sandaalki, przeklinając wymyślne klamerki, i sprawnie związał nogi i ręce. Prostując się, odgarnął pasmo włosów z policzka Jordie. Wtedy też zauważył, że na twarzy ma plamki krwi.

– Cholera. – Ona zeświruje. Przeprowadził w duchu debatę i zdecydował, że kilka dodatkowych minut nie będzie miało znaczenia.

Ukończywszy niezbędne czynności, cicho zamknął tylne drzwi i bagażnik, po czym usiadł za kierownicą. Komórki Jordie i Mickeya leżały na fotelu pasażera, gdzie je rzucił, kiedy związał się z parkingu.

Zaczął od jej telefonu. Z ulgą stwierdził, że ma zasięg. Wywołał rejestr ostatnich połączeń i pośpiesznie go przejrzał, sprawdzając rozmowy z dzisiaj

i kilku ostatnich dni. Wszystkie nazwiska znajdowały się w kontaktach. Nic nie było warte uwagi.

Nic z wyjątkiem ostatniego połączenia.

Ktoś zadzwonił do niej parę minut po dziewiątej dzisiaj wieczorem. Numer kierunkowy z okolicy, niezapisany w kontaktach. Jordie dwukrotnie oddzwoniła. Po zastanowieniu Shaw także to zrobił. Odczekał kilka sygnałów, ale nikt nie odebrał. Rozłączył się.

Odwrócił głowę i chwilę rozmyślał. Wyjął z komórki Jordie baterię i oba przedmioty włożył do schowka.

Podniósł telefon Mickeya, wywołał rejestr i od razu wiedział, że nieznany numer należy do Panelli. Na pewno czekał na raport Mickeya z wykonanej misji.

– Fatalnie, dupku – szepnął. – Teraz masz do czynienia ze mną. – Jak poprzednio usunął baterię i razem z komórką zamknął w schowku. Czując presję czasu, zapalił silnik.

Gdy wyjeżdżał na mroczną i pustą autostradę, myślał o wypadkach wieczoru. Nie potoczyły się tak, jak oczekiwał, lecz o wiele lepiej. Wyszedł z nich ze zdobyczą prima sort. Leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu.

Rozdział 3

– Boże, zmiłuj się nad nami – szepnął z westchnieniem Hick, kiedy wysiedli z wozu użyczonego im przez biuro szeryfa i przyglądali się miejscu zbrodni. – Jest tak źle, jak myślałem.

Helikopter, który ich tutaj przetransportował, wylądował na polu służącym wczesną jesienią jako miejsce targów i festynów. Stamtąd zastępca szeryfa przywiózł ich do baru, gdzie zamordowano Mickeya Boldena.

Rozstawiono przenośne reflektory. Brzydka speluna była oświetlona jaskrawiej niż główna ulica Las Vegas. Rojący się wokół ludzie w mundurach rzucali niesamowite cienie, które sięgały lasu i w nim znikaly.

– Gorzej – skwitował Joe ocenę sytuacji dokonaną przez Hicka.

Obaj schylili się pod żółtą taśmą, w założeniu mającą powstrzymać gapiów przed wejściem na parking, choć w rzeczywistości niezbyt skutecznie spełniająca swoją funkcję. Większość intruzów jednak szerokim łukiem omijała lexusa. Joe i Hick ruszyli prosto ku niemu.

Kompetentny młody agent o nazwisku Holstrom, jeden ze śledczych z biura w Nowym Orleanie, konferował z mężczyzną, którego schludny garnitur z bawełny i wygląd elfa nie pasowały do głębokiej wsi nad zatoką, gdzie nikt nie miał odwagi rozpoznać wszystkich kawałków mięsa w *gumbo*, a najdrobniejszą aluzję o ograniczeniu prawa do posiadania broni kwitowano śmiechem i klepaniem się po kolanach.

Joe i Hick wymienili ciche powitania z kolegą, a ten przedstawił im swojego niepozornego rozmówcę jako doktora Jakiegośtam, rejonowego patologa sądowego. Wszyscy nosili rękawiczki, obyło się więc bez ściskania dłoni, w sumie dobrze, bo musieliby wyciągać ręce ponad kałużą ścinającej się krwi.

Patolog od razu przeszedł do rzeczy:

– Już go przewieziono do kostnicy, ale po identyfikacji z powrotem mnie tutaj wezwali, żebym z wami porozmawiał. Pokażę na początek, jak to wyglądało, kiedy tu przyjechałem.

Podniósł iPada i przerzucił kilka zdjęć przedstawiających sporych rozmiarów zwłoki Mickeya Boldena pod różnymi kątami i z różnej odległości. Żadne nie było ładne. Joe niemal współczuł temu łamiącemu prawo draniowi.

Hick, gorliwy katolik, odmówił modlitwę i się przeżegnał.

Joe, także katolik, choć nie tak gorliwy, powiedział:

– Nie ma potrzeby pytać o przyczynę śmierci.

– Nawet tego nie poczuł – odparł patolog z większą obojętnością, niż Joe

oczekiwały u człowieka z taką dobroduszną twarzą.

Wskazał jedno ze zdjęć na iPadzie, konkretnie to, na którym kilka centymetrów od wyciągniętej ręki Mickeya leżał pistolet.

– Kto zabezpieczył broń?

– Pierwsi na miejscu zbrodni ustalili, że ostatnio z niej nie strzelano, ale zostawili ją dla detektywa z biura szeryfa.

– Dobrze. – Joe dostrzegł też, że Mickey ma rękawiczki, i zapytał o nie.

– Zdjąłem je w kostnicy i spakowałem – odparł patolog. – Zabrał je zastępca, więc teraz też są w biurze szeryfa. Kolejność przekazywania została zapisana.

– Dziękuję. Będziemy chcieli raport z sekcji tak szybko...

– Wiem, wiem. Wy nigdy nie mówicie: „Nie ma pośpiechu, doktorze. Kiedy będzie panu pasowało”.

Może i wyglądał jak dobrotliwy krasnoludek, ale miał usposobienie grzechotnika. Joe uznał, że go nie lubi. Rozglądając się, dostrzegł dwa markery pozostawione na żwirze.

– Co tu było?

– Torebka i elektroniczny kluczyk do samochodu pani Bennett – wyjaśnił Holstrom. – Zabrali je detektywi.

Joe zapuścił się wzrokiem dalej w poszukiwaniu śladów po obcasach, które świadczyłyby, że doszło do szarpaniny albo że kogoś – Jordie Bennett – wleczono. Niczego takiego nie zobaczył.

– Żadnych śladów walki?

– Widzicie to co my po przyjeździe. Szukamy. – Holstrom wskazał technika, który kilka metrów od nich kuczał i bacznie oglądał powierzchnię parkingu. – Ale menadżer, a równocześnie barman ocenił, że podczas zajścia parkowało tu od piętnastu do dwudziestu pojazdów.

Hick doliczył się tylko pięciu.

– Musiał nastąpić prawdziwy eksodus – skomentował.

Holstrom potaknął.

– Mamy dziesiątki krzyżujących się śladów opon i tylko kilka odcisków butów. – Uniósł lekko ręce.

– Nikt nie widział odjeżdżającego samochodu? – zapytał Hick.

– Na razie nikt się nie zgłosił, ale może ktoś jeszcze to zrobi – odparł Holstrom, kręcąc głową.

– Taa, i w każdej chwili może zacząć padać śnieg. – Joe wziął w palce wilgotną koszulę i odciągnął od spoconego torsu. – Kamery bezpieczeństwa?

Młodszy agent uśmiechnął się ponuro.

– System kanalizacyjny jest tu tak wyrafinowany jak cała ta knajpa. Składa się z sedesu bez klapy i licznych ręcznie pisanych ostrzeżeń, że spłuczka działa tylko czasami.

– Czyli nie ma kamer – skwitował Joe śmiertelnie poważnie.

– Nie ma systemu bezpieczeństwa, kropka. Chyba że wliczymy w to dwa załadowane obrzyny trzymane w pogotowiu za barem.

– To pewnie najskuteczniejszy system – zauważył Hick.

Joe wskazał obrzydliwą kałużę oddaloną od maski samochodu o kilka kroków.

– To wymioty?

– Ściślej mówiąc, na wpół strawiony cheeseburger, frytki z chili i mnóstwo whisky – odparł patolog.

– A kto był właścicielem tych pyszności? – dociekał Hick.

– Według relacji pierwszych osób na miejscu zbrodni młodzieniec, który znalazł ciało, wyrzucił wszystko. Na szczęście mają pod ręką wiaderko na tego rodzaju okazje.

– Gdzie on jest teraz? – zainteresował się Joe.

– Tutaj. Kazali mu ochłonać i czekać na wasz przyjazd.

– Mogę już iść? – zapytał patolog.

Joe mu podziękował, po czym kierowany głównie złośliwością, przypomniał, że raport z sekcji jest niezwykle ważny dla śledztwa. Mruczając pod nosem, patolog odszedł.

Joe zwrócił się do Holstroma:

– Miły facet. Masz dla nas coś użytecznego w kwestii „Co tu się, kurwa, stało?”.

Holstrom z roztargnieniem podrapał bąbel na policzku, który wyglądał na świeże ukąszenie komara.

– Niestety, niewiele. Samochód jest zarejestrowany na Jordan Bennett. Drzwi były odblokowane, ale zamknięte. Zastępca ma zamiar zdjąć z niego odciski, choć szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby po wyjściu z knajpy zdążyła wsiąść.

– I odjechała z tym, który stuknął Mickeya? – domyślił się Joe. Ponieważ pozostali dwaj agenci nie potwierdzili ani nie zaproponowali innej hipotezy, dodał: – No dobra, poszła z tym nieznanym sprawcą z własnej woli czy pod przymusem?

Agent Holstrom spojrział na Hicka, a ten wzruszył ramionami.

– Czyli jesteśmy jednego zdania – podsumował Joe. – Ja też nie wiem. – Ruszył w stronę baru, przez ramię mówiąc do Holstroma: – Informuj natychmiast, jak coś znajdziecie.

– Jasne.

– Jak się nazywa detektyw, z którym rozmawiałeś? – zapytał Joe.

– Cliff Morrow – odparł Hick.

Morrow miał trzydzieści kilka lat i w jego wyglądzie nie wyróżniało się nic poza strojem: baseballówka, koszulka z nazwą drużyny, szorty i zakurzone adidas.

Joe i Hick zdjęli lateksowe rękawiczki i uścisnęli mu dłoń.

– Trenuję drużynę softballa mojej córki – wyjaśnił Morrow. – Świętowaliśmy w pizzerii wygraną, kiedy dostałem wezwanie. Nie miałem czasu się przebrać.

Sprawił wrażenie kompetentnego i bardziej niż chętnego do dzielenia się odpowiedzialnością za śledztwo; może nawet mu ulżyło.

– Tutejsi mają wiele pretensji do Bennetta. Miejscowy chłopak.

– Który zszedł na złą drogę – dodał Hick.

– To akurat mu wybaczyli – powiedział detektyw. – Ale mnóstwo ludzi uważa go za zdrajcę.

– Co jest o wiele gorsze od oszusta – uzupełnił Joe.

Morrow uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Dla niektórych owszem.

– A dla pana? – zainteresował się Hick.

– Jestem funkcjonariuszem. Josh Bennett złamał prawo.

Joe z zadowoleniem przyjął tę rzeczową odpowiedź.

– Czyli pomimo miejscowych związków Bennetta możemy liczyć na pańską pełną współpracę?

– Oczywiście, sir. Całe biuro szeryfa w Terrebonne was wspiera. Szeryf kazał to panu powtórzyć. Już przetrzepał dupę zastępcy, który dał się wywieść w pole pani Bennett. Jest zielony, pracuje od trzech tygodni. Nawet nie wiedział, dlaczego ją obserwują. Prawdę mówiąc, nikomu nie powiedziano, dlaczego zleciście tę obserwację.

Joe udał, że nie słyszy pytania ukrytego w ostatnim zdaniu. Może powinien był zdradzić powody szeryfowi i podkreślić powagę sprawy. Niewykluczone, że wtedy zadanie powierzono by bardziej doświadczonemu funkcjonariuszowi. Ale było już za późno, mleko się rozlało, a on nie miał czasu na próżne rozważania.

– Proszę mnie wprowadzić w sprawę, detektywie Morrow.

– Zaraz po przyjeździe na miejsce ja i mój partner zatrzymaliśmy ich do przesłuchania. – Miał na myśli grupki mało szacownych z wyglądu mężczyzn i kobiet przebywających w barze.

– Niech zgadnę – powiedział Joe, przyglądając się ponurym minom pojedynczych osobników i całej zbiorowości. – Nikt nic nie widział.

Morrow się uśmiechnął.

– Generalnie tak. Ale na razie nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych, które by mnie skłoniły do zmiany zdania. Na zapleczu mój partner przesłuchuje barmana, ale już wstępna rozmowa świadczy, że jak reszta był niewinnym gapiem. Może bardziej spostrzegawczym. I jako jedyny kontaktował się z Boldenem i jego kumplem.

– Udało się go zidentyfikować?

– Miejscowi zgodnie twierdzą, że dzisiaj wieczorem widzieli go po raz pierwszy.

– Jasne – przyznał Joe. – Nigdy jakoś nie mamy szczęścia trafić na kogoś, kto nam poda adres i nazwisko głównego podejrzanego. Gdzie jest pistolet Boldena?

Morrow wskazał bar. Pistolet został spakowany i opisany.

– Narzędzie jego rzemiosła – zauważył Joe, przyglądając się bacznie pistoletowi z tłumikiem.

– Dzisiaj wieczorem go nie użył – wyjaśnił Morrow. – Magazynek jest pełny poza kulą w komorze.

Joe podniósł worek na dowody zawierający małą czerwoną torebkę. Nie wyglądała na wyjątkową, choć na pewno była droga. Miał nadzieję, że Marsha nigdy sobie takiej nie zażyczy.

W osobnym worku znajdowały się elektroniczny kluczyk do samochodu Jordie Bennett, błyszczący do ust o nazwie Gossamer Wings, karta kredytowa, banknot dwudziestodolarowy i prawo jazdy wystawione przez stan Luizjana.

– Dama podróżowała bez bagażu – rzucił Morrow, gdy Joe i Hick studiowali po kolei przedmioty.

W oczy rzucał się brak komórki, co skomentował Hick.

– Też to zauważyłem – powiedział Morrow. – Zamek torebki był odpięty. Podejrzewam, że sprawca zabrał telefon.

– Ale zostawił dwadzieścia dolarów i kartę kredytową – odparł Hick.

– Tu nie chodziło o kradzież. – Joe westchnął. – Tylko o to, kim jest, kogo zna i co wie. – Zwrócił się do Morrowa. – Wychował się pan w Tobias?

– Mieszkam tu od ósmego roku życia.

– Jak dobrze zna pan Bennettów?

– Na tyle, by się odezwać i zapytać o zdrowie. Josh chodził ze mną do klasy, ale nie należeliśmy do tej samej paczki. Jordie była dwa roczniki wyżej.

– Rywalizowali ze sobą? – dociekał Joe.

– Nie skakali sobie do gardeł, w każdym razie nic o tym nie wiem. Oboje byli bystrzy i mieli dobre stopnie. Ona zadawała się z osobami najbardziej popularnymi.

– Josh nie?

– Od popularności dzieliło go kilka poziomów i w gruncie rzeczy nie zadawał się z nikim. Był mądrałą i nie mówię tego złośliwie. Lubił gry komputerowe i tak dalej.

– Ona była towarzyska, on łebski. Trafne?

Morrow chwilę się zastanawiał nad pytaniem Hicka, w końcu kiwnął głową.

– Trafne. Ale jak na brata i siostrę byli blisko.

Joe się ożywił.

– Tak?

– Wiecie, co się stało Joshowi, jak był mały?

Obaj agenci potaknęli.

– No, pewnie z tego powodu Jordie zawsze była wobec niego opiekuńcza. – Morrow umilkł, ale Joe gestem dał mu znać, by mówił dalej. – W ostatniej klasie chodziła z najlepszym sportowcem. Był z niego kapuściany głąb, ale wiecie, wszystkie go jej zazdrościły. Pewnego dnia po lekcjach Jordie siedziała w jego samochodzie na szkolnym parkingu. Podobno się kłócili. W każdym razie pojawił się Josh na motorze. To nie był harley, nie ta moc. On i głąb wymienili kilka zdań i Josh z rozmysłem albo przypadkowo, w tej kwestii relacje się różniły, najechał kołem na błotnik głąba. Nie zrobił nawet wgłębienia, ale facet się wkurzył. Wysiadł i zagroził Joshowi, że mu urwie łeb. Wrzeszczał, próbował zepchnąć go z motoru, obrzucał wszelkimi możliwymi obelgami. Josh nie chciał albo nie potrafił odpowiedzieć na atak. W przeciwieństwie do Jordie. Wskoczyła z samochodu i walnęła gościa w twarz. Był od niej cięższy z pięćdziesiąt kilogramów, ale momentalnie się wycofał. Jordie wsiadła na motor brata i odjechali. Taki był koniec jej romansu z głąbem. Rzuciła go i, o ile się orientuję, nigdy więcej się do niego nie odezwała.

Joe przetrwał opowieść, po czym posłał Morrowowi długie spojrzenie, jakby oceniał jego wiarygodność.

– Zastanawiał się pan, dlaczego na początku tygodnia zleciliśmy obserwację Jordie Bennett? No to ma pan powody.

W inteligentnych oczach detektywa pojawił się błysk, gdy uświadomił sobie znaczenie słów Joego. Cicho gwizdnął.

– Wy, to znaczy FBI, trzymaliście to w tajemnicy.

– Owszem – potwierdził Joe. – I to nie oznacza, powtarzam, nie oznacza, że sprawa zostanie upubliczniona, dopóki FBI nie będzie gotowe.

– Ze względu na to, co mógłby zrobić Billy Panella, gdyby się o wszystkim dowiedział.

Hick pokiwał głową.

– Właśnie. Martwi nas, że wiadomość już dotarła do Panelli, gdziekolwiek na tym świecie się zaszył. No bo z jakiego innego powodu Mickey Bolden tu dzisiaj trafił? Był cynglem Panelli.

– Na szczęście Mickey już nie jest naszym zmartwieniem – oznajmił Joe. – Za to jest nim ten drugi, który w dodatku najwyraźniej nie boi się użyć broni. Nie znamy jego tożsamości, a cieszy się wolnością.

– Jordie Bennett zniknęła w tym samym czasie. – Morrow zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, zdjął czapkę i wytarł czoło wierzchem dłoni. – Dopiero dziesięć minut temu dostaliśmy jej numer telefonu. Jest piątkowy wieczór, nikogo nie ma w domu. W końcu złapaliśmy szefową jej biura. Dała nam numer pani Bennett,

dzwoniemy na niego.

– Niech zgadnę – powiedział Hick. – Nic.

– Nawet poczty głosowej.

– Nasz nieznany sprawca jest dość sprytny, żeby wyjąć baterię i uniemożliwić namierzenie telefonu – dodał Joe. – Znaleźliście telefon przy Mickeyu?

– Nie.

– Na pewno sprawca też go zwinął. – Joe ujął się pod boki i cicho zaklął. – Ten niezidentyfikowany kumpel Mickeya zaczyna mnie niepokoić.

Rozdział 4

Niewinny pod każdym innym względem odgłos miał siłę strzału z broni palnej. Jordie zastygła.

Kiedy po pierwszym szczęku nastąpił drugi, uświadomiła sobie, co to znaczy. Ktoś na zmianę zwalniał i włączał blokadę tylnych drzwi, kpiąc z jej daremnych prób otwarcia ich.

Mniej więcej godzinę temu odzyskała przytomność, czując tępy ból w boku głowy. Instykt samozachowawczy przestrzegł ją, by się z tym nie zdradzić. Do tej pory sądziła, że odgrywa rolę nieprzytomnej na tyle dobrze, by go oszukać. Najwyraźniej nie wydawała się tak przekonująca, jak sądziła.

Ona była głupia, on nie.

Po oprzytomnieniu i ocenieniu sytuacji na tyle, na ile się dało bez otwierania oczu, doszła do wniosku, że ze związanymi rękami i nogami leży na tylnym siedzeniu jadącego samochodu.

Poruszając się bardzo nieznacznie i tak cicho, jak tylko potrafiła, przekonała się, że z wyprostowanymi nogami sięga bosymi stopami drzwi. Z rosnącą frustracją oraz bólem napinanych mięśni ukradkiem próbowała podnieść klamkę palcami u stóp, przez cały czas myśląc, że jej porywacz o niczym nie wie.

Świadomość, że on wie, a może wiedział od samego początku, sprawiła, że rozpacz, strach i gniew skupiły się w jęku.

Kiedy głowa zaczęła jej pracować, zdała sobie sprawę, że to nie jest jej samochód. Policzką opierała się o tapicerkę z materiału. Znajoma faktura i zapach skórzanych siedzeń lexusa zapewniłyby właścicielce niejakie poczucie bezpieczeństwa, ale w tej sytuacji auto było równie obce jak kierowca, otoczenie i cel.

Nie potrzebowała dłużej udawać nieprzytomnej, otworzyła więc oczy i kilkakrotnie zamruwała, by wzrok odzyskał ostrość. Ciemność rozpraszała jedynie poświata deski rozdzielczej, do wnętrza samochodu nie wpadały światła miasta. Nie widziała oświetlonych drogowskazów ani estakad, które by świadczyły, że znajdują się na jednej z ważniejszych dróg, z naprzeciwka nie zbliżały się żadne pojazdy. Za oknem nie widziała nic poza czarnym niebem i mrugającymi gwiazdami.

Co było równie dobrym widokiem jak każdy inny, by zastąpić nim obraz otyłego mężczyzny celującego jej w czoło, a później jego eksplodującej twarzy, ciężkiego upadku na ziemię, ciemnej jak atrament krwi błyskawicznie podływającej ku jej stopom.

Pamiętała, że patrzyła w lufę pistoletu i słyszała, jak ten drugi facet powiedział: „Moja połowa właśnie się podwoiła”.

Kiedy się ocknęła, pierwszą myślą było zdumienie, że nadal żyje.

Wysoki facet nie zastrzelił jej, tylko uderzeniem pozbawił przytomności, może tłumikiem na swoim pistolecie, a potem ją uprowadził z miejsca brutalnej zbrodni, którą widziała na własne oczy. Z tego też powodu zastanawiała się teraz, czemu jej także nie zabił. Czy nie byłoby to praktyczniejsze i skuteczniejsze od porwania? Dlaczego zachował ją przy życiu?

Spekulowanie o jego motywach wywołało falę paniki, a ponieważ nie musiała się już kryć, zaczęła się szarpać, usiłując uwolnić ręce. Miała je związane na tyłku czymś cienkim, ale niewiarygodnie mocnym, co wrzynało się w skórę. Szamotała się coraz bardziej gorączkowo.

– Daj spokój.

Niespodziewany rozkaz kierowcy przestraszył ją i przez chwilę leżała w bezruchu, ale potem powiedziała:

– Idź do diabła.

Na nowo podjęła zabawę w przeciąganie liny.

Po pięciu minutach jednak złała się potem, który klimatyzacja w samochodzie szybko zmieniła w lodowatą wodę. Pogodziła się z myślą, że choćby nie wiem jak się wysilała, nic to nie da poza wyczerpaniem i ranami na przegubach. Zmusiła się do spokoju, wzięła kilka głębokich wdechów przez usta i stłumiła panikę.

Myśląc powoli, usiłowała znaleźć coś pozytywnego, co mogłaby wykorzystać, i wkrótce uświadomiła sobie, że materiał więżący jej nogi jest miękki i bardziej podatny na rozwiązanie niż ten na rękach.

Podniosła głowę i powiodła spojrzeniem po swoim ciele. Z wysiłkiem przełknęła żółć, kiedy na białej bluzce zobaczyła ciemne plamy.

Wyschnięta krew. Krew nieboszczyka.

Zadrzała, ale odrzuciła myśl o tym, jak umarł. Gdyby tego nie zrobiła, strach przed takim samym końcem sparaliżowałby ją psychicznie i fizycznie.

Zebrała się w sobie i spojrzała poza te plamy. Zobaczyła, że kostki ma związane bandaną w panterkę. Zaczęła pocierać stopami, żeby naciągnąć bawełnę i zyskać dość wolnej przestrzeni na uwolnienie i...

I co potem?

Blokada na tylnych drzwiach nadal będzie uniemożliwiała ucieczkę.

Mogłaby kopnąć porywacza w głowę. Dobrze wycelowany kopniak z zaskoczenia pewnie oszołomiłby go na kilka cennych sekund.

Oraz spowodował, że facet rozbiłby samochód.

Albo też sprowokował go do zabicia jej wcześniej.

Może dałaby radę inaczej rozproszyć jego uwagę. Gdyby wydała jakiś

odgłos, na przykład udała, że się dławi, lub zrobiła coś, co zmusiłoby go do zatrzymania samochodu i otwarcia tylnych drzwi, to wtedy może miałyby szansę wydostania się i ucieczki, o ile...

Było w tym okropnie dużo „gdyby” i żadna z opcji nie miała zbyt wielkich szans powodzenia. Ale, cholera jasna, nie będzie leżała jak kłoda i czekała, aż on zrobi z nią, co zechce. Nie ułatwi mu sprawy tak jak jego poprzednia ofiara. Nie pozwoli się załatwić bez walki.

Z drugiej zaś strony instynktownie wiedziała, że tego człowieka nie da się łatwo oszukać ani pokonać fizycznie.

Kiedy wyszła z baru, parking był ciemny i, jak jej się wydawało, pusty. Pośpieszne kroki na żwirze zaalarmowały ją, że zbliża się dwóch napastników. W ułamku sekundy pomiędzy jej okręceniem się na pięcie a strzałem z pistoletu rozpoznała obu, przed chwilą widziała ich w barze: otyły facet, który nie zrobił na niej zapadającego w pamięć wrażenia, i on, który zrobił.

Kiedy mijał ją przy kontuarze, nawiązali przelotny kontakt wzrokowy. Zapamiętała jego wyższy niż przeciętny wzrost, nieśpieszny, ale drapieżny krok, surową twarz i oczy tak ostre, że można by nimi ciąć diamenty. Odruchowo zareagowała na to przenikliwe spojrzenie i dość szybko oderwała od niego wzrok.

Powinna była posłuchać intuicyjnego ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, tylko że wtedy mylnie odczytała i własną reakcję, i rodzaj zagrożenia.

Każdy nagły ruch głowy powodował, że pulsowanie przybierało na sile, dlatego ostrożnie ją odwróciła, by dokładniej przyjrzeć się porywaczowi. Ponad zagłówkiem fotela widziała kręcone włosy na czubku głowy. Pamiętała, że miał je długie i rozwichrzone. Wyglądały na ciemniejsze w przytłumionej poświacie deski rozdzielczej niż w bursztynowych, zamglonych dymem światłach baru.

W luce pomiędzy przednimi siedzeniami dostrzegła fragment jego prawej ręki okrytej niebieskim batysem. Zapamiętała perłowe zatrzaski koszuli. Rękawy były podwinięte niemal do łokcia.

W knajpie nie zrobił na niej wrażenia szczególnie muskularnego, nie był typem kulturysty, ale nie ulegało wątpliwości, że miał dość siły, żeby zanieść ją do swojego samochodu, ponieważ na pewno nie doszła tutaj na własnych nogach.

Z ociąganiem przyznała w myślach, że fizycznie pokonać go byłoby trudno, o ile w ogóle taka ewentualność istniała.

Nie, żeby przetrwać, musi jakoś go przechytrzyć i w tym celu nie może działać w próżni. Potrzebuje informacji, a on jest jedynym ich źródłem.

Odchrząknęła.

– Gratulacje. Masz mnie. Kim jesteś?

Biorąc pod uwagę odpowiedź, równie dobrze mógł być głuchy.

– Masz na myśli jakiś cel czy po prostu oddaliśmy się od miejsca zbrodni?

Brak jakiegokolwiek reakcji z jego strony.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

Cisza.

– Wiele godzin?

I znowu nic.

– To w gruncie rzeczy bez znaczenia. Policja szybko dojdzie do wniosku, że z zimną krwią zamordowałeś tego człowieka i porwałeś mnie.

Kamienne milczenie.

– Teraz zarządzili już poszukiwania na wielką skalę. Porwanie jest przestępstwem federalnym, więc poza miejscową policją udział w nich weźmie też FBI, a oni nie spoczną, dopóki mnie nie znajdą. A znajdą na pewno.

– Daję im trzy dni.

Na pozostałe pytania nie odpowiedział, dlatego na moment wytrącił ją z równowagi jego głos, a jeszcze bardziej przestraszyło to, że samochód zaczął zwalniać i skręcił w prawo.

Kiedy znaleźli się na małej bocznej drodze, widok za oknem uległ zmianie. Reflektory tańczyły jak szalone po koronach drzew zasłaniających widok na niebo. Przez pięćdziesiąt metrów, może więcej, kamienie uderzały w podwozie, a auto podskakiwało na głębokich wybojach.

– Trzy dni minimum – powiedział. – Wtedy wrócę już do Meksyku, będę popijał piwo i kupował łodzie rybackie.

– A ja?

Zatrzymał samochód, wrzucił bieg na luz i odwrócił się, patrząc na Jordie przez lukę między fotelami.

– Ty nie jedziesz do Meksyku.

Brutalna deklaracja sprawiła, że znowu w gardle wezbrała jej żółć.

Wyłączył silnik, zgasił reflektory. Kiedy wysiadł, zapaliła się lampka pod sufitem i Jordie zamrugała, chroniąc oczy przed nagłym blaskiem.

Otworzył tylne drzwi, wsunął głowę do środka. Ponownie poczuła jego ostry jak brzytwa wzrok. Światło rzucało cienie na jego twarz, podkreślając wystające kości policzkowe i usta zaciśnięte w surowym grymasie.

Bez słowa chwycił ją za lewą kostkę. Jordie gwałtownie zgięła kolana, uwalniając się z jego uścisku, i próbowała kopnąć go w twarz. W ostatniej chwili odchylił głowę, zdołała tylko musnąć piętą jego brodę.

Ponowiła próbę, ale był poza jej zasięgiem. Za trzecim razem błyskawicznym ruchem złapał ją za kostkę, mało delikatnie przyciągnął jej stopy do swojej piersi i trzymając je jedną ręką, drugą podniósł z podłogi sandały, po czym zaczął je wkładać. Zapiął małą klamerkę z tą samą obojętnością, z jaką strzelił w tył głowy swojemu wspólnikowi.

– Zabijesz mnie, prawda?

Spojrzały na nią zimne oczy.

Założywszy jej oba buty, wyprostował się i zamknął drzwi. Obszedł samochód i otworzył drzwi przy jej głowie, po czym trzymając ją pod pachy, wywlókł ze środka.

Postawił ją na ziemi i odwrócił twarzą do siebie.

– Nie próbuj więcej głupich sztuczek w rodzaju kopania mnie.

– Idź do diabła.

– Tak się zastanawiam – powiedział, jakby wcale się nie odezwała. – Gdyby ci się udało otworzyć drzwi stopą, co dalej miałas zamiar zrobić? Niepostrzeżenie się wyczołgać? Taki był twój plan?

Nie zaszczyciła go odpowiedzią, tylko obrzuciła płonącym spojrzeniem.

– Powiedzmy, że udałoby ci się. Ale co dalej, Jordie?

Kolana o mało się pod nią nie ugięły, gdy zwrócił się do niej po imieniu.

Jasne, jeśli miał jej torebkę, to przeczytał imię i nazwisko na prawie jazdy i karcie kredytowej. Słusznie?

Nie. Ponieważ na obu widniało pełne imię, nie zdrobnienie.

On ją znał.

Jednak najgorsza była świadomość, że wcale jej to nie zaskoczyło. Kiedy na parkingu zobaczyła nachodzącą ponurą parę, od razu pojęła, jaki mają cel i kto ich przysłał.

Nie wiedziała tylko jednego: dlaczego teraz?

– Nie przemyślałaś tego za dobrze – ciągnął porywacz. – Jechaliśmy ponad sto kilometrów na godzinę. Gdybyś otworzyła te drzwi, rozległby się hałas jak w tunelu aerodynamicznym. Założmy, że udałoby ci się wydostać z auta. Pacnęłabyś na drogę jak te robaki na przednią szybę. – Machnął ręką w kierunku samochodu. – Plusk! Musiałbym stanąć i cię zeskrobać, co byłoby bardzo czasochłonne i diabelnie brudne.

– Po co miałbyś się fatygować?

– Ponieważ żeby dostać pieniądze, muszę dostarczyć twoje zwłoki – odparł bez mrugnienia okiem.

Rozdział 5

Ha, sama zapytała, prawda?

A on jej odpowiedział bez cienia wahania, bez emocji, bez nuty groźby. Ta obojętność była bardziej przerażająca niż głos nabrzmiały od złowrogich zamiarów i pasowała do opanowania, z jakim zastrzelił tamtego człowieka.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Kim on był? Ten, którego zabiłeś.

– Mickey Bolden. Płatny zabójca.

– Wynajęto go, żeby mnie zabił?

Tylko na nią popatrzył.

– Teraz zrobisz to sam.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

– Kto was wynajął?

Jak można było przewidzieć, nie odpowiedział. Wiadomo, przecież nie musiał.

– Jak przypuszczam, powinno mi pochlebiać, że zasłużyłam na dwóch zabójców. Pracowałeś z panem Boldenem w tandemie?

– Pierwszy raz.

Spojrzała na niego zaskoczona.

Wzruszył ramionami z kompletnym brakiem zaangażowania.

– Dawno powinien przejść na emeryturę. Poczuję się za pewnie w tej robocie. Był niechlujny. Dam ci przykład: kiedy weszłaś do baru, kazał mi się wyluzować. Według niego znalazłaś się tam tego wieczoru czystym przypadkiem.

Zorientowała się, że próbuje wziąć ją na haczyk, i nic nie powiedziała.

– Tylko że miałem problem z tą teorią zbiegu okoliczności.

Nie zapytała o naturę problemu, ale on i tak ją wyjaśnił.

– Po pierwsze, ta knajpa na zadupiu nie jest w twoim stylu.

W jego tonie pobrzmiwała krytyka, taki rodzaj odwrotnego snobizmu, i Jordie przyjęła pozycję obronną.

– Nie masz pojęcia o moim stylu.

– I tu się mylisz, Jordie. Odrobiłem pracę domową. Wiem o tobie sporo.

To zdanie przypuszczalnie było prawdziwe i poczuła głęboki niepokój, ale nadal milczała, patrząc mu prosto w oczy.

– Nawet bez tej pracy domowej wiedziałbym, że kobieta taka jak ty nie spędza czasu w barach, których klientelą są śmieci z osiedla przyczep. No i miałem problem z twoim chłopakiem.

– Chłopakiem? Jacksonem?

– Nazywa się Terrell. Mickey mi o nim opowiedział. Podobno przy pierwszych kłopotach rzucił cię jak gorący kartofel. Gnojek zmykał ile sił w nogach. To prawda?

Uparcie milczała.

– Nieważne, nie mówiłem o nim, tylko o facecie, który dzisiaj przysiadł się do ciebie w barze.

Parsknęła śmiechem z niedowierzania.

– Ten palant? Nie znam go.

– Ślinił się na twój widok.

– Ale go nie zachęcałam.

Przekrzywił głowę.

– Nie ustaliliście miejsca i czasu spotkania?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie, zamknęła buzię na kłódkę i milczała.

Uniósł brwi.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Chciałam powiedzieć: pierdol się.

To nie był koniec, z jej ust popłynął strumień inwektyw. Słuchał tej tyrady bez drgnienia twarzy, ale kiedy Jordie zaczęła się powtarzać, przycisnął palec wskazujący do jej ust.

– Przestań.

Posłuchała jak wcześniej, gdy kazał jej nie szarpać się w samochodzie, bardziej z powodu lodowatego tonu niż samego rozkazu.

Jej usta przez dłuższą chwilę przyciągały jego uwagę. Może obserwował, jak bieleją pod naciskiem palca. Powoli cofnął dłoń i znowu spojrzał jej w oczy.

– Ale masz usta, Jordie Bennett.

I znowu sposób, w jaki to powiedział, na równi z samymi słowami spowodowały u niej wstrząs. Nie sądziła, by miał na myśli tylko jej przemowę, i wpływający z tego wniosek ją sparaliżował. Kiedy sobie przypominała, że powinna oddychać, klęczał przed nią i odwiązywał bandanę na jej kostkach.

W chwili gdy skończył, wystrzeliła jak z procy.

Po zaledwie trzech krokach objął ją w talii i zmusił do zatrzymania się, a potem odwrócił ją twarzą ku sobie. Był wściekły.

– Nie myśl, że uda ci się mnie przechytryć, zagadać albo przegonić. To niemożliwe. Spróbuj, a gorzko pożałujesz.

– Martwisz się o moją wygodę?

– Nie płacą mi za tortury.

– Tylko za zabicie mnie.

– Tak wygląda zakres obowiązków w tej robocie.

Głośno wciągnęła powietrze.

– W takim razie dlaczego nie załatwiłeś mnie na parkingu, kiedy zastrzeliłeś kumpla? Po co to przeciągać, po co mnie... dręczyć? Dlaczego ciągle żyję?

Zbliżył twarz ku jej twarzy.

– Ponieważ twoja skóra jest znacznie więcej warta niż cena, na którą zgodził się Mickey, a ja jeszcze nie wynegocjowałem nowej umowy.

Jak we wszystkich wypowiedziach, w tej także jego słowa brzmiały szczerze i trafiały w samo sedno. Przynajmniej zrozumiała, dlaczego nadal oddycha.

Odepchnął ją lekko od siebie.

– A poza tym muszę się odlać.

Złapał Jordie za łokieć i idąc o pół kroku za nią, poprowadził ją nierównym żwirowym traktem, otoczonym z obu stron przez gęste zarośla. Poza słabą poświatą padającą z wnętrza samochodu ciemność była nieprzenikniona. Jordie poczuła odór stojącej wody, wyczuwała żywe istoty obserwujące ich z gniazd na konarach i kryjówek w krzewach, po twarzy i ramionach upiornie muskały ją skrzydła owadów.

Znowu sparaliżowały ją przerażenie i rozedrgana ciemność. Na to drugie nic nie mogła poradzić, ale strach musi trzymać w ryzach, inaczej poniesie klęskę. Informacje, przypomniała sobie. Bez informacji nie miała nadziei na ucieczkę.

– Twoja połowa się podwoiła, kiedy zabiłeś partnera.

– Skoro pamiętasz, że to mówiłem, to chyba nie uderzyłem cię za mocno.

– Pistoletem?

– To był lekki cios.

– Ale na tyle mocny, że straciłam przytomność.

– Oczy ci poleciały w głąb czaszki, nogi się ugięły. Przerzuciłem cię przez ramię i musiałem się zdrowo nazonglować, żeby pozbierać wasze komórki, to znaczy twoją i Mickeya. Ale mi się udało.

Zanotowała w pamięci, że wziął jej telefon.

– Zniosłem cię do samochodu – ciągnął.

– Gdzie mnie związałeś.

– Nie, zrobiłem to dopiero po jakichś ośmiu kilometrach. Jak cię położyłem na tylnym siedzeniu, kilka razy jęknęłaś, ale nie oprzytomniałaś. Zużyłem butelkę wody, żeby obmyć ci twarz. Po tym też się nie ocknęłaś.

Spojrzała na swoją poplamioną bluzkę. Twarz była podobnie spryskana... Nie chciała myśleć o substancji, którą z niej zmył. Ani mu podziękować za umycie, dotykanie jej, przesuwanie.

Coraz bardziej się oddalali od samochodu i kręgu słabego światła. Grunt pod nogami stał się gąbczasty. Obcasy sandałków zapadały się przy każdym kroku, co bardzo utrudniało Jordie chodzenie. Gdy się potykała, jego dłoń zaciskała się na jej łokciu i pomagała odzyskiwać równowagę, ale mężczyzna nie puszczał swojego

więźnia i nadal go prowadził.

Może o tych negocjacjach umowy wspomniał tylko po to, żeby ją uspokoić, zapewnić sobie jej współpracę, uległość, przez co nie będzie musiał zanadto się wysilać, żeby zakończyć robotę.

– Złapią cię, wiesz o tym – powiedziała, starając się mówić głosem tak opanowanym, jak to możliwe.

– Ale nie w najbliższym czasie. Nie wiedzą, jakim samochodem jadę.

– Będą mieli opis auta od kogoś, kto widział, jak wyjeżdżasz z parkingu.

– Nikt mnie nie widział. Dopilnowałem tego. Dopiero po dwóch kilometrach włączyłem reflektory, a zresztą nie spotkałem ani jednego samochodu na tych bocznych drogach. Jak się zatrzymałem, żeby cię związać, zmieniłem też tablice rejestracyjne, środek ostrożności wart tych kilku minut, które mi to zajęło. Numery z Luizjany zastąpiłem numerami chyba z Arkansas. A może z Tennessee?

– Skoro miałeś kilka stanów do wyboru, to byłeś przygotowany.

– Pochwały należą się Mickeyowi. Zanim ruszyliśmy do Tobias, wrzucił do bagażnika kilka kompletów.

– Tak nie postępuje ktoś, kto stał się niechlujny.

– Ego miał większe niż brzuch. Myślał, że nie można go złapać. Ten rodzaj arogancji jest przepisem na katastrofę. Zwracał na siebie uwagę, zapadał ludziom w pamięć. To są fatalne nawyki, jeśli się jest płatnym zabójcą.

– A czy zastrzelenie go nie zwróci uwagi na ciebie i nie zapadniesz przez to ludziom w pamięć?

Naprawdę się roześmiał.

– Bez dwóch zdań.

– I to cię nie martwi?

– Nie.

– A powinno.

– Nie martwi. Tutaj. – Nagle zmusił ją do zejścia z wyboistej ścieżki w wysokie zielska.

Serce jej się ścisnęło. Pomimo wiązanki przekleństw sprzed kilku minut teraz zawładnął nią śmiertelny strach i nie była w stanie powstrzymać jęku. Czy on wyciąga pistolet? Czy ona usłyszy szcęknięcie, kiedy pociągnie za spust? Będzie ją bolało? A może... doświadczy tylko pustki? Boże, błagam.

Boga będzie prosiła o uratowanie życia. Ale tego faceta nie zamierzała o to prosić.

Kiedy zrównali się z solidnym drzewem, on wolną ręką zaczął odpinać rozporek dżinsów. Spojrzała na niego, niezdolna ukryć przerażenia.

– Co? – Tym razem w jego głosie była groźba, pasująca do uniesionego kącika ust. – Mówiłem, muszę się odlać. A ty co myślałaś?

– Wiesz, co myślałam, skurwysynu.

Jej gniew najwyraźniej go rozbawił. Prychnął pogardliwie i odwrócił się nieznacznie w kierunku drzewa.

– Jeśli nie chcesz sobie popatrzeć, zamknij oczy.

Zrobiła tak i nie otworzyła ich, dopóki nie powiedział:

– Okay, już można.

Rozporek miał zapięty, ale teraz grzebał w przedniej kieszeni džinsów. Serce przestało jej bić, gdy zobaczyła, że wyjął nóż. Był mały, ale pstryknięciem palca wysunął groźnie wyglądające ostrze.

– Odwróć się – zawahała się, na co zareagował grymasem. – Chcesz mieć wolne ręce czy nie?

Nadal mu nie dowierzała, ale obietnica wolnych rąk była zbyt kusząca, żeby się jej opierać. Znów odwróciła się ku niemu i chciała płakać z ulgi, kiedy nóż przeciął plastikową taśmę. Potrząsnęła rękami, żeby przywrócić im czucie.

– Dziękuję.

Wsunął nóż do kieszeni.

– Możesz iść za to drzewo.

Dopiero teraz uświadamiając sobie, dlaczego uwolnił jej ręce, pokręciła głową.

– Wykluczone.

– Boisz się węży? Owadów? A może po prostu się wstydzisz? Zachowujesz się jak dama? Co jest?

– Nie mam zamiaru.

– Wiem, że musisz. Piłaś wino.

Prawdę mówiąc, czuła potrzebę od chwili odzyskania przytomności.

Odliczył do dziesięciu, a kiedy nadal się nie poruszyła, powiedział:

– Nie chcę, żebyś posiusiała się w samochodzie.

– Nie posiusiam się.

– To prawda, bo zrobisz to tu i teraz.

Znowu pokręciła głową.

– Nie mamy na to czasu, Jordie, więc umowa jest taka. Możesz schować się za drzewem albo zostać tutaj i będę na ciebie patrzył. Możesz sama rozpiąć i ściągnąć spodnie albo ja się tym zajmę. Dla mnie to bez znaczenia, chociaż druga opcja bardziej mnie pociąga, bo wtedy poznam odpowiedź na pytanie, które sobie zadaję, odkąd cię zobaczyłem na tym stołku w knajpie, a mianowicie czy pod džinsami jest coś poza tobą. I tak mógłbym się tego dowiedzieć, ale mama lepiej mnie wychowała, więc decyzję zostawiam tobie. Na jej podjęcie masz dokładnie dwie sekundy. Jeden...

Upokorzenie związane z ulżeniem sobie było lepsze od perspektywy zmoczenia się. A jeśli się przejmował tapicerką, to nie zamierzał od razu jej zabić.

– Dwa.

Im dłużej pozostawała przy życiu, tym większe miała szanse na ucieczkę albo ratunek.

Jego kłykcie nacisnęły na jej pępek, kiedy wsunął palce za pasek, żeby odpiąć górny zamek.

Głośno sapnęła.

– W porządku.

Cofnął rękę wolniej, niż ją wsunął. Odwróciła się i ruszyła. Po dwóch krokach złapał ją za bluzkę i przyciągnął do siebie.

– Ufam, że masz więcej rozsądku i nie będziesz próbować teraz ucieczki – powiedział. – Rozejrzyj się. Co tu jest? Kompletna ciemność, bagno, trzęsawiska, turzyce, aligatory, dzikie psy, zdziczałe świny, pantery, mokasyny błotne, insekty, wszelkiego rodzaju stworzenia, które żądają, gryzą i wysysają krew.

Wyrwała bluzkę z jego dłoni.

– Istnieje szansa, że to wszystko przetrwam. Czy mam szansę, że przetrwam ciebie?

Spojrzał na nią; oczy miał surowe, bez cienia ciepła czy współczucia, niedające nadziei. Po kilku sekundach głową wskazał drzewo.

– Pośpiesz się.

Odkładając na bok podane przez niego powody, i tak zdawała sobie sprawę, że próba ucieczki byłaby czystą głupotą. Nawet gdyby zdołała dotrzeć do głównej drogi, on pewnie dogoniłby ją samochodem, zanim pojawiłby się ktoś inny. A jeśli ukryłaby się przed nim w ciemności na bagnach, to bez wody, wycucia kierunku i możliwości obrony miała niewielką szansę na zachowanie życia do czasu, zanim zdołałaby znaleźć pomoc albo pomoc znalazłaby ją.

Pośpiesznie, nie poświęcając temu ani jednej myśli zrobiła, co trzeba. Kiedy wyszła zza pnia, złapał ją za rękę i otoczył jej przegub plastikowymi kajdankami.

– Proszę – szepnęła.

Przez kilka sekund wpatrywał się w brzydkie czerwone ślady na skórze Jordie, potem spojrzał jej w oczy.

– Opowiedz mi o swoim chłopaku.

– Na miłość boską!

– Ma imię?

– Na pewno, ale ja go nie znam.

Przymrużył oczy.

– Zachowaj takie gadki dla kogoś, kto je doceni. Na mnie nie działają. Zapytam ponownie: jak ma na imię?

– Nie wiem, przysięgam. Jeśli mi powiedział, to nie zapamiętałam.

– Dlaczego dzisiaj wieczorem spotkałaś się z nim w tej knajpie?

– Nie spotkałam się! – Buntowniczo spojrzała w pełne powątpiewania oczy, ale pierwsza ustąpiła. Spuściła wzrok na perłowe zatrzaski jego koszuli. –

Mówiłam prawdę – szepnęła. – Nieznajomy podszedł i zaproponował, że postawi mi drinka. Grzecznie odmówiłam.

– Powiedziałaś więcej niż trzy słowa. O czym jeszcze rozmawialiście?

– Głównie o tym, że bardzo bym chciała, żeby sobie poszedł w diabły i zostawił mnie w spokoju.

– Nie umówiłaś się z nim?

– Ile razy mam to powtarzać?

– Aż ci uwierzę.

– Nie umówiłam się z nim.

Wyciągnął nagle rękę, położył prawą dłoń na pośladkach Jordie i szarpnął ją ku sobie. Zanim zdążyła zareagować, wepchnął lewą dłoń w tylną kieszeń jej dżinsów i wyjął coś, a potem równie nieoczekiwanie ją odepchnął. Spojrzał na kawałek papieru wyłowiony z kieszeni, paskudnie zaklął i pomachał nim kobiecie przed nosem.

– Mickey pytał, czy facet coś knuje. Odpowiedziałem, że nie, że to tylko pijak, który chce się dobrać do twoich majtek. Ale wiedziałem swoje. Zobaczyłem, jak ci podaje tę kartkę. A teraz – mówił spokojnie, bez grożenia – zastanów się, czy to na pewno nieznajomy, Jordie. Ponieważ okłamanie mnie może być niebezpieczne dla twojego zdrowia.

Rozdział 6

Joe Wiley poprosił zastępcę szeryfa Morrowa o wskazanie młodego mężczyzny, który podrywał Jordie Bennett, wyszedł za nią z baru i znalazł ciało Mickeya Boldena.

Morrow kiwnął głową w kierunku stołu bilardowego. Ledwie trzydzieści centymetrów dzieliło sufit od trzech poczerniałych okien, pod nimi przy ścianie ciągnął się rząd boksów, tylko w jednym z nich ktoś siedział.

– Umieściliśmy go tam samiutkiego.

Joe i Hick ruszyli w stronę boksu. Pomiędzy dwiema nierównymi ławami obciążniętymi czerwonym winylem stał stół pokryty niezliczonymi imionami, inicjałami, a także wyznaniem miłości i nienawiści. Jedne wyglądały na świeżo wyrżnięte, inne tak, jakby były tu od dziesięcioleci.

Agenci usiedli naprzeciwko dwudziestokilkulatka. Miał długie sztywne włosy i rzadką kocią bródkę, poza tym wydawał się uderzająco podobny do szarej czaszki na spłowiałej czarnej koszulce, w którą był ubrany.

Przeszył Hicka spojrzeniem pełnym wieśniaczej urazy do czarnego, który pod każdym względem był od niego lepszy. Prychnął z pogardą.

– Ty to kaznodzieja, pan młody czy nieboszczyk?

Hick, zawsze elegancko ubrany, miłym uśmiechem skwitował aluzję do swojego ciemnego garnituru, białej koszuli i krawata.

– Jak się nazywasz? – zapytał Joe.

Chłopak przeniósł na niego wrogie spojrzenie.

– Kto pyta?

Joe przyglądał mu się przez kilka sekund, następnie wyjął legitymację, otworzył ją i podsunął mu pod oczy nad zatłuszczonym blatem.

Młodzieniec zareagował momentalnie.

– To jakieś kurewskie jaja. Federalni? Ja nic nie zrobiłem.

– Z punktu widzenia mojego i agenta Hicka wygląda to inaczej. Napastowałeś kobietę...

– Nie napasto...

– Potem wyszedłeś za nią z baru, co kwalifikuje się jako stalking.

– Kumple się założyli...

– Facet kończy z mózgiem na parkingu, a ty mówisz, że tak go znalazłeś. – Joe postarał się, żeby przerażający opis ratowników medycznych dotarł do chłopaka. – Ja na twoim miejscu zmieniałbym nastawienie i przestał mnie wkurzać.

Chłopak skulił się, przełknął ślinę, skubnął czerwony oczodół czaszki,

w końcu wymamrotał:

– Royce Sherman.

Hick włączył iPada, żeby sprawdzić, czy Royce Sherman ma kartotekę policyjną.

– Mieszkasz w okolicy, Royce? – zapytał Joe.

Przesłuchiwany podał nazwę pobliskiego miasteczka.

– Co sprowadziło cię tutaj dzisiaj wieczorem?

– Spotkałem się z kumplami, żeby pograć w bilard, wypić kilka piw, pogadać.

– Znałeś Jordie Bennett przed dzisiejszym wieczorem?

– Pierwszy raz ją zobaczyłem, jak weszła do knajpy. Nadal jej nie znam.

– Ale jej nazwisko znałeś.

– Nie. Nie miałem pojęcia, dopóki on mi nie powiedział. – Royce machnął dłonią w kierunku Morrowa.

– Świadkowie mówili mu, że ostro podrywałeś panią Bennett. To prawda?

– Nie. – Znowu przyjął poprzednią postawę. Osunął się na ławie. – Podszedłem i zapytałem, czy mogę jej postawić drinka. To wszystko – oznajmił, dźgając blat palcem wskazującym.

– Ze wszystkich kobiet w barze ty wybrałeś akurat ją. Dlaczego?

Royce parsknął śmiechem.

– Chce mnie pan wnerwić?

Wyraz twarzy Joego nie uległ zmianie.

– Chcę go wnerwić, agencie Hickam?

– Nie wydaje mi się, sir.

Poważny ton federalnych zdusił wrogość chłopaka. Poprawił się na siedzeniu.

– Gdybyście ją widzieli, nie musielibyście o to pytać. To gorąca laska.

– Widziałem ją. Prawdę mówiąc, obaj z agentem Hickamem spędziliśmy mnóstwo czasu z tą damą.

Przekrwione oczy Royce'a Shermana skakały po ich twarzach.

– Poważnie?

– Służbowo.

– Co zrobiła?

– Znasz uciekiniera Billy'ego Panellę?

– Uciekinier? Znaczy przed wymiarem sprawiedliwości?

– Słyszałeś o nim?

– Nie.

– A o Joshui Bennecie?

– Jej krewniak?

– Brat.

– Też go nie znam.

Zdaniem Joego chłopak nie był dość bystry, żeby tak dobrze kłamać.

– Według świadków pani Bennett nie ucieszyła się z twoich zalotów i odmówiła drinka.

– Powiedziała, że już ma drinka, i kazała mi się zmyć.

– Ale się nie zmyłeś. Nalegałeś.

– Prawo nie zakazuje przyjacielskiej rozmowy, no nie? Ja... – urwał i rzucił spojrzenie na Hicka, który go obserwował, czekając na odpowiedź. – Ja... no wiecie...

– ...nalegałeś – powtórzył Joe. – Napastowałeś ją.

– Nie tknąłem jej nawet palcem!

– Jednak nie przyjmowałeś odmowy.

Zgarbił się, westchnął, spojrzał na nich nieprzyjemnie.

– Okay, zapytałem drugi raz, a kiedy drugi raz nie chciała, powiedziałem jej, że wygląda mi na samotną. Odparła, że nie jest samotna, a poza tym nie moja sprawa, czy jest, czy nie. No to ją zapytałem, czy na kogoś czeka.

Joe pochylił się nad stołem.

– Co odpowiedziała?

– Nic.

– Nic nie powiedziała?

Royce pokręcił głową.

– Potraktowała mnie oziębło.

– Co z tego wywiodłeś?

– Wywiodłem?

– Jak to odebrałeś? Że może jednak kogoś się spodziewa?

– Nie wiem. – Royce uśmiechnął się głupio. – Nie myślałem zbyt jasno.

Joe ciągnął kwestię jeszcze przez kilka minut, ale było oczywiste, że chłopak wcale nie myślał jasno i z kumplami wypił więcej niż ze „dwa drinki”. Zobaczył ślicznotkę, koledzy go podbechtali, żeby ją zaczepił, i ruszył do działania, licząc wyłącznie na łut szczęścia.

– Świadkowie słyszeli, jak kazała ci iść do diabła.

– Okazało się, że wcale nie była miła. Zarozumiała suka. Komu taka potrzebna? Właściwie to się cieszę, że mi dała kosza.

Joe, który ani przez sekundę w to nie wierzył, spojrzał na Hicka, a ten zachichotał. On też w to nie wierzył.

– Ile czasu minęło pomiędzy jej wyjściem a twoim? – zwrócił się do Royce’a Joe.

– Kumple się ze mnie śmiali, że się dałem spławić, więc chyba z pięć minut.

Hick zajrzał do notatek sporządzonych przez Morrowa i szepnął do Joego:

– Jego znajomi mówili, że raczej dziesięć.

– Skąd wiedziałeś, gdzie zaparkowała samochód? – zapytał Joe.
– Nie wiedziałem. Kręciłem się w ciemności i rozglądałem, czy uda mi się ją dogonić, zanim odjedzie.

– I udało się?

Royce pokręcił głową, sztywne włosy obijały mu się przy tym o policzki.

– Przysięgam na Boga. Więcej jej nie widziałem. Nie natrafiłem na nic oprócz... no... no... ciała. – Przełknął ślinę z takim trudem, że Hick zapytał, czy facet potrzebuje wody. – Nie, nic mi nie jest.

– Dotykałeś czegoś?

– Na parkingu? Cholera, nie. No, może błotnika auta. Chyba oparłem się o niego ręką, jak puszczałem pawia.

– Nie zauważyłeś reflektorów ani odjeżdżającego samochodu? – zapytał Hick.

Kolejny przeczący ruch głową.

– Byłem zajęty rzyganiem.

– Widziałeś Mickeya Boldena w barze? – dociekał Joe.

– Tego truposza? – Agent potwierdził i Royce powiedział: – Tak. Zanim wyszedł z knajpy, podszedł do szafy grającej i gadał z tym drugim.

– Jak ten drugi wyglądał?

Royce wzruszył kościstymi ramionami.

– Jak facet.

– Młody, stary, niski, wysoki, biały, czarny?

– Biały. Dość wysoki. Starszy ode mnie. Młodszy od pana. – Royce spojrział na Hicka. – Chyba w pana wieku.

– Miał tatuaże, rzucający się w oczy ubiór, zarost?

– Nie wiem. Gapiłem się na cycki tej laski, a nie na jakiegoś kolesia.

Agenci wymienili spojrzenia. Cierpki wyraz twarzy Hicka mówił: „To donikąd nas nie doprowadzi”.

Joe zauważył bliskość szafy grającej do łuku baru, gdzie według świadków siedziała Jordie Bennett. Znowu zwrócił się do Royce’a:

– Czy kiedy ci dwaj stali przy szafie, okazywali zainteresowanie panią Bennett?

– Nie widziałem, ale jak mówiłem, nie zwracałem na nich uwagi i byłem zalany.

Podszedł Morrow i zapytał, czy może prosić Hickama na słowo. W boksie zostali we dwóch.

Royce Sherman usiadł prosto, przetarł oczy i zaskomlał:

– Mogę już iść?

– Musisz gdzieś być? – zapytał Joe.

– Moja stara zrobi mi piekło, że nie wróciłem, jak obiecałem.

– Jesteś żonaty?

– Nie, ale można by tak pomyśleć na podstawie tego, jak trzyma mnie za dupę. Pierwszy gliniarz, który mnie przesłuchiwał, zabrał mi telefon, więc nawet nie mogę do niej zadzwonić.

Hick wsunął się do boksu.

– Panie Sherman, ma pan problem.

Royce spojrział na niego ponuro.

– Co?

Zamiast do niego Hick zwrócił się do Joego:

– Świadek mówi, że widział, jak pan Sherman włożył coś do kieszeni spodni pani Bennett.

Joe oparł się o ławę, skrzyżował ręce na piersiach i utkwiał oskarżycielskie spojrzenie w młodym człowieku, który nagle zrobił się nerwowy.

– A tak. To. Tak. Widzicie... – Przesunął językiem po wargach, zacisnął pięści. – Zapomniałem o tym.

– Musi nas uważać za głupich, agencie Hickam.

– Też tak myślę – odparł Hick.

– Przysięgam! – pisnął Royce. – Zapomniałem.

– Mówiłeś, że jej nie znałeś.

– Bo nie znałem. Nie znam!

– I że nie tknąłeś jej palcem.

– Nie tknąłem z wyjątkiem... tego.

– Co jej dałeś?

– Moje cyfry.

– Co twoje?

– Numer telefonu. Za-zanim do niej podszedłem, oderwałem kawałek od opakowania cheeseburgera i napisałem numer mojej komórki. Wsunąłem papier do kieszeni jej džinsów.

– Jak zareagowała?

– Kazała mi zabierać rękę z jej dupy. Nie w takich słowach, ale ja...

– Masz broń?

– Co?

– Mówię wyraźnie, Royce. Odpowiedz.

Jasne było, że chłopak rozważa kłamstwo, w końcu jednak z ociąganiem pokiwał głową.

– Mam strzelbę na jelenie w bagażniku pikapa, chyba że ktoś ją ukradł przez ten cholernie długi czas, kiedy mnie tu trzymacie.

– A broń krótka?

I znowu Royce przeprowadził w duchu krótką debatę, zanim pod nosem bąknął:

– Dwie sztuki.

– Gdzie są?

– Jedna w pikapie pod fotelem kierowcy. Druga w domu. Moja stara trzyma ją na nocnym stoliku, jak wychodzę wieczorami. Możecie zadzwonić i zapytać.

– O, na twoim miejscu bym w to nie wątpił, Royce. Uzyskanie nakazu przeszukania twojego pikapa trochę potrwa, ale możesz udzielić nam zgody bez niego.

Chwilę zajęło, nim to przetrawił, potem z przedniej kieszeni brudnych dżinsów wyjął kluczyki i przesunął je po blacie w kierunku Joego.

– Proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

– Jak na przykład wcześniejsze wyroki?

Royce zaklął, naburmuszył się i w obronie własnej mruknął:

– Każdy kiedyś coś zwija w sklepie.

– Za to odsiedziałeś trzydzieści dni. Kolejne sto dwadzieścia za zdemolowanie sklepu z oponami.

– Gnojek bez powodu wywalił mnie z roboty.

– Dość już usłyszałem. – Joe szturchnął Hicka i obaj wysunęli się z boksu. Royce Sherman także się podniósł, ale Joe oznajmił: – Zostajesz tu. My sprawdzimy twoją broń, a ty będziesz siedział i starał się przypomnieć, o czym jeszcze przypadkiem zapomniałeś nam powiedzieć na temat spotkania z Jordie Bennett.

Odeszli, nie zważając na jego protesty i skargi na łamanie praw. Joe nie sądził, żeby Sherman był spiskowcem ani kimś takim, dołączając jednak do zastępcy szeryfa Morrowa, podał mu kluczyki i wprowadził w najnowsze ustalenia.

– Nie mam powodu myśleć, że odkryjemy pistolet, z którego zabito ofiarę, ale poza przeszukaniem pikapa niech ktoś potwierdzi, że drugi jest w domu u „jego starej”. Powiedz też funkcjonariuszom przesłuchującym jego kumpli, żeby zapytali, co właściwie wsunął w kieszeń Jordie Bennett.

Morrow zapewnił, że zajmie się obiema sprawami, i odszedł.

– Dobra – zwrócił się Joe do Hicka – następny jest barman.

Facet za barem był olbrzymem z potężną klatką piersiową i krzaczastą czarną brodą zrastającą się z włosami, które nosił zaplecione w warkocz sięgający niemal do pasa. Miał na sobie podkoszulek bez rękawów barwy wojskowej zieleni, gołe ręce zdobiły skomplikowane tatuaże.

Gdyby Joe został właścicielem baru na tym zadupiu dla klienteli składającej się ze skorych do bójki awanturników, chciałby, żeby ktoś taki stał za barem.

Barman zaproponował agentom kawę i obaj przyjęli ofertę. Joe odmówił śmietanki i cukru, po czym zaczął przesłuchanie od pytania, czy Jordie Bennett regularnie tu bywała.

Olbrzym się roześmiał, odsłaniając niezwykle proste i białe zęby.

– Nie. Jej dzisiejsze pojawienie się przejdzie do historii. Wkroczyła do środka, a mnie szczęka opadła. Dlatego spojrzałem na zegar. Była dokładnie dziesiąta.

Joe i Hick popatrzyli po sobie, myśląc: „Z kimś się tutaj umówiła”.

– Nigdy tu nie była, ale pan ją rozpoznał.

– Od pierwszego spojrzenia. Jedyne ona i jej brat są kimś w rodzaju celebrytów w tym miasteczku. Ludzie, którzy ich przedtem nie znali, poznali ich po tej aferze z Billym Panellą. Jeszcze go nie capnęliście?

– Pracujemy nad tym – odparł Joe przez zaciśnięte zęby.

– Znaleźliście pieniądze?

Joe zignorował pytanie.

– A ten zastrzelony był tu wcześniej?

– Nie przypominam sobie, a mam pamięć do twarzy. Zwłaszcza takich jak jego. Cholernie brzydki sukinsyn.

– Teraz jeszcze brzydszy – mruknął Hick.

– Tak – potwierdził barman z nutą żalu w głosie. – Jak chłopak wpadł do środka, wrzeszcząc i puszczając pawia, poszedłem zobaczyć, co jest. – Broda tylko częściowo ukryła grymas. – Widywałem takie rzeczy w Iraku. Jedyne plus, że człowiek zupełnie nie wie, co się dzieje. Ten biedny drań musiał odwrócić się plecami do niewłaściwego faceta, tak myślę. Kiedy weszli, od razu wiedziałem, że mają broń, ale nigdy bym nie przypuszczał...

– Skąd pan wiedział, że mają broń? – przerwał mu Joe.

– Do tego też mam nosa – odparł barman bez fałszywej skromności. – Jak zauważę, że ktoś jest uzbrojony, to mam go na oku. Albo ją. Ale ci dwaj nie wyglądali na takich, co szukają kłopotów.

– Pani Bennett też była uzbrojona?

– Nie. Miała za małą torebkę i zbyt obcisłe ubranie. – Posłał im uśmiech z rodzaju „między nami mężczyznami”. Joe starał się, by go nie odwzajemnić.

– Proszę opowiedzieć o tym drugim.

Olbrzym przymrużył oko.

– Przystojniejszy od kumpla, to pewne. Prawdę mówiąc, nie wydali mi się przyjaciółmi. Różnili się od siebie jak dzień od nocy.

– Jak to?

– Pod każdym względem. Tłuscioch sprawiał wrażenie sympatyczniejszego. Patrzył w oczy, jak z tobą rozmawiał. Pił piwo i opróżnił miskę popcornu. Ten drugi nawet go nie tknął. Wypił dwa kieliszki tequili. A, przepraszam za szkło.

Od Morrowa dowiedzieli się, że barman umył kieliszki, kiedy klient je opróżnił, nie było więc nadziei na zdjęcie z nich odcisków palców. Butelki po piwie wypitym przez Mickeya Boldena wylądowały w pojemniku na śmieci, ale nie potrzebowali ich do identyfikacji.

- Co jeszcze może pan powiedzieć o tych dwóch? – zapytał Joe.
- Tłuszcioch był bardziej gadatliwy. Ten drugi prawie się nie odzywał. Unikał kontaktu wzrokowego. Ani razu nie widziałem, żeby się uśmiechnął. Wyglądał jak ktoś, kto ma sporo na głowie.
- Mrukliwy – skomentował Joe.
- O ile to znaczy „Nie zadzieraj ze mną”, to owszem. Emanował ostrzeżeniem, jakby miał na piersiach tabliczkę.
- Zauważył pan, czy zareagowali, kiedy do baru weszła pani Bennett? – zapytał Hick.
- Nie potrafię na to odpowiedzieć, bo patrzyłem na nią. Ale pamiętam, że po jej przyjsciu podałem im drugą kolejkę. Piwosz nie sprawiał wrażenia, że jakoś szczególnie mu się śpieszy, za to ten drugi jednym haustem opróżnił kieliszek i podszedł do szafy grającej.
- Powiedział im, że Mickey zadzwonił, po skończonej rozmowie zapłacił gotówką i dołączył do kumpla przy szafie. Niedługo potem razem wyszli.
- Któryś odezwał się do pani Bennett? – zapytał Joe.
- Nie. I tego jestem pewien, bo wtedy ten smarkacz już się do niej przysiadł i zawracał jej głowę. Miałem zamiar powiedzieć, żeby się od niej odczepił, ale wstała i wyszła.
- Ile czasu minęło od wyjścia tamtych dwóch?
- Kilka minut. Może pięć.
- Joe przetarł oczy. Z niewyspania czuł pod powiekami piasek, a unoszący się w barze dym tytoniowy wywoływał pieczenie.
- Okay. Wróćmy do mrukliwego. Może pan bardziej szczegółowo opisać jego wygląd? – Zaczął od pytania o wzrost, chcąc się przekonać, czy wrażenia barmana korespondują ze stwierdzeniem „dość wysoki” Royce’a Shermana.
- Co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Bardziej skrzydłowy niż biegacz. Wszyscy jesteście kibicami Saints?
- Joe kiwnął głową.
- Wiek?
- Hmm, przed czterdziestką, może trzydzieści pięć. Przy takich surowych rysach trudno powiedzieć na pewno.
- Włosy?
- Brązowe. Dość długie, ale nie tak długie jak moje.
- Joe spojrział na warkocz barmana i się uśmiechnął.
- Ha, pana rekord trudno pobić.
- Jemu sięgały do kołnierza.
- Zarost?
- Olbrzym pogładził się po swojej bujnej brodzie.
- Nie. Zauważyłbym.

– Tatuaze, blizny, kolczyki?
– Tatuazy nie miał, w każdym razie nie na widoku. – Barman wyciągnął rękę. – Dostrzegłbym tusz. Ale miał bliznę. Tutaj. – Dotknął brody.
Serce Joego znieruchomiało.
Hick przestał stukać w ekran iPada i podniósł głowę.
Joe odchrząknął.
– Jest pan pewien?
– Tej blizny? Tak. Zauważyłem, bo się wyróżniała na tle szczeciny. Zaraz, czy to się liczy jako zarost? Nie golił się od dwóch, może trzech dni.
– Niech pan opisz bliznę.
– Jak na niego patrzyłem, była... – Wykorzystał twarz Joego do przypomnienia sobie szczegółów. – Po lewej, trochę zakrzywiona jak litera C, ale odwrócona. – Narysował kształt w powietrzu w odległości kilku centymetrów od brody Joego.
Nie odrywając wzroku od barmana, Joe zwrócił się Hicka:
– Masz pod ręką zdjęcie?
Teraz serce waliło mu jak młotem. Hick tymczasem wykonywał działania konieczne do otwarcia folderu z fotografiami. Wywołał zdjęcie policyjne, przybliżył i podsunął telefon barmanowi, który radośnie wykrzyknął:
– To ten facet. Bez dwóch zdań. – Kiedy dostrzegł wyraz twarzy agentów, jego szeroki uśmiech zamarł. – Niedobrze?
Joe odwrócił się i wyjął komórkę, przez ramię mówiąc do Hicka:
– Muszę powiadomić biuro.
Zostawił Hickowi odpowiedź na pytanie barmana.
– Niedobrze. Zwłaszcza dla Jordie Bennett.

Rozdział 7

– No więc? – ponaglił Shaw. – Co to jest? – Trzymając kawałek opakowania za oba końce tuż przed twarzą Jordie Bennett, naciągnął go mocno, żeby mogła zobaczyć, co na nim nagryzmołono. – Numer telefonu. Prefiks miejscowy.

– To było w mojej kieszeni? – Przeniosła wzrok z papieru na jego twarz. – Nie miałam o tym pojęcia.

Odpiął kieszeń na piersi i wepchnął do niej świstek.

– Jasne. A palant w barze był obcym człowiekiem.

– Był.

– Nie zrobiłaś afery, kiedy ten obcy zaczął cię gładzić po tyłku.

– Nie chciałam urządzać sceny.

– Urzędziłaś scenę przez to tylko, że weszłaś do tej knajpy.

– Powiedziałam mu, żeby zabrał rękę, bo pożałuje. Nie wiedziałam, że wsuwa mi coś do kieszeni.

– To bardzo wygodne, że miał wcześniej zapisany numer. Jakby wiedział, że tam będziesz, i planował ci go podrzucić.

– Powtarzam, nic o tym nie wiem.

– Zaraz mi powiesz, że jesteś stałą bywalczynią, że chodzisz tam co wieczór na kieliszek białego wina. – Milczała, przekrzywił więc głowę. – No? Czy kiedykolwiek wcześniej zaszczyciłaś tę spelunę swoją obecnością? Czy kiedykolwiek przejeżdżałaś obok niej?

Nie odezwała się.

– Tak myślałem. – Chwycił ją za łokieć i popchnął. – Ale poszłaś tam dzisiaj i pozwoliłaś temu kretynowi się obmacywać.

– Właśnie. To kretyn. Po co mi jego telefon?

Zrobił krok do przodu i stanął twarzą w twarz z Jordie.

– Nie mówiłem, że to jego telefon.

Zabrakło jej tchu. Wpatrywali się w siebie przez parę wlokących się w zółwym tempie sekund, potem kilka razy zamrugła i powiedziała:

– A czyj miałby być?

Pochylił się ku niej i szepnął:

– Ty mi powiedz, Jordie.

Wytrzymała jego spojrzenie, nie pozwoliła mu się zastraszyć. Wręcz przeciwnie, zmrużyła oczy.

– Skąd obaj z partnerem wiedzieliście, że dzisiaj wieczorem będę w barze?

Shaw się cofnął.

– Nie wiedzieliśmy. Prawdę mówiąc, byliśmy diabelnie zaskoczeni, kiedy weszłaś. Miałem w planie obejrzeć wrestling na płatnym kanale w motelu i porządnie się wyspać. Potem ty się pojawiłaś. Pieprzyć plan A, potrzebny plan B. No to się wybrałam na przechadzkę, żeby ocenić sytuację. W tym czasie Mickey odbył rozmowę telefoniczną i mówi mi tak: „Załatwimy ją”. Pytam: „Tutaj? Teraz?”. Odpowiada: „Tutaj, teraz”. Nie miałem wyboru, musiałem się dostosować. Do pewnego momentu. – Począł, aż to do niej dotrze. – Ale nie sądz błędnie, że strzelając w jego tłusty mózg, ratowałem ci skórę. Ratowałem własną. Bo kiedy z Mickeyem zbliżyliśmy się do ciebie, wpadło mi do głowy, że po jego odjeździe będą dwa ciała na ziemi, w tym jedno moje. – Znowu się do niej przysunął. – Więc rozumiesz, Jordie, jak ważna jest dla mnie informacja, co dzisiaj wieczorem robiłaś w tej knajpie w tym konkretnym czasie, ponieważ dla mnie wygląda to jak zasadzka.

Rozchyliła usta, ale cokolwiek zamierzała powiedzieć, pozostało niewypowiedziane. W końcu przemówiła:

– Nie brałam udziału w żadnej zasadzce na ciebie. Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

– Shaw Kinnard. Miło cię poznać. Dlaczego byłaś w tym barze?

– Pod wpływem impulsu.

– Brednie.

– Wstąpiłam, żeby się napić wina.

– W spelunie, w której normalnie nie chciałabyś się pokazać nawet martwa.

Gra słów niezamierzona. Kto cię tam przysłał?

– Nikt.

– Ktoś.

Wzięła głęboki wdech i odgarnęła włosy do tyłu.

– Dobra, zrewanżuję się tym samym. Co knuliście?

– Chcieliśmy upozorować okoliczności twojej śmierci. Mickey nawet mówił, żeby wziąć twoją torebkę, bo wtedy będzie to wyglądało jak nieudany rabunek i z nikim nie da się tego połączyć.

– To by wymagało skomplikowanych przygotowań. Nie mógłby...

– Wręcz przeciwnie. Był profesjonalistą, dobrze znanym glinom, choć nigdy go nie oskarżono. Zawsze mu się udawało wywinąć między innymi dlatego, że wina spadała na martwego kolesia.

Przetrawiła jego słowa, po czym powiedziała:

– Nie wiem nic o nim, o jego reputacji ani o zasadzce. Wpadasz w paranoję.

– Masz cholerną rację – rzekł niskim spiętym głosem, który sprawił, że słowa zawibrowały między nimi. – Teraz zapytam po raz ostatni. Kto cię tam przysłał?

Spojrzała na kieszeń jego koszuli, gdzie miał świstek papieru z numerem

telefonu, później odwróciła od niego głowę.

– Nikt. Nie wiem, o czym mówisz.

– Łzesz jak najęta. Ale nie będę marnował czasu na próby wydobywania z ciebie prawdy tutaj. – Znowu wziął ją za łokieć i poprowadził do samochodu.

Najwyraźniej poczuła ulgę, że dał jej spokój, przynajmniej na razie, i poszła z nim mniej lub bardziej ulegle. Kiedy jednak przy samochodzie ściągnął jej rękę razem, opierała się.

– Proszę, nie. To boli.

– Sama sobie jesteś winna. Przestań się szarpać. – Odwrócił ją plecami do siebie i dodał: – Ale żeby ci pokazać, że umiem być miły... – Owinął jej przeguby bandaną, dopiero potem założył kajdanki.

Nie podziękowała mu ani w żaden sposób nie zareagowała na ten gest. Przeciwnie, gwałtownie się od niego odsunęła, kiedy posadził ją na tylnym siedzeniu, i patrzyła prosto przed siebie, gdy zdejmował jej sandaalki i wiązał kostki bandaną.

Skończywszy, otworzył bagażnik i ze zgrzewki wyrwał butelkę wody. Wrócił do otwartych tylnych drzwi, odkręcił butelkę i przysunął Jordie do ust.

– Nie jest zimna, ale za to mokra.

– Nie chcę.

– Odwodnisz się.

– Im szybciej umrę, tym szybciej dostaniesz swoje pieniądze.

– O to chodzi. Śmierć z pragnienia trwa za długo.

Szturchnął ją w wargi szyjką butelki, ale nie zmieniła zdania.

– To bolesny sposób sprawdzania, ale niech ci będzie – oznajmił. Uniósł butelkę do swoich ust i opróżnił, potem wierzchem dłoni wytarł strumyk z brody. Zobaczył, że Jordie wpatruje się w jego bliznę. – Co?

– Nic.

– Jak byłem mały, spadłem z roweru.

Posłała mu ironiczne spojrzenie mówiące, że to łgarstwo. Blizna była za świeża, żeby mógł ją spowodować wypadek w dzieciństwie.

– Boli cię głowa? – zapytał.

– Nie.

Wsunął dwa palce w jej włosy z boku głowy i obmacał czaszkę. Kiedy znalazł niewielki guz, skrzywiła się.

– Dlaczego kłamiesz? Mam advil.

– Nie, dziękuję.

– Posłuchaj, mówiłem, że tortury nie wchodzą w skład tej imprezy, więc weź ten cholerny...

– Nie. Dziękuję.

– Dobra.

Podszedł do bagażnika, wrzucił do środka pustą butelkę po wodzie, zamknął klapę i wrócił do Jordie.

– Połóż się.

– Będę siedziała.

– Ale ze związanymi rękami będzie ci wygodniej leżeć niż siedzieć.

Odwróciła od niego głowę, ignorując jego słowa.

– Tym razem nie daję ci wyboru, Jordie. Albo się położysz, albo przywiążę ci stopy do klamki i uniemożliwię siedzenie.

– Idź do diabła.

– Już tam byłem.

Miał zamiar zamienić w czyn swoje słowa, ale się zawahał. Przytknął palec wskazujący do środka jej czoła i przesunął po upartym profilu: po nosie, ustach i brodzie. Cofnął rękę i powiedział:

– Muszę przyznać, że podziwiam twój tupet. Mogłabyś błagać i szlochać.

– Nigdy bym nie błagała o życie.

– Założę się, że tak.

– Rozczarowałbyś się.

Pozwolił, by minęło kilka sekund.

– Może nie. Szloch i błaganie są bardziej w stylu twojego brata. Szybko się poddaje, co?

Szarpnęła głową i przeszła go spojrzeniem.

Roześmiał się.

– Ha, uderzyłem w czułą strunę, co? – Szczerząc zęby z zadowolenia, gestem kazał się jej położyć. – Nie zmuszaj mnie, żebym cię związał.

Spiorunowała go wzrokiem, ale położyła się na boku. Zatrzęsła drzwiami, usiadł za kierownicą i wycofał samochód na wyboistą boczną drogę, z której zjechał na autostradę.

Nie rozmawiali już więcej, choć wyczuwał jej kipiący gniew, który w końcu ostygł, i kiedy pół godziny później Shaw zerknął w lukę między siedzeniami, zobaczył, że zasnęła. Albo lepiej jej wychodziło udawanie trupa.

To, że pozwolił schować się Jordie za drzewo w czasie siusiania, nie było rycerskim ukłonem mającym na względzie jej skromność, tylko egzaminem, który zdała.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że tamten gość, burak z czaszką na koszulce, nie był dla niej niczym więcej jak tylko drażniącym intruzem. Gdyby był graczem o jakimkolwiek znaczeniu, nauczyłaby się na pamięć numeru telefonu, który jej wsunął do kieszeni, a następnie pozbyła dowodu, przypuszczalnie przed opuszczeniem baru, a jeśli nie wtedy, to z pewnością wyrzuciłaby go schowana za tym pniem. Gdyby wiedziała o świstku w tylnej kieszeni, nie tkwiłby tam, kiedy wróciła.

Uznał jednak, że jeśli zrobi z tego wielką sprawę, będzie zarzucał ją gradem pytań o tego faceta i jego numer telefonu, w końcu ją złamie i dowie się, dlaczego poszła wieczorem do tego baru. Ponieważ doskonale się orientował, że to nie był przypadek.

*

O wschodzie słońca skręcił z dwupasmowej autostrady na kolejną boczną drogę niemal tak wyboistą jak poprzednia. Zostawiwszy silnik na jałowym biegu, wysiadł i otworzył bagażnik.

Zabrał z niego potrzebne rzeczy i podszedł do tylnych drzwi. Jordie z trudem się podnosiła do pozycji siedzącej. Wyciągnął rękę, żeby jej pomóc, ale się wzdrygnęła.

– Dam radę – powiedziała.

– Może, ale marnujesz mój czas.

Położył rękę na jej ramieniu i podciągnął ją. Spojrzała na niego z urazą, dostrzegając, że Shaw strzepnięciem rozwija bandanę.

– Ile ich masz?

– Sprzedawane są po dwanaście w opakowaniu.

– A po co ci ta?

Postawił stopę na progu i wykorzystał zgięte kolano jako podstawę, na której złożył bandanę w trójkąt i kilkakrotnie zwinął, aż uzyskał pas o szerokości około dziesięciu centymetrów.

– To opaska na oczy.

– Co?

– Opaska...

– Zawiążesz mi oczy? Dlaczego?

Posłał jej spojrzenie oznaczające „głupie pytanie”.

– Żeby nie widziała, jak mnie zastrzelisz? – W jej głosie pojawiła się piskliwa nutka paniki. Nutka, ale słyszalna.

– Odwróć głowę – polecił.

– Nie.

– Nie staniesz przed plutonem egzekucyjnym, Jordie. Nie chcę, żebyś widziała, dokąd jedziemy.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy, a co dopiero, dokąd jedziemy. Kompletnie się nie orientuję w kierunku...

– Odwróć głowę.

– Nic nie widzę, kiedy leżę na siedzeniu. Dlatego się przy tym upierałeś, prawda? Żeby nie widziała drogowskazów? Przez szybę widać tylko niebo.

– I tak było ciemno, ale teraz robi się jasno.

– Nic nie zobaczę.

– Nie, jeśli zasłonię ci oczy. Odwróć głowę, żebym mógł zrobić węzeł.

– Będziesz musiał zrobić to siłą.

– Na tym ci zależy?

Nie poruszyła się.

– Jasny gwint – mruknął pod nosem. – To była długa noc. Mam po uszy tych bredni.

– Ja mam po uszy ciebie – oznajmiła łamiącym się głosem. – Czemu po prostu tego nie skończysz? Panella nie będzie wiedział, kiedy... – Urwała, uświadamiając sobie, że wymknęło się jej nazwisko.

Powietrze zadrzało, dźwięk został na moment uwięziony między nimi. Shaw powoli się schylił, by spojrzeć jej w oczy.

– Ups – powiedział cicho, choć z wystarczającym naciskiem, by poczuła jego oddech na twarzy. – Wcześniej pytałaś, kto wynajął Mickeya i mnie do sprzątnięcia ciebie. Czemu grałaś głupią, skoro wiedziałaś, że to Billy Panella?

Nic nie odpowiedziała, więc kciukiem i wielkim palcem chwycił ją za brodę i przechylił jej głowę do tyłu, przez co musiała na niego spojrzeć.

– Wiesz, gdzie on jest, Jordie?

– A niby skąd?

– Kurewsko dobre pytanie.

– Nikt nie wie. Zniknął. Nikt go nie widział ani nie miał od niego wiadomości...

– Mickey miał.

To na moment zbiło ją z tropu.

– No, ja w każdym razie nie miałam. Byłabym ostatnią osobą, z którą by się skontaktował.

– I kompletnie się nie orientujesz, gdzie jest?

– Kompletnie.

– W takim razie dlaczego był gotów za zlikwidowanie ciebie wybulić dwie setki?

– Możesz go zapytać, jak będziesz renegocjował umowę. Ale jeśli on myśli, że cokolwiek o czymkolwiek wiem, to marnuje pieniądze.

– A twój brat Josh? On wie, gdzie podziewa się Panella?

W jej błękitnych oczach kłębiły się gniew, frustracja, może też strach, cały katalog silnych emocji, ale żadnej nie zwerbalizowała, może z obawy, że znowu się wygada.

Prowokował ją lodowatym uśmiechem.

– Mowę ci odjęło?

– Wcale nie. Potrafię wyartykułować: „Idź do diabła”.

Przez chwilę na siebie patrzyli.

– Interesujące – mruknął wreszcie. Nie zapytała, co miał na myśli, ale on

ciągnął, jakby to zrobiła. – Kiedy wczoraj rano z Mickeyem wyjeżdżaliśmy z miasta, pokazał mi billboard przy autostradzie.

Jej twarz pozostała obojętna.

– Nie da się go przegapić. Błyszczącymi wielkimi literami wypisano nazwę „Extravaganza”, za „E” wybuchał fajerwerk. A na dole było twoje imię i nazwisko.

Dał jej czas na komentarz. Nie skorzystała.

– A skoro twój brat złamał prawo i tak dalej...

– Josh nie przyznał się do żadnego przestępstwa ani nie został skazany.

– ...można by pomyśleć, że ty, starsza siostra, wolałabyś się nie wychylać.

Mogłaś przeprowadzić się w jakieś miejsce, gdzie nikt by cię nie znał, nawet zmienić nazwisko, żeby cię z nim nie kojarzono. – Zniżył głos niemal do szeptu. – Ale ty nic takiego nie zrobiłaś, Jordie. Umieściłaś swoje nazwisko na billboardzie, żeby oglądał je cały świat.

– Twój wywód zmierza do jakiejś konkluzji?

– Chyba że – i tu robi się interesująco...

– W samą porę.

– ...chyba że – powtórzył z naciskiem – billboard to deklaracja, że jesteś panią samej siebie, niezależną i niemającą nic wspólnego z Joshem i jego występami...

– Albo?

– Albo w ten sposób pokazujesz wszystkim środkowy palec. Niech sobie myślą, co chcą o twoim młodszym braciszku. Nie wstydzisz się go. Pozostaniesz lojalna, wierna i szczerą, choćby nie wiem co. – Odczekał sekundę. – Dystansujesz się od Josha czy ogłaszasz, że zawsze go wesprzesz, że w każdej chwili jesteś gotowa mu pomóc, jeśli będzie cię potrzebował? O co tu chodzi, Jordie?

– A dla ciebie co to za różnica?

– Dla mnie żadna – odparł Shaw. – Ale dla Billy’ego Panelli najwyraźniej duża.

Rozdział 8

Joe Wiley wszedł do swojego gabinetu, postawił torbę z Subwaya na stosie papierów na biurku i bez zbędnych wstępów powiedział:

- Myślałem, że jest w Meksyku.
- Bo był – odparł Hick.
- Na liście płac barona narkotykowego.
- Właśnie.

Wcześniej nie mieli okazji porozmawiać swobodnie na temat Shawa Kinnarda.

Joe powiadomił swoje biuro, że za zamordowanie Mickeya Boldena, noszące wszelkie znamiona egzekucji, prawdopodobnie był odpowiedzialny Kinnard. Następnie Joe tak szybko i czysto, jak się tylko dało, załatwił sprawy w Tobias i przekazał prowadzenie tej części śledztwa zastępcy szeryfa Morrowa. Odtąd Joe i Hick mogli się skupić na poszukiwaniu Shawa Kinnarda i Jordie Bennett.

Wyczuwając ich pośpiech, Morrow wprowadził ich zwięźle w to, czego się dowiedział, gdy oni przesłuchiwali barmana. Jedynym przestępstwem Royce'a Shermana poza ogólną głupotą było posiadanie niezarejestrowanej broni oraz noszenie jej bez pozwolenia. Pozostali świadkowie nie zeznali nic ważnego i puszczono ich do domu.

Na parkingu i w okolicy nie znaleziono żadnych dowodów fizycznych, ale technicy kryminalistyczni FBI oraz ludzie z biura szeryfa nadal prowadzili poszukiwania.

Z samochodu Jordie Bennett zdjęto odciski palców. Jej własne znajdowały się w rejestrze straży granicznej, bo miała uprawnienia do skróconej odprawy celnej. Jeśli znajdą odciski nienależące do niej, Morrow natychmiast powiadomi agentów.

Zaproponował, że odwiezie ich na lądowisko helikoptera, ale na prośbę Joego najpierw wpadli do biura Morrowa po kulę, którą wydobyto z głowy Mickeya Boldena. Joe chciał, żeby w laboratorium FBI przeprowadzono testy balistyczne, chociaż zdawał sobie sprawę, że będą czysto akademickie. Wiedział, kto na zawsze usunął Mickeya Boldena z interesu.

Stojąc pod wirującymi śmigłami helikoptera, Morrow zaszalutował i obiecał, że będzie prowadził śledztwo i informował ich o wszystkich nowych ustaleniach. Podczas startu Joe miał wrażenie, że zostawiają sprzątanie w dobrych rękach.

Hałas uniemożliwił im rozmowę w czasie krótkiego lotu do Nowego Orleanu. Każdy w heliporcie miał swój samochód i tam się rozstali. Joe

zapropował, że w drodze do biura kupi kilka kanapek.

Teraz Hick wyjął z torby jedną i odpakował. Gdy zobaczył w niej pulpeciki mięsne polane roztopioną mozzarellą, podał kanapkę koledze.

– Nie bój się, twoja wegańska też tam jest – powiedział Joe i ugryzł pierwszy kęs. – Mieszkać w Nowym Orleanie i być weganinem...

– ...to marnowanie okazji. Mówiłeś. Chyba z tysiąc razy.

– To gorzej niż marnowanie okazji, to grzech. Zapytaj swojego księdza, powie ci to samo. – Joe serwetką wytarł z ust sos marinara. – Więc Kinnard już nie jest w Meksyku.

– Nasi chłopcy pracowali na najwyższych obrotach. Oto co na razie ustalili.

– Hick napił się mrożonej herbaty, sięgnął po teczkę i ją otworzył. – Facet opuścił Meksyk z wielkim hukiem. – Odwrócił teczkę i pokazał Joemu pierwszą ze stosu fotografii. Przedstawiała ciała dwóch mężczyzn w najnowszym modelu mercedesa, oba zakrwawione i bezspornie martwe.

– Samochód, jak tutaj widzisz, pozostawiono dwie przecznice od stanowej komendy głównej policji, czyli tak blisko, jak pozwalały zasieki z drutu kolczastego wokół kompleksu.

– Policja musiała docenić tę troskę.

– Nie bardzo. – Hick głową wskazał zdjęcie. – Gość w mundurze? To szef.

– Policji stanowej? – Hick potaknął, a Joe zawiązał w papier resztę kanapki i odsunął na bok, przewidując, że chyba dostanie ostrej zgagi.

– Ale nie płacz po nim. Był do szpiku kości skorumpowany, grał na dwie strony w wojnach narkotykowych i od wszystkich brał łapówki.

Joe ponownie spojrzął na fotografię.

– A ciało numer dwa?

Hick zsunął wierzchnią fotografię, odsłaniając następną, na dole której widniało wypisane czerwonym markerem nazwisko.

– Trzydziestodwuletni Amerykanin, urodzony w Phoenix, pochodził z klasy średniej, syn dwojga profesorów wykładających w college'ach. Zaczął dilować w szkole średniej.

– Początek błyskotliwej kariery?

Hick potaknął.

– Gruba ryba w handlu bronią i narkotykami. Poza zmarłym szefem policji, który dorabiał u niego na czarno jako główny ochroniarz, zatrudniał całą armię goryli. Potrzebował ich, bo miał nie tylko żądnych krwi wrogów, ale też wystawiono nagrodę za jego głowę i był poszukiwany przez alfabetyczny spis agencji federalnych, włączając w to nas, ATF, DEA i tak dalej.

Joe przyglądał się bacznie zrobionemu teleobiektywem zdjęciu młodego mężczyzny o dziecięcej twarzy, który siedział w boksie nocnego klubu z papierosem zwisającym mu z ust wygiętych w aroganckim uśmiechu.

– Wygląda jak rozbrykany student.

Hick się uśmiechnął.

– Zasadniczo taką miał mentalność. Działający pod przykrywką agent DEA raportuje, że Studencik popadł w konflikty z sojusznikami po południowej stronie granicy, drażniąc ich luksusowym życiem i zwracaniem na siebie uwagi. Wielka hacjenda. Kosztowne samochody. Szalone imprezy. Właśnie na takiej balandze uderzył Kinnard.

– Kiedy?

– We wtorek w nocy.

Joe się skrzywił.

– Ten wtorek? Nasz wtorek?

– Taa.

– To nie może być zbieg okoliczności.

– Nie. Kinnard był gościem w willi naszego chłopca. Jedna z dziewczyn z agencji towarzyskiej zatrudniona na wieczór zeznała, że Kinnard, Studencik i goryl wyszli razem z przyjęcia i wsiedli do mercedesa. Kinnard prowadził.

– Zabija ich w samochodzie, porzuca go z ciałami tam, gdzie na pewno zostanie znaleziony, a potem co?

– Można się tylko domyślać – odparł Hick. – Nikt nie wie, jak się stamtąd wydostał i jak przekroczył granicę. W czwartek w południe przyleciał do Nowego Orleanu z lotniska Fort Worth-Dallas. Zjadł coś w barze Chili na tutejszym lotnisku.

– Jak się dostał do Dallas?

– Mamy ludzi, którzy nad tym pracują, ale na razie nic nie znaleźli. Wiadomo tylko, że wezwał taksówkę, żeby pojechać z motelu, gdzie przenocował, na lotnisko. Mamy go na licznych nagraniach tamtejszych kamer bezpieczeństwa. – Hick przetasował zdjęcia, po czym wskazał na zamazane ujęcia zatłoczonej sali. – Po wyjściu z naszego lotniska wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do hotelu Doubletree. Jednak tam się nie zameldował.

– Przeszedł przez lobby na drugą stronę.

– Ale najpierw pomachał do kamery – powiedział z przekąsem Hick. – Wyszedł na boczną ulicę, powędrował chodnikiem i tyle go widziano do chwili, gdy się pojawił w tamtej knajpie z Mickeyem Boldenem.

Joe beknął, zasłaniając usta pięścią.

– Jakiego dowodu tożsamości użył przy odprawie w Dallas?

– Prawa jazdy z Georgii. Puścili go bez problemów. Nadał na bagaż torbę. Musiał mieć w niej broń.

– Nie licz na to – burknął Joe.

Wrzucił śmieci do pojemnika, następnie wstał i zaczął krążyć po niewielkim pokoju, żeby dać Hickowi czas na zjedzenie kanapki.

– Coś znaleźli w Missisipi? – zapytał po chwili.

Mickey Bolden miał mieszkanie w Biloxi. Spartańskie schronienie, żadnych luksusów. Płacił czynsz z pensji, którą zarabiał jako szef sali w jednym z podlegszych hoteli z kasynami. Jak każdy porządny obywatel informował o napiwkach urząd skarbowy oraz nie zalegał z podatkiem dochodowym i rachunkami.

Jego hobby, które najwyraźniej uprawiał z pasją, było o wiele bardziej lukratywne od pracy w restauracji. Niestety, FBI nie udało się jeszcze odkryć, gdzie deponował honoraria za likwidowanie ludzi, i między innymi z tego powodu nie było w stanie zebrać dość dowodów, które zdaniem prokuratora nie zostałyby podważone w sądzie.

– W zeszłą środę Bolden powiedział pracodawcy, że potrzebuje kilka wolnych dni – odparł Hick.

– Robił tak od czasu do czasu.

– I nikt nigdy nie pytał, po co mu to.

– Bo przypuszczalnie wszyscy wiedzieli – zauważył Joe.

– Przypuszczalnie. Tak czy owak od czwartku wieczorem nie widziano go w okolicach mieszkania w Biloxi. Ale samochód zarejestrowany na jego nazwisko nadal stoi na parkingu.

– Wynajął coś?

– Nie na swoje nazwisko.

Joe niczego takiego się nie spodziewał. Wybierając się na robotę, Mickey wystawiłby kogoś innego, kto dostarczyłby mu pojazd.

– Ale odezwał się Morrow – ciągnął Hick. – Tylko się nie podniecaj. Zastępcy szeryfa przepytывali sąsiadów Jordie Bennett. Wczoraj pewna pani zauważyła obcy samochód zaparkowany na końcu ulicy. Mówiąc w skrócie, pamiętała tylko, że był ciemny i miał cztery koła.

Joe prychnął.

– W środku mogło być dwóch mężczyzn. Nie potrafiła tego stwierdzić na pewno.

Organy ścigania Luizjany i sąsiednich stanów szukały Shawa Kinnarda i Jordie Bennett, ale nikt nie wiedział nawet, jakiego pojazdu mają wypatrywać ani w jakim kierunku Kinnard zmierzał. Na razie więc nie zgłosił się nikt, kto by ich widział, nawet wariaci, którzy regularnie spotykali Elvisa i Osamę bin Ladena.

– Agenci przesłuchali pracowników i przyjaciół pani Bennett – mówił Hick.

– Wszyscy wpadli w histerię, kiedy usłyszeli o jej zniknięciu i prawdopodobnym porwaniu. Nikt nic nie wiedział, ale wszyscy śpiewali na jedną nutę. To musi mieć związek z jej bratem i Billym Panellą.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem – burknął Joe. – Ktoś skontaktował się z Jacksonem Terrellem?

– Złapano go przez telefon w luksusowym spa w Kolorado. Obudzili go i nie był sam.

– Nowa dziewczyna?

– Nowa żona. Pobrali się kilka miesięcy temu.

– Gości nie zaprosili.

– Chyba nie.

– Czyli nie płacze po rozstaniu z Jordie Bennett.

– Na to wygląda. Ale nie mogę mówić za niego.

Joe zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że mają zero. Żadnych tropów prawdziwych czy fałszywych. Równie dobrze mogli siedzieć w czarnej dziurze i sytuacja irytująco przypominała tę, kiedy ostatnio Shaw Kinnard był ich podejrzanym.

Hick, jakby czytając mu w myślach, zapytał:

– Co on robił z Mickeyem Boldenem?

– Mickey był ogniwem łączącym go z Billym Panellą i plus minus trzydziestoma milionami dolarów. – Joe w zadumie pociągnął się za dolną wargę. – To tylko domysł, ale Kinnard przypuszczalnie jakiś czas temu zwrócił się do Boldena i przygotował sobie grunt. W nadziei na dorwanie się do Panelli i całego tego szmalu nawiązał coś w rodzaju partnerstwa z jego zaufanym cynglem.

– Zaoferował swoje usługi.

– To tylko domysł – przypomniał mu Joe.

– Ale wydaje się słuszny – odparł Hick. – Dał znać Boldenowi, że może na niego liczyć, jeśli chodzi o mokrą robotę, po czym czekał na wezwanie.

– Które dostał we wtorek.

– Załatwił swoje sprawy w Meksyku i przysnął tutaj – dokończył Hick. Po sekundzie zapytał: – Myślisz, że wiedział, o kogo chodzi?

– Pewnie założył, że o Josha Bennetta.

– A według ciebie na jakim etapie się zorientował, że ofiarą ma być jego siostra?

Joe zmartwionym gestem potarł czoło.

– Nie mam pojęcia. – Przeczesał palcami włosy, zorientował się, że są tłuste, i uświadomił sobie, jak bardzo potrzebny mu prysznic. Nawet Hick nie wyglądał zbyt świeżo.

– Zróbmy sobie kilka godzin przerwy. – Joe wziął teczkę z przerażającymi fotkami i wetknął sobie pod ramię. – Muszę się skontaktować z rodziną. Coś mi się wydaje, że wieczorem mamy iść na imprezę szkolną.

– Jak Marsha przyjmie to, że nie pójdziesz?

– Wkurzy się, ale mi wybaczy. W końcu. A twoje życie miłosne? Nadal jesteś w „obiecującym związku”?

– Tak. Związek nadal jest obiecujący.

– Tak? Kiedy przejdiesz na następny etap?

– Na pewno nie w najbliższym czasie.

– Jak to?

– Z powodu moich innych obiecujących związków.

Joe przewrócił oczami i gestem wskazał Hickowi drzwi, ten jednak się nie poruszył.

– Zapomniałem o czymś wspomnieć wcześniej. Ta dziewczyna z agencji towarzyskiej, która rozmawiała z policją w Meksyku, pamiętasz? – Joe potaknął. – Była z tymi trzema, kiedy wyszli z przyjęcia.

– Wyjaśnij.

– Kiedy w pobliżu komendy głównej policji odkryto dwa ciała, tę młodą kobietę zatrzymano wraz z innymi gośćmi – powiedział Hick i wskazał dłonią na teczkę pod pachą Joego. – Zgodziła się na współpracę w zamian za zachowanie anonimowości, więc nie znajdziesz tam jej zdjęcia ani nazwiska. Ale to ona zidentyfikowała Shawa Kinnarda. Zeznała, że kiedy impreza się rozkręcała, Kinnard podszedł do rozbrykanego Studencika i szepnął mu, że musi się spotkać z pewnym facetem z konkurencyjnego kartelu, który chce zmienić drużynę. Aby udowodnić swoją szczerłość, ten facet jest gotów wyśpiewać wszystko, co wie o działaniach rywala, ale musi to zrobić natychmiast, zanim tamten się zorientuje i uciszy go na dobre. Studencik nie miał ochoty zostawiać seksu, dragów i rock and rolla, ale Kinnard przekonał go, że facet może uznać, iż zdrajcy nie dożywają sędziwego wieku, i stchórzyć. W rezultacie Studencik z ociąganiem poszedł z Kinnardem i zgodnie z jego sugestią wziął tylko jednego goryla, żeby ten zdrajca nie ześwirował.

– Studencik wybrał najważniejszego, szefa policji stanowej.

– Prawdę mówiąc, wyboru dokonał Kinnard – skorygował Hick sucho. – Wiemy o tym, ponieważ w czasie rozmowy nasz rozbrykany Studencik dobierał się do dziewczyny, która wszystko słyszała. Kiedy wychodzili, uparł się, żeby „dotrzymała mu towarzystwa”. Jej słowa. Władowali się do mercedesa. Kinnard prowadził. Zaraz za bramą willi zatrzymał auto i kazał dziewczynie wysiadać. Studencik protestował, ale Kinnard mu wytłumaczył, że drągała powinien zachować dla faceta, który zamierza dostarczyć im cenne informacje, ale nie jedną z lasek, skoro tych może mieć na pęczki. Szef zgodził się z Kinnardem, ten wysiadł, otworzył tylne drzwi i kazał dziewczynie zmykać – Hick urwał, żeby nabrać powietrza.

– Okay – powiedział Joe, dając mu czas.

– Ale czemu to zrobił? Czemu dziewczyny też nie zabił? Byłoby szybciej i jaśniej. – Wzruszył ramionami. – Może ma słabość do kobitek.

Joe zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Na to też bym nie liczył – oznajmił ponuro.

Rozdział 9

Kiedy samochód zaczął zwalniać, a potem się zatrzymał, Jordie przycisnęła plecy do oparcia i wykorzystując je jako dźwignię, usiadła. Jeśli to mu się nie podoba, jego cholerna sprawa.

– Gdzie jesteśmy?

Przypuszczała, że minęło koło godziny, odkąd zawiązał jej oczy. Wydawało się, że jeździli w kółko, ale bez zmysłu wzroku równie dobrze mogła stracić poczucie orientacji.

Bez słowa otworzył drzwi i wysiadł.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiedział, ale nasłuchując jego kroków, wiedziała, że ostrożnie oddala się od samochodu. Co on robi? Co ma zamiar zrobić?

Ogarnięta paniką, usiłowała uwolnić dłonie i stopy. Oczywiście bez skutku, ale musiała się czymś zająć, w przeciwnym razie oszalałaby z niepokoju.

Podsłoczyła przerażona, kiedy z trzaskiem otworzyła się odblokowana elektronicznie kłapa bagażnika. Słyszając, że wraca do samochodu, zapytała:

– Co ty wyprawiasz?

– Sprawdzam różne rzeczy.

– Proszę, zdejmij mi opaskę z oczu.

– Jestem zajęty.

Znowu gdzieś poszedł, a po kilku sekundach ciszę zburzył szcęk metalu o metal, potem skrobanie i pisk, który brzmiał jak zardzewiałe zawiasy.

Wrócił do samochodu i wrzucił do bagażnika to, co wcześniej z niego wyjął. Przedmiot wylądował z głuchym tąpnięciem. Jakiś lewarek? Nie fatygował się zamykaniem bagażnika, tylko wsiadł i włączył silnik.

– Co to był za hałas? Co robiłeś?

Samochód wolno się potoczył, opony zatrzęszczały na żwirze. Wiedziała, w którym momencie znaleźli się w jakimś pomieszczeniu zamkniętym. Mimo opaski na oczach zorientowała się, że nie przebywają już na słońcu, poza tym zmieniło się powietrze, teraz stało się zatęchłe i wilgotne, unosił się w nim lekki odór oleju i myszy.

Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i wysiadł. Nie było go przez minutę, ale słyszała, jak niedaleko się porusza. Potem wrócił do samochodu i otworzył tylne drzwi. Kiedy dotknął jej policzka, wzdrygnęła się.

– Spokojnie – powiedział.

– Co robisz?

- Odwracam ci głowę.
- Po co?
- Chyba chciałaś, żebym zdjął opaskę.

Zawahała się, ale odwróciła głowę. Odwiązał bandanę i złapał ją, gdy spadała. Mrugając, by przywrócić wzrokowi ostrość, zobaczyła, jak wsunął róg chustki do kieszeni dzinsów.

Oboje milczeli, kiedy kucnął w otwartych drzwiach i rozwiązał jej nogi. Wyprostował się i spojrzał na nią, gestem dając znak, żeby wysiadła, co nie było łatwe z rękami związanymi za plecami, ale nie pospieszył z pomocą, pewnie dlatego że odrzuciła poprzednie próby.

Kiedy stanęła na nogach, wolno się okręciła, by się zorientować, gdzie jest.

– Widok nie jest wart tej długiej drogi – powiedziała, kiedy znowu stanęła twarzą w twarz z Shawem.

– Nadal pyskata. – Zrobił krok za jej plecy i rozciął plastikowe kajdanki, później rozwiązał bandanę na nadgarstkach.

– Co to za miejsce? – zapytała, rozmasowując przeguby.

– Wygląda na jakiś wielofunkcyjny warsztat. Dzisiaj to kryjówka.

Dach z blachy falistej pamiętał lepsze czasy. Ściany były z niemalowanego, nadgryzionego przez żywioly drewna. Światło wciskało się między pionowe deszczułki i w dziurkach od klucza lśniło jak maleńkie reflektory.

Mroczne wnętrze w większości było puste, ale wielka plama oleju na środku betonowej podłogi wskazywała, że niegdyś przechowywano tu jakąś maszynę albo pojazd. W kącie wznosił się stos zużytych opon. Na haczykach na ścianie wisiał sprzęt wędkarski, w tym także sieć, oraz łuk z urwaną na jednym końcu cięciwą, chociaż Jordie nie dostrzegła nigdzie strzał. O ścianę leżał oparty silnik motorówki, czubek jednej łopaty był zardzewiały, obudowę pokrywał kurz i pajęczyny.

Kiedy znowu spojrzała na Shawa Kinnarda, wkładał baterię do komórki. Serce wezbrało jej optymizmem.

– To moja?

– Mickeya.

– Gdzie jest moja?

– Chciałabyś wiedzieć, co? Ukryłem ją, ale nie w tym samym miejscu co baterię i kluczyki samochodowe. – Rozpostarł ręce. – Możesz szukać, proszę bardzo. Nie znajdziesz ich, a jeśli nawet ci się uda, nie będziesz miała z nich pożytku. – Nie odrywając wzroku od ekranu logującego się telefonu, uniósł koszulę i odsłonił pistolet bez tłumika nadal zatknięty za pasek.

– Policja może namierzyć komórki – powiedziała Jordie.

– Owszem, ale ten jest na kartę. Nowiutki. Wczoraj rano przed wyjazdem z Nowego Orleanu do Tobias Mickey włożył kartę SIM. Zadzwoił tylko do jednej

osoby i tylko ta jedna osoba dzwoniła do niego.

Nie musiała zgadywać, o kogo chodzi.

– Teraz do niego zadzwonisz?

– Nie. Poczekam, aż on zadzwoni do mnie.

– A jeśli nie?

– Już to zrobił. Pięć razy. – Pokazał jej telefon z rejestrem połączeń.

Rzeczywiście, kilkakrotnie powtarzał się abonent nieznany. – Zadzwoni. – Wsunął telefon do kieszeni na piersi, gdzie wcześniej schował świstek z numerem.

– Ten palant z czaszką na koszulce może potwierdzić, że mówiłam prawdę, że próbował mnie poderwać, a ja nie miałam pojęcia, że coś włożył mi do kieszeni. Zadzwoni do niego z telefonu Mickeya.

– Fatalny pomysł.

– Dlaczego?

– Ponieważ policja przeszukała już każdego, kto był w knajpie w czasie morderstwa. Jego także. Zwłaszcza jego, skoro tak się skumplowaliście. Najprawdopodobniej skonfiskowali mu telefon, więc gdybym zadzwonił na ten numer i faktycznie się okazało, że to jego, odebrałby gliniarz.

– Ale jeśli to komórka na kartę...

– Policja ma swoje sposoby. Nie będę ryzykował. – Skrzywił się smętnie. – Przepraszam. Pewnie postanowiłaś zrobić wszystko, żebym popełnił błąd. Ale ja nie popełniam błędów.

Jego współczujący, protekcyjny ton ją rozwścieczył.

– Jakiś ci się zdarzy.

Jej złudzenia jeszcze bardziej go zasmuciły.

– Kiedyś będziesz musiał się przespać.

– Prawda. – Złapał ją za rękę i pociągnął ku drzwiom, które zostawił otwarte.

– Musisz to zobaczyć.

Drzwi były szerokie jak wrota stodoły. Z haczyka zwisała wyłamana kłódka, co wyjaśniało tamten hałas; zrobił to lewarkiem. Ogromne zawiasy przeżarła rdza.

Popchnął Jordie na zewnątrz.

– Przyjrzyj się dokładnie temu odludziu.

Serce jej się ścisnęło, ponieważ krajobrazu za zrujnowanym budynkiem nie można by precyzyjniej opisać, w dodatku wyglądał dokładnie tak samo jak mokradła, z których wyjechali wiele godzin temu. Całą noc musiał krążyć w kółko, nie tylko od czasu, gdy zawiązał jej oczy, ale od początku, kiedy wepchnął ją do samochodu i zostawił za sobą piwiarnię nad zatoką.

Wąska zwirowana droga, którą przyjechali, prowadziła nad rowem szerokim na co najmniej dwadzieścia metrów. Był wypełniony wodą tak mętną i złowrogo nieruchomą, że nie dało się ocenić jego głębokości. Na drugim brzegu droga zniknęła w zagajniku cyprysów i drzew liściastych, które nie dopuszczały światła

i tworzyły gęsty mrok pod gałęziami udrapowanymi smętnymi pasmami hiszpańskiego mchu.

– A za nami...

Poprowadził ją na róg budynku, gdzie zobaczyła wodę równie mulistą jak ta w rowie. Strumień wił się między kępami drzew i splachetkami ziemi, tworząc pozornie nieskończony labirynt kanałów ciągnących się w każdym kierunku aż po horyzont.

– Widzisz, co cię czeka, jeśli spróbujesz uciec? Ta woda to gotowy projekt naukowy. Nie zalecam nurkowania.

Kiedy skierował jej brodę w kierunku mokradeł, znowu spojrzała na jego bliznę w kształcie litery C, która w mocniejszym zaroście była jeszcze bardziej widoczna. Kojąc bliznę z jego arogancją i dominacją, na niej skupiła swój gniew. Spojrzała mu w oczy i zadziornie oznajmiła:

– Coś wymyślę.

Wzruszył tylko ramionami, odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

– Jestem głodny.

To lekceważenie zagrożenia, które mogłaby stwarzać, wywołało w niej poczucie kompletnej bezradności. Nie miała związanych rąk i nóg, ale nie podejmował się próbami ucieczki. Szanse na sukces były zerowe, a gdyby przy okazji umarła, odebrałby swoje honorarium od Panelli i pewnie byłby zadowolony, że nie musiał marnować kolejnej kuli.

W progu zatrzymał się i głową wskazał wejście. Nie ruszyła się z miejsca, on czekał. Nie tupał niecierpliwie nogą, nic w jego zachowaniu nie zdradzało frustracji. Po prostu czekał. Mężczyzna w pełni przekonany, że go posłucha.

Jego zachowanie drażniło Jordie, ale bunt doprowadziłby ją donikąd. Zmarnowałyby tylko energię, którą musi oszczędzać. Jednak nie będzie potulna, prędzej trupem padnie. Zachowując się, jakby to był jej pomysł, minęła go i weszła do środka. Zamknął za nimi drzwi.

– Możesz zostawić je otwarte i wpuścić trochę świeżego powietrza?

– Nie.

– Duszno tu. I cuchnie.

– To zatkać nos. Drzwi będą zamknięte. – Z bagażnika wyjął torbę i podsunął jej, pokazując zawartość. – Zakupy zrobił Mickey, więc nie mogę odpowiadać za jego wybory. Bierz, co chcesz. – Zakołysał torbą.

W środku były konserwy z porcjami dla jednej osoby.

– Nie jestem głodna.

Pochylił się nad torbą.

– Sardynki. Fasolka z parówkami. Makaron chili. Ravioli. Zupa pomidorowa.

– Nie jestem głodna.

– Oraz opakowanie plastikowych łyżek.

– Nie jestem głodna – powtórzyła z naciskiem i odwróciła głowę, by obrzucić go płonącym spojrzeniem. Co było błędem, ponieważ twarze mieli tak blisko, że niemal się dotykali.

Jego przenikliwe oczy błysnęły, później przeniosły się na jej rozchylone usta.

– Na pewno?

Jego szept miał fakturę drobnoziarnistego papieru ściernego. Odczuła go niczym muśnięcie po podbrzuszu i przez ułamek sekundy, o wiele za długo, każdym nerwem uświadamiała sobie obecność tego mężczyzny. Składał się z ciepła ciała, elastycznej siły, surowej męskości i trzymanej w ryzach mocy. Ogarnęła ją panika, bo na to wszystko zareagowała przyspieszonym oddechem.

Odwróciła głowę i się cofnęła.

– Tak, na pewno – odparła schrypniętym głosem, bez zdecydowania, które chciałyby u siebie usłyszeć. Żałowała, że go nie czuła.

Odczekał pięć sekund, po czym wyjął z torby łyżkę z pudełka piknikowych sztucców i puszkę, a następnie schował resztę do bagażnika.

Podszedł do pustej drewnianej skrzyni, odwrócił ją i usiadł na niej. Krzywiąc się, wyciągnął zza paska pistolet i położył na skrzyni. Otworzył puszkę i zaczął jeść. Wkładał jedzenie do ust z agresywną skutecznością mającą na celu zaspokojenie głodu, a nie rozkoszowanie się czy nawet wycucie smaku.

Jordie cofnęła się do samochodu i usiadła na masce. Obserwowała go z tej bezpiecznej odległości.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? – zapytała po minucie.

– Mówiłem ci.

– Nie wierzę, że to zrobisz.

Nie podnosząc głowy, znieruchomiał z łyżką uniesioną w połowie drogi do ust, ale trwało to krótko.

– Lepiej uwierz – powiedział z pełnymi ustami.

– Nie wierzę.

– Posłuchaj, tylko dlatego, że o mało nie zetknęliśmy się wargami...

– Wykluczone, cholera.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Jak chcesz. Jesteś moim chlebem z masłem. Wartym co najmniej dwieście kawałków, a myślę, że będzie tego więcej.

– Czyli jeszcze nie zadzwoniłeś do Panelli?

– Jeśli pierwszy się odezwę, stracę przewagę. Na pewno się denerwuje i zastanawia, dlaczego Mickey milczy i nie odpowiada na jego telefony. Pozwalam mu dojrzeć.

– Ile masz zamiar zażądać?

– Nie twój interes.
– Moje życie nie jest moim interesem?
– Na pewno nie jego cena. To sprawa między Panellą a mną. – Odczekał chwilę i dodał: – Od początku wiedziałaś, że to on.
– Owszem.
– Dlaczego mówiłaś coś wręcz przeciwnego?
– Byłam w fazie wyparcia.
– Wyparcie to niebezpieczna sprawa. – Kinnard wrócił do jedzenia.
– Nie wydaje mi się, żeby powiedział Mickeyowi, gdzie jest.
Prychnięciem skwitował absurdalność jej słów.
– Nie, ale nie wie też, gdzie ja jestem. Czy ściślej rzecz biorąc, gdzie jesteś ty. Nie będzie mógł usiedzieć na miejscu, dopóki nie dostanie potwierdzenia, że faktycznie nie żyjesz.

W głowie Jordie myśli przemykały i zmieniały kształty z prędkością burzowych chmur, co powodowało ich niespójność. Rzuciła się teraz na jeden wyraz.

– Potwierdzenie? Więc nie musisz pokazać mu moich zwłok?
– To nigdy nie był warunek. Jak mógłbym dostarczyć mu twoje ciało, skoro nie mam pojęcia, gdzie się podziewa, a on wcale nie zamierza mi tego zdradzić? Powiedziałem tak, żeby zapewnić sobie twoją... współpracę.

– Przerazić mnie.
– W takim razie podziałało.
Policzki zapłonęły jej z gniewu i zakłopotania z powodu własnej łatwowierności, ale nie chciała przerywać tej rozmowy. Im więcej się dowie, tym lepiej będzie uzbrojona. Musiała tylko odkurzyć swoje zdolności wyczuwania kłamstwa, ponieważ Kinnard był doskonałym kłamcą.

Zakładając jednak, że przynajmniej w części mówił prawdę, zapytała:
– Jakiego rodzaju potwierdzenia oczekuje?
– Dowiem się, jak mi powie.
– Miałeś ponad dwanaście godzin na negocjowanie z nim nowej umowy. Na razie tkwisz tu ze mną pyskając w tym cudownym otoczeniu. – Wskazała dziurę w blaszanym dachu, która wyglądała, jakby zrobiono ją staroświeckim otwieraczem do konserw. – Nie śpieszno ci do Meksyku i piwa? Co cię powstrzymuje?

Włożył w usta ostatni kęs, wrzucił do puszkę łyżkę i postawił ją na podłodze. Wyjętą z kieszeni bandaną wytarł twarz i dłonie, po czym wyciągnął nogi, krzyżując je w kostkach, i splótł ręce na brzuchu.

Dostrzegła, że podeszwy jego kowbojskich butów są bardzo zniszczone. Podobnie wyglądała jego twarz.

– Kochasz brata?

Nieoczekiwane pytanie sprawiło, że znowu na niego spojrziała.

- Dlaczego pytasz?
- Po prostu mi odpowiedz.
- Oczywiście, że go kocham. To mój brat.
- To dwulicowy zafajdaniec.

Zareagowała, jakby ją spoliczkował.

- A co ty wiesz o Joshu, o czymkolwiek?
- Nawet gość taki jak ja czasami ogląda telewizję.
- Wrestling na płatnym kanale.

– Niekiedy trafiam na wiadomości. Moje luki w wiedzy o sprawie Panelli uzupełnił wczoraj Mickey, kiedy cię śledziłyśmy.

– Śledziłyście?

– Jeździliśmy za tobą po mieście. Czekaliśmy, aż zrobisz sobie manikiur. Zaparkowaliśmy kilka domów od twojego.

- Szpiegowaliśmy mnie.
- Nie tyle szpiegowaliśmy, co układaliśmy plan, jak cię... no wiesz.
- Tworzyliście plan A. Na czym polegał?
- Nieważne. Spalił na panewce. A wracając do twojego brata...
- Dlaczego on cię obchodzi?
- Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie.
- To przestań mnie pytać.
- Nie podobają ci się moje pytania?
- Nie podoba mi się twoje wścibstwo. A może poznanie życia ofiar to część

twojego *modus operandi*?

– Mojego *modus operandi*? – powtórzył z rozbawieniem. – Ty chyba też oglądasz czasami telewizję.

Nigdy dotąd nie był tak blisko uśmiechu, chociaż to wcale nie zmiękczyło jego rysów. Jeśli już, to podkreśliło ostrą kanciastość twarzy.

– Mam pomysł, ale zanim go przedstawię, chcę wiedzieć, dlaczego temat brata sprawia, że się denerwujesz i przechodzisz na pozycje obronne.

– Wcale nie.

Obrzucił ją spojrzeniem z rodzaju „wiem lepiej”.

Po trudnym do określenia czasie Jordie ustąpiła. Przesunęła dłonią po karku, przeciągle westchnęła.

– W naszej rodzinie nie było nic wyjątkowego. Typowa rodzina z klasy średniej. Mama, tata, ja, czyli starsza siostra, i Josh, młodszy brat.

- Pilnowałaś go?
- Mniej lub bardziej. Jak to robi starsze rodzeństwo.
- A w twoim wypadku jak było? Mniej czy bardziej?
- Jeśli miałabym wybierać, to bardziej.

– Dlaczego?

Złapała się na tym, że zmienia pozycję – wierci się – i znieruchomiła.

– Każda rodzina ma własny unikatowy styl życia.

– Te słowa gównu znaczą.

– W naszej rodzinie oznaczały, że rozumiało się samo przez się, że ja, starsza siostra, odpowiadam za młodszego brata. – Prawdę mówiąc, odpowiedzialność za bezpieczeństwo Josha nie była dla niej tak oczywista. Codziennie jej o tym przypominano, jeśli nie werbalnie, to westchnieniami wyrażającymi rozczarowanie albo spojrzeciami pełnymi nagany, co stało się równie, o ile nie bardziej skuteczne.

– Chroniłaś go przed czym?

– Normalnie, przed codziennymi niebezpieczeństwami czyhającymi w dzieciństwie.

– Hm.

– Jak nastąpienie na zardzewiały gwóźdź – dodała zniecierpliwiona. – Potknięcie się na schodach. Bieganie z nożyczkami.

– Nużąca i niewdzięczna praca dla dziecka – oznajmił. Nie odezwała się. – Twoje opiekuńcze skłonności przeniosły się w wiek dojrzały?

– Nie. Oboje dorośliśmy.

– Josh wyrósł na złodzieja. Co sądzili o tym wasi rodzice?

– A co twoi myślą o tobie? – odpaliła.

– Tata się ucieszył. Poszedłem w jego ślady i musiałem sporo się napracować, żeby mu dorównać. W naszej branży był sławny.

– Aha. W takim razie twoje wychowanie trudno uznać za typowe.

Wzruszył ramionami.

– Dla mnie było zwyczajne. Jako dziecko nie znałem innego życia rodzinnego.

Zastanawiając się nad tym, przypomniała sobie jego wcześniejszą wzmiankę o matce.

– Mama nauczyła cię, że nie można napastować kobiety, ale odpowiadała jej twoja profesja?

– Nie, umarła, żałując, że nie wybrałem innej kariery.

– Nie żyje?

– Oboje nie żyją. Tata ją zastrzelił, potem przystawił czterdziestkępiątkę do swojej głowy i pociągnął za cyngiel.

Jordie nie umiała ukryć szoku. Dla kontrastu jego rysy pozostały niewzruszone i nieodgadnione.

Dlaczego chciał ją zbić z tropu taką okrutną szczerością? Czy w ogóle mówił prawdę? Nie miała możliwości tego stwierdzić. Doszła do wniosku, że on potrafi nonszalancko kłamać, ale też z równą obojętnością ujawnić przerażającą prawdę.

– Josh zawsze był papłą? – zapytał.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać. A zwłaszcza o Joshu.
– Wiesz, powinnaś się przede mną otworzyć.
– Niby dlaczego?
– Ponieważ, Jordie, twój braciszek może uratować ciebie i twój ponętny tyłeczek.

Zignorowała komentarz, skupiając się na istocie jego słów.

– Jak?

– W którymś momencie naszej długiej nocnej przejażdżki...

– Przez cały czas jeździłeś w kółko, prawda?

– Chcesz to usłyszeć czy nie?

Przygnębiona jego ostrym tonem, umilkła i lekko kiwnęła głową.

– Oto punkt, w którym twoje życie staje się twoim interesem. Ponieważ gdzieś pomiędzy północą a świtem wpadło mi do głowy, że żywa możesz być więcej warta niż martwa.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Spojrzała na pistolet, który nadal leżał na skrzyni.

– Więc jednak mnie nie zabijesz?

– To zależy. Żeby do tego nie doszło, musisz mi tylko powiedzieć, gdzie jest twój brat.

Jordie poczuła, jak jej optymizm gaśnie. Garbiąc się, uniosła rękę i sucho się zaśmiała.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest Josh.

– Jordie – powiedział łagodnie – co ci mówiłem o okłamywaniu mnie?

– To prawda! Kiedy Josh został informatorem, umieszczono go w bezpiecznym miejscu. Nawet ja nie wiem, gdzie to jest. Nie wolno mi się z nim kontaktować. Przez całą dobę pilnują go ludzie z biura szeryfów federalnych.

– Już nie.

Żołądek jej podskoczył.

– Co?

– Twój braciszek Josh wymknął się strażnikom i... – Shaw wydał świszczący odgłos, któremu towarzyszył gest dłonią ilustrujący start samolotu – odfrunął.

Sens tych słów na początku wydał się jej tak absurdalny, że nie potrafiła go pojąć. Kiedy wreszcie wszystko do niej dotarło, zabrakło jej tlenu w płucach. Rozbiegane myśli, które przed chwilą usiłowała zebrać, całkiem gdzieś się rozpięchły.

– Kłamiesz.

Wolno pokręcił głową.

Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Josh...

– Zwiął.

– Uciekł spod rządowej ochrony?

– Zmył się w zeszły wtorek rano z kwatery, gdziekolwiek ona była, w której trzymali go federalni.

Jordie nadal usiłowała przetrwać tę informację, Kinnard zaś wstał i podszedł do niej spokojnym krokiem.

– Co sobie myślę? Panella nie ma tych trzydziestu milionów, które ukradli z twoim bratem. Co gorsza, nie ma pojęcia, gdzie są zamelinowane. Ale Josh wie. A teraz nikt, powtarzam, nikt nie chroni Josha przed Billym Panellą. – Stał przed maską, na której siedziała, położył dłonie po obu stronach jej bioder i pochylił się nad nią. – Poza tobą.

Rozdział 10

W chwili gdy Josh Bennett uznał, że najlepszym wyjściem dla niego jest układ z federalnymi, rozpoczął przygotowania do dnia, kiedy go złamie.

Wywieziono go do bezpiecznego domu tylko w tym, co miał na grzbiecie, i z małą płócienną torbą zawierającą kilka osobistych drobiazgów. Torbę przeszukano, ale niezbyt dokładnie. Agentowi specjalnemu i jego kumplom chodziło głównie o to, żeby nie ukrył przedmiotów, którymi mógłby zrobić sobie krzywdę. Żadnych nie znaleźli i zwrócili mu worek z kilkoma fantami.

Chociaż ważniejsze od nich stało się bogactwo informacji, które miał w głowie. Jego strażnicy więzienni – nie tak ich nazywano, ale tymi przecież byli – nie zdawali sobie sprawy, ile dziesiątek haseł, numerów kont bankowych, numerów kart kredytowych i temu podobnych wprowadził Josh na twardy dysk swojego mózgu.

Przez ostatnie pół roku mógł w każdej chwili przechytrzyć strażników i uciec, ale odczekał, aż ustali się rutyna, nadzór straci gorliwość i ucichnie hałas wywołany faktem, że Josh został informatorem FBI.

Co nie znaczy, że przez te pół roku leniuchował. Wykorzystał czas na stopniową zmianę wyglądu. Poskarżył się na suchość oczu i zastąpił szkła kontaktowe okularami. Narzekał na utratę apetytu na jedzenie i życie w ogólności, zgubił więc dziesięć kilogramów, które zebrały mu się w miękki wałek na brzuchu, kiedy gotował z książek Panelli.

Dotąd zawsze się golił, ale teraz zarzucił dbałość o higienę osobistą i po maszynkę sięgał co kilka dni. Okazało się, że jego zarost ma nieoczekiwany rudawy kolor, więc tylko bliscy znajomi, a nie było ich wielu, rozpoznaliby go nieogolonego i w okularach.

Przygotował się dobrze, a we wtorek rano wprowadził swój plan w czyn.

Zdjął z kostki opaskę elektroniczną, co podobno było niemożliwe, ale okazało się proste. Z dwudniowym rudawym zarostem, z plecakiem rzeczy, które przez ten czas podkradał, wyskoczył z okna sypialni na pierwszym piętrze i pieszo dotarł do najbliższej autostrady.

Generalnie ludność Tennessee, Missisipi i Luizjany była przyjazna. Jakiś świr mógłby zrekompensować sobie urazy masową rzezią nieznanym, Josh natomiast w ucieczce liczył na dobroć ludzi i pomoc w uniknięciu ponownego schwytania.

I rzeczywiście niemal od razu zatrzymał pikapa prowadzonego przez starszego gościa, który wioził do domu sforę psów myśliwskich z miesięcznego

szkolenia w Georgii. Psy co rusz ujadły w kojcach, a Josh poznał więcej faktów na temat rasy bluetick, niż kiedykolwiek go to interesowało.

Rozstał się z psiarzem w Greenwood w stanie Missisipi, gdzie w toalecie męskiej na stacji benzynowej zrobił sobie zmywalny tatuaż na karku. Włożył okulary przeciwsłoneczne oraz znoszoną bejsbolówkę, którą zwędził ze skrzyni organizacji dobroczynnej w trakcie zakupów ze strażnikami. Tak przebrany, poszedł do centrum miasta i wkroczył w nieopisany chaos w zatłoczonym pośredniaku.

Resztę dnia spędził na wypełnianiu niezliczonych formularzy informacjami, które na bieżąco wymyślał. Zniecierpliwieni i obojętni urzędnicy przynosili go z dziesiątkami innych ludzi z jednej długiej kolejki do drugiej. To była doskonała kryjówka.

Po zamknięciu biura Josh wyrzucił stos formularzy do najbliższego kosza na śmieci i w innej toalecie męskiej zmył tatuaż oraz się ogolił, choć nie gładko, zostawił jednodniowy zarost. Poszedł do motelu kilka przecznic dalej i zameldował się pod fałszywym nazwiskiem, używając karty kredytowej, którą udało mu się przeszmygłować, kiedy zabierano go z Nowego Orleanu.

Przez większość wtorkowego wieczoru skakał po kanałach telewizyjnych. W żadnych wiadomościach nie było wzmianki o jego ucieczce. Uznał, że pewnie biuro szeryfów federalnych nie zamierzało informować opinii publicznej, że spieprzyło sprawę. Organy ścigania będą go szukać, ale miał nadzieję, że teraz bardziej niż kiedykolwiek wtopi się w otoczenie.

To nie powinno być takie trudne. Nigdy nie zależało mu na zwracaniu na siebie uwagi. Wręcz przeciwnie, przez większość życia robił co w jego mocy, by uniknąć zainteresowania innych ludzi. Był tak wprawiony w kreowaniu własnej niewidzialności, że bez problemu powinien się prześlizgnąć przez pęknięcia życia codziennego.

Mimo to uznał, że woli być ostrożny niż złapany, dlatego postanowił, że w tym motelu spędzi jeszcze dwie doby, potem się przeniesie.

W piątek rano włożył znoszone ubranie bezrobotnego, nie zrobił tatuażu, za to szczerze wysmarował włosy brylantyną, przez co kosmyki wystające spod czapki wydawały się ciemniejsze niż w rzeczywistości. Na autostradzie zabrał go kierowca wielkiej ciężarówki z przyczepą, który głosił mu kazania o chytrych sztuczkiach diabła, o tym, jak je dostrzegać i jak nie wpaść w pułapkę.

Josh śmiał się pod nosem i myślał: „Gdybyś tylko wiedział”.

Odmówił przyjęcia chrztu, ale obiecał, że się nad tym zastanowi, i wysiadł na skrzyżowaniu dwóch stanowych autostrad w pobliżu granicy Missisipi z Luizjaną. Pieszko zawrócił do sklepu z wyposażeniem marynarki wojennej, który wcześniej minęli. Dokonał zakupu i zameldował się w pobliskim hotelu.

To tam jego zadowolenie z siebie zmieniło się w niepokój.

Minęła mu ochota na śmichy-chichy. Krążył po małym pokoju, ze strachem czekając, aż wydarzy się coś nieprzyjemnego. Podskakiwał przy każdym odgłosie. Na widok zbliżających się reflektorów wstrzymywał oddech, dopóki samochód nie pojechał dalej.

Z kolejnymi godzinami jego paranoja przybierała na sile i zaczął się martwić, że jednak nie był tak niewidzialny, jak sądził. Może wcale nikogo nie przechytrzył? Czy napotkani po drodze ludzie zapamiętali go i przekazali rysopis policji? I teraz gliniarze są już blisko?

W głowie wirowały mu okropne scenariusze aresztowania, procesu i odsiadki, wszystkie szeroko omawiane w mediach. Pokój przypominał więzienną celę.

W stanie głębokiego niepokoju spakował swój mizerny dobytek i włożył mundur khaki ze sklepu wojskowego. Opuszczając motel, usiłował nie oglądać się za siebie, ale trudno mu było oprzeć się temu impulsowi.

Mimo że do świtu pozostało kilka godzin, kierowcy ciężarówek nie próżnowali. Trzeci z kolei zatrzymał się i zaprosił go do środka. Josh niemal od razu tego pożałował. Zależało mu na spokoju i ciszy, bo chciał się zastanowić, ale kierowca był hałaśliwy i snuł bogate w szczegóły opowieści o szalonych (i jak podejrzewał jego pasażer, fikcyjnych) kontaktach z niezliczoną rzeszą kobiet.

Josh się wyłączył, pogрузzył w smętnej zadumie i starał się nie krzyknąć na faceta, żeby się zamknął.

Musi wytrzymać do chwili, gdy dotrą do celu. Koniecznie musi się tam dostać! Jak na własne oczy zobaczy, że wszystko jest w porządku, z nim także wszystko będzie w porządku.

Kiedy wjechali do wschodniej Luizjany, poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się w zatoczce. Josh poczekał, aż ciężarówka zniknie mu z oczu, i poszedł wzdłuż wiejskiej drogi do sklepu całodobowego. Potrzebował podstawowych artykułów w ilości, która się zmieści w plecaku i pozwoli mu przetrwać do wprowadzenia etapu drugiego ucieczki.

Pośpiesznie zrobił zakupy i zaniósł je do kasy. Pamiętał o kamerach bezpieczeństwa, więc głowę trzymał schyloną, dzięki czemu daszek przysłaniał mu twarz.

– To wszystko, skarbie? – zapytała kasjerka z przyjaznym uśmiechem.

– Tak, dziękuję.

– A może kawę na drogę?

– Nie trzeba.

Nagle uwagę Josha od błękitnego cienia na powiekach kasjerki oderwał telewizor za jej plecami. A konkretnie twarz jego siostry Jordie wypełniająca ekran za plecami kobiety.

Na dole widniał podpis *Jordan Bennett* oraz czerwony nagłówek *OBAWA*

PORWANIA.

Josh momentalnie się spocił, nogi się pod nim ugięły.

– Zmieniłem zdanie – powiedział do kasjerki i ze stosu na ladzie wziął kupon na loterię. – Niech pani to dopisze.

Skupił się, by powstrzymać dłoń przed dygotem, kiedy długopisem zaznaczał chwiejne cyfry, a równocześnie ukradkiem zerkał na wiadomości nadawane ze studia w Nowym Orleanie.

Fotografię Jordie zastąpił film z miejsca zbrodni ogrodzonego żółtą taśmą. Na dole ekranu pojawił się nowy podpis: *Na żywo z gminy Terrebonne*. W tle za reporterem stojącym tuż przed mizerną barykadą Josh rozpoznał lexusa Jordie.

Do sklepu wszedł nowy klient, kasjerka powitała go jak dobrego znajomego. Josh z pochyloną głową starannie wypełniał kupon, śledząc przy tym to, co działo się na ekranie.

– Słyszałaś o tym? – zapytał klient. Josh kącikiem oka zobaczył, że dłonią wskazuje telewizor. – Podkręć.

Josh udawał obojętność, ale nasłuchiwał każdego słowa. *Zabójstwo. Prawdopodobne uprowadzenie. Detektywi*. Reporter podkreślał każde określenie, aż w końcu Josh musiał z całych sił powstrzymać się od krzyku. Relacja kończyła się tak:

– Na tym etapie policja ma więcej pytań niż odpowiedzi, jeśli chodzi o to brutalne morderstwo. Nasz zespół dowiedział się jednak, że w obszarze zainteresowania znalazł się pewien człowiek. – Ekran wypełniło zdjęcie policyjne. – Shaw Kinnard przyszedł z ofiarą do baru i razem go opuścili. Prawdopodobnie ponosi odpowiedzialność nie tylko za zabójstwo, ale też zniknięcie pani Bennett. Uważa się go za uzbrojonego i niebezpiecznego. Każdy, kto ma jakieś informacje na jego temat, proszony jest o kontakt z najbliższym posterunkiem policji. Rzecznik Extravaganzy, firmy należącej do pani Bennett, wyraził troskę...

Kasjerka pilotem zmniejszyła głośność.

– Założę się o wszystko, że stoi za tym Billy Panella. Tak się mści na Joshu Bennecie – zauważył klient.

Kasjerka kiwnęła głową.

– Znajdą ją dopiero wtedy, gdy ktoś wyłowi jej ciało z mokradeł.

Mężczyzna ruszył ku szafie chłodniczej z nabiałem.

– A tymczasem braciszek sprytnie się wywinął – mówił po drodze. – Jeśli stanie się jej krzywda, powinni tego sukinsyna zakuć w kajdany i zamknąć w pierdolonym lochu.

Joshowi zaczęło szumieć w uszach. Z trudem panował nad oddechem. Jordie porwano?

– Te wygrają?

Każdy mięsień w ciele Josha się napiął, kiedy sobie uświadomił, że kasjerka

mówi do niego. Uśmiechnął się z wysiłkiem i podał jej kupon.

– Taką mam nadzieję.

Podliczyła jego zakupy. Zapłacił gotówką; wydawało się, że kobieta w nieskończoność pakuje rzeczy do torby. Kiedy wreszcie skończyła, podziękował i ruszył do drzwi.

– Miłego dnia! – zawołała za nim.

Zwiewał z miasteczka, jakby go gonili. Szedł wzdłuż autostrady, aż zobaczył ścieżkę skręcającą w las. Przemierzył nią co najmniej sto metrów, a gdy dotarł do polany, rzucił torbę, zdjął plecak i padł na skręcone korzenie gigantycznego dębu. Wytarłszy okulary, oparł czoło o zgięte kolana i dyszał ciężko przez usta.

Słowa z wiadomości atakowały go niczym zjawy w nawiedzonym domu.

...brutalne...

...Mickey Bolden, podejrzany w licznych nierozwiązanych sprawach zabójstw...

...uzbrojony i niebezpieczny...

...brat pani Bennett, Joshua Bennett, został oskarżony o...

...Billy Panella i Joshua Bennett rzekomo...

...został informatorem prokuratury federalnej...

To były straszne wiadomości. Okropne!

Szum w jego uszach przybrał na sile, a teraz dołączyło się też szybkie bicie serca niczym werbla. Z nosa coś ciekło. Był lepki od potu i miał atak klaustrofobii. Zbierało mu się na wymioty i kręciło w głowie. Skóra na plecach napięła się w znajomy, ciasny, nieustępliwy łuk.

Jordie porwana? To nie może być prawda. Po prostu nie może. Ludzie z telewizji coś źle zrozumieli. Nie uwierzy, dopóki nie usłyszy tego od samej Jordie.

Gończkowo rozpiął plecak i wyjął komórkę, którą zwędził jednemu ze strażników w pierwszym tygodniu przebywania w bezpiecznym domu. Tygodniami słyszał, jak szef opieprza swoich podwładnych, że ją zgubili. Josh zastąpił kartę SIM nową i niemożliwą do wyśledzenia, którą przesznułował w podszewce płóciennego worka.

Wprawdzie znalazł komórkę, ale bateria gdzieś się zawieruszyła. Z coraz większą desperacją wysypał zawartość plecaka na ziemię, po czym grzebał w ubraniach i najróżniejszych przedmiotach, rozrzucając je na wszystkie strony jak tornado, aż wreszcie trafił na baterię. Niezgrabnie, łykając z trudem powietrze i mruganiem powstrzymując pot od zalania mu oczu, jakimś cudem ją włożył. Kiedy usłyszał sygnał, zaczął wybierać numer Jordie.

Nagle jakiś głos krzyknął w jego głowie: Zwariowałeś?

Przerwał nerwowe poczynania i się zastanowił.

Niezależnie od tego, czy Jordie żyje, czy nie, to nie ona odbierze telefon.

Zrobi to ktoś inny. Pewnie porywacz. Niewykluczone, że policja. Ktokolwiek to będzie, zapyta go o nazwisko. I co wtedy odpowie? „Mówi jej brat. Ten, który przechytrzył bezwzględnego Billy’ego Panellę i federalnych. Ten, który od wtorku jest zbiegiem. Może o mnie słyszałeś?”

Po chwili myśląc już rozsądniej, oparł się o gruby pień, zamknął oczy i zmusił się do głębokich, regularnych oddechów. Minęło kilka minut. Przestał się pocić. Serce mu zwolniło. Z nosa przestało cieknąć, ustąpiły nudności.

Opanował się.

Otworzył oczy, znalazł okulary pośród rozrzuconych na ziemi rzeczy i włożył je. Jakby były wyposażone w magiczne szkła, zaczął postrzegać sytuację z nowego punktu widzenia, to znaczy z punktu widzenia Billy’ego Panelli.

Gdy pracował z nim ręką w rękę, nienawidził go do szpiku kości, ale z czasem zaczął podziwiać władzę Panelli. Nikomu nie trzęsły się kolana na dźwięk nazwiska Josha Bennetta, wystarczyło jednak szepnąć „Billy Panella” i dorośli mężczyźni się moczyli. Josh zazdrościł mu tej potęgi.

Kiedy zdarzało się coś nieoczekiwanego, Josh na własne oczy oglądał wybuch legendarnego temperamentu Panelli. Ale widział też, że tamten szybko się uspokajał i z zimną krwią załatwiał sprawę. Nigdy nie pozwolił, żeby panika albo strach przeszkodziły mu w osiągnięciu celu.

Josh postanowił, że także nie pozwoli, by te uczucia nim owładnęły.

Pewną już ręką wyjął baterię z telefonu i schował oba przedmioty do plecaka. Nie zadzwoni do Jordie. Nawet jeśli jakimś cudem mógłby z nią porozmawiać, to co właściwie miałby jej powiedzieć?

Panella zagroził, że jeśli Josh go zdradzi, załatwi najpierw ją. Czy Josh sumiennie nie przekazał jej tego ostrzeżenia?

Owszem. Wiele razy.

Powinna była go posłuchać i zachować większą ostrożność. Jordie do nikogo nie może mieć pretensji o los, który ją spotkał, tylko do siebie.

A on musi myśleć o tym, co jest najlepsze dla niego.

Rozdział 11

Jordie odsunęła się od Shawa, ale nie było ucieczki przed jego hipnotyzującym spojrzeniem.

Kiedy sobie uświadomiła, że nabiera powietrza przez usta, zacisnęła je, choć przetrawiając ten niepokojący obrót wypadków, oddech nadal miała nierówny.

Co Josh sobie myśli?

Sporo ugrał z federalnymi, o wiele więcej, niż liczyła. Ostro się targował i prokurator w końcu dał mu pełną nietykalność w zamian za zeznania przeciwko Billy'emu Panelli. A mimo to brat zwiął. To się nie mieściło w głowie.

Nie mieściło się, prawda?

Przez zmrużone powieki spojrzała na porywacza, który nadal się nad nią pochylał i wywierał presję, nie dotykając jej.

– Ty draniu, morderco i łgarzu. Dlaczego miałabym wierzyć w jakiegokolwiek twoje słowo?

– To nie jest kłamstwo.

– Nie? W takim razie powiedz mi coś, co mnie przekona, że to prawda.

– Twoje serce nadal bije.

Oznajmił to bez namysłu, spokojnie. Prosty fakt. Gdyby nie Josh, już byłaby martwa. Tamten człowiek dawno temu by ją zabił.

– W chwili śmierci twoja wartość spada do zera. Żywa jesteś kartą przetargową.

– W negocjacjach z Panellą.

– I twoim bratem.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– Wybij sobie z głowy pomysł, że Josh ma pieniądze. Albo że w ogóle wie, gdzie są. Gdyby miał, oddałby je, kiedy...

– ...przehandlował swoją duszę, stając się kapusiem?

– Uratował swoją duszę, postępując właściwie.

– Uratował duszę, akurat. Wszystko, co robi święty Josh, ma na celu jego własny interes. Ale teraz wpadł w prawdziwe bagno. Złamał umowę z federalnymi. A jakby tego było mało, wystawił ich na pośmiewisko, robiąc w konia. Jeśli go złapią, obciążą wszystkim. Resztę życia spędzi w więzieniu. Ale niech się modli, żeby oni złapali go wcześniej niż Panella. Ponieważ Panella wyrwie twojemu bratu kłamliwy język, rozetnie mu brzuch, wrzuci go do zatoki i uderzy w gong, by wezwać rekiny na obiad. Tak czy owak już po Joshu. Chyba że ja dorwę go pierwszy.

Jordie bała się, że przewidywania Shawa dotyczące przyszłości jej brata niezbyt mijają się z prawdą.

– A jeśli ty dotrzesz do niego pierwszy, to co?

– Przekonam go, że w jego najlepszym interesie jest oddać mi część brudnego łupu. Zrobi to i wszyscy zadowoleni wrócimy do domu. No, mówiąc ściśle, nie do domu. Ale rozumiesz, o co mi chodzi.

– Taki masz pomysł?

– Cholernie dobry, gdybyś mnie pytała.

Przycisnęła palce do czoła i potarła miejsce między brwiami.

– To marny pomysł, panie Kinnard. Oparty na wyłącznie błędnych spekulacjach. Josh nie ma pieniędzy, żadnych pieniędzy. Założmy jednak, że wypchał nimi kieszenie, to w tej chwili może być gdziekolwiek w kraju. Jak zamierzasz go wysledzić?

– Nie będę musiał. Sam do mnie przyjdzie, ponieważ mam ciebie. – Posłał jej krokodyli uśmiech. – Wcześniej czy później dowie się o twoim porwaniu.

– Założy, że nie żyję.

– Pewnie tak. Chyba że wyprowadzisz go z błędu.

– Niby jak?

– W taki sam sposób, w jaki przez cały czas się z nim kontaktowałam.

Roześmiała się głośno.

– Odkąd wzięli go federalni, nie miałam kontaktów z bratem. Zero. – Palcami utworzyła kształt koła. – To był jeden z warunków układu z rządem.

Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

– Dobra, możesz wierzyć, w co chcesz – powiedziała. – To nie zmienia faktów. Nie wiem, gdzie przez ostatnie pół roku przetrzymywano Josha, i nie wiem, jak się z nim skontaktować. Kropka. Koniec dyskusji.

– Cholernie się mylisz. Rozmawiamy o twoim braciszku, którego chroniłaś przed śliskimi schodami i zardzewiałymi gwoździami. Mówisz mi, że nie przybiegł do ciebie z płaczem, gdy we wtorek umknął przed wielkim brzydkim Wujem Samem?

– Taka jest prawda.

– Nie wiedziałaś, że uciekł?

– Nie! Dopiero ty mi powiedziałaś.

Bardziej się nachylił.

– Nawet gdybym uwierzył, że nie odezwał się do siostry przez ostatnie cztery dni, a nie wierzę, FBI rzuciłoby się na ciebie jak kaczką na chrabąszcza. Jak zrobił to Billy Panella. Chcesz Josha Bennetta, a nie umiesz go znaleźć? Łatwizna. Pilnuj jego siostry, najbliższej krewnej, pierwszej i jedynej osoby, do której pędzi, kiedy ma kłopoty.

– FBI nie powiadomiło mnie o jego ucieczce.

Wpatrywał się w nią, jakby próbował strachem zmusić ją do powiedzenia prawdy, co Jordie zdenerwowało, bo nie była dobrą kłamczuchą.

Prawda, agencja nie poinformowała jej oficjalnie o zniknięciu Josha. Ale mogli ją śledzić na wypadek, gdyby brat się u niej pojawił.

Kiedy wczoraj wieczorem wychodziła z domu, zauważyła reflektory w lusterku wstecznym. Zachowywały stałą odległość od jej samochodu, gdy jechała przez miasto. To mógł być przypadek, ale wpadła już w taką paranoję, że na bocznych drogach zgubiła tamto auto.

Nie zamierzała jednak zwierzyć się z tego Kinnardowi.

Dokładała natomiast starań, by zachować obojętną minę. W końcu ustąpił i wyprostował się, dzięki czemu zostawił jej wolną przestrzeń. Usiadła i po raz pierwszy od dziesięciu minut była w stanie wziąć głęboki wdech.

– Mylisz się co do Josha i skradzionych pieniędzy – powiedziała. – Ma je Billy Panella, wszyscy o tym wiedzą. Zdeponowane gdzieś za granicą.

– I poleciał na uroczą randkę ze swoimi milionami?

– Czy to nie brzmi logicznie?

– Całkowicie. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Skoro Panella onanizuje się na stosie pieniędzy, to dlaczego tak go zdenerwowało zniknięcie Josha?

– Nie wiem. Może... może... – Nie skończyła.

– Hm? O co chodzi? – Dał jej sekundę, by coś dodała, a kiedy tego nie zrobiła, powiedział: – Mickey mówił, że Panella chciał cię zabić, żeby przesłać Joshowi wiadomość. Nie zapomniał ani nie wybaczył twojemu bratu, że ten go zdradził. To jest zemsta w stylu mafii, Jordie. Panella rozumuje tak: „Zakabłuj mnie, a ja wyrznię ci rodzinę, najlepiej na twoich oczach”.

Nie potrzebowała wykładu o metodologii Panelli. Doskonale ją sobie przyswoiła.

Josh pracował w małej firmie inwestycyjnej, kiedy wypatrzył go Panella i złożył mu ofertę. To nie była dobrana para: Panella w sztych na zamówienie garniturach i z nawijką sprzedawcy cudownych leków na wszystko oraz jej nieśmiały, wstydlivy, towarzysko niewyrobiony brat. Tamten potrzebował genialnego umysłu Josha, toteż dość szybko uwiódł go pochlebstwami i obietnicą bogactwa. Wtedy jednak Panella wprowadził to, co w oczach Jordie było niezdrowymi relacjami w pracy. Gniewało ją i mdliło, gdy widziała, jak ten facet przejmuje kontrolę nad jej bratem, wykorzystując jego słabości i kompleksy czasami w sposób graniczący z sadyzmem.

Niepokojące były też plotki o zaangażowaniu Panelli w inne przedsięwzięcia. Błagała brata, by przejrzał na oczy i zobaczył faktyczny obraz tego człowieka. W najlepszym wypadku manipulującego tyra. W najgorszym człowieka podstępnego, ponoć kryminalisty, któremu nie można ufać. Swoim

zwyczajem Josh się uparł i nie słuchał ostrzeżeń, podając zazdrość jako powód niechęci Jordie do jego szefa.

Poczuła niemal ulgę, kiedy domek z kart, który zbudowali Josh i Panella, ostatecznie się rozpadł. Chociaż przygniótł Josha. Jego udział w przestępstwach nie podlegał kwestii, więc gdy FBI dało mu szansę zostania informatorem, namawiała brata, żeby zawarł z nimi umowę.

Panella miała kilka powodów, by nie cierpieć Jordie, ale gdy uświadomił sobie, że Josh bez namowy siostry na pewno by nie skapitulował, został jej zaprzysięgłym wrogiem, a jak należało sądzić na podstawie krążących na jego temat plotek, wrogów nie traktował dobrze.

Po tym, jak Josha zamknięto w bezpiecznym domu i Panella przypuszczalnie wyjechał z kraju, Jordie była bardzo ostrożna, bała się bowiem, że ten typ zemści się na Joshu, robiąc krzywdę jej. Zresztą brat wspomniał o takiej możliwości, kiedy próbował się wykręcić od układu z FBI.

– Ciebie też zabije – lamentował. – Sam tak powiedział.

Czas jednak mijał i nic się nie działo, więc jej czujność osłabła. Dopiero kiedy wczoraj wieczorem zobaczyła zbliżających się Shawa Kinnarda i Mickeya Boldena, rozumiała, że brat wcale nie tragizował. Jego ostrzeżenia były słuszne.

Usiłując ukryć przed swoim porywaczem niepokój, powiedziała:

– Panella miał pół roku na zemstę. Dlaczego teraz?

– Dobrze wiesz, dlaczego – odparł cicho Shaw. – Panella wykonał ruch w odpowiedzi na ruch Josha. Może zna twojego brata lepiej niż ty. Może wykombinował, że Josh bawi się z federalnymi. Czekał spokojnie, a kiedy Josh zrobił dokładnie to, czego tamten się spodziewał, wprowadził w czyn od dawna przygotowany plan.

– Co wiem?! – wykrzyknęła Jordie. – Nic nie wiem.

– Najwyraźniej Panella uważa inaczej.

– To się myli.

– Według Mickeya po zniknięciu Panelli nieźle cię przetrzepali.

Kiwnęła głową, wspominając nużące sesje.

– FBI przesłuchiwało mnie przez kilka tygodni. Nic im nie mogłam powiedzieć, bo nic nie wiedziałam.

– Uwierzyli ci?

– Oczywiście.

Parsknął z niedowierzaniem.

– Dlaczego oczywiście? Z powodu twojej szczerzej twarzy? A może ich oszołomiłaś, odgrywając Sharon Stone w sali przesłuchań?

Wściekła zerwała się na równe nogi.

– Usiądź. – Położył dłoń na jej piersiach i pchnął ją na maskę.

Złapała go za przegub i oderwała jego rękę od siebie.

- Mówiłam FBI prawdę i mi uwierzyli.
- Może. Ale Panella musiał wariować na myśl, że nawet przypadkiem mogłaś chlapnąć coś, co narazi na niebezpieczeństwo jego sprytnie przygotowaną ucieczkę.
- Nie.
- Przez ciebie się denerwował, Jordie. Z jakiego innego powodu zatrudniłby dwóch ludzi, żeby definitywnie cię uciszyli? Panella zlecał Mickeyowi pozbycie się szkodników wiele razy, i to za mniejsze przewiny niż pogawędka na jego temat z federalnymi.
- Cóż, dopilnowałeś, żeby Mickey dłużej mi nie zagrażał, prawda?
- Panella ma innych chętnych. Gotów jest też zrobić to osobiście. W gruncie rzeczy sprawiłoby mu to przyjemność. Oko za oko? – Shaw parsknął śmiechem. – Zestaw startowy Panelli.
- To są plotki – oznajmiła wbrew temu, co myślała przed chwilą. – Przesada. Pogłoski rozpuszczane przez ludzi, którzy chcieliby powoływać się na bliższą znajomość z nim teraz, kiedy stał się sławnym zbiegiem.
- Plotki, co? W takim razie kim jesteście my z Mickeyem? Wytworami wyobraźni? – Nie czekał na odpowiedź. – Sam nawiązałem kontakt z Mickeyem Boldenem, ponieważ nawet płatni zabójcy gadają ze sobą i w naszym kręgu krążyła wieść, że Panella dobrze płaci. Jeśli sądzisz, że jego jedynym przestępstwem jest kradzież oszczędności życia ciężko pracujących ludzi, to sama się oszukujesz.
- Josh wygłaszał mgliste aluzje do „siły perswazji” Panelli, ale nie wchodził w szczegóły, a ona nie pytała, ponieważ nie chciała, by jej podejrzenia co do nikczemnej strony osobowości Panelli się potwierdziły. Nie miała zamiaru zwierzyć się z tego Kinnardowi, który malował przerażający obraz, mając na względzie własny cel.
- O sprawach Panelli wiem tylko tyle co wszyscy. Ukradł trzydzieści milionów dolarów i zniknął.
- Nie całkiem zniknął. Nie dalej jak wczoraj wieczorem Mickey rozmawiał z nim przez telefon.
- Mógł być w jakimkolwiek miejscu na świecie. Szwajcaria. Katmandu. Ameryka Południowa.
- Owszem. – Na czole Shawa pojawiły się dwie pionowe bruzdy. – Ale gdyby Panella był w Ameryce Południowej, mając do dyspozycji trzydzieści milionów, leżałby na plaży i dziewczyny w skąpych bikini robiłyby mu loda, a siostra księgowego, który został kapusiem, nawet nie przyszlaby mu na myśl. Gdyby dobrał się do tych pieniędzy, zerwałby wszelkie związki ze starymi Stanami i ludźmi, którzy tu mieszkają. A on ma obsesję. Nie chciał, żebyś z tamtej knajpy wyszła żywa, i przewiduję, że kompletnie mu odbije na wieść, że nie zginęłaś. Dlaczego nadal się tym tak przejmuje? Bo cierpi na paranoję – ciągnął Shaw. –

Mickey mówił, że gość stosuje syntetyzator mowy do zniekształcania głosu. Gdyby był w Szwajcarii albo Katmandu, po co zaprzętałyby sobie tym głowę? Rozumiesz, Jordie, do czego zmierzam? Gdyby gdzieś się byczył, zapalając cygara studolarówkami, gównem by go obchodziło, że Josh się przyczał. Ale jest odwrotnie, wtorkowa ucieczka twojego brata bardzo go rozgniewała. Zrobił się drażliwy i wredny.

Starła się nie okazać, jaki niepokój budzi w niej myśl o rozgniewanym, drażliwym i wrednym Panelli. Nie wróżyło to dobrze Joshowi.

– Jak w ogóle mógł się dowiedzieć, że Josh uciekł? W wiadomościach nic o tym nie mówili.

– Mogę się założyć, że FBI jest porządnie wkurzone, że ich główny świadek zerwał umowę, ale nie zamierzają ogłaszać w telewizji, że księgowy wymknął im się z rąk.

– W takim razie skąd Panella o tym wie?

– Pytałem Mickeya. Twierdził, że nie wie, i może faktycznie nie wiedział. Podejrzewam, że Panella ma kreta w organach ścigania. Musiał skorzystać z pomocy, żeby uciec. Fałszywe dokumenty. Prywatny samolot. Mógł rozdawać mnóstwo łapówek, mając te miliony.

– Powiedziałeś, że ich nie ma.

– Nie całość, ale na pewno zachował milion albo dwa na bieżące wydatki.

– Jak twoje honorarium.

– Właśnie. Dwieście kawałków minimum. – Położył dłonie na kolanach i schylił się, zrównując się z jej twarzą. – Ale nie musisz się bać, że cię ukatrupię, jeśli tylko mi powiesz, gdzie jest twój brat.

– Znowu do tego wracamy?

– Gdzie on jest, Jordie?

– Jak wyraźniej mam ci to powiedzieć? Nie wiem.

– Wyświadczyć sobie przysługę. Nie ukrywaj tego przede mną.

– Nic nie ukrywam.

– Cztery dni i Josh w żaden sposób nie nawiązał z tobą kontaktu?

– Nie.

– Wiadomość w butelce, sygnały dymne, atrament sympatyczny?

Nie odpowiedziała na to pytanie.

– Dlaczego byłaś w tamtej knajpie? – szepnął, zbliżając się do niej.

Serce jej podskoczyło. Niech go szlag, nie zapomniał o tym. Nie ufała swojemu głosowi, nic więc nie powiedziała.

Uśmiechnął się złośliwie.

– Nie spodziewałaś się chyba, że tam będzie Josh, co?

Odwróciła głowę na bok. Powtórzył jej ruch, a kiedy znowu ją odwróciła, złapał jej twarz w dłoń.

– Czy Mickey i ja zepsuliśmy wzruszający zjazd rodzinny?

Zamknęła oczy, żeby nie widzieć bezwzględnej determinacji w jego spojrzeniu. A także nie pozwolić mu na odczytanie najmniejszych wskazówek w swoim.

– Gdzie jest twój brat, Jordie?

Wywinęła wargi, odmawiając odpowiedzi.

– Bądź sprytna i powiedz. Panella mi zapłaci, żebyś mnie zabił. Josh mi zapłaci, żebyś tego nie zrobił.

– I tak mnie zabijesz.

– Nie. Przysięgam.

Jego kpiący ton rozgniewał ją. Złapała go za przeguby, wbijając mu paznokcie w skórę.

– Przestań! Nie chcę cię skrzywdzić.

– Ale ja chcę skrzywdzić ciebie.

– Piekielnie boli.

– Więc mnie puść!

– Zrobię to, jak tylko mi powiesz, gdzie jest twój brat.

– Nie mogę – wydusiła przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem.

– Ostatnia okazja. Więcej nie zapytam. Powiedz albo nie zostawisz mi innego wyboru jak załatwić do końca interes z Panellą. Bo wiesz, w tę robotę zaangażowałem mnóstwo czasu i wysiłku. Dzięki niej trafię na szczyt listy płac. Wykluczone, żebyś odszedł z pustymi rękoma.

Otworzyła oczy, by ocenić jego determinację, i na widok tego, co zobaczyła, przeszedł ją dreszcz. Uznała, że równie dobrze może go sprowokować.

– W takim razie przypuszczam, że będziesz musiał mnie zabić.

Oboje jednakowo nieustępliwie patrzyli sobie w oczy do chwili, gdy w kieszeni jego koszuli zadzwonił telefon.

Rozdział 12

Joe wszedł do domu przez kuchenne drzwi, rzucił na stół teczkę, którą przyniósł z biura, później ze znużeniem zdjął pomietą marynarkę i powiesił na haczyku przy drzwiach. Kaburę z paskiem na ramię położył na kredensie, poza zasięgiem dzieci.

– Ktoś tu jest? – Otworzył lodówkę i zdecydował się na sok pomarańczowy.

Marsha przyłapała go na picciu prosto z kartonu.

– Dzieci wiedzą, że tak się nie robi.

– Wiedzą, jak nie dać się złapać. – Opróżnił karton i postawił na blacie obok wielkiej dyni. – Co to jest?

– Nazywają to dynią.

Joe spojrzał na nią.

– Na zabawę. Muszę narysować na niej twarz. – Pokazała mu czarny marker, który ze sobą przyniosła.

– Gdzie są dzieci?

– Na górze. Molly się kąpie, Henry już się ubrał i gra na komputerze w swoim pokoju.

– Nie rozrabiali?

– Rano o mało się nie pozabijali, tak się kłócili, czyja kolej na wyjęcie naczyń ze zmywarki.

– Kto wygrał?

– Ja.

Joe uśmiechnął się, odsunął krzesło i na nie opadł.

– Jak tam *Top Gun*?

– Goose za każdym razem ginie.

– Wino?

– Może powinnam się szarpnąć na butelkę za osiem dolarów.

– Z popcornem wszystko da się wypić.

– Zrezygnowałam z masła. Robię się tłusta.

Przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach.

– Masz kobiece okrągłości – powiedział, gładząc ją po biodrze.

– Nawet dżinsy mamy są trochę za ciasne.

– Lubię obcisłe. Pokochajmy się.

– Dzieci mogą w każdej chwili tu wejść, a jeszcze muszę narysować tę twarz na dyni.

– To zajmie sześćdziesiąt sekund.

– Dynia czy seks?

Roześmiał się.

– Wziąwszy pod uwagę, jaki jestem wykończony, mogę potrzebować więcej czasu.

Marsha z troską dotknęła jego twarzy.

– Wyglądasz na wyczerpanego. Co się dzieje?

– Joshowi Bennettowi znudziła się gościnność podatników i zwiął. – Gdy odebrało jej mowę, dodał: – Nie ogłaszaj nowiny przez megafon na zabawie. Jeszcze nie podaliśmy tego do wiadomości. Miałem nadzieję, że go wcześniej złapiemy.

– Wielkie nieba, jak mu się to udało?

– Nie pojawił się na śniadaniu. Szeryfowie poszli sprawdzić. Pokój pusty, łóżko pościelone.

– Myślałam, że miał opaskę elektroniczną na kostce.

– Sprytny mały gnojek ją zdjął. Leżała w łazience. To było we wtorek. A wczoraj wieczorem... – Joe opowiedział jej o tym, co się wydarzyło od pierwszego telefonu Hicka. – Uzgodniliśmy, że zrobimy sobie krótką przerwę, potem wracamy do roboty. Teraz, kiedy siostra Josha Bennetta zaginęła i zrobił się cały ten bałagan, chyba będę musiał zmienić zdanie i ogłosić jego ucieczkę. Tak czy owak nie mogę z wami pójść. Przepraszam.

– W porządku. – Poglądziła go po głowie. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak bardzo go zżera sprawa Billy’ego Panelli.

Przez trzy lata Panella sprytnie przekonywał klientów swojej firmy inwestycyjnej do lokowania pieniędzy w fałszywe akcje, obligacje miejskie, leki na raka, przyjazne środowisku badania nad energią, kurorty i luksusowe osiedla dla seniorów, nawet hodowle krewetek i sumów, z czego absolutnie wszystko istniało wyłącznie na papierze.

Dzięki genialnemu talentowi Josha Bennetta do liczb oraz zonglowania pieniędzmi Panella wyłudził trzydzieści milionów z groszami. Biznes przez pewien czas się kręcił, bo od czasu do czasu wypłacał dywidendy i wciąż obiecywał przyszłe niebotyczne zyski.

Których oczywiście nie było. Dywidendy malały, nieznacznie rosły tylko wtedy, gdy większa liczba klientów składała skargi w Urzędzie Ochrony Konsumenta, Komisji Nadzoru Finansowego i tak dalej, aż wreszcie w wydziale Joego wylądowała gruba teczka i ten rozpoczął zakrojone na szeroką skalę, acz dyskretne śledztwo w sprawie Panella Investments Group.

Po miesiącach badań Joe z Hickiem doszli do wniosku, że w tym partnerstwie słabym ogniwem jest Josh Bennett. Poszli do niego, oznajmili, że przekręt, który zrobił razem z Panellą, nie udał się, i zaproponowali złagodzenie zarzutów w zamian za dowody i zeznania obciążające Panellę.

Josh Bennett zażądał pełnej nietykalności i po długim przerzucaniu się paragrafami prokurator federalny zgodził się na jego warunki. Joego to nie ucieszyło, bo o wiele większą rybą był Panella. Podobno maczał palce w wielu brudnych sprawkach, a dzięki informacjom przekazanych przez Bennetta wydział Joego jako pierwszy potrafił postawić mu mocne oskarżenia. Zarzuty o uchylanie się od podatków i la Al Capone pozwoliłyby zakończyć brzydką karierę kryminalną i rozliczne nielegalne hobby Panelli.

Najwyraźniej jednak Panella nie był tak nieświadomy zdrady Bennetta, jak udawał. Za zaporami, które Josh pomógł mu zbudować, zdołał przemieścić stosy pieniędzy, z czego jego genialny partner w zbrodni nie zdawał sobie sprawy.

Kiedy Bennett odkrył, że konta są metodycznie opróżniane, było już za późno. Joe i Hick poszli z federalnym nakazem aresztowania do posiadłości przy St. Charles Avenue, ale zastali tylko splądrowany dom. Panella w pośpiechu uciekł.

Usłyszawszy, że jego szef jest na wolności, Josh Bennett wpadł w samobójczą depresję.

– Równie dobrze mogę sam podciąć sobie gardło – jęknął, kiedy Joe przekazał mu złą wiadomość.

Cholerne sedno tkwiło w tym, że ta ponura przepowiednia miała solidne podstawy. W kręgach stróżów prawa krążyły plotki o gwałtownym charakterze i mściwości Panelli. Nigdy nie powiązано go wprost z Mickeyem Boldenem, ale Joe był zdania, że Panella stoi za kilkoma zaginięciami oraz krwawymi zabójstwami, o które podejrzewano tego płatnego zabójcę, choć nigdy go nie oskarżono. W żadnej z tych spraw policja nie potrafiła znaleźć dowodów.

Zagrożenie, jakie Panella stanowił dla Josha Bennetta, Zdrajcy, było realne. W dniu, gdy Panella zniknął, agenci FBI niezwłocznie usunęli swojego informatora z miasteczka Dodge. Do północy przeniesiono Bennetta do bezpiecznego domu w Tennessee i umieszczono pod silną strażą.

Najwidoczniej nie dość silną.

– Przez te pół roku i osiem dni, które tam spędził, szeryfowie opisywali go jako ponurego i nadąsanego, bojącego się własnego cienia, przekonanego, że Panella go wyśledzi i każe zabić.

– Myślałam, że Panella uciekł z kraju z pieniędzmi.

– Tak się powszechnie uważa. Jednak nawet jeśli to prawda, ma gość długie ręce i Josh Bennett wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Przecież to on jako księgowy płacił Mickeyowi Boldenowi za wykonywane usługi. I tutaj nasuwa się pytanie, dlaczego zrezygnował z kryjówki i ryzykuje życie.

– Panika?

– Możliwe. Według ludzi, którzy go pilnowali, z dnia na dzień robił się bardziej nerwowy. Kompletnie mu odbiło, kiedy wpuścili do domu człowieka od klimatyzacji. Josh był przekonany, że to zabójca nasłany przez Panellę.

– Badał go psycholog?
– Kilku. IQ wysoko ponad normę, ale diabelnie paranoiczny i...
– ...nerwowy.
– Właśnie. Jak na kogoś tak bystrego zachował się jak ostatni głupek. Tą ucieczką sam sobie zaszkodził. Na pewno u nas, ale u Panelli też. Jak tamten się dowiedział, nie marnował czasu, tylko od razu nasłał płatnych zabójców na siostrę Bennetta.

– Dlaczego na nią?
– To wiadomość dla Josha. „Uciekaj, ty fałszywy skurwysynu. Zamiast ciebie zabiję twoją siostrę”.

Marsha zastanowiła się nad tym.

– Wiem, że ją z Hickiem przesłuchiwaście. Mieliście podejrzenia, że brała udział w tym przekręcie?

– Właściwie nie. Ale... – Wzruszył ramionami. – Kobiety są świetnymi oszustkami.

– Jesteśmy przebiegłe.

Uśmiechnął się i cmoknął ją w usta.

– Właśnie.

– A tego Mickeya Boldena zabił partner?

– Sukinsyn. Niejaki Shaw Kinnard. Wcześniej nie miał żadnych związków z Mickeyem. Przez pewien czas udzielał się w firmie w Nowym Orleanie handlującej bronią i narkotykami, a na boku piorącej pieniądze. W ten sposób poznaliśmy z Hickiem jego nazwisko. Niestety, nie mieliśmy okazji go przesłuchać. Zebraliśmy na niego sporo, nie było co wybrzydzać, ale ten sflaczały kutas prokurator odmówił nakazu. Brak dowodów, powiedział.

– Kinnarda wypuszczono?

– Tak. Odszedł w stronę zachodzącego słońca. Kilka miesięcy temu pojawił się na radarze FBI w El Paso. Główny podejrzany o morderstwo. Uniknął aresztowania, wymykając się do Meksyku, a tam nikt nie mógł mu nic zrobić, bo krążyły plotki, że przebywa w fortecy barona narkotkowego.

Joe zerknął na teczkę leżącą na stole. Nie pokazał Marshy przerażających fotografii, opowiedział jej tylko o dziewczynie na telefon, która wyszła z imprezy z trzema mężczyznami. Dwóch z nich znaleziono martwych.

– Jeden był gospodarzem Kinnarda, drugi szefem policji stanowej.

– Dobry Boże.

– Facet był karaluchem, zresztą druga ofiara też. Ale Kinnard zlikwidował ich z zimną krwią. Co na pewno wymagało jaj. – Joe opowiedział o pozostawieniu ciała niedaleko komendy policji i o tym, jak Shaw pomachał do kamery bezpieczeństwa w hotelu w Nowym Orleanie. – Jakby guzik go obchodziło, czy wiemy, że wrócił do miasta. Wkurzył nas na maksa – burknął na koniec.

– I on porwał siostrę Josha Bennetta?

– No, on zniknął i ona zniknęła. Nie może być dobrze.

– Nie podejrzewasz, że jest z nim w zмовie?

Joe się roześmiał.

– Ona i ten typ? Wykluczone. Jordie Bennett ma klasę. Dziewczyna z wielkiego miasta. A on to jej przeciwieństwo.

– Ludzie tak mówili o nas.

Pochylił się i wtulił nos za kołnierz jej bluzki.

– Sam tak mówię. – Pocałował ją w szyję i się wyprostował. – Musimy zakładać, że życiu Jordie Bennett grozi niebezpieczeństwo. O ile już jej nie zabił.

– Skoro miał zamiar ją zabić, dlaczego nie załatwił jej razem z Mickeyem Boldenem?

– Boję się domyślać. Oszczędził tamtą dziewczynę w Meksyku i Hick uważa, że może mieć słabość do kobiet.

– A ty co myślisz?

Joe przywołał wspomnienie policyjnego zdjęcia Shawa Kinnarda, jego ostrych rysów i pozbawionego emocji spojrzenia utkwionego w obiektywie.

– Nie wydaje mi się, żeby ten facet miał słabość do czegokolwiek albo kogokolwiek. Nie wyłączając siebie samego.

*

Kiedy telefon zadzwonił, Shaw i Jordie przez chwilę stali jak skamieniali. Pierwszy poruszył się Shaw, odpiął kieszonkę i wyjął z niej komórkę, podczas gdy ona przypatrywała się mu szeroko otwartymi z niepokoju oczami.

Włączył głośne mówienie i powiedział do słuchawki:

– Jak leci, Panella?

– Co jest, kurwa? Kto mówi? Gdzie jest Mickey? Dlaczego ty odbierasz jego telefon?

– Na myśl przychodzi mi tylko jeden powód.

Shaw dostrzegł, jak Jordie zadrżała na dźwięk elektronicznego głosu Panelli. Może chciał uniknąć identyfikacji, ale Shaw uznał, że jego rozmówca wybrał to urządzenie, bo wiedział, że jego głos zabrzmi upiornie, co wzmocni aurę tajemniczości. Teraz jednak milczał, słychać było tylko chrapliwy oddech.

– Jesteś pomocnikiem Mickeya?

– Tak.

– Gdzie jest Mickey?

– Z powodu nieprzewidzianych okoliczności musiałem go zostawić.

– Co to ma znaczyć?

– Moim zdaniem dasz radę się domyślić.

– Ty skurwysynu.

– Nie nazywam się tak.

– Nie żyje?

– Dzięki mnie. Zabrałem ze sobą Jordie Bennett – odparł Shaw. – Nie jej ciało, tylko ją żywą. Co oznacza, że jeśli nadal chcesz jej śmierci, musisz zawrzeć umowę ze mną.

Panella rzucił wiązkę przekleństw i grózb, które pomimo zniekształconego głosu zabrzmiały donośnie i wyraźnie.

– Myślisz, że jesteś cholernie sprytny, co?

– No, przechytryłem Mickeya. To nie mój mózg trzeba było zbierać łopata.

– Byłem przeciwny twojemu udziałowi.

– Naprawdę? Więc to był pomysł Mickeya, żeby na mnie zwalić winę za jej śmierć?

Panella nie odpowiedział.

– Jestem gotów to zignorować – ciągnął Shaw – ale ponieważ moje uczucia zostały zranione, będę potrzebował rekompensaty ponad cenę ustaloną przez Mickeya.

– Skąd mam wiedzieć, że Jordie faktycznie jest z tobą?

– Daj spokój, Panella, przerwijmy te gówniane brednie. Wiedziałeś, z kim rozmawiasz, kiedy odebrałem. Wiedziałeś, że Mickey nie żyje. Do teraz wczorajsze wydarzenia zostały już szczegółowo przedstawione w mediach.

– Nie tam, gdzie jestem.

Shaw w to nie wierzył, ale puścił jego słowa mimo uszu.

– Zadzwoń do biura szeryfa w gminie Terrebonne. Potwierdzą, że Jordie została uprowadzona. Detektywi z wydziału zabójstw podadzą ci mój rysopis i prawdopodobnie oznajmią, że zidentyfikowali mnie jako Shawa Kinnarda.

– Ale ja nie zawarłem kontraktu z Shawem Kinnardem. Nie mam obowiązku go honorować. Jeśli faktycznie porwałeś Jordie, umawiaj się z nią, jak ci się podoba. Nie zapłacę ci ani grosza.

– To też przeszło mi przez myśl. Tylko że ta decyzja ma kilka możliwych konsekwencji. Po pierwsze zadzwonię z jej telefonu do najbliższego biura FBI z wiadomością, że Jordie żyje. Może jest trudna w obejściu, ale bardzo żywa.

Urwał, Panella jednak się nie odezwał. Shaw przykuł jego uwagę.

– Zostawię telefon włączony i będą mogli go namierzyć. Kiedy tu dotrą, mnie już dawno nie będzie, ale ucieszą się na jej widok. Będą skakać z radości, że znowu ją mają. Bo tygodniami była ich ulubienicą. Chętną do współpracy. Gadatliwą. Kto wie, może to traumatyczne przeżycie wstrząśnie nią i przypomni sobie coś o tobie i swoim bracie, co przy pierwszej rundzie przesłuchań wypadło jej z głowy.

– Nic im nie powiedziałam! – krzyknęła Jordie.

Shaw wyłączył głośne mówienie i przycisnął komórkę do piersi.

– Zamknij się – syknął. – Spierdolisz to i nie będę zadowolony.
– Co mnie to obchodzi.
– A powinno. Jestem twoją jedyną szansą na zachowanie życia, kochanie.
Zadarła buntowniczo głowę, ale milczała. Znowu przyłożył telefon do ucha.
– Słyszałeś? Mam ją, tylko że zaczyna być ciężarem i cholernie kusząca staje się opcja numer dwa.
– Czyli co? – zapytał Panella.
– Zostawiam cały ten pieprzony bałagan. Nie będziesz wiedział, czy dziewczyna jest żywa w czułych objęciach FBI, czy pogrzebana w miejscu, gdzie nigdy jej nie znajdziesz.
– Jeśli tak zrobisz, zostaniesz z niczym.
– To prawda. Ale ty też. I tu pojawiają się konsekwencje. Najpierw zaczniesz mieć kłopoty ze snem, bo będziesz się zastanawiał, co się stało z Jordie.
– Aż tak mnie to nie obchodzi.
– Gówno prawda. Jeśli jego siostra wypadnie z gry, Josh zwieje i zabierze pieniądze. A ty ich nie masz.
– Twoim zdaniem.
– Owszem, bo gdybyś je miał, nic z tego, o czym mówimy, zupełnie by się dla ciebie nie liczyło. Nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

Panella milczał.

– A jeśli Josh ucieknie – ciągnął Shaw – zabierze pieniądze i dożyje sędziwego wieku w odległym kraju, rozkoszując się luksusowym stylem życia, co wymarzyłeś dla siebie. Jeśli natomiast Joshua złapią, zamkną go na wieki i wyrzucą klucz, a pieniądze do sądnego dnia będą sobie pleśniały, ponieważ on nigdy ci nie powie, gdzie są. Tak czy owak w rezultacie zostaniesz tylko z własnym futem w ręce. – Poczekał, aż to dotrze do rozmówcy. – Masz jednak wybór, Panella. Zgódź się na moją cenę. Jordie ginie, Josh się ujawnia. Zyskujesz nową szansę, żeby się na nim zemścić, plus możliwość dowiedzenia się, gdzie ukrył twoje pieniądze.

Jedynym odgłosem w telefonie był wzmocniony elektronicznie ciężki oddech. Panella się zastanawiał, wreszcie powiedział:

– Ostrzegalem Joshua, że jeśli kiedykolwiek mnie orżnie, zabiję go, ale najpierw zabiję jego siostrę. Temu szczerowi trzeba przypomnieć, że zawsze dotrzymuję słowa. Wykluczone, żeby Jordie wyszła z tego żywa.

Shawowi ścisnął się żołądek. To było trudne, ale nadal patrząc jej w oczy, odparł:

– Zrozumiałem.
– W takim razie dobra. Odezwij się, jak załatwisz sprawę.
– Jeszcze nie uzgodniliśmy warunków.
– Pięćset tysięcy.

– Dwa miliony. Miłego dnia.

Shaw się rozłączył, jeszcze przez chwilę nie odrywał od Jordie wzroku, później się odwrócił i skupił na wyjmowaniu baterii z telefonu Mickeya. Komórkę włożył do jednej kieszeni dżinsów, baterię do drugiej.

Jordie stanęła przed nim.

– Dwa miliony dolarów?

– Według ciebie za dużo czy za mało?

– Nadal chce mnie zabić?

Wyminął ją i podszedł do samochodu. Z bagażnika wyjął butelkę wody, otworzył, połowę wylał sobie na twarz, połowę wypił.

Wytrąciła mu pustą butelkę z dłoni.

– Odpowiedz mi.

Powiódł wzrokiem za toczącą się butelką, która zatrzymała się przy jego prawym bucie, i znowu spojrzął na Jordie. Miał ochotę ją udusić i w tej chwili z radością zrobiłby to za darmo.

Podszedł do otwartych tylnych drzwi samochodu.

– Wsiadaj. Połóż się.

– Dlaczego?

– Wsiadaj i kładź się.

– Albo co?

Wrócił do niej w kilku susach, złapał ją za rękę i powłókł w stronę auta.

Usiłowała się uwolnić.

– Powiedziałeś, że nie chcesz zrobić mi krzywdy.

– Nie zrobię. Możesz mi wierzyć, jak cię ukatrupię, nic nie poczujesz.

Kiedy dotarli do samochodu, kopnięciem zamknęła drzwi, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Szarpali się, chociaż to nie była równa walka. Bez problemu oparł ją o drzwi. Ręce miała wciśnięte między karoserię a swój tyłek. Trzymał ją w tej pozycji, napierając na nią całym ciałem.

– Lepiej się módl, żeby Panella nie zgodził się na moje warunki.

– Nie zabijesz mnie, bo już byś to zrobił.

– Za dwa miliony dolarów...

– Za żadną sumę – przerwała mu ostro. – Nie wydaje mi się, żebyś to zrobił.

– Dobrze wiesz, że zrobię. Widziałaś mnie w akcji. Mickey? Nie był moim pierwszym. Nawet nie był pierwszy w tym tygodniu. – Otworzyła oczy szerzej. – Tak, Jordie. We wtorek wieczorem zostawiłem dwa trupy w Meksyku, potem pojechałem do Nowego Orleanu. Więc się nie oszukuj.

Przełknęła ślinę. Niebieskie oczy, z których przed chwilą leciały sztylety, teraz wypełniał niepokój. Shaw poczuł, jak Jordie dosłownie mięknie, gdy jej opór osłabł. Mocniej ścisnął ją za ramiona, by podkreślić sens swoich słów.

– Mickeya załatwiłem bez mrugnięcia. Tych dwóch w Meksyku?

Pstryknięcie palcem. Nie poświęciłem im ani jednej myśli.

– Mnie poświęciłeś.

– Właściwie nie.

– To co cię powstrzymuje?

Wpatrywał się w buntownicze oczy, później przeniósł wzrok na ramiączko stanika, które wysunęło się spod bluzki. Wsunął pod nie dwa palce, czując dotyk jej skóry. Była ciepła i gładka jak satynowy pasek, który trzymał między palcami.

Umieścił ramiączko pod bluzką, ale nie cofnął od razu dłoni, tylko gładził jej ramię. Jego kłykcie sunęły tam i z powrotem po skórze, która najdelikatniejsza była w miejscu, gdzie ramię łączy się z tułowiem.

Tam zatrzymał dłoń, a potem wyciągnął ją spod ramiączka i opuścił. Przez chwilę na nią patrzył, później gwałtownie zrobił krok w tył i odwrócił się, mówiąc szorstko:

– Byłabyś moją pierwszą kobietą.

Rozdział 13

Byłabyś moją pierwszą kobietą.

Burknął ledwo dosłyszalnie, ale nawet gdyby te słowa wykrzyczał, nie odniosłyby większego skutku. Sprawily, że Jordie zabrakło tchu i poczuła, jak rodzi się w niej optymizm. Przez sekundę lub dwie pozwoliła sobie na nadzieję, że jej płeć będzie stanowiła czynnik, który przeszkodzi mu w zawarciu umowy z Panellą.

Jednak promyk nadziei zgasł pod jego przeszywającym spojrzeniem. Prawdę mówiąc, wyglądał na bardziej rozgniewanego niż wcześniej, przypuszczalnie na samego siebie za ujawnienie swojej ludzkiej strony.

Wyjął butelkę wody z bagażnika i odkręcił.

– Wypij to albo przysięgam, wleję ci zawartość do gardła.

Rzucił w nią butelką w taki sposób, że musiała chwycić ją, przyciskając do piersi, lub pozwolić, żeby spadła, a na to się nie odważyła. Nie po tym, jak był gotów zabić ją na miejscu, kiedy wytrąciła mu z ręki pustą butelkę.

Napiła się.

Odebrał od niej pustą butelkę i wrzucił do bagażnika, następnie ze skrzyni wziął pistolet i włożył do kabury. Wróciwszy do Jordie, chciał chwycić jej rękę, ale szybko schowała ją za plecy. Ponowił próbę i tym razem mu się udało. Pociągnął ją w stronę drzwi.

– Dokąd idziemy?

– Do łazienki. – Otworzył drzwi na tyle, by można było przez nie przejść, po czym kiwnął głową w ich kierunku.

Jordie wyjrzała.

– W biały dzień?

– Nikt cię tutaj nie zobaczy.

– Poczekam, aż zrobi się ciemno.

– Muszę się przespać. Nie chcę, żebyś mnie budziła, bo będziesz chciała wyjść.

– Nie będę ci przeszkadzać.

Wyglądało na to, że w myślach liczy do dziesięciu.

– Wiesz, mam jeszcze jedną możliwość – oznajmił. – Oddzwonię do Panelli. Powiem mu, że możecie wszyscy iść do diabła, podam namiary na to miejsce, zwiążę cię i się zmyję. A co on zrobi? Przyśle zastępcę, który prawdopodobnie zlikwiduje cię za pięćdziesiąt kawałków. Mniej, niż chciał Mickey. Co powinno dać ci wyobrazenie, jakiego kalibru to będzie człowiek. Mogę cię zapewnić, że

nawet w połowie nie taki sympatyczny i powściągliwy jak ja. – Dał jej czas na przetrwanie tych słów. – Masz dwie minuty, potem zacznę cię szukać.

Wyszła. Dał jej aż nadto czasu. Skończyła po minucie i pobiegła za budynek, myśląc, że może istniała przyczyna, dla której wcześniej jej tam nie zaprowadził. Kiedy jednak skręciła za róg, zmartwiała, ponieważ widok tutaj był równie posępny. Jeśli już, to trzciny za budynkiem wyglądały na wyższe i ostrzejsze, a woda, z której wyrastały, na bardziej mętną i mulistą.

Zdążyła wrócić na sekundę przed nim. Widząc jej lśniąca od potu twarz, domyślił się powodu.

– Mała wyprawa badawcza? Mogłem ci powiedzieć, że ten zepsuty silnik nie ma w komplecie motorówki. Sprawdziłem.

Przemądrzały dupek, pomyślała. Wyminęła go i wróciła do środka. Poszedł za nią, a kiedy zrobił ruch, by na jej przegubach zapiąć plastikową opaskę, zapytała:

– Czy to naprawdę konieczne?

Obrzucił ją sardonycznym spojrzeniem.

– Mocno związana bandana byłaby tak samo skuteczna.

– Nawet w przybliżeniu. – Odwrócił ją plecami do siebie.

– Nie mógłbyś zostawić mi rąk z przodu?

– Nie w czasie, gdy będę spał.

– A co mogę zrobić ze skrępowanymi rękami?

– Nie jestem pewien, ale nie chcę żadnych niespodzianek. Nie ruszaj się. –

Wyszedł na zewnątrz.

Nie poruszyła się, za to w myślach przeprowadziła przeszukanie. Ukrył jej telefon, baterię, kluczyki do samochodu. Gdzie, gdzie, gdzie?

Wrócił, wciąż zapinając rozporek.

– Wsiadaj i kładź się.

– Rozpłynę się w tym aucie.

– Chcesz, żebym cię rozebrał? – Widząc jej spojrzenie, zaśmiał się ironicznie. – Nie wydaje mi się. Kładź się.

– Kiedy zadzwonisz do Panelli?

– Daję mu czas na zastanowienie. Albo ty mi powiesz, jak skontaktować się z Joshem, i nie będziemy mieli tutaj nic więcej do roboty.

– Nie wiem.

– W takim razie wsiadaj.

– Jeśli będziesz czekał za długo, Panella może...

– Skończ z tym odwlekaniem. Jestem zmęczony.

Nie zamierzała się z nim szarpać, mając ręce związane z tyłu. Wsiadła i położyła się na prawym boku.

– Ręka mi drętwieje w tej pozycji.

- Jak ci zdrętwieje, to się odwróć.
- Będę gadała i śpiewała. Nie dam ci zasnąć.
- To cię zaknebluję.

Podszedł do bagażnika i zaczął w nim grzebać. Jordie nasłuchiwała szczerku tablic rejestracyjnych, grzechotania pustych plastikowych butelek i puszek po konserwach, usiłując wykombinować, jak mogłaby któryś z tych przedmiotów wykorzystać do unieszkodliwienia Kinnarda, w każdym razie na okres, który by jej wystarczył, żeby zadzwonić po pomoc.

Do tego celu idealnie nadałby się lewarek, ale chociaż bagażnik był otwarty, jaka korzyść wynikała z dostępu do jego zawartości, skoro ręce miała związane na plecach?

Kiedy wrócił w zasięg jej pola widzenia, zobaczyła, że niesie poskładany jaskrawoniebieski brezent i rzuca go na podłogę. Spojrzał na nią i jakby przez cały czas czytał w jej myślach, nawiązał do bezsilności, którą czuła:

– Nie skrepuję ci nóg. Bez rąk niewiele dasz radę zrobić. Pewnie mogłabyś pobiec do drogi, ale w końcu bym cię dogonił. Cokolwiek spróbujesz, nie uda się.

– Skoro i tak mam umrzeć, to równie dobrze mogę spróbować uciec.

– Podziwiam twojego walecznego ducha, Jordie. Szczerze podziwiam. Sęć w tym, że nawet w najlepsze dni nie wstaję z łóżka radosny jak skowronek. Jeśli mnie obudzisz jakąś z góry skazaną na porażkę sztuczką, będę taki wkurzony, że najprawdopodobniej założę ci knebel, zwiążę stopy i zamknę drzwi, a wtedy faktycznie się rozplniesz. No i zawsze mogę cię wsadzić do bagażnika.

Kiedy się odwrócił, mruknęła pod nosem:

– Wcale nie jesteś taki miły.

– Co to było? – zapytał.

– Nic.

Spojrzał na nią twardo, potem powiódł oczami po całym jej ciele, zatrzymując się w miejscach, które pod jego wzrokiem się rozgrzewały.

– Taki powściągliwy też nie jestem.

Zawsze miał ostatnie słowo, nie pozwalając jej cieszyć się nawet małym triumfem. Z urazą obserwowała, jak rozwija brezentową płachtę.

– Pewnie zawijasz w nią zakrwawione ciała.

– Przydaje się. – Rozłożył płachtę na brudnej podłodze kilka kroków od samochodu, rozpiął pierwsze dwa guziki koszuli i ściągnął ją przez głowę.

Pośpiesznie odwróciła wzrok od jego nagiego torsu.

– Jordie. – Stanął tuż przy otwartych tylnych drzwiach. – Jordie.

Czując się jak tchórzliwa idiotka, znowu na niego spojrzała.

– Co?

– Pistolet. – Dotknął kabury na biodrze. – Komórka i bateria. – Poklepał się kolejno po prawej i lewej kieszeni dzinsów. – Może uda ci się wyjąć jedną z tych

rzeczy, ale wszystkich trzech na pewno nie.

Dłonie przyciśnięte płasko do kieszeni brały niejako w nawias wystrzępiony rozporek, na szczęście zapięty. Pasek spodni wisiał nisko i był luźny, odstawał lekko od wilgotnych od potu włosów i skóry.

Tchórzliwie czy nie, znowu odwróciła głowę i zamknęła oczy. Słyszała, jak znoszone podeszwy jego butów skrobią o beton, gdy odchodził od samochodu, jak szeleści brezent, gdy się na nim układał. Potem zapadła wszechogarniająca, niemal namacalna cisza i zaraz rozległ się regularny oddech człowieka, który momentalnie zasnął.

Spał jak niemowlę, podczas gdy Jordie wciąż usiłowała zdefiniować sposób, w jaki jej dotykał, wsuwając ramię pod bluzkę. Nie chciała nazywać tego pieszczotą, ale przecież tym to było. Najbardziej jednak poruszyło ją i sprawiło, że zabrakło jej wtedy tchu w piersiach, to jego zaabsorbowanie, spojrzenie skupione na fakturze jej skóry.

Powodowana ciekawością i dziwnym niepokojem, podniosła głowę i popatrzyła na niego.

Leżał na plecach z koszulą zwiniętą pod głowę, z jedną ręką przy boku, z drugą – tą, która tak delikatnie operowała satynowym ramięczkiem – luźno opartą na rękojeści pistoletu.

Choć jego żebra rytmicznie rozszerzały się i kurczyły, Jordie nie ufała, że jest pogrążony w głębokim śnie. Przy najdrobniejszym bodźcu skoczyłby na równe nogi, miotając z oczu sztylety, a jego mięśnie natychmiast by się napięły.

Opuściła głowę i przyjęła wygodniejszą pozycję. Jeśli będzie cicho i pozwoli mu się wyspać, to może kupi sobie więcej czasu. Jeśli natomiast go sprowokuje, ewentualności było kilka: spełni groźbę i zamknie drzwi samochodu, wepchnie ją do bagażnika albo dojdzie do wniosku, że dla dwóch milionów dolarów może żyć z wyrzutami sumienia, iż po raz pierwszy zabił kobietę.

Istniały spore szanse, że i tak do tego wniosku dojdzie. Nawet gdyby musiał przystać na mniej pieniędzy, wyciśnie z Panelli, ile się da, i skończy robotę.

Zleconą przez Panellę, ale sprowokowaną przez Josha.

Dlaczego brat tak głupio, tak idiotycznie postąpił? Czy choć przez chwilę zastanawiał się nad łańcuchem tragicznych wydarzeń, które ten nieodpowiedzialny czyn spowoduje? Czy ucieczka z bezpiecznego domu była spontaniczną decyzją wywołaną desperacją? A może starannie ją zaplanował?

Jasne, że to drugie, powiedziała sobie Jordie. Niczego nie zostawiłby przypadkowi.

Jak zawsze myśli o bracie były sprzeczne, zawieszona pomiędzy lojalnością a urazą, niepokojem a wzruszeniem. Martwiła się o jego bezpieczeństwo i chciała mieć pewność, że nie stanie mu się krzywda. A równocześnie pragnęła potrząsnąć nim z całej siły, ponieważ dla wielu ludzi, łącznie z nią, wciąż jest przyczyną

niewypowiedzianych udrek i nieszczęść. Ukradł przecież ciężko zarobione pieniądze setkom osób, ale o ile Jordie się orientowała, nigdy nie okazał skruchy ani współczucia dla swoich ofiar. Wręcz przeciwnie, raz lekceważąco nazwał ich chciwymi naiwniakami, którym zachłanność kazała utopić oszczędności życia w przedsięwzięciach już na pierwszy rzut oka podejrzanych.

Nie, to nie sumienie skłoniło Josha do zostania informatorem, ale strach, że jeśli tego nie zrobi, kara będzie surowsza.

Nawet Shaw się zorientował, że wszystkie posunięcia Josha mają na celu wyłącznie interes własny, chociaż tylko Jordie znała rozmiary egoizmu brata. Nie zbankrutowała przez przekręt, ale była pierwszą i z najdłuższym stażem ofiarą manipulacji Josha.

Kiedy wyznał jej swoje przewiny, okazała mu wsparcie moralne. Jednak w rozmowie sam na sam, gdy Josh, wykręcając dłonie z niezdecydowania, zapytał, co powinien zrobić, bez wahania mu poradziła: „Przyjmij karę jak mężczyzna”.

Nie to chciał usłyszeć i odwrócił kota ogonem, co zresztą było do przewidzenia, z niej robiąc winowajczynię, bo nie chciała stanąć po jego stronie, nie zaczęła gorąco zaprzeczać wszelkim jego występkom.

Swoim zwyczajem nawiązał do wypadku, który ukształtował ich relacje. To było usprawiedliwienie, którym Josh tłumaczył swoje niedostatki, przepustka zwalniająca z odpowiedzialności za przewiny, darmowy bilet na nieograniczony egoizm.

Brzemienne w skutkach chwile z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego wytyczyły kurs, z którego Jordie i Josh ani razu nie zoczyli. Od dzieciństwa przez okres dojrzewania do dorosłości wiązały ją z nim tak mocno jak statek z kotwicą.

Pozostała strażniczką Josha do dnia, gdy zabrali go szeryfowie federalni. To nie były brutalne zabijaki z placu zabaw, przed którymi mogłaby go obronić. Josh nie był już dzieckiem, tylko mężczyzną, sam odpowiadał za swoje czyny.

Obejmując go na pożegnanie, szepnęła mu do ucha: „To tyle, Josh. Ja swoje zrobiłam”.

Mówiła poważnie. Wymigał się od oskarżenia o poważne zbrodnie, dostał drugą szansę, co było więcej niż w porządku. Od niego zależało, co z tym zrobi.

A on wszystko spieprzył.

Mimo to po raz kolejny cierpiała z powodu jego fatalnej umiejętności oceny sytuacji i egoizmu. Gdziekolwiek jest brat, czy zdaje sobie sprawę, co przydarzyło się jej wczoraj wieczorem? Czy go to obchodzi? A gdyby nie wyszła z tego żywa, czy kiedykolwiek przyznałby, nawet przed samym sobą, że zginęła z powodu jego strasznego samolubstwa?

Shaw... Zaraz, czy tak nazwała go w myślach?

Nie zabije jej. A może jednak? Nie, na pewno nie. Nie teraz, gdy w taki

sposób jej dotknął.

Oddychała głęboko jak przy podaniu środka znieczulającego. Włosy na czole jej zwilgotniały, policzki płonęły, strumyk potu spływał w rowku pomiędzy piersiami. Uświadomiła sobie, że wydają się ciężkie i pełne, że ją pobolewają, i gdyby nie miała związanych rąk, pewnie by je przycisnęła.

W sennej atmosferze, spowodowanej przez duszny żar, poddała się kołysaniu rytmicznego oddechu Shawa. Zamknęła oczy.

Rozdział 14

Niestety, w wiadomościach w południe nie podano żadnych nowych tropów w sprawie morderstwa i porwania w Terrebonne.

Ta sytuacja skłoniła jednego z prokuratorów Nowego Orleanu do złożenia wizyty w miejscowym biurze FBI. Nazywał się Xavier Dupaw i bardziej rozbuchane od nazwiska miał tylko ego.

Wkroczył do gabinetu Joego ze słowami:

– Byłem na lunchu i widziałem wiadomości. Wygląda na to, że Shaw Kinnard znowu się uaktywnił.

Joe Wiley, który do zastępcy prokuratora czuł wrogość, odkąd ten odmówił postawienia zarzutów Kinnardowi, nie przywitał się.

Hick był troszkę bardziej skłonny do rozmowy.

– Śmieszne, jak to działa, Dupaw. Wypuszczasz zabójców, a oni zabijają.

– Miałem związane ręce – odparł prokurator z urazą. – Policja nic na niego nie znalazła.

– Nadal szukali.

– A tymczasem niewinny człowiek gniłby w więzieniu.

– Nie był...

– Niewinny, dopóki nie dowiedzie się winy – przerwał mu Dupaw. – Coś ci to mówi?

Owszem, Joemu wiele mówiło. Prokurator wycofywał się rakiem z każdej sprawy, w której istniało najmniejsze prawdopodobieństwo przegranej.

– Macie jakieś solidne troty w sprawie morderstwa Boldena i porwania tej Bennett?

Hick spojrzał na Joego, nadal milczącego i ponurego.

– Śledztwo w sprawie Boldena prowadzi biuro szeryfa w Terrebonne, ale pomaga im nasza ekipa techników kryminalistycznych.

Dupaw zmarszczył czoło.

– Tamtejsi ludzie się do tego nadają?

– To było typowe morderstwo – odrzekł Hick. – Kinnard zaszedł Boldena od tyłu i strzelił mu w głowę.

– Tak, ale związki ofiary z Billym Panellą sprawiają, że to coś więcej niż zwykłe morderstwo. Czy umiejętności tej bandy wiejskich buraków...

– Wiejskie buraki mają jaja – powiedział z naciskiem Joe, który zachowywał zimną krew tak długo, jak się dało. – Jak złapią Kinnarda, oskarżą go o morderstwo i gówna będzie ich obchodziło, jak długo będzie gnił w więzieniu.

Xavier Dupaw prychnął ze słusznego oburzenia i poszedł sobie.

Joe wstał, tak mocno odpychając fotel na kółkach, że ten odbił się od ściany. Każda mijająca spokojnie minuta doprowadzała go do szaleństwa, ponieważ zmniejszała szanse, że Jordie Bennett zostanie odnaleziona żywa.

Jeśli zginie, Joe zawsze będzie obwinał siebie, że nie powiadomił jej o ucieczce brata z bezpiecznego domu w chwili, gdy odkryli jego nieobecność. Nie zrobił tego, ponieważ nie ufał na tyle Jordie. Kazał ją śledzić, żeby się przekonać, czy Josh zwróci się do niej o pomoc, a jeśli tak, to jak postąpi Jordie: ukryje brata czy odda go w ręce władz.

Nigdy już nie pozna odpowiedzi na to pytanie i tym się nadal dręczył.

Razem z Hickiem tak długo przeglądali zeznania świadków zebrane w barze, aż wreszcie mogli je recytować z pamięci. Jedyne trop zastępcy szeryfa Morrowa, telefon od kobiety przysięgającej na wszystkie świętości, że na jej oczach Jordie Bennett wrzucono do rozdrabniarki do drewna, okazał się urojeniem schizofreniczki, która przestała brać leki. Rodzina bardzo przepraszała, ale śledczy nie mogli odżałować czasu poświęconego na potwierdzenie, że to tylko fałszywy alarm wywołany przez chorą psychicznie.

Przytłoczony sytuacją Joe ruszył do drzwi.

– Idę do toalety. Zadzwoń znowu do Tennessee. Może coś mają.

Chociaż Hick sprawiał wrażenie, jakby chciał się sprzeciwić, sięgnął po słuchawkę. Kiedy Joe wrócił, kolega z widocznym niesmakiem kończył rozmowę.

– Pięć minut sprowadziło się do dwóch słów: nadal nic.

Joe nie spodziewał się przełomu, ale podzielał rozczarowanie i rozgoryczenie Hicka. Josh Bennett zwiął pięć dni temu, a na razie jedynymi śladami były opaska elektroniczna na kostkę i odciski butów prowadzące z bezpiecznego domu przez pas zieleni szeroki na jakieś trzy kilometry do rampy autostrady międzystanowej ze wschodu na zachód. Zakładali, że tam złapał stopa.

Sfrustrowany Joe usiadł przy biurku, szczypiąc się boleśnie w nos.

– Gdzie się podział ten mały chlipiący gnojek?

– Zmalał, odkąd ostatnio go widzieliśmy.

Joe opuścił dłoń i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Wkurza mnie, że nikt nie nabrał podejrzeń, kiedy Bennett zaczął wprowadzać te kosmetyczne zmiany.

– Suche oko zostało zdiagnozowane przez okulistę – przypomniał Hick. – Nawet przepisał krople.

– Dobra, ale drastyczny spadek wagi? Jak ja stracę dziesięć kilogramów, Marsha może to zauważyć albo nie, nawet gdybym stanął przed nią golutki. Przy posturze Bennetta widać na pierwszy rzut oka.

– Nie, jeśli trwało to przez pół roku.

– No tak – westchnął Joe. – Puenta? Kurczę, zrobił ich na szaro.

– Zrobił nas wszystkich na szaro – zauważył Hick ponuro.

Nachmurzona mina Joego świadczyła, że się z nim zgadza.

Późnym popołudniem postanowili, że wykorzystają lokalne wiadomości wieczorne i upublicznia ucieczkę Joshui Bennetta.

Joe zadzwonił do rzecznika prasowego.

– Powiadom lokalne stacje telewizyjne. Z góry uprzedź, że nie będę odpowiadał na żadne pytania, tylko odczytam oświadczenie, więc dobrze je przygotuj.

– A co mam napisać? – zapytał żartobliwie łącznik. – Grasujący na swobodzie księgowy? Uzbrojony w śmiertelnie groźny kalkulator?

Joe nie uznał tego za śmieszne.

– Napisz, że jest poszukiwany w związku ze sprawą porwania jego siostry i zabójstwa Mickeya Boldena.

Hick spojrzał na niego z ukosa.

– Tak? A od kiedy?

– Od kiedy tak powiedziałem – odpalił Joe. – To w stu procentach prawda. Gdyby Bennett nie zwał, Panella nie posłałby swojego ulubionego cyngla z pomocnikiem za jego siostrą. Mickey nie dostałby kulki w łeb, a ona by nie zaginęła. Czaszka i jego kumple wczoraj wieczorem pograliby sobie w bilard, zastępca szeryfa Morrow zjadłby do końca zwycięską pizzę, ja obmacałbym Marshę przy *Take My Breath Away*, a ty przetestowałbyś jeden ze swoich obiecujących związków. – Teraz już gotował się ze złości. – Ten mędrak od czterech dni wymyka się organom ścigania. Może opinia publiczna lepiej wykona naszą robotę i go znajdzie. Dlatego guzik mnie obchodzi, czy go nazwiemy cholernym mordercą z siekierą, czy snajperem, który w rzeczywistości zastrzelił Kennedy’ego. O piątej po południu jego odmieniony portret ma się pojawić na ekranach telewizorów.

Rzecznik od razu zabrał się do pisania oświadczenia.

Kilka godzin później Joe i Hick oglądali pierwsze wydanie wiadomości, jedząc przy biurku dania na wynos. Na ekranie Joe czytał oświadczenie, a stacje najpierw pokazały materiały policyjne ze sprawy Panelli i Bennetta, a następnie zestawily ówczesną fotografię Josha ze szkicem przedstawiającym jego wygląd tuż sprzed ucieczki z Tennessee.

– No, zobaczymy, czy ktoś sobie coś przypomni – powiedział Hick, wyłączając głos. – Chociaż żałuję, że nie zapytałeś mnie o radę w kwestii garderoby.

Marsha zadzwoniła, żeby powiedzieć, że oglądała męża, i zapytać, kiedy wróci. Odparł, żeby w najbliższym czasie się go nie spodziewała. Mógł na rozwój wypadków czekać w domu, ale kiedy funkcjonariusze w mundurach przeczesywali krzaki i przeciągali sieci przez zatoki, czuł, że także powinien być na miejscu.

Krążył po pokoju, Hick tymczasem dosłownie pilnował zarzuconych wędek.

– Zadzwoń do Morrowa.

– Joe, rozmawiałem z nim godzinę temu. Obiecał dać znać, jeśli cokolwiek...

– Umilkł, bo zadzwonił telefon. Odebrał i przedstawił się. – To my. – Chwilę słuchał, potem zerwał się z fotela i gestem ponaglił Joego. – Z komórki zadzwonimy po wskazówki. – Odłożył słuchawkę. Partner już był za drzwiami.

Szybkim marszem przemierzali korytarz.

– Pani Bennett? – zapytał Joe, gdy udało mu się złapać oddech.

– Jej brat.

– Martwy?

– Żywy.

Zanim doszli do windy, Hick wyjaśnił, że człowiek z małego miasteczka niedaleko granicy stanu Missisipi po obejrzeniu wieczornych wiadomości zadzwonił do miejscowego biura szeryfa. Zeznał, że wcześniej tego dnia widział Josha Bennetta w sklepie całodobowym.

– To nie jest kolejny schizol, co? – zapytał Joe, raz po raz ze zniecierpliwieniem naciskając guzik z napisem „na dół”.

– Szeryfowie rozmawiali też z kasjerką w tym sklepie. Nie oglądała wiadomości, ale pokazali jej portret Bennetta. Potwierdziła zeznania mężczyzny.

– Jasny gwint!

– Helikopter? – Hick już wybierał numer na swojej komórce.

Podczas gdy partner uzgadniał szczegóły, Joe rozmyślał o Joshu Bennecie. Kiedy Hick się rozłączył, wyraził na głos swoje zdziwienie.

– Jest dość sprytny, żeby uciec, ale na tyle głupi, żeby tu wrócić?

– Tu jest jego siostra, jego tratwa ratunkowa. Zresztą wie, że to jedyne miejsce na całej planecie, gdzie nie ma Billy’ego Panelli.

– No tak, ale...

– Co? – zapytał Hick, gdy wielkimi susami pokonywali podziemny parking.

W samochodzie Hicka Joe otworzył drzwi od strony pasażera.

– Jeśli wczorajszy wieczór czegoś nas nauczył, to tego, jak długie ręce ma Panella. Kinnard gdzieś tam jest. Josh nie zdaje sobie sprawy, na jakie ryzyko się naraża? Mały gnojek powinien się poddać.

– Wątpię, by to zrobił, Joe. Wie, że do końca życia nie wyjdzie z pudła.

– Owszem, ale my go nie wypatroszymy.

*

– Pan Panella? Czy to dobra pora na naszą rozmowę?

– Dobra była dwie godziny temu, kiedy do pana zadzwoniłem.

– Przykro mi, byłem zajęty. Czym mogę panu służyć?

Bankowiec był Azjata, ale opanował akcent brytyjski w takim stopniu, że

jego słowa płynęły jedwabście jak śmietanka z Devonshire. Budził zaufanie i pewność. Elektronicznie zniekształcony głos Panelli nie wstrząsnął nim. W taki sposób od lat prowadzili interesy i rozumiał konieczność zachowania przez swojego klienta najwyższych środków ostrożności. Nie zniechęciła go też typowa arogancja rozmówcy, wręcz nauczył się jej oczekiwać. Ludzie, którzy wykorzystywali zagraniczne banki do ukrywania sporych sum pieniędzy na szyfrowanych kontach, rzadko marnowali czas na grzeczności.

– Chcę potwierdzić aktualny stan mojego rachunku.

Bankowiec przeprosił. Po chwili wrócił i podał kwotę.

– Co do centa – skomentował Panella.

Bankowiec uśmiechnął się do siebie. Kwoty zaokrąglone do dolara nigdy nie satysfakcjonowały tego klienta. Pan Billy Panella często sprawdzał dokładność banku.

– Chcę także uprzedzić, że niedługo dokonam znacznej wypłaty.

– Mam nadzieję, że bank pana nie traci.

– Nie, pod warunkiem że pan od razu zrobi to, co panu mówię.

– Ma pan moje słowo.

– Chodzi o przelew, niewykluczone, że w krótkim czasie.

– Z radością spełnię pańskie wymagania. Nasz bank specjalizuje się w takich krótkoterminowych transakcjach.

– Co zawsze ceniłem.

– Transfer dokonany na początku tygodnia zadowolił pana?

– Zrobiliście swoje. Niestety, inni nie.

– Z przykrością to słyszę.

– Dlatego dodatkowy transfer jest konieczny i nie może być przy tym żadnej zwłoki. Zrozumiano? Pieniądze mają być gotowe, kiedy będą mi potrzebne.

– Oczywiście. Dolary amerykańskie, panie Panella?

– Tak.

– Bardzo dobrze. A kwota? – Bankowiec czekał w pogotowiu; po chwili łagodnie ponaglił: – Panie Panella?

– Dwa pierdolone miliony.

Rozdział 15

Początkowo Jordie była zbyt oszołomiona snem, by fatygować się identyfikacją hałasu, który ją obudził. Leżała z zamkniętymi oczami, w głowie czuła wate od pozbawionego rojeń snu i dusznego żaru. Podświadomie nie chciała oprzytomnieć i usiłowała zatrzymać sen, ale hałas nie ustawał i w końcu całkiem oprzytomniała.

Helikopter!

Z trudem usiadła, przeklinając przeszkodę w postaci skrępowanych rąk. Wyczołgała się przez otwarte drzwi i wstała. Kiedy oparła ciężar ciała na prawej nodze, poczuła w niej bolesne mrowienie. Polegając głównie na lewej, pokuśtykała chwiejnie, choć szybko w stronę drzwi.

Rysowała się w nich sylwetka Shawa, który patrzył w niebo z takiego miejsca, że jego samego nie było widać. Słyszając kroki Jordie, odwrócił się, by ją zatrzymać, zanim zdołała wypaść za próg.

Wrzeszczała, ile sił w płucach.

– Oszczędź sobie tego, Jordie. Nikt cię nie usłyszy.

Zdawała sobie sprawę, że nic z tego nie wyniknie, mimo to nadal krzyczała, głównie powodowana frustracją, i kopała go po łydkach, po wszystkim, co znajdowało się w jej zasięgu. Kiedy wycelowała kolaniem w jego krocze, w porę się cofnął, wyginając ciało. Była jednak niebezpiecznie blisko i wiedział o tym.

Złapał ją za bluzkę i odepchnął ją od siebie. Trzymając Jordie na długość ramienia, drugą ręką zamknął drzwi. Warkot nadlatującego helikoptera przybrał na sile. Gdy przelatywał nad nimi, blaszany dach wibrował i grzechotał. Potem hałas z wolna cichł, podobnie jak gasła krótkotrwała nadzieja Jordie na ratunek.

W końcu Shaw ją puścił, otworzył drzwi i wyrzwał.

– Lepiej zrobią, jeśli szybko doleczą do celu. Będzie burza.

Zaskoczyło ją, że przespała większość popołudnia. Słońce stało nisko na horyzoncie, zasłonięte grubą warstwą chmur, które przyniosły większą duchotę. Teraz ich kryjówka była nie tyle piecem konwekcyjnym, co łaźnią parową.

Odprowadzali wzrokiem helikopter, aż zniknął im z oczu. Shaw otrzepał rękę z kurzu.

– To by było na tyle. Nie masz się czym podniecać.

Jego zadowolenie z siebie rozwścieczyło ją i nie zastanawiając się nad konsekwencjami, rzuciła się na niego. Znowu go kopała, ale on zamiast się cofnąć, tym razem przyciągnął ją do siebie i wstawił stopę między jej stopy, odbierając skuteczność jej wysiłkom.

Wcześniejszy letarg Jordie ustąpił miejsca szalonej determinacji. Całą swoją energię skupiła na zadawaniu bólu albo w najgorszym razie spowodowaniu niewygody, czegokolwiek, co zburzyłoby ten jego przeklęty spokój. Wiła się i wierciła, ślepa z furii, oszalała z wściekłości, na nic niezważająca.

Aż sobie uświadomiła, że walczy sama. On przestał się opierać.

Nadal mocno trzymał ją za biodra, ale nie było w tym nic z walki.

Znieruchomiła i przekrzywiła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Teraz ja jestem podniecony.

W jego głosie pobrzmiwało pierwotne dudnienie. Jordie czuła nagłą i nieomylny napór na rozchylone uda i jej ciało wbrew woli zalała fala emocji.

Upokorzona, cofnęła się niezgrabnie, a on ku jej zaskoczeniu ją puścił. Ta sytuacja tylko uwydatniła fakt, że to zawsze jest jego wybór, że niezależnie od jej wybuchów on wciąż zachowuje kontrolę.

Podczas gdy ona nie miała żadnej kontroli, nawet nad własnym ciałem. Oddychała nierówno. Wiedziała, że jest zarumieniona. Jego stalowe oczy przesunęły się od jej płonących policzków na piersi. Spróbowała wyjaśnić swoją widoczną reakcję:

– Jestem wściekła. To wszystko.

– Tak? Przypomnij mi, żebyś nie wyprowadzał cię z tego stanu.

– Posłuchaj – odparła, krzywiąc się z bólu – niedobrze mi się robi od tego, jak mnie upokarzasz, i od twoich obleśnych insynuacji. To nie jest nic w rodzaju...

Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa i w końcu uniósł brwi.

– Nic w rodzaju... czego?

– Niech pan sobie nie pochlebia, panie Kinnard. I niech pan nie popełni błędu. Jeśli będę miała okazję pana zabić, zrobię to.

Przez chwilę się jej przyglądał.

– Zanotowałem.

Wykonał ruch, jakby chciał ją obejść, potem jednak nagle się zatrzymał i ujął ją za brodę, zmuszając do odchylenia głowy. Przesunął kciukiem po jej dolnej wardze.

– To ty nie popełnij błędu. Jeśli zdecyduję się na coś takiego, Jordie, nie będę niczego udawał. Powiem ci wprost: będę cię pierdolił.

*

Josh wpatrywał się w migający ekran telewizora, jedyne światło, na które tego wieczoru sobie pozwolił.

Pojawiły się na nim dwa jego portrety. Sam był zszokowany zmianą, jaka przez te pół roku zaszła w jego powierzchowności.

Jordie dostała wszystkie dobre geny, także urodę. On nigdy nie miał się czym chwalić, ale naprawdę wyglądał żałośnie na rysunku pokazywanym

w telewizji. To był szkic wykonany przez policyjnego rysownika, ale... jakże udany.

Nic dziwnego, że przestali go bacznie pilnować. Kto by przewidział, że taki kościsty palant jak on jest w stanie wykręcić taki numer najlepszym sługom Wuja Sama?

Jednak dokonał tego. Powinien przyjmować oklaski i wznosić toast za swoje wybitne osiągnięcie.

Tymczasem tak jak wczorajszej nocy w podłym pokoju motelowym, tak i teraz, gdy obejrzał sąsiadujące ze sobą dwa oblicza Joshui Bennetta, jego triumfalny nastrój i pewność siebie kompletnie się rozwiały.

Oderwał uwagę od wizji artysty i skupił się na tym, co o nim mówiono. Prezenter powtórzył relację o wydarzeniach wczorajszego wieczoru w barze pod Tobias, rodzinnym miastem Josha, którą w południe, kiedy Josh był w sklepie całodobowym, nadała lokalna stacja.

Po niej nastąpiło przypomnienie oszustwa dokonanego przez zespół Panelli i Bennetta i wypadków sprzed pół roku. Chodziło tylko o to, by uświadomić widzom, kim jest Josh i dlaczego jego przebywanie na wolności warte było wzmianki w wiadomościach.

Teraz opisano to jako „kolejne zdarzenie” w „tej dziwnej i trwającej od dłuższego czasu sprawie”, która obecnie doprowadziła do zamordowania podejrzanego o płatne zabójstwa Mickeya Boldena oraz „prawdopodobnego, choć jeszcze niepotwierdzonego porwania” miejscowej bizneswomen Jordan Bennett.

Kiedy zaczęła się przerwa reklamowa, Josh wyłączył głos i pustym wzrokiem wpatrywał się w ekran. Usiłował ocenić, jak uprowadzenie Jordie może wpłynąć na jego starannie przygotowane plany, bo takiego rozwoju wypadków w nich nie uwzględnił.

Co było szczególnie wkurzające? FBI w swojej determinacji, by go złapać, wykorzystało porwanie siostry. Joe Wiley ze stojącym w tle Hickamem z zaciśniętą szczęką odczytał oświadczenie w holu biura FBI. Agent nie powiedział niczego wprost, nie pokazał palcem, ale sugerował, że Josh musi wziąć na siebie odpowiedzialność za nieszczęście siostry. To nie było fair.

– Oczywiście jest, że pan Bennett nie przemyślał potencjalnych konsekwencji swojej ucieczki. – Z wesołością syreny mgłowej Wiley mówił, że kapusie, którzy złamali umowę, rzadko dożywają starości. – Nie wydaje mi się, żeby pan Bennett zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraził siostrę. Nie orientuje się też, w jak ryzykownej sytuacji sam się znalazł. Namawiam, by się poddał. Jest bezpieczny tylko pod naszą opieką.

Oczywiście ostrzegał przed akcją odwetową Panelli.

– Subtelny jak młot – powiedział Josh do milczącego odbiornika, kpiąc

z rzucającej się w oczy taktyki zastraszania przyjętej przez Wileya. – Tego lisa też przechytrzyłem, prawda? Pierdol się, agencie Wiley.

Jednak jego brawura nie była w pełni przekonująca. Nie mógł całkowicie zlekceważyć tych przestróg. Naga prawda? Rzeczywiście postawił się w trudnym położeniu. Prawdę mówiąc, na myśl o tym czuł lekkie mdłości.

Jego wzrok przyciągnęła komórka leżąca na stole. Kusiło go, żeby ją wziąć, zadzwonić na numer Jordie i przekonać się, co będzie, o ile w ogóle coś będzie. Ale tak jak wcześniej zrezygnował z pomysłu. W mało prawdopodobnym przypadku, że ten Kinnard – do diabła, kim on w ogóle jest? – zostawił telefon, kiedy porwał Jordie, ryzyko dzwonienia było potężne. Josh wyobraził sobie Wileya, Hickama i Bóg wie, kogo jeszcze, pochylonych nad komórką i wyczekujących, aż zaczną dzwonić, żeby mogli wyśledzić dzwoniącego w jego obecnym miejscu pobytu.

Geograficznie był trochę zbyt blisko, żeby swobodnie podjąć takie ryzyko.

Poza tym kryjówka wydawała mu się w granicach rozsądku bezpieczna, czekała na niego do dnia, kiedy będzie mógł zrealizować plan ucieczki. Przygotował się dobrze. Przed przeniesieniem do Tennessee opłacił za rok z góry wszystkie rachunki. Upewnił się, że spizarka i lodówka są dobrze zaopatrzone. Jedzenie miało pół roku, ale Josh nigdy nie zwracał większej uwagi na daty przydatności do spożycia i pewnie zdarzało mu się jeść starsze rzeczy.

Wcześniej czy później jedna z osób, z którymi się zetknął od wtorku, połączy wychudzonego autostopowicza z Joshem Bennettem, przestępcą, który został informatorem, a następnie zbiegiem.

Jeśli kasjerka albo ten chwalipięta ze sklepu całodobowego go zidentyfikują, policja będzie wiedziała, że wrócił do stanu. Na szczęście dobrze zatarł ślady po wyjściu z tego sklepu w Hicksville.

Pod potężnym dębem w lesie dokonał nieznaczących zmian w wyglądzie. Stamtąd prawie pięciokilometrowy marsz dzielił go od magazynów do wynajęcia, gdzie pół roku temu zostawił samochód. Począł, aż nikogo nie będzie w pobliżu, otworzył swój boks i podłączył akumulator. Po niewielkich zachętach silnik zapalił.

Jasne, magazyny miały kamery bezpieczeństwa, ale on przedsięwziął środki, by to nie było problemem. Gdyby jakimś cudem stwierdzono, że wszedł pieszo i wyjechał samochodem, w drodze do kryjówki dwukrotnie zmienił tablice rejestracyjne, uważał więc, że nigdy go nie znajdą.

Żadnej żywej duszy, nie wyłączając Jordie, nie przysłoby do głowy szukać go tutaj. Najbliższy dom mieszkalny znajdował się trzy kilometry dalej. Jeśli się przyczai i nocami będzie korzystał z minimalnego oświetlenia, powinien być tu bezpieczny nie wiadomo jak długo.

Porwanie Jordie było nieoczekiwaną przeszkodą, ale to nie może wytrącić go

z równowagi. Nie pozwoli na to. Musi tylko poczekać tu na możliwość realizacji ostatniego etapu planu. Wtedy będzie czysty i na wieki wolny od zmartwień.

Niemniej kontekst wypowiedzi Joego Wileya podkopywał jego optymizm. Co wie FBI, o czym on nie wie?

Coś na temat Panelli, co skieruje śledztwo na nowe tory?

Coś o porwaniu Jordie, czym nie podzielili się z mediami?

W telewizorze była nagrywarka. Josh nagrał materiał z wiadomości i ponownie go obejrzał.

A także po raz drugi i trzeci, aż zaczął wpadać w coraz większą paranoję i panikę, zwłaszcza przy słowach Joego Wileya: „potencjalne konsekwencje jego ucieczki...”.

Rozdział 16

Po ostatnich słowach Shawa Jordie miała trudności z patrzeniem prosto na niego. Kątem oka zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni znajomy nóż, po czym stoi i czeka.

Żałowała, że nie potrafi zdobyć się na większy upór, że nie umie go zmusić, żeby przestał jej rozkazywać, ale tak bardzo chciała mieć wreszcie wolne ręce, więc jak posłuszny i dobrze wytresowany piesek odwróciła się do niego plecami. Trzasnął zręcznie przecięty plastik.

Kiedy znowu się odwróciła, grzebał w bagażniku. Podeszedł do niej z kilkoma przedmiotami, w tym z nieużywaną jeszcze bandaną w panterkę.

– Ile ich masz?

– Jeszcze kilka.

Zastanawiała się, co pierwsze się skończy, bandany czy jej czas.

Podał jej chusteczkę i mały kawałek mydła z rodzaju tych, które zapewniają tanie hotele, nie większy niż wafelek i nadal zapakowany w błyszczący biały papier. Następnie dostała butelkę wody.

– Używaj oszczędnie.

Kiedy zrozumiała, że on proponuje, żeby się umyła, pomysł wydał się jej tak pociągający, że miała ochotę rozplakać się z wdzięczności. Z drugiej zaś strony ta dobroć obudziła w niej czujność i pewnie odmalowało się to na jej twarzy.

Machnął za siebie.

– Jak długo będziesz grzeczna, możesz dysponować tą połową budynku, a ja przyrzekam, że będę się trzymał na dystans i nie podglądał.

– Dlaczego miałabym ci zaufać?

– Nie powinnaś.

Spojrzała w mrok gęstniejący za jego plecami. Chociaż wczesny zmierzch po części by ją ukrył, przestrzeń pełna głębokich cieni nie kusila. W przeciwieństwie do mycia.

Wyminęła go i ruszyła do tej części budynku, gdzie było najciemniej. Na szorstkiej ścianie na poziomie wzroku biegły dwie poziome kantówki, które tworzyły wąską półkę. Położyła tam rozpakowane mydło i butelkę wody.

Obejrzała się przez ramię. Shaw składał brezentową płachtę, co wzięła za dobry znak. Nie robiłby tego, gdyby planował, że niedługo będzie mu potrzebna. Ani nie umożliwiłby jej umycia się. Tak czy owak nie patrzył w tę stronę.

Trzymając róg bandany w zębach, zdjęła bluzkę przez głowę i zanim zdążyła samą siebie przekonać, żeby tego nie robić, ściągnęła džinsy. Miała trudności

z przewleczeniem nogawek przez sandały, ale nie zamierzała postawić bosej stopy na podłodze, jeśli mogła tego uniknąć.

W gruncie rzeczy nie było różnicy między stanikiem i figami a bikini, mimo to czuła się obnażona i bezbronna. Pośpiesznie naląła wody na dłonie i namydliła je.

Kiedy umyła każde miejsce, do którego sięgała, zmoczyła bandanę i zaczęła wycierać nią mydło. Wyplukała ją resztą wody i ponownie się wytarła.

– Czas się skończył.

Zastygła, patrząc na niego. Stał plecami do niej i ubierał się w koszulę. Zawołała, że potrzebuje jeszcze chwilki.

– Odliczam od sześćdziesięciu w dół.

– Nie zdążę się wysuszyć. Parno tu...

– Pięćdziesiąt siedem.

Zakłęła pod nosem i pośpiesznie wciągnęła džinsy. Skórę i bieliznę miała wilgotne, mimo to czuła się znacznie lepiej. Starając się nie myśleć o zaschniętych plamach krwi na bluzce, włożyła ją. Zebrała włosy i związała w koński ogon mokrą bandaną.

– Trzydzieści cztery.

Sięgnęła po mydło, ale w pośpiechu upuściła je na podłogę.

– Cholera!

– Dwadzieścia dwa. Dwadzieścia jeden.

Kucnęła i macała wokół siebie w poszukiwaniu mydła.

Znalazła coś innego. Kompletnie nieoczekiwanego.

Natychmiast się zorientowała, co to jest, gdyby jednak nie znajdowała się tak blisko, nic by nie zauważyła, ponieważ tkwiło pomiędzy pionową deską a kantówką biegnącą wokół podłogi jak listwa przypodłogowa.

Ujęła to w rękę, ale siedziało mocno między kawałkami drewna, które pomimo wieku nie ustępowały. Zaczęła ciągnąć z całej siły, chociaż gdyby się jej udało, gdzie mogłaby schować zdobycz, by czekała na okazję do użycia? Musiałaby wybrać idealną porę, znaleźć się blisko Shawa i działać błyskawicznie, bo drugiej szansy nie będzie miała, dlatego powinna dźgnąć go celnie i...

– Dziesięć, dziewięć, osiem.

Szarpnęła po raz ostatni.

– Siedem. Sześć.

– Już idę. – Ostatnie pięć sekund wykorzystała na wyrównanie oddechu, potem wstała i ruszyła ku niemu. – Czuję się o wiele lepiej, dziękuję. To było super, naprawdę. Kto by pomyślał, że takie obmycie szmatką może być...

– Co trzymasz za plecami?

– Nic. Wkładam bluzkę do...

Nim skończyła zdanie, już przy niej był. Odwrócił ją i złapał na przegub.

Siłą otworzył jej zaciśniętą pięść. Miała w niej mydło.

– Chciałam je zachować – powiedziała potulnie. – Nie wiem, może masz ich mniej niż tych chustek.

Serce przestało jej walić dopiero wtedy, gdy w końcu oderwał od niej przenikliwy wzrok.

– Będę jadł – oznajmił. – Ty jak chcesz.

Puścił ją i poszedł do samochodu. Ruszyła za nim, ale myśli miała zaprzątnięte bronią, którą zostawiła pomiędzy deskami. Aby łatwiej było zlokalizować ją w ciemności, na kantówce postawiła pustą butelkę.

Problem polegał na tym, jak w ogóle tam dotrze.

*

Jordie coś knuła.

Nawet gdyby Shaw nie wychwycił tego w momencie, gdy do niego podeszła z radosnym uśmiechem i świergotem na ustach, od razu zdradziłby ją wilczy apetyt, z jakim pochłaniała fasolkę z parówkami. Nadal z ożywieniem gawędziła.

– Skórę miałam szorstką od wyschniętego potu. Nie poczułeś się lepiej po umyciu?

– Nie ma to jak czystość.

– A teraz to wytworne danie. – Posłała mu niemal zalotny uśmiech.

Tak, coś się kryło za tą zmianą nastroju i trzepoczącymi rzęsami.

Opróżniła niewielką konserwę i oblizwała do czysta łyżkę.

– Chcesz jeszcze coś? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

Wrzucił dwie puste puszkę po ich posiłku do bagażnika i zatrzasnął klapę, co sprawiło, że zgasło światło, a razem z nim zniknął fałszywy uśmiech Jordie.

Rozejrzała się zaniepokojona.

– Co będzie, jak zapadnie noc?

– Ciemno.

– Ale... przecież moglibyśmy zostawić otwarte drzwi samochodu. Albo bagażnik. Świeciłaby się lampka.

Pokręcił głową.

– Akumulator się wyczerpie.

– W bagażniku widziałam wielką latarkę.

– Tylko do wykorzystania w nagłych sytuacjach.

– Mógłbyś...

– Światło widać z wielu kilometrów, Jordie.

– Choć jesteśmy tak daleko od głównej drogi? A właściwie jak daleko jesteśmy?

– Światło nie wchodzi w grę.

– Więc całą noc będziemy siedzieć po ciemku?
– Boisz się ciemności? – Nie odpowiedziała. – Zawsze jest ciemno, jak masz zamknięte oczy – dodał.

– Za długo dzisiaj spałam. Minie wiele godzin, zanim będę senna.
– W takim razie będziemy musieli wymyślić, co możemy robić po ciemku. Godzinami. – Podszedł do przewróconej skrzyni, na której siedziała. – O, przepraszam. Czy to zabrzmiało jak kolejna obleśna insynuacja?

Posłała mu pogardliwe spojrzenie.

– Właściwie uznałem, że moglibyśmy zadzwonić do Panelli – dodał. – Zabijemy trochę czasu. – Widząc, jak go obserwuje, włożył baterię do telefonu Mickeya i włączył go. Czekał, aż komórka się załoguje, i w słabej poświacie ekranu bacznie przyglądał się jej twarzy. – Co tam robiłaś? – Głową wskazał tył budynku.

– Myłam się szmatką.

– Co jeszcze?

– Unikałam mysich kupek.

– To wszystko?

– A co jeszcze mogłam robić?

– Nie wiem, ale nie lubię niespodzianek.

Wyzywająco spojrzała mu prosto w oczy. Wywołał rejestr połączeń, przycisnął kciuk do ekranu i przełączył na tryb głośnomówiący.

Panella odebrał po pierwszym sygnale.

– Dobra, dupku – powiedział swoim zniekształconym głosem. – Dwa miliony.

Jordie głośno wciągnęła powietrze. Jej wargi pozostały rozchylone, źrenice się rozszerzyły.

– Już powiadomiłem zagraniczny bank, że dokonam przelewu na taką kwotę – mówił Panella. – Oczywiście najpierw muszę dostać niekwestionowane potwierdzenie zabójstwa.

– Prześlę ci fotografię.

– Nie.

– Tak myślałem – przyznał Shaw. – Więc jak potwierdzę jej śmierć?

– Jestem w trakcie przygotowań.

– Aha. Jasne. Takich samych jak te twoje i Mickeya przygotowania dotyczące mnie. – Panella milczał. – Nie żebym ci nie ufał, Panella, ale muszę zażądać dowodu na twoją dobrą wolę.

– A co zaświadczy o mojej dobrej woli?

– Połowa z góry.

– Zapomnij.

– Połowa albo wybiorę jedną z opcji, które wcześniej ci przedstawiłem.

– Wiesz, co zaświadczy o twojej dobrej woli? Jak przestaniesz się opierdalać i wykonasz robotę. Natychmiast. Zanim jej fałszywy brat da się złapać. To nie musi być nic wymyślnego. Chcę tylko, żeby Josh Bennett dowiedział się o jej śmierci. I to szybko.

Shaw odczekał kilka sekund, po czym szorstko oznajmił:

– Oddzwonię.

Przez całą tę rozmowę nie przerwał kontaktu wzrokowego z Jordie. Kiedy się rozłączył, przez chwilę oboje trwali w bezruchu. Później Jordie zerwała się do sprintu, ledwo zdążył złapać ją za bluzkę i przyciągnąć do siebie. Okręciła się i pięścią walnęła go w szczękę.

– Cholera! – Ból sprawił, że oczy zaszły mu łzami. Wypuścił z dłoni jej bluzkę i Jordie znowu udało się odbiec na kilka kroków, nim od tyłu wziął ją w niedźwiedzi uścisk, przyciskając jej ręce do boków. – Przestań! Posłuchaj! Nie musisz umierać!

Wyrwała się do chwili, gdy uświadomiła sobie, że te wysiłki są nadaremne i dotarł do niej sens słów Shawa. Smagnęła go końskim ogonem po twarzy, oglądając się przez ramię.

– Co?

– Posłuchasz uważnie? Czy będziesz się zachowywać jak wariatka, aż w końcu zmusisz mnie, żebym cię zastrzelił i po prostu się ciebie pozbył? – Milczała, ale zaprzestała prób uwolnienia się z jego uchwytu. Nie ufając całkowicie, że skapitulowała, Shaw poluzował niedźwiedzi uścisk, złapał ją za rękę i poprowadził z powrotem do skrzyni. – Siadaj.

Spełniła polecenie, choć wyglądała na gotową w każdej chwili się zerwać. Shaw dostrzegł, że ciągle ukradkiem zerka na tył budynku.

Dotknął pulsującego policzka dłonią. Skóra nie pękła, ale puchła.

– Cholernie boli.

– Nie spodziewaj się przeprosin.

Wyjął baterię z komórki Mickeya, wsunął obie części do jednej kieszeni, po czym z drugiej wyjął drugą komórkę. Rozpoznał logo Extravaganzy na obudowie, Jordie się wyprostowała.

– To moja.

– Tak jest.

– Mówiłeś, że ją schowałeś.

– Zabrałem ją po południu, kiedy spałaś.

Odsunął klapkę i włożył baterię.

– Uruchamiając twój telefon, ryzykuję, że policja wyśledzi sygnał i do nas dotrze. Ale chcę, żebyś coś zrozumiała. Twój los zależy wyłącznie od ciebie. – Włączył telefon, później wywołał rejestr połączeń i odwrócił ekranem do Jordie. – Wczoraj wieczorem o dziewiątej dwadzieścia trzy rozmowa przychodząca, brak

nazwiska, brak numeru. Ty oddzwoniłaś pierwszy raz trzy minuty później i drugi raz o dziewiątej czterdzieści siedem. Przypuszczam, że wtedy jechałaś już samochodem, ponieważ z twojego domu do tej speluny na zadupiu jest kilka kilometrów. Mniej więcej o dziesiątej weszłaś i usiadłaś przy barze, a wyglądałaś tak nie na miejscu jak lukrowana babeczka na krowim placku. Tylko jedna osoba mogła cię przekonać, żebyś w rekordowym czasie dotarła do tej nory. No to jak... – Pochylił się, ich nosy dzieliło kilka centymetrów. – Gdzie jest braciszek Josh?

Przygarbiła się.

– To mój jedyny atut?

– Tak jest.

– W takim razie już jestem martwa.

– To zależy wyłącznie od ciebie. Umrzesz albo będziesz żyła. Albo zainkasuję dwa miliony od Panelli, albo podasz mi wskazówki, gdzie jest Josh i jego trzydzieści milionów.

– Nie mogę! Sto razy ci mówiłam, że nie wiem, gdzie on jest!

– Powiedziałaś mi też, że nikt się z tobą nie umówił w tym barze! – krzyknął Shaw, potrząsając komórką tuż przed jej twarzą. – Kłamałaś wtedy i kłamiesz teraz.

Cofnęła się, krzyżując ręce na piersi. Na jej przegubach Shaw zauważył czerwone ślady i siniaki pozostawione przez plastikowe kajdanki. Zrobiło mu się jej żal, ale to go nie powstrzymało.

– Josh w rozpaczy do ciebie zadzwonił, prawda, Jordie? To było SOS. Poprosił, żebyś przyjechała i zabrała go z tego baru na odludziu.

– Nie.

– I zawiozła go do kryjówki?

– Nie.

– A może jeszcze nie miał kryjówki i potrzebował twojej dobrej rady. Mieliście pogadać jak brat z siostrą i przedyskutować opcje?

– Nie.

– Zamierzał zostawić dla ciebie w barze wiadomość z informacją, dokąd się wybiera?

Na to pytanie nie odpowiedziała i Shaw przekrzywił głowę.

– O to chodziło?

– Nie.

– Dokąd się wybierał?

– Nie mam pojęcia! Przestań mnie wypytywać, tylko strzepisz język po próżnicy. Nie rozmawiałam z Joshem. Nie zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

– Kłamiesz.

Zaprzeczyła, zdecydowanie kręcąc głową.

– Skoro to nie był Josh, to z kim rozmawiałaś przez telefon?

– Z nikim – odparła, ale wzburzenie w oczach świadczyło, jak szybko obracają się trybiki w jej mózgu.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał z naciskiem, choć łagodnie.

– Dlaczego miałabym cokolwiek ci mówić?

– Ponieważ wiesz, co się stanie, jeśli nie powiesz.

– Wiem, co się stanie, jeśli powiem!

– Pojedziemy do Josha...

– Zabijesz nas oboje.

– I zrezygnuję z trzydziestu milionów? Nie sądzę.

– Josh nie ma...

– Kto do ciebie dzwonił?

– ...tych pieniędzy.

– Z kim rozmawiałaś?

– Z nikim!

– Mów, albo jak mi Bóg miły, przyjmę zlecenie Panelli.

Wzięła głęboki wdech, zwilżyła wargi i powtórzyła chrapliwie:

– Z nikim nie rozmawiałam.

– Chryste, Jordie...

– Ale...

– ...nie bądź głupia.

– Ale rzeczywiście ktoś do mnie zadzwonił.

Rozdział 17

Nagle i pełne napięcia milczenie zburzyło dudnienie grzmotu. Shaw jakby tego nie zauważył. Całą uwagę skupił na Jordie.

– Mogę prosić o wodę? – zapytała.

Wyprostował się i podszedł do samochodu. Wsunął rękę pod deskę rozdzielczą, gdzie była dźwignia bagażnika. Wieko odskoczyło, zapaliła się lampka pod sufitem, za co Jordie była wdzięczna. Przez szpary w ścianach wpadały szare pozostałości światła dziennego i w budynku zapadła niemal całkowita ciemność.

Zwłaszcza w drugiej jego części.

Wrócił do niej z wodą. Podziękowała mu i zaczęła pić. Kiedy zaspokoila pragnienie, zabrał jej butelkę.

– Zapasy się kończą. – Wypił resztę, wrzucił butelkę do bagażnika i znowu przed nią stanął. – Mężczyzna czy kobieta?

– Co?

– Ta osoba, która do ciebie dzwoniła.

– Mężczyzna.

– Ale to nie był Josh?

– Nie wydaje mi się. To mógł być on, ale nie sądzę. Miał stłumiony głos.

– Panella i jego głupie urządzenie?

– Nie, nic w tym rodzaju. Po prostu...

– ...stłumiony.

– Właśnie.

– I co powiedział ten stłumiony głos, który mógł albo nie należeć do Josha?

Zignorowała jego oczywisty sceptycyzm.

– Powiedział: „Jeśli ci zależy na informacji o bracie, przyjedź natychmiast”.

Podkreślił ostatnie słowo i podał wskazówki, jak dojechać do baru. Nie dał mi szansy się odezwać, zaraz się rozłączył.

Shaw chwilę się zastanawiał.

– Co powiedział, kiedy oddzwoniłaś?

– Zrobiłam to od razu, nie wiedziałam, jak dojechać do tej knajpy. Jego wskazówki były mało precyzyjne. Ale nie odebrał.

– Chociaż przed chwilą sam do ciebie zadzwonił?

Wzruszyła ramionami.

– Nie odebrał.

– Niezależnie od tego nie marnowałaś czasu i od razu wskoczyłaś do auta.

– Tak. – Zastanawiała się, czy opowiedzieć mu o samochodzie, który niemal

na pewno ją śledził, ale uznała, że lepiej z własnej woli niczego mu nie mówić. – Jak przypuszczałeś, podczas jazdy znowu do niego zadzwoniłam, bo musiałam zawrócić na jednej z bocznych dróg. Wtedy też nie odebrał. Taka jest prawda. Nic więcej nie wiem. Przysięgam.

– To prawda?

– Tak.

– Nic więcej nie wiesz?

– Nie.

– Więc dlaczego to przede mną ukrywałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj wieczorem, kiedy wielokrotnie cię pytałem, po co poszłaś do tego baru?

Trafił w czuły punkt.

– No cóż, może moja wstrzeźliwość miała coś wspólnego z tym, że ukatrupiłeś swojego partnera, porwałś mnie, związałeś i zaprowadziłeś do ciemnego lasu. Bałam się, że zaraz odbędzie się moja egzekucja. – Coraz bardziej się gorączkowała. – Traciłam zmysły z przerażenia! Widziałam, jak zabiłeś człowieka, i sugerowałeś, że ja – uderzyła się w piersi – byłam częścią planu, żeby ciebie obciążyć winą. Bałam się mówić o telefonie, bo domagałbyś się szczegółów, a ja nic więcej nie mogłam ci powiedzieć, bo nic więcej nie wiem! – Teraz już krzyczała.

Nieporuszony tym wybuchem, dał jej czas na ochłonięcie.

– Przekonajmy się – powiedział.

– Co?

– Zadzwoń. Zobaczymy, czy tym razem odbierze. – Wyciągnął do niej telefon.

Aktywny telefon. Lina ratunkowa. W żadnym razie nie zdążyłaby wybrać numeru, wcześniej by ją powstrzymał, a ona nie miała odwagi dzwonić na nieznaną numer, z którego ktoś wezwał ją do baru. Jeśli osobą na drugim końcu linii był Josh...

Komórka leżała nietknięta na jego dłoni.

– Nie? – powiedział. – Więc ja zadzwonię jeszcze raz.

– Jeszcze raz?

Pokazał jej ekran.

– Widzisz? Wczoraj wieczorem o dziesiątej pięćdziesiąt dwie. Po pół godzinie jazdy od baru zatrzymałem się, żeby zmienić tablice rejestracyjne. Wykorzystałem okazję i sprawdziłem twoją komórkę. Z czystej ciekawości zadzwoniłem pod ten numer.

Spojrzała na niego wyczekująco.

– I co?

– Odczekałem kilka sygnałów. Nikt nie odebrał. Nie prosił o zostawienie

wiadomości. Od tamtego czasu dzwoniłem jeszcze trzy razy i nic się nie zmieniło. – Pokazał jej rejestr. Ostatnią próbę podjął po południu, kiedy spała. – Może tym razem dopisze nam szczęście. – Postukał w ekran i podniósł komórkę, żeby Jordie mogła słyszeć. Serce jej waliło ze strachu, ale nikt nie odbierał.

Po siódmym albo ósmym sygnale Shaw się rozłączył. Nie wiedziała, czy powinna czuć rozczarowanie, czy ulgę, ale z tropu zbijało ją jego uważne spojrzenie.

– W knajpie nikt do ciebie nie podszedł z wyjątkiem tego idioty, który wsunął ci do kieszeni numer telefonu.

– On nie miał z tym nic wspólnego – powiedziała Jordie. – To nie on do mnie dzwonił.

– Skąd wiesz?

– Wyglądał ci na wiarygodnego, na kogoś, kto na polecenie Josha realizował niebezpieczną misję?

Pomimo jej kpiącego tonu Shawowi nawet nie drgnęła powieka.

– Myślę, że kiedy do mnie podszedł, wystraszył osobę, która dzwoniła – dodała. – Przede wszystkim z tego powodu tak się na niego wkurzyłam.

– Wystraszył tajemniczego dzwoniącego, który miał ci podać informacje o Joshu.

Tym razem zauważyła jego sarkazm.

– Myślisz, że kłamię.

– Tego nie powiedziałem.

– Tak wynikało z twojego tonu.

– Najpierw się skarżysz na moje insynuacje, teraz na ton. Zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdołam cię zaspokoić. Ups. – Skrzywił się przesadnie. – Kolejna aluzja.

Podniosła się ze skrzyni.

– Myślę, że ty go wystraszyłeś.

– Kiedy zastrzeliłem Mickeya? Błąd. Ponieważ wtedy już się zorientowałaś, że ktoś cię wystawił, i zmyłaś się stamtąd.

– Zmyłam się, ponieważ dotarło do mnie, że przyście tam było nieracjonalne. Kiedy odebrałam ten telefon, nie miałam pojęcia, że Josh uciekł. Myślałam, że może ktoś chce mi przekazać wiadomość od niego albo podać sposób na skontaktowanie się z nim, coś w tym rodzaju. – Widziała wyraźnie, że Shaw tego nie kupuje. Wzdychając, znowu usiadła i potarła się po skroni. – Szczerze, nie wiem, co chodziło mi po głowie. Zareagowałam bez namysłu. W chwili, gdy przekroczyłam próg tej knajpy, wiedziałam, jaką głupotą było pędzenie przez noc. Im dłużej tam siedziałam i opędzałam się od tego świra, tym bardziej mi się wydawało prawdopodobne, że telefon był mistyfikacją, okrutnym żartem. Myślałam tak, dopóki się nie odwróciłam, nie zobaczyłam ciebie i Mickeya i nie

pojęłam, że za całą sprawą stoi Billy Panella.

– Owszem, stał za zleceniem, ale nie za telefonem.

– Och, jasne. Moje pojawienie się było szokiem. Musieliście zrezygnować z planu A. – Machnęła dłonią z poczuciem beznadziei. – Wracamy do punktu wyjścia. Nie wiem, kto do mnie dzwonił ani dlaczego wysłał mnie do tej knajpy.

Shaw długo nie reagował. W końcu wzruszył ramionami.

– Okay – mruknął, ale jego nonszalancja sugerowała, że wcale nie jest okay.

– Musisz mi uwierzyć!

– Powiedziałem okay. – Usunął baterię z jej telefonu i włożył oba przedmioty do przedniej kieszeni. Zamknął dłoń na jej bicepsie, zmusił ją do podniesienia się ze skrzyni i pociągnął w kierunku drzwi. – Zaczyna padać. Musisz wyjść na dwór, póki się da.

– Proszę, posłuchaj, ja...

– Słuchałem.

– Ale myślę, że mi nie wierzysz. Wierzysz?

Kiedy doszli do drzwi, otworzył drzwi i stanął w progu. Oddychając ciężko, coraz mocniej zaciskał palce na jej ręce.

– Przysięgam, nie kłamię.

Nagle przysunął ku niej twarz. Nigdy dotąd nie wyglądał tak groźnie i onieśmielająco.

– Mówię ci wszystko, co wiem. Proszę, uwierz mi. Uwierz...

– Ucisz się, Jordie.

Rozkaz został wypowiedziany cicho, ale władczo. Przycisnął usta do jej ust bez wahania, nagłaco. Otoczył dłonią tył głowy dziewczyny i trzymał z siłą, od której nie można się uwolnić. Drugą rękę położył jej na karku.

Kciukiem gładząc wrażliwą skórę podbródka, napierał ustami na wargi, by się rozchyliły, a kiedy tak się stało, gładko wsunął język. To sprawiło, że całe ciało Jordie zaalała fala gorąca. Przechylił głowę w drugą stronę i jeszcze głębiej zapuścił się w jej usta.

Potem jednak jęknął sfrustrowany i podniósł głowę.

– Musiałem to zrobić. Tylko raz.

Gwałtownie ją puścił i pchnął przez otwarte drzwi, które potem z hukiem zamknął.

Zanim zdążyła w pełni zarejestrować, co się stało, była na dworze, stała w opadającej mgle, wpatrywała się w ciemność. W całym ciele czuła pulsowanie. Drżącymi palcami dotknęła wilgotnych ust i jęknęła z pragnienia, wstydu, udręki. Jego oddech na jej twarzy był gorący, jego ciało twarde, głos chrapliwy, oczy płonące w ciemności. Cały on, zaborczy i władczy.

Musiałem to zrobić. Tylko raz.

Raz.

Przekaz był jasny.
Zamierzał ją zabić.

Rozdział 18

Było dobrze po zmierzchu, kiedy helikopter wylądował niedaleko sklepu całodobowego, w którym Josh Bennett podobno kupił żywność, artykuły higieniczne i los na loterię. Joe i Hick poprosili o możliwość przesłuchania kasjerki i klienta na miejscu. Oboje czekali na nich przy kasie.

Byli wyraźnie podekscytowani udziałem w wydarzeniu tak wielkim jak poszukiwania człowieka, który został informatorem FBI, a potem miał dość ikry, żeby im uciec.

– Josh Bennett was też orznął, co? – rzucił hałaśliwy, barczysty mężczyzna, ściskając im rękę. – Jak obaj z Panellą orznęli tych wszystkich ludzi.

Zapytali go, jak Bennett wyglądał tamtego poranka. Opisał go i powiedział, jakie wrażenie zrobił na nim zbieg.

– Choć prawdę mówiąc, większą uwagę zwracałem na telewizor.

Potem przyszła kolej na kasjerkę. Kobieta nie kryła troski o uciekiniera.

– Wyczułam, że coś z nim jest nie tak.

– Był ranny, chory, jaki? – dociekał Joe. Hick pośpiesznie zapisywał ich odpowiedzi na iPadzie.

– Nie, jak wszedł, wydawał się w porządku. Zaczął wyglądać źle, kiedy zakreślał liczby na kuponie. Wtedy też wszyscy patrzyliśmy na wiadomości. Pewnie w taki sposób się dowiedział, co wczoraj wieczorem przydarzyło się jego siostrze. To musiał być dla niego szok. Trudno mu nie współczuć.

Hick i Joe spojrzeli na siebie, bez słów się zgadzając, że nie potrafią wzbudzić w sobie ani szczypty sympatii dla Joshui Bennetta. Joe znowu zwrócił się do kasjerki.

– Wspomniał coś o porwaniu albo morderstwie?

Oboje pokręcili głowami.

– Załatwił swoją sprawę, jakby się śpieszył – powiedziała kasjerka. – Był rozdrażniony i się pocił. Miał na sobie spodnie khaki, takie wojskowe. Uznałam, że właśnie wrócił z Syrii czy skądś tam. Wie pan, pomyślałam, że cierpi na stres pourazowy.

– Wyglądało na to, że jest uzbrojony? – zapytał Joe.

– Nie – odparł mężczyzna. – Ale nie wiadomo, co on nosił w plecaku.

Poza tym oboje nic wartościowego już nie przekazali przesłuchującym ich detektywom, chociaż mężczyzna pamiętał, że widział Josha po wyjściu ze sklepu.

– Szedł poboczem na zachód. Miał plecak i torby z zakupami. Wpadło mi do głowy, żeby pojechać za nim i zaproponować, że go podwiozę, ale potem zająłem

się wypełnianiem kuponów na loterię. Kiedy w końcu wsiadłem do pikapa, nigdzie nie było go widać.

Joe już wcześniej poprosił o nagrania z kamer bezpieczeństwa. On, Hick i grupa miejscowych stróżów prawa oglądali je kilka razy, ale nie znaleźli na nich nic znaczącego poza tym, co świadkowie już im powiedzieli.

Hick jednak skomentował zmianę w wyglądzie zbiega.

– Nie jestem pewien, czy sam od razu bym go rozpoznał.

Joe niechętnie się z nim zgodził.

Wydziały policyjne z pobliskich miast, biuro szeryfa, policja stanowa oraz szeryfowie federalni zostali zmobilizowani do rozpoczęcia poszukiwań, chociaż nikt nie przewidywał, że przed wschodem słońca uda się trafić na ślad Bennetta.

Joe był więc zaskoczony, kiedy go powiadomiono, że w pobliskim lesie coś zostało znalezione.

– Niech nikt niczego nie dotyka, dopóki tam nie przyjedziemy.

Polana znajdowała się w pewnej odległości od autostrady i prowadziła do niej ścieżka, którą starali się omijać, przedzierając się przez ciemny las.

Zastępca szeryfa, który dokonał odkrycia, poprowadził ich do wielkiego dębu. Joe uznał, że drzewo ma co najmniej sto lat, jeśli nie dwa razy więcej.

– Wszyscy, którzy wychowali się w tych stronach, znają tę ścieżkę i to drzewo – powiedział zastępca szeryfa. – Nastolatki kupują piwo w sklepie, zwykle z fałszywymi dokumentami tożsamości, i przychodzą tu pić i się migdalić. W liceum nazywaliśmy ten dąb drzewem do dymania, bo... sami wiecie. Dlatego zapamiętałem to miejsce i pomyślałem, żeby je sprawdzić. Opłaciło się.

Poświecił latarką na śmieci rozrzucone po plątaninie grubych korzeni wijących się u podstawy pnia. Joe nie miał wielkich nadziei. Śmieci mógł równie dobrze zostawić Josh Bennett jak napalona młodzież z nielegalnie zakupionymi sześciopakami.

Kucnął ostrożnie i przyjrzał się opakowaniom różnych produktów i pustym reklamówkom. Pomiędzy nimi leżał wydruk kasowy ze sklepu całodobowego; data i godzina zgadzały się z bytnością tam Bennetta. Jedną z pozycji był kupon Lotto.

– Na ścieżce jeszcze coś rzuciło mi się w oczy – dodał zastępca szeryfa. – Jeden zestaw śladów prowadzi na polanę, drugi w kierunku autostrady.

– Przebrał się tutaj? – zapytał Hick.

– Tak przypuszczam. Taki bystrzak jak on pewnie wiedział, że nagrały go kamery bezpieczeństwa w sklepie. Na pewno chciał szybko zmienić wygląd.

Joe uważał tak samo. Wśród śmieci było także puste opakowanie po jednorazówce do golenia. Wskazał je Hickowi.

– Pozbył się swojego brzydkiego zarostu – skomentował Hick.

Joe wyprostował się i spojrzał na ścieżkę.

– Załóżmy, że tu przyszedł, zmienił w najgorszym razie buty, ogolił się,

spakował zakupy do plecaka i wrócił na autostradę. Co dalej?

– Złapał stopa – zasugerował jeden z funkcjonariuszy zgromadzonych wokół polany.

– Poszedł pieszo – dorzucił inny.

– Jeśli był na piechotę, psy mogą podjąć jego trop – zwrócił się do Joego zastępcą, który znalazł śmieci. – Rano sprowadzimy zespół.

– Dlaczego nie od razu? – zapytał Joe. – Psy nie wiedzą, że jest ciemno.

Zastępca się zawahał.

– To prywatny wykonawca. Zapłacicie?

– Tak.

Funkcjonariusz przytknął palce do kapelusza.

– Zaraz zadzwonię.

Zostawiwszy innym spakowanie dowodów, Joe i Hick ruszyli w stronę autostrady. Zadzwoniła komórka Joego.

– Joe Wiley – powiedział do słuchawki.

– Ten mój portret, który pokazaliście w telewizji, jest kompletnie do dupy.

Joe stanął jak wryty.

– Josh?

Słyszając to imię, Hick okręcił się na pięcie. Joe odsunął nieco telefon od ucha, żeby partner też słyszał.

– Skąd masz numer mojej komórki? – zapytał Joe.

– Zapamiętałem pół roku temu. Mam do tego smykałkę.

– Telefon do mnie i oddanie się w ręce władz to najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś.

– Nigdy nie oddam się w ręce władz.

– Więc dzwoniś tylko po to, żeby skrytykować naszego rysownika?

– Czy Jordie nie żyje?

Zadane wprost pytanie i ledwo wyczuwalna emocja kryjąca się za nim zaskoczyły Joego.

– Nie wiem, Josh. Mam nadzieję, że żyje.

W słuchawce rozległ się stłumiony szloch.

– Myślę, że zginęła, a wy na razie tego nie ogłosiliście.

– Powiedz mi, gdzie jesteś. Przyjadę i pogadamy o tym.

– Akurat.

– Zostawiłeś ślady po wyjściu ze sklepu. Agent Hickam i ja deptamy ci po piętach. Nie przestaniemy, dopóki nie wpadniesz w nasze ręce.

– Nie marnujcie czasu na śledzenie mnie, tylko znajdźcie moją siostrę! – Na ostatnim słowie głos mu się załamał.

– Robimy co w naszej mocy.

– Myślicie, że już ją zabił, prawda? Ten Kinnard. Shaw Kinnard. Pokazali

jego zdjęcie w telewizji.

– Fatalna sprawa. To podły drań. Ale on i Mickey Bolden to tylko wynajęci zabójcy, którym zapłacił Billy Panella. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Próbujesz mnie przerazić. Billy już się mną nie przejmuję.

– Josh, pracowałeś dla tego człowieka. Czy puścił płazem choćby najdrobniejszą zniewagę? Ty go zakablowałeś, a to coś o wiele większego niż zwykła zniewaga. – Słyszał głośne przełykanie śliny i wykorzystał to do przedstawienia sytuacji bez ogródek. – Geografia mu nie przeszkodzi. Panella ma mnóstwo szmalu. Trzydzieści milionów wystarczy na całą hordę płatnych zabójców. Może ich wysyłać jednego po drugim. Będą przychodzili falami. Już wysłał dwóch naraz. Nie umrze szczęśliwy, dopóki nie skonasz w męczarniach.

Josh rozpaczliwie szlochał.

– Zawsze groził, że najpierw zabije Jordie. Przysięgał, że to zrobi, jeśli go oszukam.

– Wygląda na to, że dotrzymał słowa, prawda? Domyślasz się, kto będzie następny? Ty. Chyba że pozwolisz, żeby chronił cię rząd.

– Chronił? Ha! Wsadzicie mnie do więzienia.

– Może ci się uda zawrzeć następną umowę z Departamentem Sprawiedliwości, choć stracisz atuty przetargowe, jeśli nadal będziesz uciekał, a bez naszej ochrony jesteś łatwą zdobyczą dla Panelli. Więc powiedz, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie z agentem Hickamem. Będziesz bezpieczny.

– Ja jestem bezpieczny. Chcę, żeby Jordie też była. – Pociągnął nosem i wymamrotał: – Może byśmy mogli razem pracować.

Joe spojrzał przenikliwie na Hicka, który z zainteresowaniem uniósł brwi.

– Co masz na myśli, Josh?

– Najpierw musicie mi powiedzieć prawdę. Jordie nie żyje?

– Przysięgam na Boga, że nie wiem.

– Ale myślisz, że ją zabił? Tak?

Joe uznał, że Josh Bennett skłania się ku następnej umowie, a chytry mały gnojek już udowodnił, że jest twardym negocjatorem. Co lepsze, kręactwa czy szczerść?

Wiedział, że Hick czyta mu w myślach, i spojrzał na niego pytająco. Partner przekrzywił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Twój wybór”.

Postanowił, że będzie szczerzy.

– Wziąwszy pod uwagę reputację tego faceta, szanse Jordie wydają się nikłe.
*

Shaw Kinnard zamierzał ją zabić i zgarnąć dwa miliony dolarów. Tak się stanie, chyba że ona zdoła uciec albo mu przeszkodzić. Pokonanie labiryntu kanałów za budynkiem nie wchodziło w grę. Nie wiedziała, jak głęboka jest woda,

samo ustalenie tego byłoby niebezpieczne. Jeśli w nią wejdzie, może zginąć na wiele najróżniejszych sposobów: aligatory, jadowite węże, zaplątanie się w korzenie roślin rosnących pod i nad mętną wodą.

Co więcej, nie miała pojęcia, jak daleko sięgają te mokradła i dokąd w którymkolwiek kierunku prowadzą. Zanim żywioły odebrałyby jej życie, mogłaby błądzić przez wiele dni i nigdzie nie dotrzeć.

Obejrzała się na żwirową ścieżkę, którą przyjechali. Jak daleko jest do głównej drogi? Wydawało się jej, że sprytnie zadała pytanie o odległość, ale Shaw przejrzał ten podstęp i nie odpowiedział. Jeśli spróbuje pobiec, on bez problemu dogoni ją samochodem.

Nie miała skrzydeł.

Czyli ucieczka wodą, ziemią lub powietrzem była wykluczona. Co oznaczało, że nie powinna dopuścić, by ją zabił.

Jedynе narzędzie, którego mogła w tym celu użyć, znajdowało się w budynku.

Raz jeszcze zastanowiła się nad swoimi ograniczonymi możliwościami, ale do głowy nie przyszły jej żadne nowe pomysły. Odwlekała tylko nieuniknione. Ze strachem chwyciła wyłamaną zasuwę i otworzyła drzwi. W budynku panowała całkowita ciemność, powietrze było zatęchłe jak w jaskini.

– Wejdz. – Jego głos wydawał się oderwany od ciała. Nie widziała go.

– Nie widzę, gdzie mam iść.

Po długiej chwili, w czasie której słyszała jedynie dudnienie serca w uszach, otworzył drzwi samochodu i zapaliła się lampka pod sufitem, chociaż bardziej uwydatniła otaczający mrok, niż go rozproszyła.

Stał po drugiej stronie samochodu, ponad dachem widać było tylko jego głowę i ramiona.

– Zmokłaś?

Dopóki nie zapytał, Jordie nawet nie zauważyła, że jej włosy i ubrania istotnie wchłonęły wilgoć, gdy stała przed budynkiem i rozważała swoją jedyną nadzieję na ocalenie.

Sama myśl o tym, co musi zrobić, wywoływała mdłości. Gorsze wywoływała świadomość, że umrze jak Mickey Bolden.

Mokra bandana, którą związała kucyk, oparła się ciężko na jej szyi, gdy w odpowiedzi na jego pytanie kiwnęła głową.

– Owszem, trochę.

– Może w bagażniku jest coś, czym mogłabyś się wysuszyć.

Serce Jordie zaczęło walić. Dał jej pretekst do powrotu na miejsce, gdzie wcześniej się myła. Nie chciała jednak sprawiać wrażenia, że bardzo jej na tym zależy.

– Co tam masz?

– Zobacz. – Zniknął z kręgu światła, otworzył bagażnik dźwignią pod deską rozdzielczą i zaraz się wyprostował.

Po krótkim wahaniu ruszyła w stronę samochodu.

– Chyba musiałabym wykorzystać resztę twoich bandanek.

– Zostało mało i wolałbym więcej ci nie dawać.

– Kupię ci nowy tuzin.

Nagle uderzyło ją, jaką niedorzeczną rozmowę prowadzą, ale co właściwie można w takiej sytuacji powiedzieć? Co byłoby stosowne? Nic nie przychodziło jej do głowy.

A z drugiej strony sprawą fundamentalną było kontynuowanie tej pogawędki. Dźwięk własnego głosu jakimś sposobem wzmógł jej zdecydowanie. Stanowił dowód, że Shaw nie zastrzelił jej w chwili, gdy wróciła do budynku, że nadal żyła. Dopóki oddychała, pozostawała nadzieja. Może słabnąca, ale na razie płomyk wciąż migotał.

Doszła do tylnego zderzaka. Shaw nadal stał przy drzwiach od strony kierowcy, lewą rękę opierał o dach i wyglądał na zwodniczo swobodnego. Tylko oczy zdradzały, jak bardzo był czujny. Odbijały słabe światło jak ostrza brzytwy i obserwowały ją z przerażającym bezruchem.

Nie zamierzała okazać strachu, pochyliła się nad bagażnikiem i pośpiesznie przejrzała jego zawartość. Zobaczyła konserwy, pół tuzina pełnych butelek wody, kilka pustych, niebieski brezent. Nie dostrzegła swojego telefonu. Ani lewarka. Był pod brezentem? A jeśli nie tam, to gdzie? Co z nim zrobił?

– Znalazłaś? – zapytał.

– Tak. – Sięgnęła do bagażnika po opakowanie bandanek, wyjęła jedną i wrzuciła resztę z powrotem.

Usiłując zachować opanowanie, wolno się odwróciła i ruszyła na tyły budynku.

– Zostaw światło na kilka minut, a ja w tym czasie...

– Jordie.

– Co?

– Skąd ten pośpiech?

– Jestem mokra.

– Stój.

– Słucham?

– Powiedziałem: stój!

Okręciła się ku niemu.

– Dlaczego?

Szedł ku niej z prawą ręką opuszczoną przy boku.

– Tego szukałaś? – zapytał i podniósł rękę. Serce przestało jej bić w oczekiwaniu na widok pistoletu.

Nie spodziewała się strzały.

Zabrakło jej tchu.

Z szybkością błyskawicy zgiął kolano i złamał strzałę, potem oba kawałki rzucił na ziemię.

Jordie krzyknęła przez zduszone gardło, odwróciła się i pobiegła na koniec budynku.

Był tuż za nią, coraz bliżej.

– Zastanawiałem się, co cię tam tak zainteresowało. Znalazłem strzałę, kiedy przed chwilą byłaś na dworze.

Zrównała się z pustą butelką stojącą na kantówce i właściwie rzuciła się na ścianę.

– Naprawdę myślałaś...

Opadła na kolana i przeczołgała się kilka kroków.

– ...że się nie zorientuję, że coś knujesz?

Drzazgi kłuły ją w dłonie, gdy na oślepie obmacywała ścianę z surowego drewna.

Kucnął. Odwróciła się twarzą do niego, za plecami mocno przyciskając ręce do drewna.

– To nie ma sensu – powiedział. – Znalazłem twoją tajemną broń. Co miałaś zamiar zrobić ze strzałą? Naciągnąć cięciwę na łuk i strzelić do mnie?

Oczy wypełniły jej się łzami. Trzęsła się ze strachu.

– Daj spokój. Wstań. – Położył ręce na jej ramionach i chciał ją podnieść, ale się opierała.

Łzy zmieniły jego twarz w wodnistą smugę, chociaż widziała wyraźnie bliznę wyłaniającą się z zarostu i usta, które wyglądały na surowe, ale całowały niezwykle namiętnie.

Dostrzegła także, jak jego rysy zastygają w wyrazie oszołomionego niedowierzania, kiedy prawą ręką wycelowała w jego brzuch.

Wpatrywali się w siebie przez kilka sekund, później równocześnie się poruszyli, on odsuwając się na kilka kroków i siadając na ziemi, ona obiema dłońmi zakrywając usta, by powstrzymać okrzyk przerażenia z powodu własnego gwałtownego czynu.

Nadal gapił się na nią zdumiony. Po chwili pochylił głowę, by popatrzeć na złamaną łopatkę silnika sterczącą mu z brzucha.

Rozdział 19

Shaw brzydtko zaklął i obrzucił płonącym wzrokiem Jordie, która wreszcie oderwała dłonie od ust, po czym ku niemu skoczyła.

– Kurwa, nie zbliżaj się. – Próbował krzyczeć, ale głos mu się łamał.

Sięgnęła pod jego koszulę i wyszarpnęła pistolet z kabury. Musiał opierać się na rękach, dlatego bez walki pozwolił zabrać jej broń. Trzymając ją w dygoczących dłoniach, wycelowała w niego.

– Nie ruszaj się albo cię zastrzelę.

– Tym na pewno nie. – Sycząc z bólu, usiadł prosto. Czuł krople potu wyskakujące mu na czole. W każdym innym momencie jej niedoświadczenie w obchodzeniu się z bronią sprawiłoby go w zdenerwowanie. Teraz zacisnął zęby z bólu przeszywającego mu brzuch i dodał: – Wyjąłem magazynek.

Przestała majstrować przy pistolecie i utkwiała w nim szeroko otwarte oczy.

– Co?

– Środki ostrożności. Za bardzo się nim interesowałam.

– Gdzie są naboje?

– Ukryte.

– Gdzie?

Ignorując ją, przywołał w myślach schemat ludzkiej anatomii i usiłował sobie wyobrazić, które organy spowodowałyby wykrwawienie, gdyby zostały uszkodzone. Złamana łopatką wbiła się pod ostatnie żebro po lewej. Prawdopodobnie ominęła trzustkę, wątrobę i żołądek, które znajdowały się wyżej i bardziej pośrodku. Lewa nerka? Za wysoko i z boku. Jelito grube? To możliwe. Chociaż jeśli miał szczęście, ostrze tkwiące za bardzo na lewo oszczędziło także jelito.

Najgorszy scenariusz: przedziurawiło tę wielką arterię – cholera, jak się ona nazywa? – przechodzącą przez brzuch do lędźwi, gdzie zmienia nazwę na udowę. Jeśli to ważne naczynie krwionośne zostało uszkodzone nawet w nieznacznym stopniu, on już niedługo przestanie stanowić problem dla Jordie Bennett. Czas, jaki mu pozostał, będzie zależał od wielkości wycieku.

Zaklął znowu.

– Niewykluczone, że nie będziesz potrzebowała pocisków.

Pobiegła do samochodu. Słyszał, jak grzebie w bagażniku, a potem przeklina, próbując włączyć latarkę.

– Cholera jasna! Wyjąłeś baterie? Gdzie one są? Ukryłeś je?

– Byłem zajęty, kiedy drzemałaś.

Wróciła, uklękła obok niego i wepchnęła dłoń do kieszeni jego džinsów. Nic nie znalazła, powtórzyła więc przeszukanie drugiej kieszeni, w której miał nóż i telefon Mickeya. Odrzuciła nóż poza zasięg Shawa i całą uwagę skupiła na telefonie. Kiedy po włączeniu okazało się, że komórka nie działa, odwróciła ją i usunęła tylną klapkę, jak kilkakrotnie w jej obecności robił to Shaw. Widząc, że komórka jest pusta, bardzo się zdenerwowała.

– Gdzie jest bateria?

Pokręcił głową.

– Zwariowałeś? Mów. Muszę zadzwonić na pogotowie.

Kręcenie głową spowodowało tylko, że nasiliły się zawroty i oszołomienie, więc wcale nie zareagował.

– Jeśli nie wezwiemy pomocy, możesz umrzeć.

– Przecież tego chciałaś!

– Nie! Nie chciałam cię zabić! Chciałam tylko nie dopuścić, żebyś ty zabił mnie.

– Szkoda, że zamiast ładnie poprosić, wbiłaś mi... cholera, boli.

Złapała go za brodę i zmusiła, by na nią spojrział.

– Powiedz, gdzie schowałeś baterię do telefonu.

Wyszarpnął się z jej ręki.

– Przynies mi butelkę wody i resztę tych chustek.

Spojrzała na niego skonsternowana, ale posłuchała. Po minucie wróciła. Zdołał zachować pozycję siedzącą, chociaż lekko się przechylał na bok. Odkręcił butelkę i polał wodą kawałek metalu, który przyszpilił mu koszulę do tułowia. Jordie patrzyła przerażona, jak zaciska na nim palce obu rąk.

– Co ty robisz?

Mrugnął, chroniąc oczy przed potem.

– Cofnij się. Jeśli przecięłaś arterię, będziesz cała ochlapana.

– Zamierzasz to wyciągnąć?

– Trzymaj pod ręką bandany. Jak tylko ostrze wyjdzie...

– Nie możesz tego zrobić!

– Wcale się do tego nie palę.

Usunąć czy nie: w obu przypadkach ryzykował. Metal może służyć jako zatyczka i zapobiegać poważnemu krwotokowi, jeśli jednak jest zardzewiały i brudny jak reszta silnika i na dłużej zostanie w ranie, Shaw umrze na infekcję lub tężec, a żadna z tych śmierci nie będzie łagodna. Przynajmniej ta pierwsza ewentualność załatwiała sprawę niemal od razu.

– Proszę – powiedziała z drzeniem w głosie. – Pozwól mi zadzwonić...

Zanim zdążyła go przekonać, żeby tego nie robił, pociągnął za wystającą część metalu, sprawdzając, jak mocno i głęboko siedzi w ciele. To wystarczyło, aby o mało nie zemdlął. Wziął kilka głębokich wdechów, przygotował się

psychicznie i szarpnął z całej siły. Nierówny metal rozdarł ciało Shawa, ciepła krew popłynęła po brzuchu.

Tysiąc donośnie machających skrzydeł zasłoniło mu widok. W głowie zabiły dzwony. Spocił się cały. Żołądek stanął dęba, gardło wypełniła piekąca żółć. Zrezygnował z walki z grawitacją i padł na plecy, oszczędzając lewy bok.

Mgliście zdawał sobie sprawę, że Jordie odpina zatrzaski jego koszuli, pochyla się nad nim i utyka ranę kwadratami tkaniny w panterkę.

– Jordie?

Nie był pewien, czy wypowiedział jej imię, czy tylko je pomyślał.

Chyba jednak to pierwsze, ponieważ warknęła:

– Co?

– Dlaczego...

– Zamknij się, jestem zajęta.

– Dlaczego...

– Nie odzywaj się do mnie!

– Dlaczego nie pobiegłaś na drogę?

Znieruchomiała i spojrzała na niego. Z łatwością wywnioskował, że ten pomysł nawet nie przyszedł jej do głowy.

Po kilku sekundach zdumienie zniknęło z twarzy Jordie. Zacisnęła szczękę i szorstko oznajmiła:

– Pada.

Potem znowu pochylili się nad nim i podjęła wysiłki, żeby zatamować krwotok.

*

W bagażniku pod kołem zapasowym znalazła kilka baterii. Umieściła je w latarce i zapaliła ją, po czym dokładnie przeszukała samochód: skrytkę, pod siedzeniami, nawet pod maską. Niczego więcej jednak nie znalazła.

Lampka pod sufitem wyczerpywała akumulator, Jordie zamknęła więc drzwi i bagażnik, najpierw jednak wzięła całą buteleczkę advilu i wszystko inne, co jej zdaniem mogło się przydać do ratowania życia Shawa.

Zaniosła brezent do miejsca, gdzie mężczyzna leżał. Był przytomny, bo kiedy na niego poświeciła, skrzywił się i kazał jej wyłączyć tę pieprzoną latarkę.

– Muszę widzieć, co robię.

Postawiła latarkę na ziemi obok niego, lecz poza jego zasięgiem, i jeszcze dwa razy wróciła do samochodu po rzeczy wyjęte z bagażnika. Zgromadziwszy wszystko, rozłożyła brezent.

– Myślisz, że dasz radę przenieść się na płachtę?

Spojrzał na brezent, na Jordie i pokręcił głową.

– Podłoga jest brudna.

– Brezent także.

– Rozłożyłam go czystą stroną do góry.

– Jakby to miało znaczenie – burknął lekceważąco. Słabym machnięciem wskazał leżący w pobliżu zakrwawiony kawałek metalu, którym go dźgnęła. – Jest na tym dość bakterii, żeby zabić słonia.

– Więc pozwól mi zadzwonić po pomoc.

– Nie.

– Chcesz tu umrzeć?

Spojrzał na nią twardo, potem spróbował przetoczyć się na brezent. Jęknął głośno.

– Pomogę ci. – Jedną ręką objęła go za ramiona, drugą w talii. – Będę cię podtrzymywała, a ty pracuj nogami...

– Po prostu to zrób.

Dopiero po trzech próbach, które musiały sprawiać mu potężny ból, zdołała przenieść go na płachtę. Wtedy był już bezwładny, pocił się bardzo i wargi miał zacisnięte tak mocno, że pobielwały.

Najłagodniej jak umiała, zaczęła usuwać skrwawione chustki. Przy ostatniej musiała przełknąć wzbierające w gardle wymioty. Otwarta rana miała dwanaście centymetrów długości i około dwóch centymetrów w najszerszym miejscu. Ciało w środku było krwistoczerwone.

Oparł się na łokciu na tyle, by ocenić szkody. Zerknął, po czym się położył.

– Kiepska jesteś. Ominęłaś arterię.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem, jak zabić człowieka.

Mimo że ważne naczynie krwionośne nie zostało uszkodzone, rana szybko wypełniła się krwią. Jordie położyła na niej świeżą chustkę. Shaw zaklął i zacisnął szczękę tak mocno, że widać było kości. Poprowadziła jego rękę do rany.

– Naciskaj.

Pośpiesznie zabrała nóż i połała ostrze wodą z butelki. Zostały im tylko trzy bandany. Nożem pocięła je na pasy.

– Co robisz?

Wiązała paski ze sobą. Skończywszy, upewniła się, że węzły trzymają mocno, następnie porównała swój sznur z rozmiarem jego talii.

– To dobrze, że jesteś szczupły. Podnieś się.

Musiał pojąć, o co jej chodziło. Wygiął biodra na tyle, by zdołała przeciągnąć pod nim pasek. Związała oba jego końce na chustce zakrywającej ranę.

– Dopóki nie pozwolisz mi zadzwonić po pomoc, nic lepszego nie jestem w stanie wymyślić.

Zamknął oczy i ciężko oddychał przez nos, jakby usiłując odeprzeć fale bólu. Włożyła mu w usta cztery tabletki advilu i odkręciła butelkę wody.

– Proszę, pij.

Podniósł głowę i wziął kilka małych łyków. Przechyliła butelkę zbyt mocno, woda pociekła mu z kącików ust. Bez namysłu wytarła jego zarosnięty podbródek, bliznę w kształcie C i szyję.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Przysiadła na piętach. – Shaw...

– Zapomnij o tym.

– Nie wiesz, co chciałam powiedzieć.

Nie otworzył oczu.

– Nie, ale po raz pierwszy zwróciłaś się do mnie po imieniu, więc wiem, że nie spodoba mi się nic, co tak się zaczyna.

– Pozwól mi wezwać pomoc.

Tylko pokręcił głową.

– Proszę.

– Zgaś latarkę.

– Nie.

Spojrzał na nią.

– Wyczerpujesz... baterie, a więcej nie mam.

– Akurat.

Westchnął.

– Przysięgam.

Wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Z trudem skupiał wzrok. Mówił wolno, jakby musiał szukać każdego słowa, coraz większy kłopot sprawiało mu wyrażanie myśli.

– Zgaś latarkę – powtórzył cicho.

Nie znalazła nigdzie dodatkowych baterii, więc uznała, że może mówić prawdę. Zgasila latarkę i pograżyli się w ciemności.

Przez pewien czas oboje milczeli.

– Jeśli zasnę, ulotnisz się?

– Szczerze? Jeszcze nie zdecydowałam.

– Bycie tobą jest do dupy, Jordie Bennett. Zawsze rozdarta pomiędzy moralnością a interesem własnym.

– Może powinnam być bardziej podobna do ciebie.

– Amoralna, chcesz powiedzieć.

– Gdybyś był amoralny, już bym nie żyła.

– Życie zawdzięczasz chciwości, nie moralności. – Zmienił pozycję i jęknął.

Dyszał z bólu jak rodząca kobieta. – Jak stracę przytomność, przewrócisz to miejsce do góry nogami w poszukiwaniu kluczyków do samochodu?

– Pewnie tak. I mojego telefonu. Co z nim zrobiłeś?

– To tajemnica. Kiedy znalazłaś tę łopatkę?

– Kiedy się myłam.
– Nie powinienem być dla ciebie taki miły.
– Była wepchnięta między deski. Nie mogłam jej wyjąć, jak zaczęłaś odliczać, musiałam ją tam zostawić.
– A kiedy odkryłem tę strzałę...
– Nie widziałam żadnej strzały, dopóki nie złamałeś jej na kolanie.
– Myślałem, że cię pokonałem.
– Ja też. Wiedziałam, że moją jedyną szansą jest dotarcie do tej złamanej łopatki.

– I zabrałaś ją.
– Tak.
– Postąpiłaś odważnie. Ale pamiętaj... jeśli kiedyś będziesz w podobnej sytuacji...

Urwał, więc go ponagliła:

– O czym mam pamiętać?
– Uderzaj tak, żeby zabić.
– Będę to miała na uwadze.

Usłyszała szelest brezentu, kiedy poruszył się niespokojnie. Później przez pewien czas leżał bez ruchu.

– Ty... ty... – powiedział wreszcie.

Pochyliła się nad nim.

– Tak.
– Do teraz mogłaś sto razy mnie zabić. Dlaczego tego nie zrobiłaś?
– Mówiłam ci i naprawdę tak myślałam, że nie chciałam, żebyś umarł.
– Z powodu pocałunku?
– Pocałunku?

– Przecież pamiętasz. Piekielnie seksowny. Kiedy przeszliśmy od zera do sześćdziesięciu w ciągu półtorej sekundy? Prawdziwa gra wstępna?

– Ja tego tak nie pamiętam.
– Gadaj sobie.
– Po prostu nie chcę, żebyś umarł, to wszystko.
– Dobra, dobra. Dzięki za to.

Macał w ciemności, aż znalazł jej lewą rękę. Przyciągnął ją do siebie i położył sobie na piersiach. Jordie poczuła miękkie włoski, rozgrzaną skórę. Klatka piersiowa gwałtownie wznosiła się i opadała. Poglądził wierzch jej dłoni i przetoczył się nieznacznie na prawy, zdrowy bok.

– Ale na wypadek... gdybyś zmieniła zdanie...

Za późno zrozumiała, co Shaw robi. Zapiął plastikowe kajdanki na jej lewym i swoim prawym przegubie. Wydała nieartykułowany okrzyk głównie ze złości na siebie, że tak łatwo dała się oszukać gadką o seksownych pocałunkach.

Szarpnęła mocno ręką, choć wiedziała, że to daremny trud. Potem przypomniała sobie o nożu. Odłożyła go, pociąwszy bandany na paski. Zaczęła szukać wolną ręką.

Jednak w tej sprawie on także był o krok przed nią.

– Jest w tylnej kieszeni moich dżinsów. Tam, gdzie były kajdanki. Zachowałeś się beztrzesko, kładąc go tak blisko mnie.

– Proszę, nie rób tego. Nie pomogę ci, jeśli nie będę mogła się ruszać.

– W tej chwili mi pomożesz, jeśli będziesz leżała i nie odzywała się.

– Bądź rozsądny, Shaw. Skończyło się. Odniosłeś poważną, może śmiertelną ranę. Nie mamy sposobu na stwierdzenie rozmiaru obrażeń wewnętrznych. – Mówiła tak przez co najmniej minutę, prosząc i argumentując, aż dotarło do niej, że on nie odpowiada.

*

Kiedy Shaw się ocknął, deszcz walił w blaszany dach jak kulki. Ale nie to go obudziło, tylko ból, na który ibuprofen nie mógł pomóc. Jordie ustawiła latarkę tak, że promień światła padał na ranę, i palcami sprawdzała obszar wokół niej.

– Możesz przestać? Boli jak skurwysyn.

Czoło miała zmarszczone.

– Shaw, posłuchaj, jesteś....

– Która godzina? – Zgiął lewą rękę i zamrugał, aż cyfry na zegarku nabrały wyrazistości. Zbliżał się świt, co tłumaczyło, dlaczego ciemność zaczynała szarzeć. Słońca jednak nie będzie, nie przy tej ulewie.

– Jesteś przytomny?

Popatrzył na nią i pokiwał głową.

– W ranę wdało się zakażenie.

Chociaż musiał zacisnąć zęby, żeby nie jęczeć, z wysiłkiem się podniósł i sam zerknął. Wcześniej Jordie rozwiązała prowizoryczny bandaż i usunęła przesiąkniętą krwią bandanę, odsłaniając ranę. Obszar wokół niej był napuchnięty i czerwony.

– Jesteś rozpalony.

Owszem, zdawał sobie sprawę, że ma gorączkę. Skóra go swędziała i wydawała się zbyt ciasna, oczy piekły, strasznie mu się chciało pić.

– Podaj mi wodę.

Zrobiła to od razu, sięgając po butelkę prawą ręką, jako że lewą wciąż miała unieruchomioną. Shaw zastygł z butelką w połowie drogi do ust.

– Co to było?

– Co? – Podążyła za jego wzrokiem do drzwi. – Błyskawica. Błyska się już od godziny. – Usiadła prosto. – Shaw, musisz się poddać. Daj mi nóż, żebym mogła przeciąć kajdanki. Powiedz, gdzie jest bateria do komórki. Albo kluczyki.

Zawiozę cię...

– Ciii!

– Nie uciszaj mnie. Musisz...

Pociągnął ją na ziemię i częściowo się na nią wtoczył, dzięki czemu mógł lewą ręką dosięgnąć latarki. Wyłączył ją.

– Co ty robisz? – Próbowała go z siebie zrzucić, ale nadal ją przygwaźdżał, przyciskając do niej lewe udo.

Skierował rozgrzankowane oczy na drzwi, gdzie zobaczył kolejny błysk światła, choć grzechot, który usłyszał w dudnieniu deszczu, nie był grzmotem.

– Shaw...

– Bądź cicho!

– Puść mnie!

Zamiast tego zatkał jej usta dłonią.

– Samochód – powiedział. – Jeśli odezwiesz się słowem, nawet głośniej westchniesz, ktokolwiek to jest, z pewnością umrze. Będziesz miała krew na rękach. Dotarło?

Wahała się tylko przez sekundę, potem pokiwała głową na tyle, na ile pozwalała jego ręka.

Cofnął ją i mrugając szybko, by nie zemdlec z bólu, z wysiłkiem usiadł. Podciągnął prawą nogę i wolną ręką sięgnął do buta, z którego wyciągnął berettę.

Na widok pistoletu Jordie sapnęła.

– Jaki płatny zabójca nosi tylko jedną broń?

– Jest nabita?

– Zawsze.

Reflektory, które widział nadjeżdżające, zatoczyły łuk i znieruchomiały, ale nie zgasły. Przez bardzo długi czas nic się nie działo. Co dla Shawa było sygnałem, że to gliniarz. Ciekawski nie zachowałby takiej ostrożności. Gliniarz poszukujący podejrzanego najpierw zgłosi swoją pozycję, dopiero potem przejdzie do akcji.

Jordie z równym napięciem nie odrywała oczu od zamkniętych drzwi.

Shaw wyteżył słuch, czekając na trzask otwieranych drzwi, zbliżające się kroki, ale deszcz tłumił wszystko inne do chwili, gdy głos z silnym akcentem z Luizjany zawołał:

– Jestem Clint Morrow, zastępca szeryfa z biura w Terrebonne. Proszę podać swoją tożsamość.

Jordie trzęsła się, ale milczała.

– Wiem, że tam jesteś – powiedział zastępca. – Wędkarz widział, jak światło zapala się i gaśnie.

Shaw spojrział na Jordie z naganą, ale ona nie odrywała wzroku od drzwi.

Wolno się otworzyły, skrzypnięcie zawiasów rozległo się wyraźnie pomimo ulewy. W progu pojawił się przygarbiony mężczyzna z bronią w ręku. Jego

sylwetkę z tyłu oświetlały reflektory. Był wysoki, na głowie miał kowbojski kapelusz. Zrobił krok do wnętrza budynku, ale Shaw rozkazał:

– Wystarczy.

Zatrzymał się.

– Shaw Kinnard?

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ma pan rodzinę, zastępcę szeryfa Morrow?

– Co takiego?

– Słyszał pan. Jeśli chce pan znowu zobaczyć bliskich, niech się pan cofnie.

W przeciwnym wypadku pana zastrzelę.

– A ja zobaczę błysk i zastrzelę pana.

– Nie, ponieważ może pan trafić w Jordie Bennett, która jest ze mną skuta.

Zastępca szeryfa zawahał się i zniknął im z oczu.

– Pani Bennett, wszystko z panią w porządku? – zawołał.

Spojrzała na Shawa, który kiwnięciem głowy wyraził zgodę.

– Tak. Ale... ale jestem z nim skuta, on ma broń i...

– Dosyć! – przerwał jej Shaw.

– Potrzebujemy karetki! – krzyknęła.

– Kto jest ranny?

– Ani słowa więcej. – Dla podkreślenia tego rozkazu Shaw szarpnęła ją za rękę. Wyobrażał sobie, jak zastępca szeryfa mówi cicho, ale nagłą do mikrofonu przyklejonego do ramienia, informując dyspozytora o zakładnicze, żądając wsparcia i karetki.

– Dobry jest – powiedział Shaw z podziwem połączonym z niechęcią. – Zajęło mu to krócej niż trzy dni, które przewidziałem. Oczywiście pomogłaś mu z tą latarką.

Jordie patrzyła na niego z wyraźnym niepokojem.

– Co zamierzasz zrobić?

Chwilę się nad tym zastanawiał, siłą woli powstrzymując ból, mdłości i grożącą mu utratę przytomności.

– Dać się złapać to jedno, zdarza się najlepszym. Jednak zostać uznanym za głupka to zupełnie inna para kaloszy.

Szybkim ruchem położył lewą rękę na karku Jordie i przyciągnął jej twarz ku swojej, przyciskając mocno czoło do czoła.

– Odrzuciłem dwa miliony dolarów plus to, co sobie wyobrażałem jako kurewsko wielką sprawę z nadzieją, że zaprowadzisz mnie do swojego brata i jego trzydziestu milionów. Teraz możesz mi powiedzieć. Zrobiłabyś to?

– Nie mogłabym. – Odchyliła głowę, patrząc mu w oczy. – Nie wiem, gdzie jest Josh. Ani pieniądze. Ani Panella. O niczym nie wiem. Nigdy nie wiedziałam.

Chwilę trwali w bezruchu, potem on parsknął stłumionym, pełnym pogardy

do siebie śmiechem, i cofnął rękę z jej karku.
– Morrow! Gotów na pertraktacje?

Rozdział 20

Powrotny lot helikopterem do Nowego Orleanu nie należał do spokojnych. Lepiej, że Marsha nie wiedziała, jak wymykali się błyskawicom i uskokom wiatru. Sam Joe poczuł ulgę, kiedy wylądowali w heliporcie.

Obaj z Hickiem pojechali prosto do biura, gdzie Joe oddał swoją komórkę technikowi i dostał inną, na którą przekierowano połączenia. Specjaliści będą próbowali określić miejsce pobytu Josha Bennetta na podstawie jego rozmowy z Joem, ale Joe nie miał wielkich nadziei na sukces. Kilkakrotnie bez powodzenia dzwonił na ten numer.

– Bennett pewnie wyjął baterię i kartę SIM, jak tylko się rozłączył – powiedział do Hicka. Stali przy zaparkowanych obok siebie samochodach.

– Skąd wziął komórkę? Kiedy?

– Skąd? Skądkolwiek. Kiedy? Niech mnie diabli, jeśli wiem – burknął Joe. – Mógł dawno temu gdzieś ją ukryć. Niewykluczone, że ma ich cały tuzin. Niewyczerpany zapas jednorazowych kart SIM.

– Wydawał się przerażony.

– Powinien się bać. Jeśli sam siebie przekonał, że Panella zapomni o urazach, to idiota z niego.

– Nie sądzę, że jest idiotą.

– Ja też nie. Pomimo przechwałek bardzo się boi. Z jakiego innego powodu dobrowolnie przekazałby nam tę informację o Jordie?

– Myślisz, że to prawda?

Joe potarł się po karku.

– Nie wiem, ale... – urwał, bo zadzwoniła jego komórka. Szybko ją wyciągnął, myśląc, że to znowu zbieg, na ekranie widniało jednak nazwisko. – Morrow – powiedział do Hicka i zebrał się w sobie w oczekiwaniu na złe wiadomości. Odnaleziono Jordie Bennett? Albo to, co z niej zostało? – Cześć, Morrow. – Słuchał przez kilka sekund, po czym gorączkowym ruchem wskazał Hickowi miejsce za kierownicą w jego samochodzie. – Już jedziemy.

*

Wygodniej byłoby polecieć helikopterem, Joe nie chciał jednak prosić pilota, żeby ryzykował przy tej pogodzie. Musieli więc skorzystać z samochodu, co było niczym jazda pod wodą. Łało jak z cebra i wycieraczki na nic się nie przydawały.

Półtorej godziny po wyjeździe z Nowego Orleanu Hick pochylał się nad kierownicą i trzymał ją z całej siły oburącz.

– Czy jest odpowiednik „zbielałych kłykci” u czarnych? – zapytał Joe.

– Nie wiem, ale ten zwrot pasuje do sytuacji – odparł Hick, nie odrywając wzroku od drogi.

– Niedługo powinien być zjazd.

Wedle wiedzy Morrowa nie istniał adres podobnego do stodoły budynku, w którym Shaw Kinnard przetrzymywał Jordie Bennett w charakterze zakładniczki, ale wytłumaczył Joemu, gdzie mają zjechać z autostrady. Hick zlokalizował to miejsce dzięki GPS-owi. Stamtąd Morrow prowadził ich przez telefon.

– To na pewno tutaj – powiedział Hick, pokonując zakręt wiejskiej drogi.

Przez ścianę deszczu widzieli migające trójkolorowe światła wozów policyjnych, których większość stała zaparkowana na poboczu, jeden zaś w poprzek drogi. Wysiadł z niego policjant stanowy w pelerynie przeciwdeszczowej i podszedł do samochodu agentów. Hick opuścił szybę.

Z kapelusza policjanta polał się wodospad deszczówki, gdy ten pochylił głowę i spojrzał na nich.

– Agent Wiley?

– Ja jestem Wiley. To agent Hickam.

Policjant także się przedstawił.

– Budynek jest jakieś osiemset metrów dalej, ale droga w tym deszczu zamieniła się w breję.

– To jedyna droga?

– Tak, sir. Kończy się przy budynku, za nim są mokradła.

– Nie wiemy, czy ten facet ma samochód, ale musimy tak założyć. Jeśli jakimś sposobem się nam wymknie...

– Musiałby przejechać tędy, a to wykluczone.

Joemu spodobała się pewność funkcjonariusza.

– Nie wiemy też, jakiego rodzaju arsenałem dysponuje, więc zachowajcie ostrożność.

– Wy też.

Policjant się wycofał i gestem polecił kierowcy stojącego w poprzek wozu, żeby odblokował drogę, po czym latarką dał znak Hickowi, że ma skręcić w lewo.

Droga faktycznie była breją. Samochód przez około osiemset metrów nieustannie wpadał w poślizgi, wreszcie dotarli do rowu grożącego wylaniem. Za nim wznosił się budynek, który Morrow opisał jako skrzyżowanie stodoły z garażem.

Przed nim parkowały wozy patrolowe, kilka oficjalnych SUV-ów oraz dwie karetki. Wszyscy obecni mieli na sobie ubrania przeciwdeszczowe, co utrudniało rozróżnienie przedstawicieli różnych wydziałów, chyba że odwracali się plecami do Joego i mógł odczytać odblaskowe napisy na pelerynach. Otuchy dodawała mu ich liczebność, co oznaczało wielką siłę ognia.

Hick ostrożnie przeprowadził samochód przez drogę łączącą brzegi wezbranego rowu. Na ich widok od grupy odłączył się funkcjonariusz i brnąc przez błoto, ruszył ku nim. To był Morrow, twarz pod rondem kapelusza wyrażała napięcie.

Joe gestem zaprosił go do samochodu. Morrow otworzył tylne drzwi i wsunął się, mamrocząc przeprosiny za zamoczenie wnętrza. Joe zapytał, czy coś się zmieniło od ich ostatniej rozmowy.

– Nic.

– Więc nie wiesz na pewno, że ona żyje.

– Żyła, kiedy tu przyjechałem. Kinnard oznajmił, że podda się tylko i wyłącznie tobie, i to były jego ostatnie słowa. Odkąd przedstawił warunki, milczy jak grób. Kilka razy próbowałem nawiązać z nim rozmowę. Z nią także, ale żadne nawet nie pisnęło. Jeśli jednak ją zabił, to nie z broni palnej. Nie było żadnych strzałów.

– Nie powiedziała, dlaczego potrzebują karetki?

– Nie. Pytałem kilka razy, które z nich jest ranne. Nie dostałem odpowiedzi. Przypuszczam, że o to chodziło temu sukinsynowi, kiedy oznajmił, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

Joe przyjrzał się lichemu budynkowi i przesunął dłonią po twarzy.

– Dobra. Przedstawienie czas zacząć. Podaj mi pelerynę, która tam leży.

Morrow spełnił jego prośbę.

– Jeśli uważasz, że puszczę cię samego, to się mylisz – powiedział Hick.

– On tego chce.

– Pierdolić, czego on chce. Prowadzisz śledztwo w sprawie oszustw giełdowych i przekrętów, a to jest robota dla kowbojów.

– Przysiągł, że wystrzela jednego po drugim, jeśli spróbują wziąć szturmem budynek – dodał Morrow.

– Dopóki oni nie zastrzelą jego – sprzeciwił się Hick.

– Albo on nie zabije jej.

Słowa Joego padły niczym cegły i zmiażdżyły argumenty Hicka. Zaklął pod nosem i zwrócił się do Morrowa:

– Jesteś pewien, że to jedyna droga?

– Chyba że pod budynkiem jest tunel, a sami wiecie, że każda dziura wykopana w Luizjanie natychmiast wypełnia się wodą, więc to mało prawdopodobne. Wydostanie się przez dach przy tej pogodzie wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem. Nie ma innych drzwi, moi ludzie sprawdzili deska po desce ściany w poszukiwaniu ukrytej furtki. W żadnym miejscu drewno nie jest na tyle zbutwiałe, żebyśmy mogli wpaść do środka, nie zostawiając mu czasu na przygotowanie się. – Morrow brodą wskazał budynek. – To jedyne drzwi. Są uchylone, odkąd się wycofałem. Myślałem, że wystawi głowę, żeby się rozejrzeć,

ale jeśli nawet tak zrobił, my to przegapiliśmy. W środku panuje cisza, żadnych ruchów nie zauważyliśmy.

Hick z frustracją wypuścił powietrze z płuc i spojrzał na partnera, ten zaś uśmiechnął się z lekka.

– Mam kamizelkę.

– Facet lubi strzelać w głowę.

Słowa Hicka pozostały bez komentarza i Joe właściwie żałował, że tak się stało.

– Musimy ją stamtąd wydostać. – Bez zwłoki sprawdził pistolet, wsunął do kabury z tyłu i włożył pelerynę.

Kiedy obaj z Hickiem w miarę możliwości zabezpieczyli się przed ulewą, wszyscy trzej wysiedli i ruszyli w stronę budynku, chroniąc się za zaparkowanymi pojazdami. Wóz Morrowa stał najbliżej drzwi i za nim przykucnęli.

Hick załadował pocisk do komory pistoletu.

– Tak dla twojej informacji. Jak cię zabije, wyślę go do piekła.

– Byłbym ci wdzięczny. Dzięki – odparł z powagą Joe.

– A potem podrywam Marszę.

Joe spojrzał na niego pogardliwie.

– To z pewnością wzmacnia moją wolę życia.

– A twoja gówniana garderoba idzie prosto do organizacji dobroczynnej.

Morrow zabrał ze swojego samochodu megafon, po czym schylony podszedł do Joego.

– Naciśnij guzik i mów.

Joe wziął megafon i spojrzał na Hicka.

– Masz świętego, do którego stale się modlisz?

– Kilku.

– Teraz jest dobra pora.

– Poza tym ciotka ze strony mamy para się wudu.

– Nawet lepiej – orzekł ponuro Joe.

*

Shaw wiedział o zgromadzeniu za drzwiami, ale ani on, ani Jordie nie skomentowali pojawienia się nowych pojazdów, nowych głosów, światła od czasu do czasu przesuających się po drzwiach, penetrujących dziury i szczeliny w ścianach.

Słyszał ludzi idących wzdłuż ścian, szukających możliwości wejścia dla siebie albo ewentualnej drogi ucieczki dla niego. Marnowali czas. Niczego takiego tu nie było.

Niedługo miną dwie godziny od przyjazdu zastępcy szeryfa, a czas stał się ważnym czynnikiem. Shaw doskonale zdawał sobie sprawę, że jego ciało zatrąły

bakterie. Jordie kilka razy błagała go, żeby nie czekał na agenta FBI, tylko oddał się w ręce funkcjonariuszy, którzy już tu są, i pozwolił ratownikom medycznym udzielić sobie pierwszej pomocy przed odtransportowaniem do najbliższego szpitala.

Propozycja była kusząca, ale Shaw pozostawał niewzruszony.

– Czekamy na twojego federalnego.

Coraz bardziej kręciło mu się w głowie i od dwudziestu minut leżał bez ruchu. Jordie siedziała obok niego, opierając czoło na zgiętych kolanach w pozie wyrażającej rozpacz.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała w tamtej szemranej spelunie. Zwaląca z nóg. Po pierwszym spojrzeniu na nią z bliska poczuł, jak ciało mu się napina i rozgrzewa z czujności i pożądania. Pomyślał wtedy: „Cholera”.

Oczywiście męskie zwierzę w nim momentalnie zaczęło wyobrażać ją sobie nagą.

Chociaż bardziej obiektywna profesjonalna część jego natury także się włączyła i zarejestrowała szczegóły obiektu: swobodny, ale elegancki ubiór, jasny lakier na paznokciach, ciemne, satynowe włosy w naturalnym stanie, wydatne usta rozjaśnione tylko przezroczystym błyszczkiem. Wszystko to powiedziało mu, że jest zadbana, ale nie krzykliwa. Z klasą, bez świecidełek, bez mocnego makijażu.

Jej zachowanie ocenił jako ostrożne i opanowane. Chłodne.

Dla kontrastu teraz jej ubranie było poplamione krwią. Miała ją zaschniętą pod paznokciami, z których część połamała, szukając kawałka łopatki. Włosy straciły blask i zostały związane w koński ogon, usta były wysuszone i mocno zaciśnięte.

On ją do tego doprowadził. Jedno nie ulegało wątpliwości: jest draniem.

Poruszyła się, podniosła głowę i spojrzała na niego. Już nie była opanowana i chłodna, ale zrozpaczona i bliska załamania.

– Nie zabijesz nikogo więcej, prawda?

– Wszystko zależy od rozwoju wypadków.

Pociągnęła nosem. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Jordie płacze. Po raz pierwszy, odkąd Mickey został zastrzelony na jej oczach, płakała, choć cicho i z godnością.

– Nie chcę, żeby ktoś jeszcze zginął z mojego powodu – powiedziała. – Proszę. Nie rób mi tego. Obiecujesz?

Chwilę na nią patrzył, potem zamknął oczy.

– Żadnych obietnic, Jordie.

Niemal niedosłyszalnie czknęła, ale więcej się nie odezwała. Znowu oparła głowę o kolana.

– Wiesz, o czym ciągle myślę? – zapytał. – O Panelli.

– Co konkretnie?

– Założę się, że jest w kropce, bo nie wie, czy żyjesz, czy nie. Przepuszczalnie spodziewał się, że w kilka minut po naszej ostatniej rozmowie zadzwonię i powiem, że już po tobie i teraz czekam na pieniądze. Wiesz, pewnie chodzi po ścianach. Nie lubi, jak ktoś mu się sprzeciwia.

– Nie lubi, to prawda.

– Hm, mówisz, jakbyś wiedziała o tym z doświadczenia.

Milczała. Shaw podniósł prawą rękę skutą z jej lewą. Nie napięła jej, kiedy delikatnie pociągnął za kosmyk włosów, który wydostał się spod bandany trzymającej koński ogon. Nie przestawał ciągnąć, aż wreszcie odwróciła ku niemu głowę.

– Wkurzyłaś Panellę? Jak to możliwe? Co zrobiłaś?

– Unikałam go.

– Widziałem zdjęcia. Nie wygląda źle. Mickey wręcz nazywał go ślicznym chłopcem.

– Tylko z zewnątrz.

– Więc uważasz, że jest atrakcyjny.

– Przyznaję, jest przystojny, ale nie znoszę go z całego serca i nigdy tego nie ukrywałam.

– Aha.

Przez całą tę wymianę zdań z roztargnieniem bawił się kosmykiem jej włosów. Teraz się od niego odsunęła.

– Nie mów „aha”, jakbyś wiedział, o co mi chodzi. Bo nie wiesz.

– Mam kilka domysłów. Po pierwsze, Panella traktował Josha jak sługusa. Nie mogłaś tego ścierpieć.

– To prawda. Mieli być równorzędnymi partnerami, ale w nazwie grupy inwestycyjnej było tylko jedno nazwisko i nie ulegało wątpliwości, kto jest szefem. Panella polegał na intelekcie Josha – sam w żadnym razie nie zdołałby tak długo żonglować liczbami – ale traktował go jak wycieraczkę, a Josh się na to zgadzał. Robił, co mu kazano, i rzadko się buntował. Nie mogłam tego znieść. Uznałam jednak, że relacje w pracy to ich sprawa, i się nie wtrącałam.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Jakoś ci nie wierzę. Chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ wygląda na to, że Panella nienawidzi cię prawie tak samo mocno jak twojego brata. – Milczała, poprosił więc, by jakoś skomentowała jego przypuszczenia.

– Nie darzymy się uczuciem – odparła.

– Hm, interesujący dobór słów. Pytałem Mickeya o twoje relacje z Panellą. Odparł, że nie sądzi, by jakieś były. Jako najbliższa krewna Josha stanowiłaś pionek w rozgrywce i tyle.

– Więc masz odpowiedź.

– Nie wydaje mi się. Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli facet chce zabić kobietę za dwa miliony dolarów, jego motywy zwykle dotyczą zabaw dla dorosłych. Myślę sobie, a ty mi powiedz, czy mam rację...

– Daj temu spokój, bardzo proszę.

– Panella miał na ciebie ochotę.

Nie zaprzeczyła ani nie potwierdziła.

– Odrzuciłaś jego zaloty.

Nie odpowiedziała.

– Co solidnie go wkurzyło i nadal wkurza. Choć niejaką satysfakcję dało mu odstraszenie twojego chłopaka.

Tym razem zareagowała błyskawicznie i gniewnie.

– Co o tym wiesz?

Wzruszył ramionami, choć w tym geście nie było przeprosin.

– Mickey lubił plotki, a mieliśmy mnóstwo czasu do zabicia.

– Kiedy śledziliście mnie po całym Tobias.

– Co się przydarzyło twojemu chłopakowi? Panella go przycisnęła?

– Nie. Nigdy, przenigdy nie było nic nawet w przybliżeniu romantycznego pomiędzy Panellą a mną. Ani z mojej, ani z jego strony.

– Dlaczego w takim razie ty i twój chłopak nie jesteście razem?

– Jakie to ma znaczenie?

– Może nie ma. Ale zrób mi tę małą przyjemność. – Głową wskazał drzwi. – Człowiekowi w drodze na szubienicę.

– Można by pomyśleć, że w takim przypadku wolałbyś porozmawiać o czymś innym. Na przykład o swojej nieśmiertelnej duszy.

– Jest potępiona i żadne gadanie tego nie zmieni. Zresztą chcę rozmawiać o tamtym.

– Ja nie.

– Co się stało...

– Ożenił się. – Jej uszczypliwy ton na chwilę go uciszył. Głosem bardziej opanowanym powtórzyła: – Ożenił się. W katedrze pod wezwaniem świętego Ludwika. Z całym przepychem. Połączenie dwóch rodzin głęboko zakorzenionych w kręgach towarzyskich Nowego Orleanu.

– Gorzka pigułka? – zapytał Shaw, bacznie ją obserwując.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Nie. Nie żywię urazy do Jacksona. To miły facet. Zbyt miły, żeby zaplątać się w skandal.

– Tym skandalem jest twój brat oszust.

– Jackson i jego rodzina nie mogli sobie pozwolić, żeby kojarzono ich z czymś równie niesmacznym. Obaj z ojcem są szychami w społeczności finansistów. Bardzo szanowanymi za ich uczciwość. Pracują w zarządzie wielkiego

banku. Prawdę mówiąc, tak poznałam Jacksona. Zlecono mu zorganizowanie bankowej fety na Mardi Gras, a on zwrócił się do mojej firmy. Razem nad tym pracowaliśmy i skończyło się tak, że mnie też zaprosił. Impreza okazała się wielkim sukcesem, nasza randka także. Byliśmy ze sobą ponad dwa lata. Potem na światło dzienne wyszły małwersacje Josha.

– I nagle stałaś się skazą na dobrym imieniu Jacksona. No i Jackson się zmył.

– Mówiąc w skrócie. – Przez chwilę się zastanawiała. – Chociaż rozumiałam, dlaczego ze mną zerwał, wtedy mnie to zabolalo. Patrząc z perspektywy czasu, widzę, że wszystko ułożyło się tak, jak powinno. Ma idealną żonę, słodką i promienną. Żadnych skandali. Ona nie aspiruje do niczego więcej poza obecnością na imprezach towarzyskich i dobroczynnych oraz byciem panią Jacksonową Terrell. Mnie takie życie szybko by znudziło.

– Za mało wyzwań.

– Chyba tak. Nie wiedziałabym, jak funkcjonować w próżni, bez obowiązków, terminów do dotrzymania, uspokajania zdenerwowanych klientów, targowania się z dostawcami.

– Bez pozbawionego kręgosłupa brata, którego trzeba bronić.

Spojrzała na niego groźnie.

– Tak. Właśnie tak to wygląda – przyznała niechętnie.

Nie ciągnął tego tematu.

– Lubisz swoją pracę?

Nadal była wkurzona i nie wiedział, czy doczeka się odpowiedzi.

– Kocham ją – odparła wreszcie. – Mam doskonałych ludzi.

– Ilu?

– Ośmioro na pełnym etacie plus personel zatrudniany na imprezy. Wszyscy są utalentowani i ciężko pracują. Nie zwiali z podwiniętym ogonem, kiedy Josh zaczął się pojawiać w nagłówkach gazet. – Oczy znowu zaszyły jej łzami. – Wręcz przeciwnie, pozostali bardzo lojalni. Serce mnie boli na myśl, przez jakie piekło muszą teraz przechodzić, nie wiedząc, czy jeszcze żyją.

– Możesz do mnie mieć o to pretensje.

– I mam. – Twarz jeszcze bardziej jej sposepniała. – Zadałeś mi mnóstwo pytań. Mam prawo zadać ci tylko jedno?

– Zadać możesz. Nie wiem, czy odpowiem.

– Gdybyś... – Jej głos stał się chrapliwy z wyczerpania, niepokoju, strachu i mieszanki innych uczuć, których choć bardzo tego chciał, nie potrafił rozpoznać i nazwać. – Gdybyś w końcu przyjął do wiadomości, że nie mogłam ci wydać Josha, a ja nie zrobiłabym tego... – Głową wskazała jego ranę. – I gdybyś miał pewność, że Panella zapłaci cenę, której zażądałeś... – Po policzku spłynęła jej pojedyncza łza. Wzięła drżący wdech. – Zabiłbyś mnie?

Rozdział 21

Pytanie zawisło w ciszy pomiędzy nimi.

Zburzyło ją nieoczekiwanie jego nazwisko dudniące z megafonu i odbijające się echem w budynku. Wyprostował się gwałtownie i o mało nie zemdlął z bólu spowodowanego przez tę odruchową reakcję. Ale lewa dłoń, w której trzymał pistolet wycelowany w drzwi, nie zadrżała.

– Mówi agent specjalny FBI Joe Wiley. Shaw Kinnard?

– Tak. Nie jestem głuchy. Ścisż ten cholerny megafon.

Po kilku sekundach agent odezwał się głosem, którego nie wzmacniał megafon, ale dostatecznie donośnym, by go usłyszeli.

– W porządku. Prosił pan o mnie, więc jestem. Wchodzę.

– Sam i bez broni – zaznaczył Shaw.

– Jestem sam i bez broni.

Jordie odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu – powiedziała z westchnieniem, po czym zwróciła się do Shawa: – Możesz odłożyć pistolet.

– Wykluczone, kurwa.

– Ale on mówił...

– Kłamie.

W progu pojawiła się sylwetka z rozpostartymi rękami i otwartymi dłońmi świadczącymi, że nic w nich nie ma.

– Widzisz? Dotrzymał słowa – szepnęła Jordie.

– Nie wobec mnie.

– Ale...

– Pani Bennett?! – zawołał agent.

Shaw trącił ją łokciem.

– Nie odzywaj się, dopóki nie oślepiś go latarką.

– Żebyś mógł go zastrzelić?

– Już mogłem to zrobić i leżałby martwy. Oświetl go.

Nadal niepewna, co robić, wzięła latarkę, włączyła i skierowała ją w stronę agenta, który zamrugał w jaskrawym świetle, ale się nie cofnął.

– To ten człowiek? – zapytał ją Shaw.

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście.

– Okay. Odpowiedz mu.

Jordie odchrząknęła.

– Agencie Wiley? To ja, Jordie.

– Cała i zdrowa?

– Ja tak, ale pan Kinnard jest poważnie ranny.

– Jak to?

– Ja... ja...

– Dźgnęła mnie we flaki – powiedział Shaw.

Joe Wiley chwilę to przetrwał.

– Krwawi pan?

– Powoli, ale myślę, że wnętrzności wypełniają mi się ropą.

– W takim razie nie ma pan innej opcji poza poddaniem się.

– Błąd. Mogę przecież zastrzelić pana na miejscu.

– Jeśli pan to zrobi, istnieje prawdopodobieństwo, że oboje z panią Bennett także zginiecie.

– Przynajmniej umrę w walce.

– Wynik nadal będzie beznadziejny. – Joe Wiley zrobił krótką przerwę, by jego słowa dotarły do rozmówcy. – Niech pan się podda, panie Kinnard. Otrzyma pan natychmiastową pomoc medyczną. Ma pan moje słowo.

Podczas tej wymiany zdań Jordie oświeślała agenta, drżąc ze strachu przed tym, co zrobiłby on albo Shaw, gdyby wyłączyła latarkę. Bała się gwałtownej reakcji na nagłą ciemność, która mogła się skończyć katastrofalną w skutkach wymianą ognia z broni palnej.

Spojrzała na mały, ale groźny pistolet w dłoni Shawa, potem w jego płonące gorączką oczy. Proszę. Nie wypowiedziała nawet tego słowa, tylko błagalnie poruszyła ustami i to go przekonało.

Obniżył pistolet, wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze z płuc. Odwrócił ku niej głowę i tak cicho, że tylko ona mogła go słyszeć, powiedział:

– A jeśli chodzi o twoje pytanie... Od chwili, gdy na ciebie spojrzałem, twojemu życiu nic nie groziło.

Przetrawiła jego słowa.

– Więc cały czas byłam przy tobie bezpieczna? – wykrztusiła przez zduszone gardło.

– Bezpečna? – Uśmiechnął się do niej ponuro i pokręcił głową. – Nawet przez sekundę nie byłaś bezpieczna.

Jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, później szybkim ruchem sięgnął za plecy, wyjął nóż z tylnej kieszeni i wysunął ostrze.

– Nie ruszaj się. – Przeciął kajdanki na jej przegubach. – Teraz idź.

– Shaw...

– Idź! – szepnął szorstko, z naciskiem.

– Pani Bennett, co się dzieje? – zawołał z progu zaniepokojony Wiley.

– Idź! – powtórzył Shaw.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

– Jezu! – Wziął ją za rękę i wcisnął jej pistolet w dłoń. – Cholera, zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

Po krótkim wahaniu zaczęła się podnosić, ale szarpnął ją za rękę.

– Uprzedź go, żeby cię nie zastrzelił.

– Agencie Wiley – zawołała drżącym głosem. – Wychodzę. Dał mi swój pistolet. W porządku?

– Niech pani trzyma go na widoku.

Shaw ją puścił i lekko kiwnął głową. Znowu się zawahała, w końcu wstała, odwróciła się od niego i wolno ruszyła do drzwi z prawą ręką wyciągniętą przed siebie.

Joe jednym spojrzeniem ocenił stan fizyczny zbliżającej się kobiety i odniósł wrażenie, że to bardzo pomniejszona wersja Jordan Bennett, którą pamiętał sprzed kilku miesięcy.

Niepewnie stawiała kroki. Gdy była blisko, uniosła ręce w geście poddania. Obie dłonie i ubranie miała mocno zakrwawione.

– Proszę położyć pistolet na ziemi.

Wykonała polecenie.

– Jest pani ranna?

– Nie.

– Okay, proszę iść z podniesionymi rękami. – Joe głową wskazał otwarte drzwi. – Teraz. Hick?

– Tutaj!

– Pani Bennett wychodzi.

Przemknęła koło Joego, który pozostał na miejscu, ale słyszał, jak Hick rozmawia z nią cichym, ponagającym głosem. Po chwili przez ramię zapytał:

– Hick, słyszysz mnie?

– Tak.

– Wszystko z nią w porządku?

– Trzęsie się jak osika. Jest oszołomiona. To wszystko.

– Co mówiła o nim?

– Poważnie ranny.

– Jest uzbrojony?

– Z jej opisu wynika, że ma pistolet kaliber dziewięć milimetrów, ale nienabity. Ukrył pociski albo przynajmniej tak jej powiedział.

– Coś jeszcze?

– Składany nóż. Jej zdaniem nie stanowi wielkiego zagrożenia.

Taa, ale ona nie jest płatnym zabójcą, pomyślał Joe.

– Zostawiła jego berettę na podłodze, mniej więcej dziesięć metrów od

drzwi. Dopilnuj, żeby ją spakowano.

– Zrozumiałem.

Joe wziął kilka głębokich oddechów, żeby się przygotować psychicznie i fizycznie na to, co może się wydarzyć w ciągu następnych minut, po czym zawołał Kinnarda.

– Zaczynałem myśleć, że o mnie zapomniałeś – dobiegł głos z mroku. – Czemu trwało to tak kurewsko długo?

– Odwróć latarkę, żebym mógł cię zobaczyć.

– Nie jestem uzbrojony.

– Przekonaj mnie.

Shaw skierował snop światła na siebie, mimo to Joe ledwo go widział, a nie ufał skurwysynowi ani za grosz. Sięgnął za plecy i wyjął pistolet z kabury. Kiedy ruszył w głąb budynku, głupia myśl przemknęła mu przez głowę: Marsha mnie zabije, jeśli dam się zabić.

Z każdym krokiem zyskiwał wyraźniejszy obraz człowieka siedzącego na czymś, co najprawdopodobniej było niebieskim brezentem. Pochylony pod kątem trzydziestu stopni w prawo, opierał się na ręce. Prawą dłoń miał przyciśniętą do lewego boku, który najwyraźniej oszczędzał.

– Podnieś ręce – polecił Joe.

Mężczyzna z grymasem bólu na twarzy postarał się wyprostować i zrobił, co mu kazano. Skóra na jego wydatnych kościach policzkowych wyglądała na napiętą, woskową i bladą. Pot przykleił mu włosy do czoła. Krew wsiąkała w jego ubranie i pobrudziła brezent.

Oślepiła go latarka, Joe miał więc przewagę polegającą na tym, że widział Kinnarda lepiej niż Kinnard jego. Zatrzymał się na odległość ramienia.

– Połóż się i odwróć na brzuch.

– Założę się o tysiąc dolców, że kłamałeś o broni.

Joe mocniej chwycił pistolet.

– Ręce za głowę.

– Na brzuch? Ręce za głowę? Będzie bolało jak sukinsyn.

– Gówno mnie to obchodzi. Zrób to.

Albo był cholernie dobrym aktorem, albo faktycznie koszmarne go bolało. Nawet przy najłżejszym ruchu brakowało mu powietrza. Przerywał podjętą próbę kilka razy, na zmianę wstrzymując oddech i dysząc. Zajęło mu to pełną minutę, w końcu jednak wykonał polecenie. Joe zawołał wtedy Hicka i pozostałych.

Sam o mało nie został powalony na ziemię przez funkcjonariuszy sił specjalnych, którzy wpadli do budynku, minęli go biegiem i sformowali wokół Kinnarda krąg. Trzymając go na muszce, krzyczeli, żeby się nie ruszał.

Hick przytruchtał do Joego, który opuścił pistolet; dopiero teraz stwierdził, że dłoń ma mokrą od potu.

– Więc jednak wezwalesz kowbojów.

– Całą cholerną kawalerię – odparł Hick. Kucnął, żeby podnieść berettę, bo w zamieszaniu mogłaby gdzieś zaginąć.

Kinnarda skuto i odczytano mu prawa, po czym przez pięć minut zajmowali się nim ratownicy medyczni. Wykonali podstawowe badania i podłączyli kroplówkę. Joe spojrział przez otwarte drzwi.

Kilku funkcjonariuszy, w tym Morrow, otaczali Jordie Bennett. Ktoś narzucił jej na ramiona pelerynę. Joe widział, że jej usta się poruszają, co oznaczało, że odpowiada na pytania Morrowa, ale ciągle jakby w transie patrzyła przez otwarte drzwi w głąb budynku, poza głowami jego i Hicka.

– Wygląda na wystraszoną – powiedział Joe. – Potrzebuje pomocy medycznej?

– Twierdzi, że nie.

– Powinni przynajmniej wsadzić ją do samochodu, żeby nie mokła.

– Próbowali – odparł Hick. – Nie chciała.

Joe odwrócił się i spojrział na partnera, a ten uniósł brwi, wzruszając ramionami.

– Dowiedz się, co mówi Morrowowi. Przypuszczalnie naszpikowali Kinnarda środkami przeciwbólowymi, a ja chcę z nim porozmawiać, zanim zaczną działać.

Hick wyszedł na dwór. Joe wyminął samochód Kinnarda, który już obejrzeliby dokładnie śledczy z wydziału Morrowa. Inni rozstawiali przenośne reflektory, żeby przeszukać budynek, chociaż nie wyglądało na to, że jest tu wiele do znalezienia. Joe nie dostrzegł żadnej kryjówki.

Przekroczył dwie połówki złamanej strzały i wezwał detektywa, który nad nią przykucnął.

– To dziecięca zabawka, z zestawu dla początkujących.

– Jest na niej krew?

– Nie widzę.

– Mimo to zabierz ją.

Inny funkcjonariusz podszedł do Joego z torbą na dowody.

– Pomyślałem, że będzie pan chciał to zobaczyć.

Joe spojrział na przedmiot w worku.

– Co to jest?

– Jej broń.

Joe pokręcił głową z podziwem.

– Nic dziwnego, że go boli. Przeżyje?

– On też o to pyta. Ratownik powiedział, że zależy, co ta łopatką naruszyła i pocięła. A także czy facet sam jest twardy.

Dołączył do nich jeden z detektywów badających samochód.

– Agencje Wiley, przed chwilą wyciągnęliśmy to z rury wydechowej. –
Podał Joemu dwie torebki na dowody. – Bateria do komórki. Domyślamy się, że
z telefonu, który znaleźliśmy w pobliżu Kinnarda na podłodze.

– Dziękuję.

Joe podszedł do miejsca, gdzie ratownicy przenosili podejrzanego na nosze
na kółkach. Podwładny Morrow przykuwał Kinnardowi obie ręce do poręczy i go
potrącił. To spowodowało wybuch furii i strumień takich przekleństw, jakich Joe
nie słyszał od czasu, gdy Marsha rodziła ich syna. Jeden z ratowników zapewnił
Kinnarda, że dożylny środek przeciwbólowy wkrótce zacznie działać.

Kinnard kiwnął głową, ale spojrzał ponad jego ramieniem na Joego.
Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i lekceważąco parsknął.

– Nie wiedziałem, że FBI jest w takiej potrzebie.

– Trafiłem na ich słaby dzień.

– To pewne. A tak w ogóle dali ci broń?

Joe odwrócił się tyłem i uniósł pelerynę, odsłaniając kaburę, w której
schował lugera.

– I strzelałeś z niego choć raz? – zapytał Kinnard.

– Na strzelnicy. – Kiedy Kinnard skrzywił się pogardliwie, Joe dodał: –
Przynajmniej nigdy nie byłem dźgnięty odłamanym kawałkiem silnika. W dodatku
przez dziewczynę... Jasne, facet, który bierze pieniądze za zabicie kobiety, nie ma
jaj.

Kinnard raz jeszcze prychnął z pogardą i zamknął oczy.

Joe nie zamierzał pozwolić, żeby go ignorowano. Trącił podeszwę
kowbojskiego buta.

– Czyj to telefon?

Kinnard otworzył oczy, spojrzał na torebkę z dowodami i znowu zamknął
powieki.

– Pierdol się.

– Jeśli zadzwonię na ostatni numer, kto się odezwie?

– Nie chcę ci psuć niespodzianki.

– Dobra, bądź sobie sprytnym gnojkiem. To nie mój organizm pompuje
gówno. To nie mnie oskarżają o porwanie i trzy zabójstwa. – Kinnard spojrzał na
niego przez przymrużone powieki. – Dwa trupy w Meksyku. Jeden martwy Mickey
Bolden. Urowadzenie. Nie próżnowałeś w tym tygodniu. Przez ciebie moje życie
osobiste nie istniało. Nie mogę się doczekać, kiedy po powrocie do domu
pobzykam się z żoną. – Joe się pochylił, uśmiechnął i dodał szeptem: – Już po
tobie.

Rozdział 22

Joe zaprowadził Jordie Bennett do samochodu i pomógł jej wsiąść na tylne siedzenie. Ponownie zapytał, czy dobrze się czuje i czy czegoś jej potrzeba. Odpowiedziała przecząco.

W milczeniu przejechali osiemset metrów do głównej drogi. Joe zasalutował policjantowi stanowemu, z którym wcześniej rozmawiał. Hick skręcił w stronę Nowego Orleanu. Teraz nie skupiał się tak bardzo na prowadzeniu, ponieważ słońce już wzeszło, a chociaż dzień był szary, ulewa osłabła i tylko siąpiło.

– Wyjdzie z tego? – Ciszę przerwała Jordie, odzywając się po raz pierwszy.

Joe złapał znaczące spojrzenie, które rzucił mu Hick.

– Ma pani na myśli pana Kinnarda? – zapytał.

Przytaknęła.

Joe rozmawiał z jednym z ratowników, zanim karetka z Kinnardem i Morrowem, który im towarzyszył, odjechała na sygnale.

– Powiedziano mi, że pacjent jest stabilny, i dopóki chirurg go nie otworzy, nic więcej nie da się stwierdzić. Personel bloku operacyjnego już na niego czeka.

– W Nowym Orleanie?

– W Houmie. – Widząc jej powątpiewającą minę, dodał: – Najbliższy szpital.

Odwróciła głowę, patrząc na zalaną deszczem szybę.

– Czy Kinnard źle panią traktował, pani Bennett?

Pokręciła głową.

– Zauważyłem ślady na pani przegubach.

Prawą dłonią roztarła lewy nadgarstek.

– Skuł mnie tymi plastikowymi opaskami.

– Jednorazowymi kajdankami?

– Miałam je przez całą pierwszą noc, uwolnił mi dłonie tylko po to, żebym mogła pójść za potrzebą. W tym warsztacie dał mi więcej swobody.

– Kiedy to było?

– Wczoraj rano. Jeździliśmy całą noc.

– Pokonaliście niewielką odległość.

– Tak myślałam. Kiedy zdjął mi opaskę z oczu...

– Zawiązał pani oczy?

– Na jakiś czas.

– Dlaczego pojechał akurat tam?

– Nie mówił. – Po sekundzie spojrzała na Joego. – Może należy go

helikopterem przetransportować do jednego z wielkich szpitali w Nowym Orleanie.

– Jest twardy. Nie po raz pierwszy dostał.

– Tak. Ta blizna na brodzie...

Hick rzucił Joemu kolejne spojrzenie, a ten udał, że tego nie widzi.

– Racja. Blizna pomogła go zidentyfikować. Ma na koncie wiele aktów przemocy. Szczęściara z pani, że jeszcze pani żyje, i szczerze mówiąc, niepotrzebnie się pani nim przejmujecie. Bez urazy.

– Cóż, jednak mnie pan uraził – warknęła. – Mogłam go zabić.

– Nie o to pani chodziło, kiedy go pani dźgnęła?

– Tak. Nie... Nie wiem. – Para z niej uchodziła. Potarła oczy i znowu spojrziała w okno. – Zrobiłam to ze strachu o swoje życie. Ale kiedy go zaatakowałam, nie chciałam, żeby umarł, i nadal tego nie chcę.

Joe zakaszał w dłoń, zyskując na czasie. W końcu powiedział:

– Jest pani bardziej wyrozumiała, niż byłbym ja w pani sytuacji. Cieszę się, że od razu pani nie zabił. Bałem się, że znajdziemy pani szczątki.

– Ja też się tego bałam. Na początku. Potem ciągle odkładał zabicie mnie i zaczęłam myśleć, że nie jest w stanie tego zrobić.

– Mimo że na pani oczach zastrzelił Mickeya Boldena.

– Zapewniam, to było straszne.

– Większość krwi na pani ubraniu jest świeża, więc musi należeć do Kinnarda. Niektóre plamy są jednak starsze. To krew Boldena?

Spuściła wzrok na swoją bluzkę, na moment zamknęła oczy.

– Zmył mi ją z twarzy – mruknęła wreszcie.

– Proszę powtórzyć?

– Nie pamiętam tego. Byłam nieprzytomna.

– Uderzeniem pozbawił panią przytomności?

– Tego też nie pamiętam. Powiedział mi później, że lekko mnie uderzył. Kiedy się zatrzymał, żeby zmienić tablice rejestracyjne, zmył plamy krwi z mojej twarzy.

Joe znów wymienił z Hickiem spojrzenie i usiadł wygodniej.

– Mamy przed sobą długą drogę, pani Bennett. Może czas szybciej nam minie, jeśli opowie pani, co się wydarzyło w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Minuta po minucie. Nie będzie pani przeszkadzało, jak będę robił notatki?

– Pokazał jej iPada należącego do Hicka. W odpowiedzi pokręciła głową. – W takim razie dobrze. – Joe otworzył edytor tekstu. – Co pani robiła w tej knajpie? Dlaczego pojechała tam pani w piątek wieczorem?

Roześmiała się cicho, ale niewesoło. Joe nie takiej reakcji się spodziewał. Obejrzał się na nią przez ramię, wiedział też, że Hick mierzy ją podejrzliwym spojrzeniem we wstecznym lusterku.

– Nie pan pierwszy mnie o to pyta – powiedziała, wyczuwając ich

zainteresowanie. Po krótkiej przerwie dodała: – Odebrałam telefon i skierowano mnie do tego baru.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem.

– Pani brat Josh?

– Jeśli tak, to nie poznałam go po głosie.

– Mógł to być Panella?

– Owszem, ale pan Kinnard tak nie uważał. Przyznał, że Panella stał za zleceniem zabójstwa, lecz nie za moim pójściem do baru. Obaj z Boldenem byli zaskoczeni, kiedy się tam pojawiłam.

Przez pięć minut omawiali ten nieoczekiwany telefon, ale Jordie z uporem twierdziła, że nie była w stanie zidentyfikować osobnika, który kazał jej się stawić w barze.

– Pan Kinnard także mi nie wierzył – dodała z widocznym znużeniem.

W końcu Joe zdecydował, że na razie da temu spokój, i poprosił, by opowiedziała, co się stało, kiedy przyszła do knajpy.

Mechanicznym głosem całkowicie wypranym z emocji zrelacjonowała wypadki. Jej historia była zgodna z wcześniej złożonymi zeznaniami świadków, a w szczególności Royce'a Shermana.

– Nie znała go pani? – zapytał Joe.

– Nie.

– Ponoć wsunął pani do kieszeni skrawek papieru ze swoim numerem telefonu. Mówił prawdę?

– Przypuszczam, że to był jego numer. Nie zdawałam sobie sprawy, że coś mi dał, dopóki Sh... pan Kinnard nie wyjął tej kartki.

– Z tylnej kieszeni pani dzinsów? – zapytał Joe.

Powiodła spojrzeniem po ich twarzach i kiwnęła głową.

Po chwili niezręcznego milczenia Joe poprosił o opis zabójstwa Boldena. Jej relacja pasowała do zebranych dowodów oraz przypuszczeń policji. Następnie detektyw przeszedł do sprawy nocnej jazdy z Shawem Kinnardem.

– Kiedy się ocknęłam, zatrzymał samochód i pozwolił mi pójść za potrzebą. Potem zatrzymał się po raz drugi i zawiązał mi oczy. Po krótkim czasie dotarliśmy do celu. Powiedział: „Dzisiaj to jest kryjówka”. Dopiero w budynku włożył baterię do komórki i Panella mógł zadzwonić.

– Na telefon Boldena?

– Tak. Jeśli zadzwoni pan na ostatni numer, odpowie Panella. Czeka na wiadomość od pana Kinnarda, że sprawa jest załatwiona.

Agenci już wcześniej się zastanawiali, czy zadzwonić do Panelli, ale uznali, że poczekają z tym, aż będą mogli podłączyć komórkę do wszelkich możliwych urządzeń namierzających. Był jeszcze jeden powód, dla którego Joe wolał to

odwlec: najpierw chciał usłyszeć wszystko, co miała do powiedzenia Jordie Bennett.

Zapytał ją, jak wyglądała rozmowa Kinnarda i Panelli.

– Odniosła pani wrażenie, że spotkali się kiedyś twarzą w twarz?

– Nie. Kontrakt zawarł Mickey Bolden.

– Słyszała pani, o czym mówią?

– Tak. Przez większość czasu telefon był włączony na głośne mówienie.

– Panella w jakiś sposób zdradził miejsce swojego pobytu?

– Nie. – Przez chwilę się zastanawiała. – Słuchanie mężczyzn targujących się o moje życie było doświadczeniem surrealistycznym. No i ten upiorny głos Panelli.

– Upiorny?

Potwierdziła, po czym dodała:

– Z powodu tego głosu wydał mi się jeszcze większym potworem, niż kiedy się zgodził zapłacić panu Kinnardowi dwa miliony.

– Słucham? – powiedział Joe.

– Dwa miliony?! – wykrzyknął Hick.

– Tyle pan Kinnard zażądał i Panella na to przystał.

Joe próbował to przetrwać. Kinnard miał jaja, domagając się aż tyle. Kwota znacznie przewyższała jego normalną stawkę. Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że Panellę stać na więcej.

– Coraz bardziej się dziwię, że Kinnard nie zainkasował tych pieniędzy.

– Ma pan na myśli to, że mnie nie zabił – dokończyła. Kiedy kiwnął głową, mówiła dalej: – Wczoraj tuż po zapadnięciu zmierzchu nabrałam pewności, że niedługo to zrobi.

– Dlaczego pani tak sądziła?

Spuściła wzrok na swoje kolana, przeniosła go na odbicie oczu Hicka we wstecznym lusterku, wreszcie spojrzała na Joego.

– To była intuicja.

– Intuicja? – powtórzył pytająco, ale mu nie odpowiedziała.

Nadal zachowywała się z rezerwą. Joe zastanawiał się, o czym kobieta nie mówi. Hick skręcał się z ciekawości, ale nie naciskał. Na razie zależało im na ogólnym obrazie, szczegółami zajmą się później. Zapytał jednak, jak to się stało, że go dźgnęła, i jak jej się to udało.

– On... on znalazł strzałę. Myślał, że mnie przechytrył i znalazł moją sekretną broń.

– Nie wiedział o złamanej łopatkę.

– Nie. Wróciłam w tamto miejsce, jakimś cudem wyszarpnęłam łopatkę spomiędzy desek i... i dźgnęłam go tak mocno, jak umiałam.

Urwała i pochyliła głowę, wpatrując się w swoje zaciśnięte dłonie. Morrow dał jej środek odkażający, ale plamy krwi wciąż były widoczne.

Opowiedziała, jak Kinnard wyciągnął łopatkę, a ona ucisnęła mu ranę, jak jego stan przez noc się pogarszał, jak rosła gorączka.

– Potem przyjechał ten zastępca szeryfa. Błagałam pana Kinnarda, żeby się poddał. Mówiłam, że nie chcę ponosić odpowiedzialności za kolejną śmierć. Za niczyją śmierć, jego też nie. Wtedy zapytał o nazwisko najwyższego stopniem agenta FBI, który przesłuchiwał mnie w sprawie Josha. Podałam pańskie. Resztę pan zna.

Joe uświadamiał sobie, że pozostawiła kilkanaście luk szerszych niż Wielki Kanion, ale wyglądała na wykończoną, a oni byli już na przedmieściach Nowego Orleanu.

– Dziękuję, pani Bennett. Wiem, że jest pani wyczerpana. Opowiadanie o tych przeżyciach na pewno nie należy do przyjemności. – Joe spojrzął na Hicka.
– Chcesz o coś zapytać?

– Tak. – Hick spojrzął na nią w lusterku. – Ten człowiek, który zadzwonił w piątek wieczorem. Mówiła pani, że zanim Kinnard ukrył pani komórkę, próbował się do niego dodzwonić.

Kiwnęła głową.

– Nikt nie odebrał, tak było przy wszystkich wcześniejszych próbach. Myślał, że to przypuszczalnie Josh chciał spotkać się ze mną albo przysłać kogoś, kto przekaże mi od niego wiadomości, coś w tym rodzaju.

– Pani mu powiedziała, że to nie był Josh.

– Powiedziałam, że nie mam pewności, ale moim zdaniem to nie był on.

– Naciskał, żeby mu pani powiedziała, kto to był?

– Tak. Chciał, żebym przyznała, że to był Josh.

– Dlaczego? Dlaczego tak mu zależało na kontakcie z pani bratem?

– Sądził, że Josh może zapłacić więcej za zachowanie mnie przy życiu niż Panella za moją śmierć.

– Więcej niż dwa miliony?

– Pan Kinnard jest przekonany, że te ukradzione pieniądze ma Josh, nie Panella. Próbowałam wyprowadzić go z błędu.

– Ale zamierzał targować się z Joshem o pani życie?

– Owszem, chociaż nie miał okazji.

– Josh nie odbierał telefonów od Kinnarda.

– Nikt nie odbierał. Powtarzam po raz setny, nie wiem, czy to był on.

Joe spojrzął na Hicka, po czym zapytał:

– Dlaczego po prostu nie powie nam pani, gdzie on jest, pani Bennett?

– Gdzie jest Josh? Nie wiem!

– Nie chodzi o niego. Proszę nam powiedzieć, gdzie znajdziemy Billy'ego Panellę.

– Panellę? Nie mam zielonego pojęcia.

Dopiero w tej chwili się zorientowała, że zatrzymali się w bramie śródmiejskiego hotelu. Spojrzała na agentów ze zdziwieniem.

– Co to jest? Dlaczego tu jesteśmy?

– Pozwiliśmy sobie zarezerwować dla pani pokój.

– Dlaczego?

– Żeby mogła się pani umyć, odpocząć, wyspać, zjeść kilka dobrych posiłków. Jutro znowu będziemy musieli panią przesłuchać.

Patrzyła to na Hicka, to na Joego, teraz mniej zdumiona, bardziej czujna.

– Przy biurze Extravaganzy mam małe mieszkanie. Myślałam, że tam mnie zabieracie.

– Wokół Extravaganzy w promieniu czterystu metrów obozują media. Podobnie wokół pani domu w Tobias. Tutaj będzie pani wolna od napastowania. Mają tu też niezły room service. Poza tym stąd jest bliżej do naszego biura, gdzie rano się spotkamy. Z domu w Tobias funkcjonariuszka wiezie pani ubrania. Chyba już – Joe spojrzął na zegarek – powinna na panią czekać w pokoju.

– Pójdę sprawdzić. – Hick wysiadł, pokazał odznakę portierowi i poprosił, żeby zostawił samochód tam, gdzie jest.

Joe wyciągnął rękę do klamki, ale Jordie Bennett go powstrzymała.

– Chwileczkę. O co tu naprawdę chodzi?

– Mówiłem...

– Nie podał pan żadnych przekonujących powodów. Umieszcza mnie pan w areszcie domowym?

– Co? Nie. – Joe uświadomił sobie, jak nieszczerze to zabrzmiało. – To wyłącznie środek ostrożności, mający na celu ochronę pani.

– Przed czym?

– Przed mediami.

Spojrzała na niego z niesmakiem i lekkim rozczarowaniem.

– Wiem, jak radzić sobie z mediami. Niech pan jeszcze raz spróbuje.

– Pani i moja żona – wymamrotał Joe. – Ona też umie mnie przejrzeć.

To porównanie nie zrobiło na niej wrażenia ani nie zbiło jej z tropu. Wpatrywała się w niego płonącymi oczami, żądając prawdziwej odpowiedzi.

Poddał się z westchnieniem.

– Miałem wiadomość od pani brata.

– Co? – Wypuściła powietrze z płuc z taką gwałtownością, że wyglądało, jakby klatka piersiowa trochę się jej zapadła. – Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Zadzwoił na moją komórkę, kiedy dosłownie przeczesywałem krzaki, szukając go. – Joe wyjaśnił okoliczności. – To było, zanim Morrow mnie powiadomił o odnalezieniu Kinnarda i pani.

– Gdzie jest Josh? Dobrze się czuje? Co mówił?

– Nie oddał się w moje ręce. Kiedy ostatnio go widziano, szedł pieszo.

Dzisiaj rano sprowadzili psy, żeby podjęły jego trop.

– Psy? – zapytała przerażona.

– On jest zbiegiem, pani Bennett. Zagrał mi na nosie. Powiedział, że powinienem przestać go szukać. Przysiągł, że nigdy go nie złapiemy, a on nigdy się nie podda. Ale nadal próbuje coś ugrać. Tym razem? Jeśli zagwarantuję pani bezpieczny powrót, on poda mi ostatnie znane miejsce pobytu Panelli.

– Wiedział przez cały czas i utrzymywał...

– To panią zaskakuje?

– Skoro wiedział, dlaczego milczał?

– Ponieważ jest kryminalistą. Nie został na razie oskarżony o swoje domniemane przestępstwa, ale oboje wiemy, że jest cholernym oszustem. I jeszcze lepszym kłamcą i manipulatorem. – Nie potwierdziła tych zarzutów ani się im nie sprzeciwiła, dlatego Joe mówił dalej: – Od początku przypuszczałem, że Josh trzyma w rękawie kilka asów, żeby miał co rzucić na stół, gdyby nastąpiły komplikacje, jak na przykład pani porwanie. No i jednego z tych asów wyciągnął wczoraj wieczorem.

– A pan czym zagrał? Nie mógł pan zagwarantować mojego bezpiecznego powrotu.

– Nie mogłem. Szczerze? W tamtym momencie myślałem, że pani nie żyje, a zwłoki rzucono gdzieś na mokradła. Powiedziałem to Joshowi. Mogłem jedynie mu zagwarantować, że dołożę wszelkich starań, by znaleźć panią żywą lub martwą, i przyrzekłem, że będę prowadził śledztwo, aż panią uratujemy albo odkryjemy pani szczątki. Chrząkał i migał się. Nie mógł się zdecydować. Wie pani, jaki on jest. W końcu jednak zgodził się zawrzeć układ.

– Powiedział, gdzie jest Panella?

– Utrzymuje, że tego nie wie, ale powiedział, dokąd Panella się kierował, kiedy zwał. Do Kostaryki. – Joe obserwował jej reakcję, a kiedy nawet nie mrugnęła, kontynuował: – Według Josha to miał być tylko pierwszy przystanek w drodze do Ameryki Południowej. Wiedział o tym, ponieważ jego ostatnim oficjalnym zadaniem jako podwładnego Panelli było przelanie niewielkiej sumy pieniędzy do tamtejszego banku.

– Przynajmniej wiecie, gdzie zacząć go szukać.

– Już zaczęliśmy. Czego na razie się dowiedzieliśmy? – Joe potarł się po czole, jakby to, co musiał powiedzieć, sprawiało mu ból. – Jedyne zarejestrowane wizyta Panelli w Kostaryce miała miejsce mniej więcej miesiąc przed zdemaskowaniem jego przekrętu. Spędził długi weekend w luksusowym ośrodku pod San José. – Opuścił rękę i spojrzał jej w oczy. – Z panią.

Rozchyliła usta, lecz nic nie powiedziała. Po chwili je zamknęła.

Joe odliczył do dziesięciu, by się przekonać, czy Jordie zaprzeczy, jakoś to skomentuje. Nie doczekał się, otworzył więc tylne drzwi i ujął ją za rękę.

– Dopóki dogłębnie tego nie wyjaśnimy, będzie tu pani mieszkała pod nazwiskiem Jones z koleżanką, która ma na imię Gwen i jest szeryfem federalnym.

Rozdział 23

W niedzielę późnym popołudniem biuro szeryfa w Terrebonne uznało, że zostały zebrane wszystkie dowody z obecnie sławnego baru. Taśmę policyjną usunięto, lokal mógł wznowić działalność.

Wieść rozeszła się szybko i wkrótce parking nie mieścił samochodów gości, którzy przejechali wiele kilometrów, by na własne oczy zobaczyć miejsce, gdzie w piątek rozegrał się dramat.

Barman poprosił klientów, którym mógł zaufać na tyle, by powierzyć im obsługę kasy, żeby mu pomagali realizować zamówienia, a sam raz po raz opowiadał historię zawierającą soczyste detale pominięte w relacjach prasowych i telewizyjnych.

Wieczór jednak należał do głównego świadka Royce'a Shermana. Stół do bilarda, przy którym grał z kumplami, kiedy zdecydował się zaczepić Jordan Bennett, stał się teraz centralną sceną.

– Nie miałem pojęcia, że przez ten podryw ściągnę sobie na tyłek federalnych. Nie wspominając już o tym – tu zarzucił ramię na plecy swojej partnerki gestem tak zamaszystym, że chlapnął trzecią kolejką Jacka Danielsa z colą na jej nową obcisłą bluzeczkę – że narobię sobie kłopotów z obecną tu moją starą.

Jego stara nie była rozbawiona, ale widzowie słuchali jak zauroczeni, kiedy relacjonował rozszerzoną wersję rozmowy z Jordie. Rozkoszował się swoją nową sławą. Nikt nigdy więcej nie nazwie go nieudacznikiem albo nicponiem. Jego nazwisko ukazało się więcej niż raz w „Times-Picayune”. Nawet jego wredny staruszek był pod wrażeniem, gdy wywiad z Royce'em nadano jako najważniejszy materiał w sobotnich w wiadomościach o dziesiątej wieczorem.

Wraz z mijającymi godzinami tłum gęstniał. Nikt nie zauważył mężczyzny, który wszedł z grupą obcych sobie ludzi, później się od nich odłączył i poszukał miejsca w najciemniejszym kącie baru.

Było to miejsce najbardziej oddalone od szafy grającej. Mężczyzna nie zbliżał się do towarzyskiego barmana, niczego nie zamówił, tylko obserwował Royce'a i słuchał jego historii, która z każdym nowym odtworzeniem się rozrastała, a rola narratora przybierała na znaczeniu.

– Nie miałem pojęcia o tym oszustwie. Musiałem wygooglować Billy'ego Panellę, żeby znaleźć jego związki z tą laską. – Oczy o mało nie wypadły mu z orbit. – Ale numer. Jej brat musiał być prawdziwym tępakiem, skoro zdecydował się zrobić w konia tego Panellę. Facet z telewizji zapytał mnie, czy uważam, że

Panella przysłał Boldena i tego drugiego, żeby zemścić się na Joshu Bennecie. Jasne, cholera, odpowiedziałem. Tylko że im pokrzyżowałem plany, bo się do niej przysiadłem. Bennett mnie powinien podziękować za to, że jego siostra żyje.

– Możesz to powtórzyć, Royce – mruknął mężczyzna w kącie.

Stara Royce'a w końcu miała dość jego przechwałek. Oznajmiła, że pora się zbierać. Royce odparł, że jeszcze nie jest gotowy, na co stanowczo powtórzyła, że już idą. Gdy to zignorował, wykrzyczała ultimatum: albo wychodzi z nią natychmiast, albo może wcale nie wracać do domu.

Royce zasalutował jej na pożegnanie i zarzucił rękę na ramiona dziewczyny o oczach jak gwiazdy, która jego historię traktowała z większą uwagą i szacunkiem.

Partnerka Royce'a wyszła w towarzystwie dwóch przyjaciółek okazujących jej pełne wsparcie. Mężczyzna w kącie podsłuchał, jak namawiały ją do zmiany zamków i przekonywały, że lepiej będzie, jeśli tego dupka nigdy więcej na oczy nie zobaczy.

Minęła kolejna godzina. Royce Sherman był coraz bardziej pijany, dziewczyna coraz bardziej nim zauroczona. W miłosnym geście chwyciła go za sztywną kocią bródkę i przyciągnęła jego twarz ku swojej. Całowali się, podczas gdy tłum pohukiwał i wykrzykiwał zachęty.

Przez ten spektakl mężczyzna w kącie o mało nie przegapił dzwonka swojej komórki. Z jednej strony się cieszył, że telefon cichy przez cały dzień wreszcie zaczął wibrować w kieszeni jego spodni, z drugiej był zły, że dzieje się to tak późno. Przesunął się wzdłuż ściany do drzwi i z ulgą wyszedł na zewnątrz.

Wyjął komórkę z kieszeni i zygzakiem przemierzając parking w kierunku swojego samochodu, zerknął na wyświetlacz. Abonent nieznany. To mogła być tylko jedna osoba – Shaw Kinnard. Dzwoniący tylko z jednego powodu: zabił Jordie i domaga się zapłaty.

Już miał odebrać, ale zmienił zdanie. W każdej transakcji ten, kto dłużej potrafi przetrzymać przeciwnika, zyskuje przewagę. Aż do teraz przewagę miał Kinnard. Tym razem niech on się denerwuje.

Po zaledwie trzech minutach telefon znowu zawibrował. Z uśmiechem zadowolenia wyjął krtań elektroniczną z kieszeni i przycisnął sobie do gardła.

– Lepiej, żebyś dzwonił z informacją, że ona nie żyje.

– Obawiam się, że nie.

To nie był głos płatnego zabójcy.

– Mówi agent specjalny FBI Joe Wiley z biura w Nowym Orleanie.

– Kurwa! – Przekleństwo mu się wyrwało, zanim zdążył zapanować nad swoją reakcją, ale skoro raz zaczął, uraczył palanta całą wiązką.

Agent, na którym najwyraźniej ta obelżywa litania nie robiła wrażenia, ciągnął tonem swobodnej rozmowy:

– Media jeszcze o tym nie mówią, więc masz wyłączność na tę historię. Shaw Kinnard został aresztowany. Jordie Bennett, cała i zdrowa, jest pod naszą ochroną. Pański plan odwetu zrobił kaput. A będzie jeszcze ciekawiej, panie Panella. Josh Bennett nadal pozostaje na wolności, ale skontaktował się ze mną i – co pewnie pana nie zaskoczy – znowu na pana kabluje. Dobrze pan wie, że jest tchórzem podszyty. Sprzeda pana...

Oczy zaszły mu czerwoną mgłą. Nie chciał wysłuchiwać tego, co agent federalny miał mu do powiedzenia, więc natychmiast się rozłączył i wyjął z komórki baterię. Poszedł na brzeg zatoki, a kiedy był na tyle blisko, żeby porządnie się zamachnąć, wrzucił komórkę i baterię do wody.

Z furią krążącą w żyłach wrócił do samochodu, gdzie mógł siedzieć i roztrząsać otrzymaną wiadomość oraz wynikające z niej przykre wnioski. Nie powinien ich lekceważyć ani umniejszać. Media nie podały jeszcze wiadomości o uratowaniu Jordie, ale federalny był za bardzo zadowolony z siebie, żeby mu nie wierzyć.

To bez dwóch zdań kopniak prosto w zęby. Zatrudnienie Mickeya Boldena i jego ówczesnego partnera okazało się błędem. Ale mleko już się rozlało, teraz trzeba myśleć o przyszłości, a nie przeszłości.

Po długim namyśle uznał, że sprawa ma też plusy. Shaw Kinnard został skreślony. Policja aresztowała go za przestępstwa zagrożone karą śmierci. W naturze bestii leży skłonność do kłamstwa, dlatego nie uwierzą w żadne jego słowo. A poza tym późno wkroczył na scenę, nie miał pojęcia o istocie partnerstwa Panelli i Bennetta.

W przeciwieństwie do Jordie. Która była cała, zdrowa i bezpieczna pod skrzydłami FBI.

Jordie musi umrzeć, to się nie zmieniło, ale nie zamierzał polegać na innych osobach. Koniec z wynajętymi pomagierami. Nie może wierzyć w ich umiejętności ani lojalność. W dodatku perspektywa wykonania tego zadania samemu była ekscytująca. Groźba śmierci bez dwóch zdań zburzy chłodną rezerwę Jordie. Krew szybciej zaczęła mu krążyć na myśl o wzbudzeniu śmiertelnego przerażenia u tej zarozumiałej suki, a potem obserwowaniu, jak życie umyka z jej wielkich błękitnych oczu. Sprawি mu to ogromną przyjemność.

Naturalnie wyjście z ukrycia wiązało się z niejakim ryzykiem, ale nagroda była większa. Odtąd jeśli będzie chciał, żeby coś zostało zrobione jak trzeba i na czas, zrobi to sam.

Zaczynając od zaraz.

*

Obok niego leżała naga i miękka Jordie.

Miękka z wyjątkiem sutków, które stwardniały, gdy potarła je o jego klatkę

piersiową. Wziął jeden w palce i delikatnie pogładził. Zamruczała. Wcisnął język w jej usta, by poczuć tę słodką wibrację.

Ktoś niemal zepsuł tę chwilę, potrącając łóżko, i Shaw miał ochotę warknąć na intruza, ponieważ pocałunek Jordie wydawał się rozkoszny. Nie była pasywną odbiorczynią, ale aktywną i gorliwą uczestniczką tej gry. Jej usta zamknęły się na jego języku, a on pomyślał, jak cudownie będzie, gdy zrobi to samo z jego penisem. Kiedy do tego etapu dotrą. Na razie jednak...

- Co z nim?
- Cześć, doktorze. Myślałam, że już pan poszedł do domu.
- Wychodziłem, ale postanowiłem jeszcze raz do niego zajrzeć.
- Rusza się, lecz jeszcze się nie obudził. Parametry życiowe prawidłowe.
- Temperatura?
- W normie.

Gdzieś na dnie świadomości Shaw zgadzał się, że całowanie Jordie nie jest dobrym pomysłem, ale skoro to robił, nic na tym świecie nie mogło go powstrzymać. Chociaż klasyfikowanie tego jako zwykłego pocałunku było niczym porównanie płomyka świecy z pożarem lasu. Powodowało to wilgotne sny. Shaw miał do niej nieograniczony dostęp. Najbardziej seksowne usta. Piersi, które tak łatwo pobudzić. Im więcej siebie dawała, tym więcej pragnął.

Jeśli wieść o jego obsesji się rozejdzie, stanie się pośmiewiskiem. Cieszył się reputacją twardziela, nikczemnika. Bezwzględnego. Nieznającego miłosierdzia. Wypranego z emocji, nieporuszonego skurwysyna. Nikt by się nie spodziewał, że zły Shaw Kinnard zmięknie z powodu kobiety.

Chryste. Zmiękł? Nie. Był twardy. A może nie?

Nie miał pewności. Tam na dole nie do końca było tak, jak powinno. Odczuwał ciąglą pulsującą obrzmiałość w dolnej części ciała, co jakimś sposobem dodawało mu otuchy. Nie było jednak zwykłą erekcją. Dziwne, lecz nie miał ochoty badać źródła tego nacisku. Jedyne, co naprawdę pragnął badać, to Jordie ze wszystkimi powabnymi krzywiznami i zagłębieniami.

- Przykro mi, sir, nie może pan tu wchodzić.
- Jestem zastępcą szeryfa, Clint Morrow.
- A ja jestem chirurgiem, który przed chwilą pozszywał tego faceta. Nadal przebywa na intensywnej terapii. Musi pan wyjść.
- Jest moim więźniem.
- Jest moim pacjentem.

Shaw nie zwracał uwagi na te przekomarzania. Pragnął dotknąć Jordie w miejsca najważniejsze, a sądząc ze sposobu, w jaki się przy nim układała niespokojnie i ponagląjąco, ona też tego pragnęła.

Zsunął dłoń po jej gładkim brzuchu i zamknął na waginie. Tak, Shaw, tak.

Muzyka dla jego uszu. Bo po tym, na co ją naraził, powinna go nienawidzić.

Powinna się go bać, a przecież się nie bała. Wyginała się ku niemu z pożądaniem, inaczej nie można tego określić, i szeptała niegrzeczne zachęty prosto w jego usta.

– Kinnard? Kinnard? Słyszysz mnie?

– Zastępco Morrow! Co pan tu robi?

– Sprawdzam, czy się nie ocknął.

– Nie. A ja słyszałam, jak lekarz kazał panu wyjść.

– Kinnard mnie słyszy?

– Jest nieprzytomny.

– Może udawać.

– Nadal jest na środkach znieczulających. Tak czy owak musi pan poczekać, aż rano zbada go doktor, ponieważ dopiero wtedy będzie mógł ocenić, czy stan pacjenta pozwala na przesłuchanie. On nigdzie się nie wybiera. Czy te pasy naprawdę są konieczne?

Ktoś pociągnął Shawa za rękę. Nie poruszyła się. Nie ta. Druga pieściła Jordie po najdelikatniejszym z delikatnych miejsc kobiecego ciała. A ona napierała na jego dłoń z pożądaniem, zapraszająco. Wsunął w nią środkowy palec, zebrał wilgoć na opuszek i zaczął masować najbardziej wrażliwe miejsce. Pochylił głowę i tak samo potraktował językiem jej sutek.

Idealnie zharmonizowane pieszczoty. Rozkosz wywoływana kreśleniem małych okręgów.

Złapała go za włosy, powtarzała jego imię, wzdychając i jęcząc, błagała, by nie przestawał.

– Pasy zostają. Na obu rękach. Proszę dopilnować, by reszta pielęgniarek także to zapamiętała. Niech się panie nie dadzą nabrać. Jest niebezpieczny. Dwa dni temu wieczorem strzelił człowiekowi w tył głowy.

– No, dzisiaj w nocy nikogo nie zastrzeli. Proszę, zastępco Morrow. To ja będę miała kłopoty, jeśli pozwolę panu tu zostać. Proszę wyjść. Odzyska w pełni przytomność dopiero za kilka godzin.

Wyszli. Dzięki Bogu. Teraz w spokoju mógł się cieszyć swoim erotycznym snem.

Oddech Jordie zaczął być urywany. Szokująco dosadnym językiem błagała go, by włożył w nią palec. Z radością spełnił jej prośbę.

Jasny gwint. Myślał, że to jej usta są wilgotne, gorące i miłe.

Zacisnęła się, wciągając głębiej jego palce. Cofnął je, a kiedy protestująco jęknęła, wepchnął je głębiej. Zacisnęła się mocniej.

A potem w ten cudowny sposób typowy dla snów nagle był na niej i to nie jego palce, ale fiut w nią wchodził. Ścisnęła go po każdym ruchu. Boże, jak cudownie.

Nigdy nie był zwolennikiem długiej gry wstępnej ani całowania, skoro o tym mowa, zawsze starał się to pominąć i przejść do głównego dania. Nie tym razem.

Nie z Jordie. Teraz się nie śpieszył. Podobało mu się takie powolne bzykanie.

A najlepsze ze wszystkiego było to, że nigdzie się nie wybierał. Mógł to robić przez długi czas. Aż do rana. Wiele godzin.

*

Jordie obudziła się tak gwałtownie, jakby ktoś wyrwał ją ze snu.

Spodziewała się, że ze związanymi rękami i nogami będzie leżała na obitym tkaniną tylnym siedzeniu samochodu. Kilka sekund zajęło jej przypomnienie sobie, że jest w pokoju hotelowym. Do podstawowych wygod należały czysta pościel, poduszka wypchana mięciutkim puchem i temperatura, od której nie oblewała się potem. Wręcz przeciwnie, klimatyzacja przyjemnie ją chłodziła.

Co prawda przestała być zakładniczką w okropnym warsztacie, ale w tym hotelu nie przebywała z własnej woli.

Budzik na nocnym stoliku wskazywał czwartą trzydzieści rano. Jordie odrzuciła pościel i poszła do łazienki. Skorzystawszy z toalety, zamknęła klapę i usiadła na niej, opierając łokcie na kolanach i podtrzymując głowę dłońmi.

Czy Shaw dobrze się czuje? Odzyska zdrowie? Czy w ogóle jeszcze żyje?

Prawdziwą torturą była ta kompletna niewiedza o aktualnym stanie jego zdrowia i prognozach lekarzy.

Gwen Saunders z biura szeryfów federalnych, z którą Jordie dzieliła apartament hotelowy, późnym popołudniem i wieczorem odebrała wiele telefonów, ale ani razu nie wspomniała, czego dotyczyły.

Jordie udawała, że drzemie, ale specjalnie zostawiła uchylone drzwi swojego pokoju w nadziei, że podsłucha dość fragmentów rozmowy, by złożyć z nich odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Jednak Gwen albo zdawała sobie sprawę, że Jordie podsłuchuje, albo mówiła niezwykle cicho. Kiedy Jordie zrezygnowała z udawania, wyszła z sypialni i zapytała Gwen, czy otrzymała jakieś informacje o stanie Shawa Kinnarda, w odpowiedzi usłyszała:

– Ostatnio słyszałam, że nadal jest na bloku operacyjnym.

Jordie nic więcej z niej nie wydobyła i nie miała sposobu na stwierdzenie, czy to była prawda, czy nie. „Nadal na bloku operacyjnym” mogło oznaczać, że umarł na stole i tam go zostawili.

W sprawie Josha Gwen była równie powściągliwa. Dopiero kiedy Jordie kilkakrotnie zapytała, czy ponownie się z nim skontaktowano, Gwen powiedziała, że agent Wiley wiele razy wybierał numer, z którego Josh do niego zadzwonił.

– Nie odbiera i na razie nie oddzwonił.

Informacja o jej uratowaniu pojawiła się dopiero w ostatnim wydaniu wiadomości. Może Josh, gdziekolwiek przebywa, już o tym wie. Może próbował się do niej dodzwonić. Mając na uwadze taką ewentualność, zapytała Gwen, czy

odnaleziono jej komórkę.

- Owszem, w samochodzie Kinnarda.
- Przecież dokładnie go przeszukałam.
- Najwidoczniej sprytnie ją ukrył.
- Chciałabym odzyskać telefon.
- Przykro mi, pani Bennett, to dowód.

Dowód czego?, zastanawiała się Jordie. Dowód przeciwko komu? Gwen nie dodała nic więcej, a Jordie nie pytała, bojąc się odpowiedzi.

Tak czy owak wątpliwe, by Josh okazał się na tyle głupi i zadzwonił na jej telefon. Na pewno się orientuje, że policja pilnie go monitoruje w nadziei, że będą mogli wykorzystać połączenia przychodzące do ustalenia miejsca jego pobytu.

Po skonsultowaniu się z agentem Wileym Gwen pozwoliła jej zadzwonić do biura Extravaganzy pod warunkiem, że włączy tryb głośnomówiący. Podwładni Jordie niezwykle się wzruszyli, gdy usłyszeli jej głos. Wszyscy poczuli ulgę i radość, że nic się jej nie stało.

Nikt z pracowników nie wspomniał o Joshu, oszczędzono jej więc poruszania tej kwestii, a ona ze swej strony nie opowiedziała szczegółowo, jak ją porwano i uratowano, posłuszna poleceniu Gwen, by tego nie robiła.

- Jakieś niewinne słowo może utrudnić dochodzenie.

Jordie nie pojmowała, jak mogłoby do tego dojść, ale się nie sprzeczała, ponieważ i tak nie była jeszcze gotowa na rozmowę o trzydziestu sześciu godzinach spędzonych z Shawem Kinnardem.

Nie miała pojęcia, kiedy pozwolą jej wrócić do normalnego życia i pracy. Po rozmowie ze swoim personelem czuła się oderwana od rzeczywistości i pozbawiona energii. Godziny, które pozostały do wieczora, wydawały się puste i wlokące w nieskończoność.

Skorzystała z jacuzzi i tak energicznie roztarła szampon na głowie, że skóra czaszki zaczęła ją piec. Zapasową szczoteczką do zębów usunęła zaschniętą krew – krew Shawa – spod paznokci.

Tak jak obiecał Wiley, Gwen przywiozła z domu w Tobias ubrania i kosmetyki. Jordie z radością zamieniła swoje wszystkie poplamione krwią rzeczy na czyste, chociaż dziwnie się ociągała, by przekazać je Gwen, gdy ta o nie poprosiła. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego ma ochotę przycisnąć je do piersi i zatrzymać.

Odkąd tu przyjechała, zamówiły do pokoju dwa posiłki. Jordie powinna mieć wilczy apetyt, ale tylko bez entuzjazmu skubała jedzenie. Zachęcona przez Gwen, wypila pół kieliszka białego wina z minibarku, potem pod pretekstem zmęczenia poszła się położyć.

Zaskoczyło ją, że w ogóle zasnęła, ale uznała, że pewnie tego domagało się ciało, a wola nie miała tu nic do gadania. Sen przywrócił jej siły, choć nie

zmniejszył dręczącego ją niepokoju.

Wpatrując się teraz w zimne kafelki pod stopami, myślała, jak bardzo boi się jutra i przykrych niespodzianek, które ten dzień może przynieść. Potem sobie uświadomiła, że to już dzisiaj. Nie miała wyboru, musiała stawić czoło temu, cokolwiek się zdarzy.

Kiedy wróciła do sypialni, Gwen stała w otwartych drzwiach do salonu.

Gwen Saunders z biura szeryfów federalnych, kobieta przeciętnego wzrostu, z dodatkowymi siedmioma kilogramami, które nosiła bez kompleksów, nie była niemiła, tylko... oficjalna. Czujna nawet o wpół do piątej rano. Co nie znaczy, że Jordie miała o to do niej żal. Eskapada Josha nie wytworzyła nadmiernego zaufania pomiędzy szeryfami a rodziną Bennettów.

– Wszystko w porządku? – zapytała Gwen.

– Musiałam iść do łazienki.

– Mogę coś pani przynieść?

– Nie, dziękuję.

– Kiedy pani się położyła, dostałam esemesa od Joego Wileya.

Serce Jordie mocniej zabiło. Shaw?

– Chce, żebyśmy stawily się w jego biurze o dziewiątej trzydzieści – odparła Gwen; tym samym zgasiła nadzieję i strach Jordie, że dowie się o obecnym stanie Shawa. Policjantka dodała, że na ósmą zamówiła śniadanie kontynentalne. – Chyba że ma pani ochotę na coś innego.

– Nie, tak jest dobrze.

Gwen zapytała, o której Jordie chce wstać, a ta podała godzinę i powiedziała:

– Ale proszę mnie obudzić, jeśli będzie miała pani jakieś wiadomości.

Policjantka kiwnęła głową, choć niczego nie obiecała.

– Niech się pani prześpi – poradziła, zamykając drzwi.

Jordie wróciła do łóżka, położyła się na boku i zwinęła w pozycję embrionalną.

Co za straszliwy bałagan.

Przez swoją ucieczkę Josh uruchomił lawinę zdarzeń, ale niesprawiedliwością byłoby całkowicie obciążać go za obecne położenie Jordie. Ona też ponosiła winę. Kiedy pół roku temu przesłuchiwali ją agenci FBI i pytali o jej związek z Billym, powinna im była powiedzieć o tej przeklętej wycieczce do Kostaryki. Jasne, nie miała wtedy pojęcia o funduszach, które Josh tam przetransferował na krótkie wakacje Panelli.

Poza tym popełniła kosmiczny błąd, jadąc w piątek wieczorem do tej speluny dla wieśniaków. Gdy Josha zabierała policja i powiedziała mu: „Ja swoje zrobiłam”, powinna była mówić poważnie i zignorować anonimowe wezwanie przez telefon.

Zamiast tego zareagowała tak jak zwykle przez całe lata. Trudno się pozbyć

starych nawyków, to wręcz niewykonalne. Albo tak się jej wydawało. Była potrzebna Joshowi, więc natychmiast pobiegła na pomoc. I w ten sposób skoczyła na główkę. A teraz FBI żywiło wobec niej podejrzenia.

No i była ta zagadka dotycząca Shawa Kinnarda. W sprawie porywacza jej serce i umysł się nie zgadzały. Nie, to niewłaściwe określenie. Jordie przeżywała emocjonalny sztorm.

Na własne oczy widziała, jak z zimną krwią popełnił morderstwo. Chociaż nie traktował jej okrutnie, ani razu nie pozwolił zapomnieć, że jest zakładniczką, której grozi śmierć. Utrzymywał ją w przerażeniu i niepewności. Jej los zależał od jego kaprysu.

„Od chwili, gdy na ciebie spojrzałem, twojemu życiu nic nie groziło”. Prawda? Czy tylko miłe słowa, żeby zbić ją z tropu? Jordie wolałaby mu wierzyć. Pragnęła tego bardzo nie jako zakładniczka, ale jako kobieta.

I to był najbardziej niepokojący aspekt tej sprawy. Powód, dla którego tkwiła w wirze sprzecznych i niezrozumiałych emocji.

Gdy patrzyła, jak karetka odwozi go na sygnale, powinna się cieszyć. Tymczasem czuła rozpacz. To ona go zraniła, ale bolało ją, że Shaw tak strasznie cierpi. Jeśli przeżyje, spotka go surowa kara za jego zbrodnie. Ta świadomość powinna sprawiać jej zadowolenie. Nie sprawiała.

Wspomnienie jego groźnej twarzy nie wywoływało w niej odrazy, choć przecież powinno. A ona pragnęła znowu ją zobaczyć. Gdy odtwarzała w myślach dotyk jego rąk, nie wzdragała się, lecz marzyła, by znowu to zrobił. Nie próbowała usunąć z pamięci jego pocałunku, tylko żarliwie chciała go zachować, bardzo żałując, że ograniczył się tylko do jednego.

Powinna być szczęśliwa, że po prostu wyszła z tego żywa. I była.

Tylko że nie towarzyszyła temu prawdziwa radość, ponieważ miała też silne poczucie straty związane z niezrealizowanymi możliwościami.

Rozdział 24

Josh niespokojnie wyczekiwał świtu.

Siedział przy kuchennym stole, bawiąc się pudełkiem wykałaczek i omal nie wyskakując ze skóry przy każdym dźwięku. Przypomniawszy sobie popularną kilka lat temu nalepkę na zderzak: **TEŻ BYŁBYŚ PARANOIKIEM, GDYBY WSZYSCY CHCIELI CIĘ DOPAŚĆ.**

Ciemność działała mu na nerwy, ale bał się zapalić światło, teraz jeszcze bardziej niż wcześniej. Shawa Kinnarda złapano z powodu światła. To był jeden z zaskakujących szczegółów, o których wspomniano w nocnych wiadomościach.

Jak wynikało z relacji telewizyjnej, wędkarz zauważył światło w opuszczonym od lat budynku. Zawiadomił miejscową policję, co doprowadziło do uratowania Jordie i aresztowania porywacza.

Dla niej skończyło się dobrze. Dla sprawcy to była katastrofa.

A ponieważ Josh należał do drugiej kategorii, wziął sobie tę lekcję do serca, natychmiast wyłączył telewizor i nie zapalał światła. Całkowita ciemność była bezpieczniejsza, ale cholernie go drażniła. Do świtu chodził od jednego okna do drugiego, bojąc się, że jeśli wyjrzy na zewnątrz, zobaczy skradających się ludzi w mundurach, otaczających dom, zarzucających sieć, z której nie uda mu się wymknąć.

Nie radził sobie dobrze z bronią, ale trzymał naładowany pistolet na stole koło pudełka wykałaczek. Był zadowolony, że zaplanował wszystko z góry i zostawił broń w domu razem z mrożonymi daniami i pełną spiżarką. To go uspokajało. Gdy miał broń pod ręką, nie czuł się taki obnażony i wystawiony na widok publiczny.

Nie cierpiał być obnażony i wystawiony na widok publiczny. Nawet pod prysznicem. Ponieważ czasami, mimo że starał się tego unikać, przypadkiem łapał swoje odbicie w lustrze w łazience i widział groteskowe blizny na ciele.

Upływ czasu sprawił, że zblakły. Nie były już czerwone i różowe, ale gładkie, białe i lśniące, niczym obrzydliwe robaki wiły mu się po plecach. Pamiętał, jak mu mówiono, że ma szczęście, bo ubranie je ukryje. Nawet Jordie raz tak mu powiedziała.

– Nikt nigdy nie będzie wiedział, że tam są, Josh.

Wrzasnął na nią, że on o nich wie.

Niepodważalny fakt zamknął jej usta. Nigdy więcej nie próbowała go pocieszać tym banałem.

Sfrustrowany przypomnieniem o swoich deformacjach, zrzucił pudełko

wykałaczek ze stołu. Rozsypały się po podłodze. Nadal niespokojny, sięgnął po jedną z komórek i zaczął podrzucać ją na dłoni. Usunął baterię z telefonu, z którego zadzwonił do Joego Wileya. Ten był nowy, z nową baterią, naładowany.

Kusiło go, żeby znowu zadzwonić do Wileya, zapytać, czy to, co mówili o Jordie w telewizji, jest prawdą i rzeczywiście wyszła z tej strasznej opresji nietknięta. Zastanawiał się, czy Wiley już zapytał ją o Kostarykę.

Pewnie będzie wściekła na niego, że powiedział agentowi FBI o krótkich wakacjach, które urządzili sobie Jordie i Panella. Od dnia, gdy wróciła z Ameryki Środkowej, wypad był tematem zamkniętym. Tematem tabu. Zakazanym. Ostrożne wypytywania Josha spotykały się z głuchym milczeniem. Dla Jordie przypuszczalnie sprawa nadal jest drażliwa.

Jednak wczoraj wieczorem musiał coś dać Wileyowi, prawda? Czy Jordie wolałaby pozostać na łasce Shawa Kinnarda, bezwzględnego przestępcy? W telewizji mówili, że odniósł „poważne obrażenia”, ale nie powiedzieli, na czym te obrażenia polegają ani w jaki sposób do nich doszło.

Josh miał nadzieję, że drań umrze.

Ukląkł, pozbierał po ciemku wykałaczki i włożył je do pudełka. Ponownie obszedł parter domu, na palcach skradając się po mrocznych pokojach i zerkając przez okna. Nie było potrzeby sprawdzania pierwszego piętra, zrobił to już dwa razy.

Na zewnątrz nic się nie poruszało. Wszystko było w porządku.

Napięcie spowodowane chęcią dowiedzenia się o sytuację Jordie zabijało go. Ulegając pokusie, wrócił do kuchni, wziął komórkę i wybrał numer Joego Wileya. Agent odebrał po trzech sygnałach głosem zaspanym, jakby telefon go obudził.

– Słyszałem o Jordie. Naprawdę nic jej nie jest?

– Cześć, Josh. Zastanawiałem się, kiedy się złamiesz i do mnie zadzwonisz. Założyłem się z żoną, że...

– Nic jej nie jest?

– Nie. Ale dlaczego nie chcesz przekonać się o tym osobiście? Przyjadę po ciebie i zawiozę cię prosto do niej.

– Czy jej porywacz żyje?

– Jak ostatnio słyszałem, to tak. Ale nie jesteś jedynym, który ma nadzieję, że umrze.

Joe rozpoznał w tym zdaniu podsuniętą mu pod nos marchewkę, nie mógł się jednak oprzeć.

– Jordie na pewno też na to liczy. Zrobił jej coś? Skrzywdził ją?

– Mówi, że nie, ale nie ją miałem na myśli. Dzisiaj wieczorem rozmawiałem z Billym Panellą.

– Kłamca – rzucił Josh.

– Zaledwie kilka godzin temu.

- Kłamca!
 - Czy choć raz cię okłamałem, Josh? Pomyśl o tym. Zawsze byłem wobec ciebie uczciwy.
 - Panella jest w Ameryce Południowej.
 - Niewykluczone, ale zapoznałem go z rozwojem wypadków tutaj.
 - Próbujesz mnie przerazić.
 - Sam zdecyduj, czy powinieneś się bać, czy nie.
 - Co to znaczy?
 - Kiedy powiedziałem Panelli, że Kinnard został aresztowany, a Jordie jest cała i zdrowa, brzydko zaklął. I nie skończył na jednym przekleństwie. Niektóre słowa musiałem sprawdzić w słowniku.
 - To nie jest przerażające – orzekł Josh. – On zawsze klnie, jak jest wściekły, a był wściekły, bo jego plan zabicia Jordie spalił na panewce.
 - Tym razem. Myślę, że ponowi próbę, ponieważ... cóż, sęk w tym, Josh, że poniekąd się wygadałem, że ty znowu handlujesz jego sekretami, żeby się wkraść w nasze łaski.
 - Chryste.
 - Zacząłeś się bać? Masz solidny powód.
- Josh zaczął coś bełkotać.
- Bądź sprytny, Josh. Powiedz mi, gdzie jesteś.

*

Shaw nie znosił spać. Uważał sen za stratę czasu, poza tym nie lubił bezbronności, która nieuchronnie towarzyszyła tej porze. Spał tylko wtedy, gdy musiał, i nigdy dłużej niż przez kilka godzin.

Tym razem jednak po powrocie do przytomności dość szybko zaczął żałować, że znowu nie może osunąć się w otchłań. Szpitalny poranek to czas wypełniony krzątaniną, ale można było odnieść wrażenie, że cały personel tego szpitala ma jakiś interes w jego pokoju.

Przypuszczalnie chcieli zobaczyć faceta przykutego do łóżka.

Zbadano mu parametry życiowe. Dwa razy. Pobrano mu krew. Co najmniej kwartę. Umyto podłogę. Wielką przyjemność sprawiało choremu walenie mopem o wszystkie cztery kółka łóżka. Kroplówkę dziesięć razy sprawdziło dziesięć różnych osób. Zmieniono mu opatrunek. Sprawdzono trwałość rzędu klamerek, które spinały jego ciało niczym miniaturowe tory. Zmierzone i zapisano ilość moczu, następnie zmieniono worek.

Niedługo po tym upokorzeniu przyszedł pielęgniarz, żeby go obmyć. Zgiął Shawa jak precel, co wywołało soczyste przekleństwa.

– Gdzie się szkoliliś? W Guantanamo?

Wpadł następny facet, ubrany w niebieski strój chirurga.

– Pamięta mnie pan?

– Nie.

– Tak myślałem. – Kościsty i energiczny, przedstawił się jako chirurg, który wczoraj przeprowadził operację. – Zrobiliśmy panu kilka prześwietleń i USG i nie stwierdziliśmy uszkodzeń w organach. Ostrze ominęło jelito grube o tyle. – Palcem wskazującym i kciukiem pokazał półtora centymetra. – Miał pan szczęście, bo żadne ważne naczynie krwionośne nie zostało przecięte. Rana była brzydka, wdawało się zakażenie. Oczyszczyłem ją. Mogło być o wiele gorzej.

– Więc jaka jest zła wiadomość?

– Mięśnie skośne brzucha zostały przecięte jak stek. Tępy narzędziem. Trzeba było założyć mnóstwo szwów, poczynając od najgłębszej warstwy. Przez pewien czas będzie bolało. Proszę się nie przemęczać. Nie podnosić ciężarów, nie wykonywać wyczerpujących ćwiczeń. – Przypomniał sobie o pasach, którymi pacjenta przywiązano do łóżka, i miał minę, jakby chciał cofnąć ostatnie słowa. – Dostał pan zastrzyk przeciwțęcowy. Jeśli pojawi się gorączka, musi się pan zbadać. Podajemy panu antybiotyki, wyjdzie pan ze szpitala z pełnym tyłkiem leku plus zapasem na kilka tygodni. Proszę wszystko wziąć. Jakies pytania?

– Kiedy klamerki zostaną usunięte?

– Jutro, jeśli rana będzie się goić. Są tylko zabezpieczeniem. Dzisiaj fizjoterapeuta postawi pana na nogi, zacznie się pan ruszać.

Shaw zagrzechotał kajdankami.

– Przed salą jest zastępca szeryfa – powiedział chirurg. – Będzie pod ręką, żeby... pomóc.

– Kiedy wyciągniemy to coś z mojego fiuta?

Chirurg uśmiechnął się krzywo.

– Zaraz kogoś przyślę, ale jak nie będzie pan sikał samodzielnie, cewnik wraca.

– W takim razie zrobię wszystko, żeby sikać samodzielnie.

– Powodzenia.

Chirurg pośpiesznie wyszedł. Piętnaście sekund później w sali pojawił się człowiek w mundurze.

Shaw położył głowę na poduszce i zamknął oczy.

– Dzień dobry.

Shaw nie odwzajemnił pozdrowienia, ale policjant nie zrozumiał aluzji. Słyszał, jak tamten podchodzi do łóżka.

– Jechałem z panem w karetce, był pan nieprzytomny. Clint Morrow, biuro szeryfa...

– Pamiętam pana – przerwał mu Shaw. – Facet, który mnie wyśledził.

– To nie moja zasługa. Dostałem dobry trop.

– Co wędkarz robił na mokradłach w czasie burzy? Niech zgadnę. To jakiś

świrowaty Cajun.

- Ludzie są różni.
- Miałem farta – mruknął Shaw.

Po krótkiej przerwie Morrow zapytał go, jak się czuje.

- A jak wyglądam?
- Gównianie.
- To w sumie jest dość jasna odpowiedź.

Morrow odczekał sekundę i przeszedł do sedna.

- Musi mi pan odpowiedzieć na kilka pytań.
- Shaw podniósł głowę, otworzył oko i rozejrzał się po pokoju.

– Nie widzę adwokata – oznajmił i znowu się położył.

Niezrażony tym Morrow zaczął mówić o śmierci Mickeya Boldena.

- Chce pan to skomentować, panie Kinnard?
- Nadal nie widzę adwokata. Ale jeśli zostanie pan dostatecznie długo, może być pan świadkiem, jak usuwają mi cewnik.

– Kiedy poznał pan Boldena?

Zadał kilkanaście pytań, na które Shaw odpowiadał, wzdychając, ziewając, a raz prosząc Morrowa o podrapanie go w swędzące miejsce.

- To poważna przysługa, wiem, ale mnie umyli.
- Okay, spryciarzu – powiedział Morrow. – Prędzej czy później zrozumiesz, że współpraca leży w twoim interesie.

– Nie w moim, tylko waszym. – Patrząc ponad jego ramieniem, Shaw dodał:
– O ile się nie mylę, zaraz pana wygonią.

Morrow odwrócił się do pielęgniarki, która weszła do pokoju.

– Przykro mi, ale wykorzystał pan dziesięć minut – oznajmiła. – Może pan wrócić po południu między pierwszą a trzecią.

– To znaczy, o ile nie ma pan nic lepszego do roboty w tym czasie, ponieważ nie będę rozmawiał bez obecności adwokata – zapewnił Shaw.

– Właściwie to mam. Agent Joe Wiley, pamięta go pan?

– Supergość.

– Zaprosił mnie do udziału w przesłuchaniu pani Bennett. Pan... – Spojrzał znacząco na skute rękę Shawa. – Jeszcze się zobaczymy. – Włożył kapelusz i przytknął palec do runda. – Do widzenia – zwrócił się do pielęgniarki, ruszając do drzwi.

– Chwila. – Shaw chciał usiąść, ale był w stanie tylko podeprzeć się na łokciach. – Josh Bennett nadal jest na wolności? – Zobaczył wahanie Morrowa, więc dodał: – Gdyby go złapali, nie trzymaliby tego w tajemnicy, wszystkie media by o tym huczały. Mogę zapytać ją – wskazał pielęgniarkę – albo po prostu pan mi powie.

– Nadal na wolności.

– Federalni uważają, że siostra może ich do niego doprowadzić? – Shaw parsknął. – Życzę szczęścia.

Morrow wrócił do łóżka.

– Dlaczego pan tak mówi?

Shaw ocenił jego wyraźne zainteresowanie, po czym rzucił do pielęgniarki:

– Spadaj.

Oburzyła się.

– Słucham?

Shaw utkwiał w niej lodowate, onieśmielające spojrzenie. Kobieta zebrała się w sobie i wyszła.

– Jordie Bennett nic nie wie – oznajmił Shaw. – Ani o bracie, ani o Panelli.

– Tak panu mówiła.

– Próbowałem wydusić więcej pieniędzy z umowy. Groziłem Jordie śmiercią. Urządziłem jej piekło. Nie wspominała o tym Wilejowi?

– Napomykała o groźbach śmierci i pańskiej natarczywości. Ale w tej opowieści są luki, które Wilej chce uzupełnić.

– Jakiego rodzaju luki?

Powróciła pielęgniarka w towarzystwie przełożonej i zastępcy szeryfa pilnującego pokoju Shawa, który powiedział:

– Przykro mi, sierżancie Morrow. Wykopują pana.

– Wrócę później – obiecał policjant.

– Cholera, niechże pan poczeka! Te luki w zeznaniu Jordie dotyczą jej brata? Panelli? Czego dokładnie?

– Przypuszczalnie wszystkich wymienionych spraw. Włączając w to pana.

– Gdyby wiedziała coś o Panelli albo bracie, powiedziała by mi na pewno.

– Albo pana dźgnęła. – Morrow chwilę patrzył mu w oczy, później kącik jego ust drgnął w czymś na kształt uśmiechu. – Człowiek zaczyna się zastanawiać, kto kogo wykołował, co?

Ruszył do drzwi. Grupa stojąca w progu rozstąpiła się przed nim. Cicho powiedział coś do funkcjonariusza i wyszedł. Pozostali się rozpierzchli. Pielęgniarka, którą Shaw obraził, rzuciła mu jadowite spojrzenie i przytknęła drzwi.

Kiedy układał głowę na twardej poduszce, jego myśli wirowały wokół Jordie, gwiazdy wywołanych lekami rojeń dla dorosłych, siostry kryminalisty, obiektu uczuć Billy'ego Panelli.

Mimo że zaprzeczyła, to był logiczny wniosek. Panella miał na nią chrapkę, odrzuciła jego zaloty i on...

Tylko czy na pewno odrzuciła?

Morrow sugerował, że Shaw jest idiotą, jeśli ufa Jordie. Nie ulegało wątpliwości, że FBI wąpiło w jej wiarygodność. Zostawiła luki w relacji

przedstawionej Joemu Wileyowi i Shawa dręczyło pytanie, na czym one polegały.

Gdy usłyszał ciche głosy na korytarzu, uniósł głowę. Drzwi się otworzyły. Kiedy Shaw zobaczył gościa, zaklął pod nosem.

– Niezbyt miłe powitanie. – Xavier Dupaw, zastępca prokuratora okręgowego Orleanu, podszedł do łóżka i zmierzył Shawa spojrzeniem od stóp do głów, cmokając przy tym językiem. – No, no. Co za widok. – Prokurator próbował, lecz bez powodzenia, ukryć kpiący uśmiezek. – Tym razem, panie Kinnard, wpadł pan głęboko, bardzo głęboko w gówno. Aż po swoje krzaczaste brwi tkwi pan w łajnie Panelli. – Znowu cmoknął językiem. – Oczywiście półtora dnia sam na sam z Jordie Bennett było dodatkową korzyścią. – Mrugnął znacząco.

Shaw miał ochotę zębami wyrwać mu tętnicę szyjną.

– Tym razem nie ma pan pola manewru, przyjacielu. – Dupaw pochylił się i z szatańską uciechą szepnął: – Przedstawienie czas zacząć!

Rozdział 25

Jordie włączyła telewizor w sypialni na lokalne wiadomości, bo spodziewała się informacji z ostatniej chwili. Ze względu na krótki czas trwania programu, o jej uratowaniu tylko wspomnieli i nie powiedzieli nic o stanie Shawa. Krążyła po pokoju do chwili, gdy Gwen zapukała do jej drzwi, gdyż podano śniadanie.

Popijając mocną kawę, Jordie uświadomiła sobie, jak nierozsądnie będzie spotykać się z agentami Wileym i Hickamem bez udziału własnego prawnika. Nie chciała sprawiać wrażenia, że popełniła jakieś przestępstwo, ale z drugiej strony nie była też naiwna.

Pożyczyła od Gwen telefon i zadzwoniła do prawniczki, która towarzyszyła jej w czasie przesłuchań pół roku temu, a tym samym dobrze знаła historię rodziny Bennettów.

Adrian Dover była kobietą po czterdziestce, ostrą i twardo broniącą własnego zdania. A co ważniejsze, zgodziła się poczynić zmiany w swoim planie zajęć i w tak krótkim czasie udzielić pomocy, ponieważ zdawała sobie sprawę ze skutków ucieczki Josha i porwania Jordie. W imieniu Jordie Gwen zadzwoniła do Joego Wileya z pytaniem, czy można przesunąć przesłuchanie na dwunastą w południe, dzięki czemu Jordie zyska czas na rozmowę z adwokatką. Wiley się zgodził.

Kilka minut przed dwunastą Gwen poprowadziła Jordie i prawniczkę korytarzem w budynku FBI do pokoju przesłuchań, chociaż tak go nie nazwała. Jordie już wcześniej przez to przechodziła.

W pokoju czekali Wiley i Hickam. Wszyscy byli do bólu uprzejmi. Jordie podziękowała Wileyowi za przesunięcie przesłuchania. Odparł, że w sumie dobrze się stało, ponieważ jedna z toalet w jego domu wybiła i zalała korytarz.

Jordie trzymała zniecierpliwienie w ryzach tak długo, jak potrafiła, wreszcie przerwała Wileyowi opowiadanie anegdoty o spotkaniu jego żony z obojętnym i powolnym hydraulikiem.

– Jaki jest stan Shawa Kinnarda? – rzuciła. – Operacja się udała?

Agenci wymienili niespokojne spojrzenia.

Jordie poczuła, jak żołądek się jej ściska.

– Umarł?

Wiley odchrząknął.

– Nie. Jego stan po operacji był dobry i oczekiwano, że w pełni wróci do zdrowia.

Postarała się, by jej ulga nie była zbyt oczywista, ale zaraz dotarło do niej,

jakiego czasu użył agent.

– Oczekiwano?

Wiley, teraz już nie dobronny i rodzinny człowiek dręczony awarią kanalizacji, przyjął minę zawodowca.

– Przed kwadransem zadzwonił do nas administrator szpitalu w Houmie. Na wszelki wypadek, jak sędzę. Chroni własny tyłek.

– Z jakiego powodu?

– Kinnarda przewożą na urazówkę tutaj, do Nowego Orleanu. Jego stan tym razem jest o wiele poważniejszy.

Jordie miała wrażenie, że żebra się jej zapadły i uciskają płuca. Nie mogła nabrać wystarczającej ilości powietrza.

– Bardziej poważny niż to... co ja mu zrobiłam?

– Administrator opisał jego stan jako krytyczny. Oczywiście nie jest lekarzem.

Dusiła się.

– Co się stało?

– Zastępca prokuratora okręgowego w Nowym Orleanie, niejaki Xavier Dupaw, nie oskarżył Kinnarda o dwa morderstwa, kiedy miał okazję. Od tamtego czasu skręca się ze wstydu. Dowiedział się o aresztowaniu Kinnarda i dzisiaj rano poszedł do niego do szpitala. Nikt dokładnie nie wie, o czym mówili, a może mi pani wierzyć, Dupaw potrafi być cholernie wkurzający. Cokolwiek powiedział Kinnardowi, spowodowało, że ten dostał pierdolca, proszę wybaczyć mój język. Zaczął się szarpać i wrzeszczeć, że zabije Dupawa, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi. Administrator opisał niezłą scenę. Rezultat? Kinnard był zbyt agresywny i wrogo nastawiony, żeby można było zostawić go w Houmie. Dupaw nalegał na przeniesienie więźnia w lepiej zabezpieczone miejsce, do szpitala z kratami w oknach, drutem kolczastym na ogrodzeniu i tuzinami strażników przy drzwiach, nie tylko jednym zastępcą szeryfa, którego prokurator określił jako „kompletnie zielonego”. – Wiley przerwał i spojrzał na Jordie z troską. – Podać pani wody, pani Bennett?

Pokręciła głową.

– Na pewno?

– Proszę mówić dalej.

Po krótkim wahaniu Wiley ciągnął:

– Personel szpitala sprzeciwiał się przenosinom, mówili, że stan pacjenta na to nie pozwala, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. A ponieważ formalnie rzecz biorąc, Kinnard jest więźniem Morrowa, Dupaw zapewnił sobie jego pomoc. Użyli różnych form nacisku i wreszcie chirurg wyraził zgodę. Administrator podpisał wniosek i tu właśnie chodzi o chronienie tyłka. Facet nie chciał być obciążony odpowiedzialnością za to, co stanie się potem.

Jordie miała gardło tak ściśnięte, że nie była w stanie zapytać, co stało się potem.

Wiley wziął głęboki oddech i spojrzał na Hickama, który kiwnięciem głowy zachęcił go, by mówił dalej.

– Jakimś sposobem – na razie nie znamy szczegółów, bo nie zdołaliśmy się skontaktować z Morrowem – ale jakimś sposobem w karetce Kinnard odebrał temu „zielonemu” zastępcy rewolwer służbowy. Wskoczył na drogę i zaczął uciekać. Niemal mu się udało, ale Morrow go... hm... zatrzymał.

– Zatrzymał.

– Jak nam powiedziano, kazał Kinnardowi się poddać. Kinnard nie posłuchał. Morrow nie miał wyboru.

– Strzelił do niego?

Wiley tylko spojrzał na nią, co wystarczyło za odpowiedź.

– Zapakowali go z powrotem do ambulansu, a ponieważ mieli bliżej do Nowego Orleanu, przyjechali tutaj, zamiast wracać do Houmy. Myślę, że tamtejszy administrator się cieszy, że ma go z głowy.

– Bo nie spodziewają się, że przeżyje.

– Nie powiedział tego wprost, ale tak zrozumiałem. – Wiley przesunął dłoń po karku. – Nie zazdroszczę Morrowowi. Wczoraj rano po aresztowaniu Kinnarda mówił mi, jak się cholernie cieszy, że nie musiał użyć broni. Miał nadzieję, że dotrwa do emerytury, nikomu nie robiąc krzywdy. Pewnie powiedział to nie w porę. – Po krótkiej przerwie łagodnie dodał: – Jestem pewien, że da nam znać, kiedy... kiedy będzie wiedział coś na pewno.

Jordie pochyliła głowę i pustym wzrokiem wpatrywała się w wyszczerbiony kant blatu. W uszach dudniło jej żalosne bicie własnego serca.

– Shaw Kinnard był... jest człowiekiem okrutnym, pani Bennett – powiedział Hickam. – Ma na koncie okropne zbrodnie.

Kiwnęła tylko głową.

– Wiem, że ma pani mieszane uczucia wobec tej sprawy – odezwał się Wiley.

– Owszem.

– Dlaczego?

Spojrzała na Wileya, który wyglądał na szczerze zaintrygowanego.

– Wobec mnie nie był okrutny. Przestraszył mnie, ale nie zrobił nic okropnego. Zaoferowano mu mnóstwo pieniędzy za zabicie mnie. – Podniosła ramiona. – A jednak mnie nie zabił.

Wszyscy długo milczeli. Ciszę przerwał Wiley:

– To nie jedyne wypadki dzisiejszego poranka. Inne dotyczą pani brata.

Jordie zakryła usta, jęcząc:

– Boże, nie. Proszę mi nie mówić...

– Żyje – pośpiesznie przerwał jej Wiley. – W każdym razie żył kilka godzin temu.

Gdy zobaczył, że ona chce mu zadać pytanie, podniósł rękę.

– Rozpocznę oficjalne przesłuchanie od powiedzenia pani, co wiemy. Aha, Hick, włączysz nagrywanie? Procedura – wyjaśnił przepraszająco, zwracając się znowu do Jordie. Począł, aż sprzęt zostanie przygotowany. – Psy podjęły trop Josha w lesie i poszły za nim do magazynów do wynajęcia odległych o plus minusz cztery i pół kilometra. Kamery bezpieczeństwa sfilmowały go, zanim unieruchomił system.

– Jak to zrobił?

– To był stary system, przewodowy. Myślmy, że po prostu odciął źródło zasilania. Kierownictwo magazynów udostępniło nam dokumenty. Josh wynajął boks pod fałszywym nazwiskiem i zapłacił za rok z góry. Kiedy weszliśmy, boks był pusty, tylko na podłodze została plama oleju.

– Trzymał tam samochód? – zapytała Jordie.

– Na to wygląda.

– Sprzedał swoje auto przed przeniesieniem do Tennessee.

– Samotna matka, która je kupiła, nadal nim jeździ – odparł Wiley. – Hick sprawdził to dzisiaj rano.

Drugi agent potwierdził kiwnięciem głowy.

– Pani brat ma inny pojazd – ciągnął Wiley. – Nie wiemy jaki, bo nikt nie zauważył, że odjeżdża z magazynu. Ale nie jest już taki pewny siebie. – Przerwał, by nabrać powietrza w płuca. – Zadzwoił do mnie tuż przed świtem.

Wcześniej Jordie musiała poradzić sobie z szokującymi wiadomościami dotyczącymi Shawa, a teraz spadł na nią kolejny cios. W milczeniu słuchała, jak Joe Wiley relacjonuje ostatnią rozmowę z Joshem.

– Brzmiał inaczej niż przedwczoraj wieczorem. Naprawdę się wystraszył, kiedy mu powiedziałem, że wczoraj wieczorem rozmawiałem z Billym Panellą.

Jordie się wzdrygnęła.

– Co?! – To była prawdziwa seria szoków.

– Skorzystałem z telefonu Boldena, tak samo jak Kinnard. Po prostu wywołałem ostatnie połączenie.

– Panella odebrał?

– Spodziewał się, że to Kinnard z żądaniem zapłaty za wykonaną usługę. Przedstawiłem się i poinformowałem go, że wynajęty zabójca został zatrzymany, a pani jest cała i zdrowa. Plan nie wypalił.

– Co odpowiedział?

– Wybełkotał kilka przekleństw i rozłączył się. Skoro teraz wie, że mamy telefon Boldena, swój pewnie rozbił.

Jordie mruknięciem przytaknęła. Zdawała sobie sprawę, że Greg Hickam stoi

oparty o ścianę, uważnie obserwując i oceniając jej reakcje na wszystko, co mówi Wiley. Z opanowanym wyrazem twarzy powiedziała:

– Przede wszystkim martwię się o brata. Wiadomo, gdzie jest i jak się czuje?

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest, już byśmy go aresztowali. Ale nie wydaje mi się, żeby długo uciekał. Sądzę na podstawie głosu, że był wyczerpany, rozdygotany, na skraju załamania. Płakał, kiedy się rozłączył.

– Na pewno się boi.

– Też tak uważam – zgodził się Wiley. – Mówiłem mu, że powinien się bać.

Ale co pani zdaniem przeraziło go tak bardzo, że szlochał jak dziecko?

– Nie musisz odpowiadać – odezwała się Adrian Dover.

Jordie nie skorzystała z jej rady.

– Boi się, że go złapiecie, ponieważ wie, jaka kara go czeka.

– Wieloletnie więzienie.

– I to będzie dla niego torturą.

– Więzienie to nie zabawa, pani Bennett.

– Jasne, że nie. Jednak dla Josha najgorszym koszmarem jest brak prywatności.

– Mówi pani o jego bliźnach – wtrącił cicho Wiley.

Ze smutkiem pokiwała głową.

– Nie są ładne, a w oczach Josha jeszcze gorsze niż w rzeczywistości. Jest niezwykle drażliwy na ich punkcie. Wręcz patologicznie.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwała Jordie:

– Nie mogę znieść myśli o uwięzieniu mojego brata i tym wszystkim, na co będzie narażony, dlatego zachowam się właściwie, agencie Wiley. Zgodnie z prawdą odpowiem na każde pana pytanie.

– Chyba że wykorzystasz swoje konstytucyjne prawo, żeby odmówić odpowiedzi – wtrąciła Adrian Dover.

Rozpoczął Wiley. Przez godzinę roztrząsali wcześniejsze zeznania Jordie dotyczące porwania. Złapała się na tym, że nie potrafi wymówić imienia Shawa, żeby nie ścisnęło jej w gardle.

Wiley raz po raz wracał do różnych szczegółów okresu, gdy była zakładniczką, aż wreszcie łamiącym się głosem zapytała:

– Musimy ciągle drążyć ten temat? Niczego więcej nie potrafię wam powiedzieć.

– W porządku. – Teraz pałeczkę przejął Hickam. – Proszę opowiedzieć nam o wycieczce do Kostaryki z Billym Panellą.

Ta nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu.

– To nie jest pytanie – zauważyła Adrian Dover.

– Proszę wybaczyć. Chętnie ujmę to w formę pytania. – Hickam odepchnął się od ściany. – Pani Bennett, czy towarzyszyła pani Billy’emu Panelli w czasie

podróży do Kostaryki? – Zerknął na iPad i podał daty.

– Tak.

– Jaki był powód tego wyjazdu?

Prawniczka położyła rękę na ramieniu Jordie i pokręciła głową.

Tym razem jej posłuchała.

– Doradzono mi, żebym nie odpowiadała.

– Wiedziała pani, że Panella miał fundusze zdeponowane w banku w San José?

– Dowiedziałam się dopiero wczoraj, kiedy agent Wiley to zasugerował.

– Pieniądze przelał pani brat.

– Tak mówił agent Wiley.

– Wcześniej nic pani o tym nie wiedziała?

– Nie.

– Nie orientowała się pani, że Panella zamierza zbiec ze Stanów Zjednoczonych?

– Nie musisz odpowiadać.

Jordie zwróciła się do prawniczki:

– Ale chcę, Adrian. – Przeniosła wzrok na Hickama. – Nie znałam żadnych planów Billy’ego Panelli. Rzadko ze sobą rozmawialiśmy.

– Spędziła pani z nim długi weekend.

Popatrzyła na obu agentów, ale nic nie powiedziała, bo adwokatka szepnęła jej do ucha, by tego nie robiła.

– Nadal twierdzi pani, że nie wiedziała o pieniądzach w tamtym banku? – zapytał Hickam.

– Tak jest. Nic o nich nie wiem.

Wiley pochylił się, opierając splecione dłonie na stole i patrząc na nią niczym pełen żalu posłaniec przynoszący złe wieści.

– Oni tam panią pamiętają, pani Bennett.

– Kto? Gdzie? O czym pan mówi?

– Pracownicy banku w San José. Razem z Panellą złożyła im pani wizytę.

– Och, o to chodzi. – Zgarbiła się. Adrian Dover ostrzegła Jordie, by nic nie mówiła, ale ta uciszyła ją, unosząc rękę. – Chcę to wyjaśnić, Adrian.

Spojrzała na przystojnego i opanowanego Hickama, potem w smutne oczy Wileya.

– Panella polecił kierowcy limuzyny zawieźć nas na lunch w lokalu na zboczu góry, z którego rozciągał się widok na miasto. W drodze poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się pod bankiem, bo ma tam do załatwienia drobną sprawę. Powiedziałam, że poczekam w samochodzie, ale on się uparł, żebym poszła razem z nim. – Wzięła głęboki wdech. – Urządził przedstawienie. Flirtował z kasjerkami, wszystkich traktował jak starych znajomych. Byłam zażenowana jego ostentacją

i nie mogłam się doczekać, kiedy wyjdziemy. – Uniosła rękę. – To wszystko. Nie dziwi mnie, że pracownicy banku nas zapamiętali, bo to był niesmaczny pokaz bogactwa. Garnitur od Armaniego, zegarek Patek Philippe. Ale nic więcej nie wiem o banku w San José. Jeśli Josh zdeponował tam pieniądze...

– Zdeponował. – Hickam podszedł do stołu i rozłożył wydruk mejla tak, żeby mogła go zobaczyć. – Tydzień przed tym, jak Josh zgodził się z nami współpracować, otworzył rachunek na nazwisko Billy'ego Panelli i przelał pół miliona dolarów.

Spojrzała bez słowa na policjanta, niepewna, czego od niej oczekuje.

– Sęk w tym, pani Bennett... Pokaż jej, Hick – powiedział Wiley.

Agent przerzucił stronę.

– Taka kwota była na koncie dzisiaj rano. Pół miliona dolarów plus drobne, czyli odsetki, które narosły przez pół roku. – Wiley jeszcze bardziej się pochylił. – Panella ich nie tknęła. Nie dokonano żadnych wypłat.

Obaj z Hickamem wyczekująco na nią patrzyli. Wzruszyła ramionami w geście bezradności.

– Musiał zmienić zdanie w kwestii San José. Pojechał gdzie indziej.

– I zostawił tam pieniądze? Czy według pani to do niego podobne? Bo według mnie nie. Według nas. Josh, który siedząc na tym samym krześle co pani teraz, powiedział nam, że chociaż Panella ostentacyjnie wiele wydawał, żeby wesprzeć swoją reputację błyskotliwego finansisty, pilnował każdego centa. Nic nie mogło się zmarnować. Stworzył naukę ze zmuszania swoich pieniędzy do pomnażania się, kiedy spał. Dlaczego więc miałyby zostawić pięćset tysięcy na koncie zarabiającym mniej niż jeden procent odsetek?

Czekali. Wydawało jej się, że ściany na nią napierają i nie potrafi ich powstrzymać.

– Nie mam pojęcia.

– Co przypuszczamy? Zamierza je zatrzymać tam, aż będzie mógł wypłacić tę kwotę albo przenieść, a na razie nie trafiła się dobra pora.

– Nie znam jego planów – powtórzyła Jordie. – Nigdy ich nie znałam.

– Kto zadzwonił i kazał pani przyjść w piątek wieczorem do tej speluny?

Znowu zmiana tonu i tematu na moment wyprowadziły ją z równowagi.

– Mówiłam już wiele razy, że nie rozpoznałam głosu.

Wiley się ku niej nachylił.

– Powiedział tylko...

– Zacytowałam dokładnie. Zapisał pan to. – Wskazała leżący na stole iPad.

Hickam go podniósł.

– Jest pani inteligentną kobietą, pani Bennett. Rozsądną. Racjonalną. Odnoszącą sukcesy w biznesie. A mimo to oczekuje pani, żebyśmy uwierzyli, że zadzwonił do pani człowiek, którego nie potrafi pani zidentyfikować, kazał

natychmiast jechać do podejrzonej knajpy gdzieś na odludziu, a pani wszystko rzuciła i popędziła?

– To już jest nękanie, panowie – interweniowała Adrian Dover. – Moja klientka wiele razy potwierdziła, że nie wie, kto do niej dzwonił.

– Czy to był Panella? – zapytał Wiley.

– Nie.

– Skąd pani wie? – To pytanie zadał Hickam. – Mówiła pani, że nie rozpoznała głosu.

– Bo nie rozpoznałam! Powiedział tylko kilka słów i się rozłączył.

– Czy Panella przyczaił się gdzieś, czekając na okazję, żebyście we dwoje mogli się wymknąć do...

– Dobry Boże, nie!

Adrian nalegała, żeby Jordie nic więcej nie mówiła.

Nie zwracając uwagi na rady prawniczki, Jordie powiedziała:

– Nigdzie bym z nim nie pojechała.

– Pojechała pani do Kostaryki.

– Gdybym miała zrobić to jeszcze raz, odmówiłabym.

– Dlaczego? Co tam się wydarzyło?

– Nie odpowiadaj – wtrąciła Adrian.

– Nienawidziłam Billy’ego Panelli wtedy i głęboko pogardzam nim teraz. To uczucie jest wzajemne – oznajmiła z naciskiem. – Wysłał dwóch ludzi, żeby mnie zabili. Zapomnieli panowie o tym?

Hickam poklepał powietrze między nimi.

– Okay. W porządku. Kazał Boldenowi i Kinnardowi czekać tam na panią. Zastawił pułapkę.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Shaw Kinnard powiedział mi, że przeżyli szok, kiedy tam weszłam.

Hickam się skrzywił.

– I pani wierzy Kinnardowi?

Przypomniała sobie wszystkie te sytuacje, kiedy oszukał ją kłamstwem albo półprawdą, a ona była na tyle łatwowierna, by mu uwierzyć. Może plan A polegał na zabiciu jej w tym barze.

Hickam nie odpuszczał.

– Panella zadzwonił do pani...

Shaw mówił inaczej.

– ...i wspomniął o Joshu, żeby panią tam sprowadzić.

Pomasowała skronie opuszkami palców.

– Nie sądzę, że to był Panella, choć pewnie możliwe.

– Skoro nim pani pogardza, dlaczego zareagowała pani na jego wezwanie?

– Nie. Ja... ja...

- Moja klientka odmawia odpowiedzi – wtrąciła Adrian.
- Jeśli nie Panella, to dzwonił pani brat – drążył Hickam.
- Nie wierzę, że to był Josh, choć nie mam pewności.
- Pojechała tam pani, żeby jednemu z nich pomóc w przestępstwie, pani

Bennett.

- Nie odpowiadaj – powiedziała Adrian Dover.
- Kogo się tam pani spodziewała? – zapytał Hickam. – Panelli?
- Nie.
- W takim razie brata.
- Nie. – Skonsternowana pokręciła głową. – Może. Nie wiem.

Adrian ścisnęła ją za rękę, przekonując, by nic więcej nie mówiła.

Hickam ponownie pochylił się nad stołem i walnął w blat pięścią.

– Nie Panella. Nie Josh. Więc kto? Niech pani nam powie. Kto do pani zadzwonił?

– Ja.

Na dźwięk nowego głosu cztery pary oczu pomknęły ku drzwiom. Stał w nich Shaw Kinnard.

Rozdział 26

Jordie i Joe Wiley zerwali się z krzesel. Jordie swoje przy tym ruchu przewróciła.

Najszybciej jednak zareagował partner Wileya. W mniej niż sekundę trzymał w dłoni pistolet i celował w nos Shawa.

– Nie strzelać! – krzyknął stojący za jego plecami Xavier Dupaw. – Jest jednym z was. Agent specjalny Shaw Kinnard.

Shaw skupiał się na szeroko otwartych, pełnych niedowierzania oczach Jordie, choć na granicy widzenia dostrzegł kobietę siedzącą na krześle obok niej, która raz po raz mrugała. Joe Wiley wymamrotał kilka przekleństw i wyglądał, jakby chciał pięścią przebić mur.

Facet z pistoletem zdawał się nie słyszeć. Nadal celował w głowę Shawa.

Ten się nie poruszył, tylko przeniósł na niego wzrok.

– Może to opuścisz?

– Nie mam ochoty.

Prokurator wyminął Shawa i chichocząc, wszedł do pokoju.

– Szkoda, że nie widzicie swoich min. Wycięliśmy wam niezły numer.

Shaw obserwował, jak usta Jordie rozchylają się z niedowierzania. A może pozbywała się złudzeń. Ledwo słyszalnym głosem zapytała:

– Jesteś agentem FBI?

– Winny.

Z widocznym ociąganiem czarny agent opuścił broń.

– Ty sukinsynu, o mało cię nie zastrzeliłem.

Shaw odwrócił się do niego i zmierzył go wzrokiem.

– Ja też za tobą nie przepadam.

– Panowie, ta wrogość jest zbędna – powiedział Dupaw, po czym zwrócił się do Shawa i cicho dodał: – Mówiłem, że powinienem wejść pierwszy i zneutralizować sytuację, ale czy mnie posłuchałeś?

Joe Wiley obszedł stół. Shaw widział wręcz dym wylatujący mu uszami i szczerze mówiąc, rozumiał jego złość.

– Jeśli ty jesteś z FBI, to ja jestem Chińczykiem.

– Trafiłem na ich słabszy dzień. – Gdyby Shaw czuł się lepiej, pewnie by się roześmiał, ale nie potrafił zebrać sił.

Kobieta postawiła krzesło i ujęła Jordie za łokieć, próbując na powrót ją posadzić. Jordie strząsnęła jej rękę i nadal stała. Dotąd Shaw widział ją tylko w dzinsach i bluzce, w których była w barze. Dzisiaj ubrała się jak do pracy

w granatowy spodnium i różową bluzkę.

Jednak mniej interesowała go jej garderoba, bardziej wyraz twarzy, który z przerażenia na jego widok przerodził się w kompletną furię, gdy pojęła, jak strasznie ją oszukał.

Ją też rozumiał.

Wiley ujął się pod boki.

– Odznaka?

– Nie mogę nosić, ale jeśli chcesz zadzwonić do Atlanty, żeby mnie sprawdzić, podam ci hasło.

– Słucham.

Shaw wyrecytował kod, numer telefonu i nazwisko oficera. Agent wbił numer do swojej komórki i wyszedł z pokoju.

Joe Wiley nie odrywał od Shawa spojrzenia wyrażającego otwartą nieufność.

– Pracujesz w biurze w Atlancie?

– O ile w ogóle pracuję w biurze.

– Mogę za niego ręczyć – oznajmił Xavier Dupaw z przesadnym poczuciem swojej ważności. – Miałem go oskarżyć o to podwójne morderstwo. Policja z Nowego Orleanu, ty i agent Hickam, wszyscy w naszym okręgu naciskali, żebym to zrobił.

– Marnowałem czas w pudle – powiedział Shaw do Wileya. – Musiałem go wtajemniczyć. – Głową wskazał prokuratora.

– Pan Kinnard ujawnił się jako agent działający pod przykrywką. – Dupaw ostatnie trzy słowa wypowiedział scenicznym szeptem.

– Byliśmy pewni, że zabiłeś tych dwóch ludzi – burknął zachmurzony Wiley.

– Zabiłem – potwierdził Shaw. – Zorientowali się w tożsamości agenta DEA, który pracował przy tej samej sprawie. Żeby go chronić... – Wzruszył ramionami.

Dupaw położył prawą rękę na sercu i zwrócił się do Wileya:

– Chętnie bym się z wami podzielił tą informacją, ale powierzono ją tylko mnie i prokuratorowi okręgowemu.

Wiley prychnął z niesmaku na widok zadowolenia z siebie, którym tryskał Dupaw.

Wrócił drugi agent.

– Sprawdzony. – Nie wyglądał na szczęśliwego z tego powodu.

Shaw spojrzał na Xaviera Dupawa.

– Możesz już iść.

Prokurator nie krył oburzenia.

– Tak mi dziękujesz za przyście ci z pomocą? Gdyby nie ja, nadal leżałbyś przykuty do szpitalnego łóżka.

– Dziękuję. Spełniłeś swoje zadanie.

– Daleko jeszcze do zamknięcia tej sprawy.

– Ale to nie twój cyrk, tylko federalny. Przestępstwa przeciwko państwu popełniono w innym okręgu, poza twoją jurysdykcją. – Shaw gestem wskazał mu drzwi.

Dupaw coś mamrotał, w końcu jednak poprawił mankiety i wyszedł, z irytacją trzaskając drzwiami.

Shaw spojrział na Wileya.

– Mogę usiąść?

Kręciło mu się w głowie i nie chciał marnować swojego dramatycznego wejścia, padając zemdłony na twarz. Wiley wskazał mu krzesło naprzeciwko Jordie. Żarzące się węgle nie parzyły tak bardzo jak ona. Sztywna postawa, zaciśnięte usta, płonące spojrzenie: wszystko to świadczyło o ledwo powstrzymanym gniewie.

Shaw wypuścił powietrze z płuc.

– Posłuchaj, Jordie. Wiem, że przepuściłem cię przez maszynkę do mięsa, ale byłem...

– „Sukinsyn” nawet w przybliżeniu nie jest odpowiednim określeniem dla ciebie – warknęła ostro Jordie, po czym odwróciła głowę, jakby na sam jego widok robiło się jej niedobrze.

Pełne napięcia milczenie przerwała siedząca obok niej kobieta, która spokojnie przedstawiła się jako jej prawniczka. Shaw uklonił się, ale nie ucisnęli sobie dłoni. Miał o wiele więcej do powiedzenia Jordie, teraz jednak była sprawa do załatwienia, ona nie miała nastroju do słuchania, a prawdziwą przeszkodę stanowiło to, że stali po przeciwnych stronach śledztwa.

– Morrow brał udział w tej szaradzie? – zapytał Wiley.

Shaw potaknął.

– Bez niego nie dalibyśmy rady. To dobry glina. Kiedy Dupaw i ja wtajemniczyliśmy go w sprawę, wszystko załatwił. Zamówił karetkę, wezwał dwóch ludzi ze swojego wydziału, którym mógł powierzyć jej prowadzenie, dyspozytorowi kazał zadzwonić do administratora szpitala w Houmie z informacją o groźnej ranie postrzałowej.

– Kupił to – skomentował Wiley.

– Dobrze wiedzieć. Dyspozytor powiedział mu, że to delikatna sprawa policyjna, bardzo skomplikowana, i zakazał informować media. Zresztą i tak by tego nie zrobił, ponieważ tyłek zacząłby mu się palić z powodu zgody na moje przedwczesne zwolnienie, co postawiłoby szpital w złym świetle.

Trzeba było wtajemniczyć też chirurga. Niechętnie usunął klamerki z rany pacjenta i dał mu zapas tabletek oraz bandaży. Morrow miał je w swoim wozie.

Myśląc o tym, Shaw dodał:

– Morrow pamiętał, żeby przed wyjazdem zabrać moje buty z szafy. Mnie z gołym tyłkiem, tylko w szpitalnej koszuli, i ze skutymi rękami, przetoczono na

nosze. Morrow w Walmarcie kupił mi ubranie i oto jestem.

– Przykrywka nadal jest bezpieczna – powiedział Wiley.

– Mam taką nadzieję. W każdym razie w najbliższym czasie.

– Dlaczego Morrowa tu nie ma?

– W drodze dostał pilny telefon z biura. Nie mógł przekazać sprawy nikomu innemu, musiał zawrócić. Zwolnił karetkę i kierowców. Przywiózł mnie Dupaw. Morrow kazał przekazać, że zgłosi się do was, kiedy będzie mógł.

– Byłoby miło, gdybyście nas o wszystkim poinformowali – stwierdził Wiley.

– Morrow był pod ręką. Wszedł z mojego pokoju na kilka minut przed pojawieniem się Dupawa. Chciał was wprowadzić, ale im mniej ludzi biorących udział w podstępie, tym większa szansa na powodzenie. Przekonałem go.

– Jak?

– Mówiąc, że tak to będzie wyglądało. – Począł, aż słowa dotrą do odbiorców, i spojrzał na Jordie, która znowu patrzyła na niego oburzona. – Poza tym wiedział, że macie tu ręce pełne roboty.

– Wtajemniczenie nas zepsułoby twoje wielkie wejście – wtrącił partner Wileya.

Shaw spojrzał na niego i uznał, że puści mimo uszu zgryźliwy docinek.

– Jesteś Hickam?

– Tak.

– Nie miałem przyjemności poznać cię wczoraj, kiedy mnie aresztowano.

Agent spojrzał na wyrzucenie za paskiem Shawa.

– Skąd masz broń?

– Morrow był tak uprzejmy, że zwrócił mi moje, kiedy poprosiłem.

– Moje? Liczba mnoga?

– Miał pistolet w bucie – oznajmiła Jordie. Złośliwie dodała: – Jaki płatny zabójca nosi tylko jedną broń?

– Martwy – odparł takim samym tonem Shaw.

Chociaż w powietrzu wciąż iskrzyło po tej wymianie zdań, Wiley zapytał:

– A co z tym playboyem i skorumpowanym policjantem w Meksyku?

– Stawiali opór podczas aresztowania – oznajmił obojętnie Shaw. Nikt tego nie skomentował. – A przy okazji, agencja, dla której pracuje dziewczyna, powinna ją odwołać i lepiej wyszkolić.

– Dziewczyna?

– Tamtego wieczoru wyszła z imprezy z nami trzema. Nie była w willi nawet pięciu minut, a ja już wiedziałem, że jest gliną.

– Jedyne call girl wciąż ubrana? – zapytał Wiley.

– Przeciwnie, pierwsza rozebrana. Jest zbyt gorliwa. Musi się nauczyć subtelności. Chodzi o to, żeby ich skłonić do zrobienia wrażenia na niej, a nie

odwrotnie. Jeśli się tego nie nauczy, zdradzi się i zginie marną śmiercią. Dowiedźcie się, gdzie pracuje, i przekażcie, co mówiłem.

Hickam i Wiley wymienili spojrzenia, unosząc brwi, ale Hickam zrobił notatkę w swoim iPadzie.

– Zostawiłem ciała w takim miejscu, żeby je znaleziono, razem z sekretnym znakiem dla naszej wtyczki w policji stanowej. Dzięki temu wiedział, że ja ich zlikwidowałem, i zajął się sprzątaniami, w tym całą papierkową robotą wymaganą przez Atlantę. W nocy przeszedłem przez granicę.

– Jak to zrobiłeś, że nikt cię nie zauważył? – zapytał Hickam.

– To tajna informacja. – Nie przejąwszy się gniewnym spojrzeniem jednego z agentów, Shaw kontynuował: – Poruszałem się tak szybko, jak się dało. Miesiącami czekałem na telefon od Mickeya Boldena i nie chciałem się spóźnić.

Wiley i Hickam pytali go o podróż z Meksyku do Nowego Orleanu. Najczęściej odpowiadał: „Tajne” i głównie była to prawda, ale też poręczna wymówka. Nie chciał marnować czasu na nieistotne szczegóły, skoro Billy Panella i Josh Bennett pozostawali na wolności.

Shaw głową wskazał Jordie.

– Macie jej komórkę?

– W gabinecie Wileya – odparł Hickam.

– Możesz ją przynieść? – Jakby po namyśle dodał: – Proszę.

Hickam wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Wileym, który kiwnął głową. Wyszedł z pokoju. Do jego powrotu siedzieli w pełnym napięcia milczeniu.

– Kiedy przyszedłem, wypytywaliście ją, kto do niej zadzwonił. Sprawdźcie rejestr połączeń. Piątek wieczorem, to były dwie rozmowy przychodzące z nieznanego numeru.

– Dzwoniliśmy na ten numer kilka razy – odrzekł Hickam. – Nikt nie odebrał.

– Zadzwoń jeszcze raz.

Hickam wyjął komórkę z torebki na dowody, znalazł rejestr połączeń i wybrał numer. Kilka sekund później zaczął dzwonić telefon w kieszeni koszuli Shawa. Wyjął go i pokazał numer Jordie na ekranie.

– To najtańszy telefon, który kupiłem w dniu przyjazdu do Nowego Orleanu tuż przed spotkaniem z Mickeyem Boldenem.

– Okay – powiedział Wiley. – Piątek wieczorem. Co naprawdę się stało? Dlaczego kazałeś pani Bennett przyjść do tego baru?

– Już mówię. – Nagle zakręciło mu się w głowie. Oparł łokieć na stole i przeczesał włosy palcami. Kusiło go, żeby położyć czoło na dłoni i zamknąć oczy, ale się bał, że nie da rady ich otworzyć. Usiadł prosto, nie zważając na pulsowanie w boku. – Kiedy rozmawiałem z Mickeyem, będąc jeszcze w Meksyku, i powiedział mi, że Josh Bennett uciekł z aresztu domowego, uznałem, że to on jest

celem. Potem tu przyjechałem. Szok. Celem okazała się jego siostra. Zabić kobietę? Jezu. – Shaw pokręcił głową. – To dowodzi, jaką tchórzliwą kanalią jest Panella. Musiałem jednak zachowywać pozory obojętności przy Mickeyu, żeby zakumplować się z tym gnojem i dowiedzieć jak najwięcej. Przez cały piątek jeździliśmy za Jordie po Tobias. Wróciła do domu koło szóstej. Przez pewien czas obserwowaliśmy jej dom. Wyglądało na to, że wieczór ma zamiar spędzić w domu.

– Obserwował ją zastępca szeryfa – powiedział Wiley.

Shaw się skrzywił.

– I odwalił gównianą robotę. Równie dobrze mógł sobie przywiązać do głowy reflektor. Zauważyłem go od razu i nie wierzyłem, że on nie widzi Mickeya i mnie. – Spojrzał na Jordie. – Zorientowałaś się, prawda? Zgubiłaś go w drodze do baru.

– Idź do diabła.

Zignorował jej niemiłą odpowiedź.

– To i tak teraz bez znaczenia. – Zwrócił się do kolegów z FBI: – Gdy poszliśmy na kolację, Mickey przedstawił mi plan.

– Plan A? – wtrąciła Jordie z nieszczerą słodyczą w głosie.

Shaw zerknął na nią, ale nie odpowiedział.

– Na czym polegał plan A? – zapytał Wiley.

– Zabić ją wczesnym rankiem następnego dnia w domu. Nadać pozory nieudanego włamania. Najgłupszy pomysł, o jakim w życiu słyszałem, i tak też powiedziałem Mickeyowi. Działanie pochopne i nierozważne, a włamanie do domu w sposób nieunikniony wiąże się z pozostawieniem śladów. Mimo to Mickey odparł, że taki jest plan. Koniec dyskusji. Wtedy zrozumiałem, że ja też mam zginąć. Sprowadził mnie po to, żeby obciążyć winą. Zegar tykał. Musiałem go zatrzymać.

– Dzwoniąc do niej? – Zdziwił się Hickam. – Dlaczego nie powiadomiłeś biura szeryfa albo nas?

– Przejdę do tego – odparł wymijająco Shaw. – Zgodziłem się, kiedy Mickey zaproponował, żebyśmy przed zameldowaniem się w motelu poszli na drinka do tej knajpy. Przed drzwiami przeprosiłem i skręciłem do toalety. – Spojrzał na Jordie. – Wtedy do ciebie zadzwoniłem.

– Skąd znałeś jej numer? – zapytał Wiley.

– Panella dał Mickeyowi wszystkie namiary na Jordie, włącznie z numerem komórki. Mickey podzielił się ze mną tymi informacjami, ponieważ myślał, że za kilka godzin będę martwy, więc jakie to ma znaczenie?

– A wracając do powodu, dla którego do niej zadzwoniłeś... – podpowiedział Wiley.

– Błędnie myślałem, że jeśli wpadniemy na Jordie w wieczór przed akcją, zwłaszcza gdy na ogonie siedzi jej miejscowy gliniarz, Mickey i Panella

przestraszą się na tyle, że zrezygnują z zabójstwa. A w najgorszym razie wybiorą inny termin. Mógłbym wtedy spędzić więcej czasu z Mickeyem, poznać różne fakty, może nawet wysledzić Josha, a zwłaszcza Panellę. Ale on nie kazał się nam wycofać, tylko polecił Mickeyowi załatwić ją na miejscu. Nie mogłem pozwolić, żeby tak się stało.

Urwał i spojrzał w oczy Jordie, siłą woli skłaniając ją, żeby sobie przypomniła, co jej powiedział, zanim wysłał ją do Joego Wileya.

Przez chwilę milczała.

– Dziękuję, że uratowałeś mi życie – powiedziała krótko.

– Nie ma za co.

Jednakże była jeszcze daleko od wybaczenia mu. Nadal gotując się ze złości, rzuciła przez zaciśnięte zęby:

– Dlaczego zrobiłeś całą resztę?

– Ponieważ chciałem dopaść tego cholernego Panellę – odparł bez wymówek, bez ocen, bez wahania.

*

Kiedy pojawił się w otwartych drzwiach, Jordie z trudem powstrzymała okrzyk radości. Teraz miała ochotę wydrapać mu te przekłete oczy kłamcy.

– Nie mam nic wspólnego z Panellą – oznajmiła. – Skoro miałeś wszechstronny cynk na mój temat, powinieneś to wiedzieć. Dlaczego po zlikwidowaniu Mickeya nie powiedziałaś mi, że jesteś z FBI? Albo po prostu nie zostawiłaś mnie tam i nie odjechałaś?

– Ponieważ twój brat to pieprzony zbieg, Jordie. Jesteś jedynym ogniwem łączącym z nim, a Panella znajduje się na końcu tego łańcucha.

– Innymi słowy postanowiłaś wykorzystać mnie w charakterze przynęty.

– Okay. Jeśli to słowo bardziej ci się podoba. Sprowadziłem cię do baru przede wszystkim dlatego, żeby nie dopuścić do twojej śmierci. Choć tak naprawdę służyło to dwóm celom.

– A ten drugi?

– Sprawdzenie twojej lojalności wobec Josha. Wymieniłem jego imię, a ty paliłaś gumę, żeby tam dojechać.

– Drań.

Nie mrugnęła.

– Tak mówią.

Zacisnęła wargi; z każdym jego słowem coraz trudniej było jej zachować spokój. Jedno nie ulegało wątpliwości: Shaw podzielał podejrzenia Wileya i Hicka, że była i przypuszczalnie nadal jest jakoś wplątana w przestępczą działalność brata.

– Pani Bennett, wiedziała pani, że Josh złamał umowę, którą z nami zawarł, i uciekł? – zapytał Joe Wiley.

– Nie. Dopiero on mi powiedział.

– Nie wiem, czy to prawda, Wiley – wtrącił Shaw – ale Jordie wydawała się zszokowana, kiedy usłyszała, że Joe uciekł cztery dni temu. Nie sądzę, by o tym wiedziała. Co nie wyklucza możliwości, że jednak o czymś wie. Zdawałem sobie sprawę, że będzie się mnie bała, ponieważ widziała, jak zabiłem Mickeya. Uznałem, że wykorzystam ten strach do wydobycia od niej informacji.

To przyznanie sprawiło, że straciła kontrolę nad sobą. Zerwała się z krzesła, oparła dłonie o stół i pochyliła się ku niemu.

– Męczyłeś mnie godzinami o ten cholerny telefon!

– Tylko dlatego, że skłamałaś.

– Terroryzowałaś mnie.

– Chyba tak. Do pewnego stopnia.

– Terroryzmu się nie stopniuje.

– Masz rację. – Shaw tak jak ona podniósł głos. – Dręczyłem cię, bo myślałem, że w końcu cię zmęczone i powiesz coś o Joshu albo Panelli, co może się okazać istotne do ich złapania.

– Groziłeś mi z powodu tego telefonu, a przecież to ty dzwoniłeś.

– Ważniejsza od tego, kto dzwonił, jest twoja reakcja. Przyjechałaś w rekordowym czasie. Dopilnowałaś, żeby cię nikt nie śledził. Kiedy twój ogon się nie pojawił w barze ani na parkingu, oblałaś egzamin.

– Do diabła z tobą i twoimi egzaminami!

– Pozbyłaś się ogona, ponieważ się spodziewałaś, że ktoś będzie na ciebie czekał w tej piwiarni. Kto?

Już miała mu wyrzucić z siebie ognistą odpowiedź, ale prawniczka mocno szarpnęła ją za zakiet, ciągnąc z powrotem na krzesło. Jordie skorzystała z rady wyszeptanej na ucho i umilkła.

Podczas głośnej wymiany zdań pomiędzy Shawem a Jordie Wiley niczym widz na meczu tenisowym kręcił głową tam i z powrotem. Hickam nieustannie stukał w ekran iPada. Jordie zastanawiała się, co on właściwie notuje, skoro przesłuchanie jest filmowane. Czy Hickam dodawał barwne komentarze, szczegóły, które później będą mogli przeciwko niej wykorzystać?

Z wysiłkiem ukryła kotłujące się emocje.

W końcu Shaw znowu się odezwał:

– Kiedy zatrzymałem się, żeby zmienić tablice rejestracyjne, zadzwoniłem z twojej komórki do siebie, żeby ci później pokazać, że próbowałem się połączyć z tym numerem.

– Masz na podorędziu mnóstwo sprytnych sztuczek.

Wzruszył ramionami.

– I kompletnych bredni.

– Skutecznych bredni.

Twarz jej płonęła na wspomnienie, jak skuteczne były jego słowa, zarówno te złowrogie, jak prowokacyjne. Pragnęła go zabić.

– Kilka razy dzwoniłeś na ten fantomowy numer i sugerowałeś, że może odbierze Josh, choć doskonale wiedziałeś, że tak się nie stanie.

– To działanie taktyczne, żeby cię złamać.

– Cóż, nie udało się, agencie specjalny Kinnard. Nic nie wyniknęło z tych wszystkich testów i sprytnych sztuczek. Nie wydobyłeś ze mnie nic, co by ci pomogło.

– Zdziwiłabyś się, co uznałem za pomocne.

– Mój brat nadal jest na wolności.

– I dlatego ty pozostajesz pod naszym nadzorem.

Rozdział 27

Po tej pełnej żaru dyskusji zapadła pełna napięcia cisza. Joe i Hick bez słów uzgodnili, że pozwolą jej wybrzmieć. Adrian Dover cicho zapytała, czy Jordie chce zrobić przerwę.

– Może wody?

Jordie odrzuciła propozycję krótkim „nie”.

– Ja chętnie się napiję – powiedział Kinnard. – Mam przyjmować dużo płynów.

Joe wstał i podszedł do stolika, na którym stała bateria butelek z wodą.

– Powinieneś wrócić do szpitala – stwierdził, odkręcając jedną i podając ją Kinnardowi. – Oczywiście pod fałszywym nazwiskiem.

– Może później.

Kiedy skończył pić, Hick zapytał go, gdzie schował tę komórkę na kartę.

– Nie miałeś jej przy sobie. Stodołę przeszukano. W samochodzie też jej nie było.

– Zostawiłem ją w lesie, gdzie się zatrzymałem na zmianę tablic. Schowałem do woreczka i wepchnąłem do dziupli w pniu. Powiedziałem Morrowowi, gdzie jej szukać. Przywiózł mi ją do szpitala.

Ten skurczybyk o niczym nie zapomina, pomyślał Joe. Miał ochotę udusić Kinnarda, ale wbrew sobie podziwiał pomysłowość gościa. Oczywiście jego życie zależało od tego, czy zdoła przechytryć innych. Od oszustwa.

– A ta stodoła? – dociekał Hick.

Shaw uśmiechnął się blado.

– Należała do mojego dziadka. Nazywał ją warsztatem. Miał dwa stare chryslery, które odnowił i tam trzymał. Przed śmiercią sprzedał auta, a ja odziedziczyłem budynek. Nie byłem w tej okolicy od lat i zaskoczyło mnie, że ta buda jeszcze stoi.

– Wychowałeś się w tych stronach?

– Nie, tylko od czasu do czasu odwiedzałem dziadków.

Nie powiedział, skąd pochodzi, a Joe nie zapytał. Hick też nie. Przypuszczalnie usłyszeliby, że to tajne.

– Łuk i strzała były moje – ciągnął Kinnard, patrząc na Jordie. – Do kompletu należała też płócienna tarcza wypchana słomą. Nie wiem, co się z nią stało. Nie słyszałem, że dziadek miał łódź. Może nie miał. Nie orientuję się, co tam robił ten zepsuty silnik.

Jordie milczała, patrzyła tylko na niego lodowato.

Joe wrócił do zdania, które Kinnard powiedział wcześniej.

– Chcesz dorwać Panellę.

– Ten przekręt, który zrobił z Joshem, to właściwie hobby. Ma na sumieniu o wiele więcej. Po Katrinie spadł na miasto jak sęp i zarabiał na korupcji i chaosie. Wymuszanie okupu, pranie pieniędzy. Nie brzydzi się krwią. Mój zespół śledził go długo przed tym, nim wy wpadliście na jego trop. Jest ze starej szkoły. Ząb za ząb. Sycylijskie gówno. Weźmy taki przykład: na rozkaz Panelli Mickey Bolden rozciął facetowi brzuch i z łodzi rybackiej wyrzucił go do zatoki. – Tu zwrócił się do Jordie: – To nie była pusta groźba, tylko prawda. Zdarzyło się to w obecności agenta. Nie mógł nic zrobić, nie zdradzając swojej tożsamości. – Shaw znowu spojrzał na Joego. – Żeby od środka poznać działalność Panelli, nawiązałem kontakt z Boldenem i zapewniłem go, że może na mnie liczyć w zadaniach specjalnych.

– Jak patroszenie ludzi – powiedziała Jordie.

Kinnard obrzucił ją spojrzeniem.

– Za wielki bałagan. Jestem schludniejszy i skuteczniejszy.

– Jak przy rozwaleniu głowy Boldena na miazgę.

– Wolałabyś, żeby on rozwalił twoją? Albo żebym ja tracił czas na powiedzenie: „Stój, jestem z FBI i aresztuję cię”? – Nie zareagowała, dodał więc: – Zabijam tylko złych facetów, Jordie. Żeby nie zabijali innych.

– Nadal jednak kłamiesz i oszukujesz.

– Owszem. Przez większość czasu. Nie zawsze.

Pomiędzy nimi strzelały iskry. Joe nie mógł nic poradzić na to, że zastanawiał się nad naturą pewnych kłamstw, które Kinnard jej mówił, gdy była jego zakładniczką. Na razie odsunął tę interesującą myśl i skupił się na słowach Kinnarda.

– Bolden nie od razu przyjął moją ofertę. Nie mogłem za bardzo mu się narzucać, w przeciwnym razie wyczułby pismo nosem. Kiedy agent DEA wszedł w konflikt z dwoma kluczowymi facetami, musiałem ich zlikwidować. Celowo dałem się aresztować. Wyglądało to lepiej, a więzienie często jest bezpieczniejsze niż ulica. Zanim Jak-on-się-nazywa Dupaw mnie zwolnił, Panella zmył się nie wiadomo gdzie, a Josh przebywał pod opieką FBI, czekając na okazję do złożenia zeznań. Zająłem się więc inną sprawą w Meksyku. Zamierzałem przeczekać Panellę, tak jak on chciał przeczekać Josha. Myślę, że przewidział, iż Josh złamie umowę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego że pan Kinnard wpadł na szalony pomysł, że dostęp do ukradzionych pieniędzy ma Josh, nie Panella – odezwała się Jordie.

Wszyscy na nią spojrzeli.

– A ma? – zapytał Wiley.

– Nie.

Wiley przeniósł wzrok na Kinnarda, który powiedział:

– Mam inne zdanie, ale musimy go złapać, żeby to rozstrzygnąć. – Dotknął się boku, jakby go bolało. – Na jakim jesteście etapie? Odkryliście coś nowego?

Joe wprowadził go w aktualną sytuację, opowiadając o niespodziewanym telefonie Josha sprzed dwóch dni.

– Krążyliśmy po lasach, szukając go, a tu dzwoni mój telefon i odzywa się on we własnej osobie.

Zrelacjonował rozmowę, włączając wzmiankę o koncie bankowym w Kostaryce, ale pomijając fakt, że Jordie pojechała tam z Panellą. Skończył na telefonie, który miał przed świtem.

– Znowu mnie zaskoczył.

– Co mówił?

– Chciał potwierdzenia, że Jordie jest bezpieczna.

Kinnard zmarszczył czoło.

– Pierwszy telefon. Jak myślisz, mówił prawdę? Jasne, Kostaryka to dobry przystanek dla kogoś, kto chce zniknąć. Z jednej strony Zatoka Meksykańska, z drugiej Pacyfik. Lasy deszczowe i góry, w których można się ukryć. Ale macie potwierdzenie, że to konto nadal istnieje?

– Dzisiaj rano pieniądze na nim były. Nietknięte. Od początku.

– Bez jaj?

– Też się dziwimy – powiedział Hick. Joe zauważył, że spojrzał przy tym na Jordie.

Pograżony w myślach Kinnard tego nie dostrzegł.

– Fakt, że Josh zadzwonił ponownie dzisiaj rano, według mnie świadczy o tym, że nerwy ma w strzępach. Niezależnie od tego, czy zwinął te pieniądze, czy nie, to zdradził Panellę. Na nowo zastanawia się nad swoją decyzją porzucenia opiekuńczych objęć Wuja Sama.

– Jeśli wcześniej się nie zastanawiał, na pewno robi to teraz, kiedy mu powiedziałem, że wczoraj wieczorem rozmawiałem z Billym Panellą.

Kinnard spojrzał na niego nieco zszokowany.

– Co takiego?

– Myślał, że ty dzwonisz. – Joe opowiedział, jak doszło do tej rozmowy, i w całości ją przytoczył. – Podłączyliśmy do telefonu wszystkie możliwe ustrojstwa. Nic to nie dało, Panella zrezygnował po trzydziestu sekundach.

Kinnard z roztargnieniem pocierał bliznę na brodzie.

– Próba zabicia Jordie się nie udała. Josh zna wszystkie jego tajemnice i jest skłonny do zawierania umów. Nasz przyjaciel Panella nie może być zadowolony z obecnego status quo, zwłaszcza że został mu pusty trzos. Zdajecie sobie sprawę, jaki przez to stał się niebezpieczny?

– Owszem. O tym rozmawialiśmy, kiedy przyszedłeś – powiedział Joe. – Hick i ja namawialiśmy panią Bennett, żeby podzieliła się z nami każdą informacją dotyczącą miejsca pobytu Panelli i jej brata.

– Morrow mi mówił, że ją przesłuchujecie. – Kinnard popatrzył na Jordie, ale mówił o niej w trzeciej osobie. – To jeden z powodów, dla którego w pośpiechu opuściłem szpital. Przez półtora dnia próbowałem wszystkiego, co przychodziło mi na myśl, żeby wydobyć z niej informacje. Niektóre sposoby były nieprzyjemne, nawet brutalne. – Odczekał chwilę. – Jestem przekonany, że gdyby coś wiedziała, powiedziała mi.

Nie wspominała o weekendowym wypadzie z Panellą, Joe założyłby się o jeden z milionów oszusta. Gdyby Kinnard wiedział, nie odpuściłby jej tak łatwo.

Zapadła kolejna niezręczna cisza. Kinnard patrzył twardo na Jordie, jakby chciał ją zmusić, żeby na niego spojrzała, ona jednak nie podniosła wzroku.

– W takim razie to wszystko – przemówiła wreszcie Adrian Dover. – Czy moja klientka może odejść?

– Pani Bennett jest wolna, ale pozostaje pod naszą kuratelą. Hick, powiedz Gwen Saunders, że wracają do hotelu.

Hick wyszedł na korytarz i zawołał funkcjonariuszkę.

Jordie wstała bez słowa. Wyraźnie nie zamierzała zegnać się z nikim, a zwłaszcza z Kinnardem. Kiedy jednak zwrócił się do niej po imieniu, przystanęła w progu i po sekundzie się odwróciła. Gdyby spojrzenie mogło zabijać...

– Nie jesteś w stanie ochronić brata przed Panellą, Jordie. Wyśle następnych Boldenów, aż go dopadnie. Nie spocznie, dopóki flaki z rozprutego brzucha Josha nie będą unosić się w zatoce.

Chwilę wytrzymała jego spojrzenie, po czym powiedziała:

– Żałuję, że cię nie zabiłam.

W drzwiach kobiety minęły się z Hickiem, który rozmawiał przez telefon. Bezgłośnie wyjaśnił:

– Morrow.

Joe uprzejmie wstał, gdy one wychodziły, a teraz znowu usiadł i przyjrzał się uważnie Kinnardowi. Wyglądał gorzej, niż kiedy dokonywał swojego wielkiego wejścia, a już wtedy prezentował się okropnie. Był blady, miał zapadnięte policzki i głębokie bruzdy na twarzy.

A jednak oczy otoczone siną obwódką rzucały zimne błyski sygnalizujące, że mimo fizycznej niesprawności jest groźny. Joe nie miał takiej cechy. Nikt nigdy nie usunął mu się z drogi tylko dlatego, że na niego spojrzał.

Jeśli na Kinnarda jakoś wpłynęła pożegnana uwaga Jordie Bennett, nie okazał tego. Patrząc na niego, można by pomyśleć, że słowa odbiły się od niego, jakby otoczony był zbroją. Jasne, dla agenta pracującego pod przykrywką taka obojętność jest niezbędna. Wszystko musi poświęcić pracy, nawet normalne

ludzkie emocje.

Joe pomyślał o przytulnie zagraconym gabinecie w swoim domu, o wiecznym zamęcie wywoływanym przez dzieci, o szczególnym skrzypieniu łóżka, kiedy kochają się z Marshą, i nie zazdrościł Kinnardowi jego zimnego opanowania. Zapłacił za nie cenę. Zdaniem Joego zbyt wysoką.

Wskazał drzwi, przez które przed chwilą wyszła Jordie Bennett.

- Nie wydaje mi się, żeby cię lubiła.
- Nikt mnie nie lubi. Przywykłem.
- Wczoraj sprawiała inne wrażenie.

Kinnard spojrzał na niego z czujnym zainteresowaniem. Może jednak jego zbroja nie była aż tak nieprzenikniona.

Joe nie zdążył nic dodać, ponieważ Hick wyłączył komórkę i oznajmił:

- Musimy jechać do Tobias.

Joe skoczył na równe nogi.

- Bennett?

Hick pokręcił głową.

- Royce Sherman.
- Kto to jest? – zapytał Kinnard.
- Facet, który zaczepił panią Bennett w barze.

Kinnard był tak słaby, że kiedy wstał, musiał się oprzeć o stół, żeby odzyskać równowagę.

- Chciałbym pogadać z tym palantem.
- Niemożliwe – odparł Hick. – Leży w kostnicy.

Rozdział 28

Po informacji, że młody człowiek, który odegrał kluczową rolę w wydarzeniach piątkowego wieczoru, nie żyje, zmarnowali tylko kilka minut na dyskusję, czy Shaw powinien im towarzyszyć w wyprawie do Tobias.

Wiley i Hickam byli temu przeciwni. Kinnard nie ustępował. Aby oszczędzić na czasie, oznajmił, że niezależnie od tego, czy go wezmą, czy nie, on tam dotrze. Poddali się.

– Zatrzymamy się po drodze i kupimy jakieś rzeczy, żeby lepiej cię przebrać – rzucił przez ramię Wiley, gdy wychodzili z pokoju przesłuchań.

– Dobra myśl – uznał Hickam. – Wolałbym nie dostać kulki przeznaczonej dla pana uzbrojonego i niebezpiecznego.

Chociaż przy każdym kroku Shaw czuł dotkliwy ból w brzuchu, to utrzymywał tempo, gdy szli na parking do samochodu Hickama. Wsiadł, ukradkiem podniósł koszulę i odchylił bandaż, by sprawdzić szwy. Trzymały dobrze.

Bez wątpienia Jordie żałowała, że nie wyrządziła mu większej szkody tą łopatką. Gdyby miała zrobić to drugi raz, pewnie wbiłaby mu ją w gardło. Tak powiedziała, a on jej wierzył. Pogardzała nim.

Jego praca wiązała się ze zbyt wysokim ryzykiem, żeby mógł dostać ubezpieczenie na życie. Co nie znaczy, że miał kogo wyznaczyć na spadkobiercę, bo praca była także niebezpieczna dla związków osobistych. Do tej pory to mu nie przeszkadzało. Często wykorzystywał osoby niewinne do usunięcia złych. Jeśli zostawiał za sobą kogoś poranionego emocjonalnie, to były koszty zawodowe. Brudna robota i tak dalej.

Ale kiedy Jordie Bennett patrzyła na niego z nieukrywaną nienawiścią, odczuwał coś więcej niż tylko wyrzuty sumienia. To zdarzyło mu się po raz pierwszy i nie czuł się z tym dobrze.

Gdy wyjeżdżali z parkingu, do Wileya ktoś zadzwonił. Hickam nie nawiązał rozmowy z Shawem, ale jemu to odpowiadało. Oparł głowę i zapadł w drzemkę, z której się obudził dopiero przed dyskontem odzieżowym. Wiley nadal trzymał słuchawkę przy uchu, bardziej słuchając niż mówiąc.

Hickam wrócił po niecałych pięciu minutach i rzucił torbę na siedzenie obok Shawa.

– Zwykle nie robię zakupów w takich miejscach. Nic lepszego nie znalazłem.

Przyniósł brzydką rdzawą bluzę z kapturem i kobaltowe okulary

przeciwsłoneczne w plastikowych oprawkach.

– W porządku.

– Tak myślałem. – Hickam znacząco spojrział na perłowe zatrzaski nowej koszuli, którą Morrow przywiózł Kinnardowi.

Nie zważając na obraźliwą aluzję do swojego stylu, Shaw zerwał z bluzy metkę z ceną.

– W jaki sposób zginął Royce Sherman?

– Morrow był zajęty, więc przekazał mi tylko najważniejsze szczegóły. Jak Joe skończy rozmowę, przekażę wszystko, co wiem.

W tej samej chwili Wiley, który siedział obok Hicka, rozłączył się.

– Przepraszam. To była Marsha. Moja żona – dodał na użytek Shawa. – Mamy w domu problem z toaletą i Marsha grozi, że przystawi klucz do części intymnych hydraulika, jeśli szybko tego nie naprawi. Co mnie ominęło?

– Nic. Czekałem na ciebie – powiedział Hickam. – Po pierwsze Morrow zastrzegł wyraźnie, że jeszcze nie ustalono, czy śmierć Royce'a Shermana ma związek z wypadkami z piątkowego wieczoru.

– Jak zginął? – Shaw chciał wiedzieć.

– Od strzału w głowę. W lewy płąt czołowy. Z bliskiej odległości.

– Samobójstwo?

– Obok ciała nie znaleziono broni, na dłoniach nie miał śladów prochu.

– W takim razie zabójstwo – stwierdził Shaw.

– Słuszny domysł.

Wiley zainteresował się, czy dostrzegli jakieś oznaki walki.

– Nie. Miał przy sobie gotówkę i kartę kredytową, więc motywem raczej nie był rabunek. Morrow mówił, że wygląda to tak, jakby zabójca podszedł do otwartego okna i strzelił.

– W domu?

– Na siedzeniu kierowcy pikapa. Zjechał z autostrady na boczną drogę.

– Po co? – Shaw próbował ustalić.

– Nikt nie wie.

– Odląć się? – zasugerował Wiley.

– Nic na to nie wskazuje. Morrow nie sądzi, by Sherman wysiadł.

Shaw zapytał o łuskę.

– Nie znaleziono. Pocisku też nie. Najwyraźniej zabójca strzelił tylko raz. Z jednoznacznym zamiarem.

Zastanawiając się nad tym, Shaw omal nie przegapił dalszych słów Hickama:

– Ale Morrow ma możliwy motyw. Barman – tu przerwał i we wstecznym lusterku spojrział na Shawa – skierował nas na twój trop.

– Wcale mnie to nie dziwi. Były wojskowy, co? Brał udział w misjach?

– Wspomniał o Iraku.

Shaw kiwnął głową. Jego uwagi nie uszedł baczny wzrok, którym barman obrzucał ich obu z Mickeyem, ukradkowy, ale wnikliwy. Nic nie wyrabia w człowieku zmysłu obserwacyjnego lepiej niż strefa wojenna, gdzie wróg nie nosi munduru.

– Kiedy barman usłyszał o zamordowaniu Royce’a, natychmiast zadzwonił do Morrowa – kontynuował Hickam. – Powiedział mu, że Royce wczoraj wieczorem spędził w barze wiele godzin. Zachowywał się jak celebryta i osuszał szklaneczki whisky, jakby to była lemoniada.

– Jego stara z nim była? – zapytał Wiley. Zwracając się do Shawa, wyjaśnił: – Mieszkał z partnerką, która ciągle zrzedziała.

– Owszem, była i nie tylko zrzedziała. Pokłócili się. Urządzili spektakl dla tłumu, tak określił to barman. Wypadła z baru z dwiema koleżankami. Jak tylko zniknęła za progiem, Royce zaczął migdalić się z inną. Około północy wytoczyli się razem. Wszystko to zostało potwierdzone przez świadków, których namierzili ludzie Morrowa.

– Co o tym mówi stara Royce’a? – spytał Wiley.

Hickam odparł, że Morrow odwiedził ją w pracy.

– Jest szefową działu z farbami w supermarkecie. Morrow mówił, że padła na kolana i zaczęła lamentować, kiedy przekazał jej smutną wiadomość. Szok i łyżę uznał za szczere, chociaż i tak zabrał ją na posterunek. Przysięga, że po wyjściu z baru nie widziała Royce’a ani z nim nie rozmawiała.

– Zażądała prawnika?

– Nie, ale Morrow wysłał swoich ludzi do dwóch przyjaciółek, z którymi wczoraj wieczorem wróciła do domu. Przesłuchano je oddzielnie, ich zeznania pokrywają się z tym, co mówiła. Pojechały do jej mieszkania, opróżniły kilka butelek wina, wznosząc toasty za pozbycie się Royce’a. Około czwartej nad ranem przyjaciółki doszły do wniosku, że są zbyt pijane, żeby prowadzić, przenocowały więc u niej, a rano ledwo zdążyły na czas dowlec się do pracy.

– Co Morrow sądzi o jej alibi? – sondował Wiley.

– Skłania się, by w nie uwierzyć.

– Ja wierzę.

Związła odpowiedź Shawa sprawiła, że Wiley obejrzał się na niego. Hickam obserwował go we wstecznym lusterku

– To nie wygląda na zbrodnię w afekcie – wyjaśnił Shaw. – Opis zupełnie do tego nie pasuje. Jeden strzał? Jednoznaczna intencja? – Pokręcił głową. – Tak nie popełnia morderstwa wkurzona kochanka. Świeżo porzucona stara opróżniłaby magazynek, zadzwoniła na policję i poinformowała, gdzie znajdą jego żalonną martwą dupę.

Wiley z ponurą miną potaknął.

– Jeśli dowody nie potwierdzą, że jego eks była na miejscu zbrodni, będę

musiał się z tobą zgodzić.

Shaw we wstecznym lusterku spojrział na Hickama.

– A co z tą nową? Barman mówił, że razem wyszli.

– Razem przekroczyli próg. Na parkingu mogli się rozstać.

– Albo nie – powiedział Shaw.

– Albo nie. Na zewnętrznej stronie drzwi przy fotelu pasażera były częściowe odciski palców. Policjanci, którzy odpowiedzieli na wezwanie, w pikapie znaleźli tylko Royce'a. Patolog szacuje, że śmierć nastąpiła pomiędzy północą a drugą w nocy.

– Kto zadzwonił na policję?

– Ta boczna droga to prywatny dojazd do domu w głębi lasu. Właściciel jest na emeryturze, razem z żoną wybierali się na wczesny lunch. Pikap Royce'a zagradzał im przejazd. Żona wysiadła, żeby to sprawdzić, więc jej odciski palców mogą być na drzwiach. Technicy robią porównania.

– Emeryci znali Royce'a?

– Nie.

– Okay – przytaknął Wiley. – W jakiej sytuacji stawia to Morrowa? Na razie ma tylko dwie aktualne kobiety w życiu Royce'a.

– Starają się odnaleźć tę nową – powiedział Hickam. – Morrow jednak nie wie, jak się ona nazywa, a tym bardziej gdzie mieszka. Sam ma mnóstwo roboty. Najpierw ta historia z tobą – spojrział na Shawa w lusterku – a teraz to. Prosił, żeby go uprzedzić, jak będziemy pięć minut przed miastem.

Shaw znowu oparł głowę i zamknął oczy, podczas gdy tamci dwaj wdali się w rozmowę o dupku koronerze i ożywionej działalności, którą w tym tygodniu prowadził.

Wyłączył ich głosy i pomyślał o Jordie, a konkretnie o tym, jak źle musi o nim myśleć. Dlaczego zrobiłaś całą resztę? – zapytała. Chodziło o wszystkie te okropne rzeczy, na które ją naraził. Strach, uwięzienie, upokorzenie, wypytywania.

Pocałunek.

Co naprawdę było do dupy? Jordie zawsze będzie przekonana, że pocałunek stanowił tylko kolejny manewr mający na celu wydobycie z niej informacji, a nie kwestię życia lub śmierci. Jego życia, nie jej. Musiał ją pocałować. To takie proste.

Chociaż wcale nie. Był agentem federalnym, ona ważnym świadkiem w śledztwie w sprawie kryminalnej. Co zgodnie z zasadami oznaczało, że znajdowała się absolutnie poza jego zasięgiem. Ale Shaw nieustannie łamał zasady i nie miał żadnej kontroli nad swoimi nieprzyzwoitymi snami.

Pół godziny później Wiley go obudził.

– Kinnard? Prawie jesteście na miejscu – powiedział, po czym zadzwonił do Morrowa.

Shaw włożył bluzę, krzywiąc się przy wpychaniu rąk w rękawy, co napinało

jego ranę i wszystkie wewnętrzne szwy. Niebieskie szkła okularów pewnie nadawały mu wygląd chorego, w każdym razie tak się czuł. Był spocony, kończyny miał słabe i rozdygotane, bok bolał jak diabli.

Żałował, że nie może zamknąć oczu i wyciągnąć się na tylnym siedzeniu, tak jak położył Jordie, układając jej bezwładne ręce i nogi, odgarniając włosy z policzka.

Klnąc pod nosem, ponieważ nie potrafił przestać o niej myśleć, zarzucił kaptur na głowę, otworzył drzwi i wysiadł. Momentalnie otulił go parny żar, spotęgowany przez polarowy kaptur. Przeklęty Hickam specjalnie wybrał taką bluzę.

Biuro szeryfa mieściło się w przybudówce do starego i brzydkiego budynku. Z tyłu w nieoznaczonych drzwiach dla personelu czekał na nich Morrow. Na widok Shawa zmarszczył czoło.

– Nie powinieneś przyjeżdżać.

– Próbowaliśmy go przekonać – zaznaczył Hickam.

– Wyglądasz gorzej niż Royce Sherman – dodał Morrow.

– Nic mi nie jest.

– Posłuchaj. – Morrow uniósł rękę. – Nikt w biurze nie wie, co rano zrobiliśmy, z wyjątkiem dyspozytora i dwóch zastępców, którzy odegrali rolę załogi karetki. Wszyscy to moi przyjaciele. Nawet szeryf we własnej osobie o niczym nie ma pojęcia. Jeśli ta sprawa wyjdzie, będzie po mnie.

– Ode mnie nikt o tym nie usłyszy. Wiem, że nadstawiałeś głowę. Jeszcze raz ci dziękuję.

– Proszę bardzo. Jednak nie tylko o to chodzi. W tym budynku pełno jest ludzi, którzy cię poszukują. Nie ucieszą się na twój widok.

– Powinni mi podziękować za godziny nadliczbowe.

– Chcę przez to powiedzieć, że moim zdaniem to fajne przebranie nikogo nie oszuka.

– Zdziwiłbyś się. Ludzie rzadko widzą to, o czym nie myślą.

– Jeśli jakiś funkcjonariusz cię pozna, niewykluczone, że najpierw strzeli, dopiero potem zacznie zadawać pytania. – Morrow wciąż się martwił.

– Jeśli do tego dojdzie, możesz mnie zdemaskować.

– Przynajmniej się ogoliłeś.

– Część usług kosmetycznych świadczonych przez szpital. – Charakterystyczna blizna nie rzucała się tak bardzo w oczy na gładkim policzku, dlatego Shaw nie protestował, kiedy facet, który go mył, nałożył mu pianę na twarz.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem. – Morrow poprowadził ich krótkim korytarzem do drzwi z oknem z siatką drucianą. – Popatrzcie.

Wiley i Hickam zrobili to najpierw, potem była kolej Shawa. Zsunął okulary,

żeby lepiej widzieć. W sali przesłuchań dwoje funkcjonariuszy bez powodzenia starało się uspokoić młodą kobietę, która z nisko pochyloną głową szlochała w dłonie.

– Linda Meeker – poinformował ich Morrow. – Dziewczyna, która wczoraj wieczorem wyszła z baru z Royce'em Shermanem.

W tej samej chwili ona podniosła głowę i od funkcjonariuszki przyjęła chusteczkę higieniczną.

Shawa zaskoczył widok jej twarzy. Spodziewał się kogoś zupełnie innego.

– To jeszcze dziecko.

– Ma szesnaście lat. Skończyła w zeszłym miesiącu.

Shaw obserwował niepokój Lindy Meeker przez kilka sekund.

– W piątek wieczorem powinienem był zabić także Royce'a Shermana.

Pozostali trzej spojrzeli na niego, ale nie cofnął swoich słów.

Morrow chrząknął, wypełniając niezręczną ciszę.

– Tutaj. – Otworzył sąsiednie drzwi prowadzące do małego pomieszczenia. – Dzielę gabinet z kolegą. Dzisiaj ma wolne.

Stłoczyli się w już ciasnej przestrzeni. Morrow zamknął pokój i bez wstępów rozpoczął wyjaśnienia:

– Linda Meeker zgłosiła się do nas pół godziny temu z własnej woli, ale pod naciskiem przyjaciółki, która przywiozła ją tutaj, kiedy się dowiedziały o morderstwie.

– Od kogo? – zapytał Shaw.

– Słyszały, jak ludzie rozmawiają o tym w Dairy Queen.

Nikt tego nie skomentował, ale Shaw, Wiley i Hickam wymienili spojrzenia.

Prawidłowo odczytując ich wątpliwości, Morrow sapnął.

– Dalej jest jeszcze lepiej. To, co wam powiem, pochodzi od przyjaciółki, ponieważ Linda milczy. Według niej Linda przyznaje, że kupowała alkohol, choć jest nieletnia, że się upiła, zakumpłowała z Royce'em i razem z nim wyszła z baru. Nie może w żadnej z tych spraw kłamać, bo co najmniej trzydziestu świadków to potwierdza. Od tego momentu historia staje się mętna. Przyjaciółka twierdzi, że czekała na Lindę na zewnątrz. Linda i Royce czule się pożegnali i każde poszło w swoją stronę. On odjechał pikapem. Przyjaciółka odwiozła Lindę do swojego domu, gdzie od początku miały być. Linda kilka razy puściła pawia. Przyjaciółka położyła ją spać. Obudziły się o dziesiątej rano.

– I w Dairy Queen dowiedziały się o morderstwie – dodał Wiley.

– Tak jest.

– Nie. – Shaw, który stał oparty o drzwi, podszedł do biurka Morrowa i posadził na nim tyłek; jeszcze moment, a by upadł. – Ta dziewczyna wpadła w histerię.

– To zrozumiałe – orzekł Hickam. – Facet, z którym się obściskowała

dwanaście godzin temu, dostał kulkę w głowę.

– Rozumiem, ale mimo to. – Shaw przypomniał sobie twarz Lindy Meeker. – Zęby jej szczękały. Traci zmysły z przerażenia.

– Przed tatusiem – wyjaśnił Morrow. – Jest kaznodzieją. Ogień piekielny i siarka, żywe węże, takie rzeczy. Linda i jej przyjaciółka wzięły udział w niedzielnym wieczornym nabożeństwie, ale kazanie tatusia do nich nie trafiło. Zamiast pojechać prosto do przyjaciółki i oglądać telewizję, wymknęły się do baru. Linda mówi, że tatuś ją zabije za picie, nie wspominając już o...

– ...czułościach z Royce'em – uzupełnił Wiley.

– Mniej więcej tak to wygląda. Przyjaciółka potwierdza, że wielebny nie jest skory do wybaczenia i surowo ukarze córkę. Chociaż Linda wiedziała, że postępuje słusznie, przychodząc do nas, to przyjaciółka wyznała, że musiała ją tu dosłownie przywlec. – Morrow brodą wskazał salę przesłuchań. – Tych dwoje funkcjonariuszy wypytuje ją razem i pojedynczo, odkąd weszła i się przedstawiła. Przez ten czas tylko płacze. Nic nam nie powiedziała. Odmawia rozmowy.

Wiley z namysłem pociągnął się za dolną wargę.

– Jest nieletnia. Powiadomiliście rodziców, że córka tu jest?

Morrow kiwnął głową.

– Zaraz po jej przyjściu. Co nie pomogło na histerię.

Chwilę wszyscy milczeli.

– O której zjawi się kaznodzieja? – zapytał Shaw.

Hickam spojrzał na niego podejrzliwie.

– Dlaczego?

Shaw go zignorował i powtórzył pytanie.

Morrow spojrzał na zegar na ścianie.

– Mieszkają na wsi, piętnaście kilometrów od miasta. Na dodatek w tym tygodniu kaznodzieja uzupełnia datki z tacy i dorabia, wylewając beton. Pani Meeker nie była pewna, na jakiej budowie jest dzisiaj, i miała zamiar odnaleźć go dzięki pomocy przedsiębiorcy budowlanego. – Ponownie zerknął na zegar i wzruszył ramionami. – Biorąc to wszystko pod uwagę, pewnie za dwadzieścia, trzydzieści minut.

Shaw zsunął się z biurka.

– Przygotujcie kajdanki.

Rozdział 29

– Nic pani nie je.

Jordie oderwała wzrok od kanapki, którą Gwen Saunders chciała w nią wmusić.

– Nie jestem głodna.

– Śniadania też pani nie jadła.

Zdawała sobie sprawę, że funkcjonariuszka próbuje tylko być miłą, ale Jordie nigdy nie cierpiała, kiedy mówiono do niej jak do dziecka. Najwyraźniej to okazała, gdyż Gwen przestała nalegać.

Funkcjonariuszka zjadła swoją kanapkę i złożyła serwetkę.

– Mam ich wezwać, żeby zabrali stół?

– Tak, skończyłam. – Usłyszała w odpowiedzi.

– Poproszę kelnera, żeby zapakował kanapkę. Może później pani zgłodnieje.

Jordie uśmiechnęła się słabo, choć wiedziała, że apetyt się jej nie poprawi, dopóki okoliczności nie ulegną zmianie, i bała się, że mogą tylko się pogorszyć, a nie polepszyć. W sytuacji, gdy każdy ewentualny rezultat był zły, na co mogła liczyć?

Po wyjściu kelnera Gwen upewniła się, że drzwi do apartamentu są zamknięte na zasuwę, usiadła przy biurku i włączyła laptop. Niespokojna i zdenerwowana Jordie podeszła do okna, rozsunęła zasłony i powiodła spojrzeniem po dachach śródmiejskich drapaczy chmur.

Gdy patrzyła na lewo na drugą stronę Canal Street, miała widok z lotu ptaka na wąskie uliczki Dzielnicy Francuskiej. Po rzece wolno płynął kołowiec pełny turystów. Chodniki były zatłoczone przechodniami.

Inni ludzie dobrze się bawili. Załatwiali swoje sprawy, jedli, pili, zwiedzali, cieszyli się towarzystwem przyjaciół i rodziny, niedotknięci tragedią, niezranieni katastrofami, które sami wywołali.

Zazdrościła im poczucia wolności, nawet jeśli trwało ono tylko dzisiaj. Od pewnego grudniowego dnia w dzieciństwie Jordie nigdy nie czuła się całkowicie wolna. Pamięć o tamtym wydarzeniu wszędzie jej towarzyszyła. Nawet podczas różnych świąt była nieustępliwym kompanem psującym radość. Wszystko, czymkolwiek w życiu się zajmowała, robiła pod wpływem tego wydarzenia. Ono wpływało na każdą ważną decyzję. Wiele dla niego poświęciła.

A teraz z powodu tych kilku brzemiennych w skutki chwil znajdowała się pod strażą federalnych stróżów prawa. Jej przyszłość była niepewna, życie zagrożone.

Nie mogła nawet iść do ukochanej pracy. Po opuszczeniu biura FBI zapytała Gwen, czy mogą wstąpić do Extravaganzy, bo chciałyby sprawdzić, jak wyglądają prace nad kilkoma wielkimi zbliżającymi się imprezami, które znacznie powiększą dochody jej firmy.

Gwen odmówiła uprzejmie, ale w sposób wykluczający negocjacje.

– Przykro mi, Jordie. Agent Wiley chce, żeby pani była... chroniona.

– Obserwowana.

– Na to samo wychodzi.

– Nie. Wcale nie.

Gwen się nie sprzeciwiła, ponieważ różnica była niezaprzeczalna. Wstawiła się jednak za Jordie i dostała od Joego pozwolenie, żeby jeden z pracowników Extravaganzy dostarczył do hotelu pocztę i pilne dokumenty, jak na przykład zlecenia wymagające aprobaty Jordie.

To jednak było małe zwycięstwo, ponieważ Gwen otworzyła każdą kopertę i paczkę, dokładnie przejrzała zawartość i dopiero potem przekazała je Jordie.

Nie miała złudzeń. Znajdowała się pod strażą. To prawda, Joe Wiley nie chciał, żeby stało się jej coś złego, równocześnie jednak jej nie ufał, zresztą słusznie. Powinna była powiedzieć mu o wyjeździe do Kostaryki.

Nie chciała jechać, ale Panella nie dał jej wyboru. Nienawidziła każdej minuty spędzonej w jego towarzystwie, wyrzuciła z pamięci te trzy dni i niemal zdołała samą siebie przekonać, że nigdy nie poszła na taki kompromis.

Jednak Josh, powiedziawszy o tej podróży Joemu Wileyowi, przypomniał jej ów brzydki fakt i lamentowanie nic tu nie pomoże. W kontekście śledztwa przeciwko Panelli konsekwencje ich pobytu w Ameryce Środkowej mogą być o wiele poważniejsze.

Słońce przygrzewało przez szybę, ale Jordie objęła się, jakby czując zimno na myśl, że będzie opowiadać o tej podróży w sądzie. Ze smutkiem wróciła pamięcią do zwyczajnych dni, kiedy jedynymi katastrofami były spóźnione dostawy kwiatów, za mało obrusów, błąd drukarski w zaproszeniach, palący się tłuszcz w kuchni. Z perspektywy czasu uznała je za drobne przeszkody. Chciałyby mieć problemy tak łatwe do rozwiązania.

Te, przed którymi teraz stała, wydawały się nie do pokonania. Wcale nie najmniejszym z nich był Shaw Kinnard, a konkretnie zamęt emocjonalny wywoływany przez samo jego nazwisko.

Kiedy zobaczyła go niezakrwawionego i nieumierającego, ale żywego, dowiedziała się, że nie jest zabójcą, tylko agentem FBI, poczuła głęboką ulgę, która jednak natychmiast osłabła. Gdy zdała sobie sprawę z dwulicowości i wpływu, jaki na nią miał, ledwo się powstrzymała od rzucenia się na niego, wydrapania mu oczu i zrobienia krzywdy.

Poza tym, że była wściekła, źle się czuła także z powodu upokorzenia

spowodowanego własną łatwowiernością. Nigdy sobie nie wybaczy, że dała się oszukać, że od jego erotycznych aluzji przechodziły ją dreszcze. Prawdę mówiąc, zaczęła wierzyć, że są czymś więcej niż lekkimi kpinami, które mają ją sprowokować. Zaczęła myśleć, że kryjące się pod nimi uczucia są głębsze i bardziej znaczące, że...

Teraz to wszystko odbierała jako niewiarygodną naiwność.

Nagle promienie słoneczne stały się zbyt jaskrawe, oczy jej od nich łzawiły. Szarpnięciem zaciągnęła zasłony i powiedziała do Gwen:

– Idę się położyć.

– Drzemka dobrze pani zrobi. Proszę dać znać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

– Dobrze.

– Jordie?

Odwróciła się.

– Co zaszło między panią a Kinnardem w tamtym warsztacie?

– Przecież pani wie, co zaszło.

– Ale poza protokołem. Między kobietami.

– Nic – odparła zachrypniętym głosem. – Nic nie zaszło.

Gwen wiedziała, że to kłamstwo, i spojrzała na nią jakby ze współczuciem.

– On tylko wykonywał swoją pracę.

– Wiem. – Jordie weszła do pokoju i zamknęła drzwi. Oparła się o nie, szepcząc: – I był w tym bardzo dobry. – Łzy, które zbierały się wcześniej, teraz popłynęły.

Gniewnie je wytarła. Nie będzie z jego powodu płakać.

Ruszyła do łazienki, ale zatrzymał ją znajomy odgłos: wyraźne buczenie wibrującej komórki.

Komórka? Przecież jej telefon nadal miało FBI. Hickam skorzystał z niego, by zadzwonić na komórkę na kartę Shawa, kiedy ten odegrał swoje wielkie wejście.

Odgłos nie ustawał. Podążyła za nim do biurka, na którym ułożyła rzeczy przysłane przez personel Extravaganzy. Szybko sprawdzała zawartość grubych kopert i zdejmowała wieka pudełek, aż trafiła na opakowanie z drukowanymi zaproszeniami. Nie знаła firmy, której nazwa widniała na nalepce. Wyrzuciła ze środka stosy zaproszeń, kopert i kart na odpowiedzi.

Pudełko nadal wibrowało.

Wsunęła palec w róg i podniosła fałszywe dno. Pod nim telefon przesuwiał się po białej tekturze. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby przeszmułować jej komórkę.

Instynktownie wzięła ją do ręki i odebrała.

– Halo?

– Jordie?
Serce się jej ścisnęło.
*

Linda Meeker już siedziała na krześle przed salą przesłuchań, kiedy z gabinetu wyszedł Morrow, prowadząc przed sobą Shawa.

Zgarbiona dziewczyna płakała cicho, ramiona jej drżały, ale przestraszona podniosła głowę, słysząc, jak Morrow popycha Shawa na krzesło ustawione pod kątem do jej krzesła. Zastępca szeryfa wyjął metalowe kajdanki i przykuł jego rękę do nogi krzesła, grzechocząc nimi złowrogo o chrom, by się upewnić, że mocno trzymają.

– Lepiej niech twój adwokat się szybko pojawi, w przeciwnym razie wsadzę cię za kraty. I zdejmij ten głupi kaptur. – Ściągnął mu go z głowy, po czym odwrócił się i ruszył do swojego gabinetu. Zrównując się z dziewczyną, przystanął i łagodniejszym tonem zapytał: – Coś ci przynieść, panienko?

Pokręciła głową.

– Twoi rodzice niedługo powinni tu być. – Morrow przez ramię spojrzał na Shawa. – Ty. Nie zaczepiaj jej.

Shaw machnął lekceważąco wolną rękę i z powrotem naciągnął kaptur. Morrow spojrzał groźnie, ale nic nie powiedział. Wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

Shaw mruknął pod nosem kilka brzydkich słów, później leniwie przeniósł spojrzenie na dziewczynę, która czujnie go obserwowała. Chwilę się jej przyglądał, potem cicho powiedział:

– Rozchmurz się, mała. Nieważne, z jakiego powodu cię tu sprowadzili, pewnie dostaniesz kilka godzin prac społecznych. Może jakiś okres w poprawczaku, a to nie jest takie złe.

Natychmiast spuściła wzrok.

Shaw oparł głowę o ścianę i przymknął oczy tak, żeby mógł ją obserwować.

Nadal wpatrywała się w swoje kolana, na których trzymała splecione, choć niespokojne dłonie. Skubała skórę przy kciuku tak długo, aż zaczęła płynąć krew. Minęły może dwie minuty. Shaw już zaczynał myśleć, że jego plan się nie powiedzie, i wtedy dziewczyna nieśmiało na niego zerknęła.

– Jesteś chory?

Nie odrywając głowy od ściany, przekręcił ją na bok i zsunął okulary, żeby na nią spojrzeć.

– Niezupełnie. Wyciągnęli mnie ze szpitala i aresztowali pod zarzutem napadu.

– Byłeś w szpitalu?

– Jakąś godzinę temu.

– Co ci jest?
– Dźgnięto mnie. – Wolną ręką odchylił koszulę i pokazał bandaż.
Jej podpuchnięte czerwone oczy lekko się zaokrągliły.
– Kto ci to zrobił?
Roześmiał się.
– Ostatnim razem solidnie ją wkurzyłem.
– Ją?
– Moją dziewczynę. Była. Wbiła we mnie połamaną, zardzewiałą łopatkę z silnika motorówki.
– Litości.
Znowu się roześmiał.
– Użyłem mocniejszego słowa.
Uśmiechnęła się i Shaw odpowiedział tym samym.
– Miło widzieć, że się uśmiechasz. Słyszałem, jak wcześniej płakałaś. Tam.
– Wskazał salę przesłuchań. – Brzmiało źle.
Jej dolna warga znowu zaczęła drżeć i dziewczyna od nowa sposepniała.
– Posłuchaj, mała – powiedział cicho – nie pozwól, żeby te dupki cię złamały. Zastępca mówił, że twoi rodzice niedługo tu będą. Zabiorą cię do domu. Cokolwiek zrobiłaś...
– Nic nie zrobiłam!
Shaw tylko na nią patrzył; wiedział, że rozpaczliwie pragnie opowiedzieć, co się stało, wytłumaczyć, wyjaśnić, wyrzucić to z siebie, i dlatego dał jej okazję, samemu milcząc.
– To znaczy... – Oblizwała wargi. – Poszłam tam, gdzie nie powinnam. Do baru. Miałyśmy z przyjaciółką fałszywe dowody. – Cicho, tonem zwierzeń, z wieloma przerwami, właściwie powtórzyła tę samą historię, którą jej przyjaciółka opowiedziała Morrowowi.
Kiedy w swojej opowieści dotarła do momentu wyjścia z baru, znowu się rozpląkała, dławiąc się od tłumionych szlochów.
– Hej, spokojnie – rzucił Shaw. – No, już. Nie bądź wobec siebie taka surowa. Cokolwiek się stało, to nie była twoja wina.
– Właśnie że była. Przyjaciółka mi tak powiedziała. Nie powinnam wychodzić z nieznajomym.
– Uznała go za palanta i wygląda mi na to, że miała rację.
– Ale ja... ja... nie słuchałam. Za dużo wypiałam. A on mi mówił, że jestem gorąca, że jeszcze nigdy tak... tak... go nie nakręciło samo całowanie. – Przekrzywiła głowę i cicho zapytała: – Rozumiesz, co mam na myśli?
Przyjął skruszoną minę.
– Taa, my, faceci, mówimy takie rzeczy, jak chcemy się dobrać do dziewczyny. Choć czasami naprawdę tak myślimy. Może on też był szczery.

– Nie wydaje mi się. Bo kiedy zjechał z drogi i zaparkował...

Słowa toczyły się z jej ust, z oczu strumieniem łały łzy. Shaw musiał trzymać się w ryzach i udawać, że jest tylko słuchaczem, którego guzik interesuje, kto zamordował Royce'a Shermana.

Im dłużej mówiła, tym bardziej się rozklejała. Kiedy przeszła do sedna i opisała strzał, Shaw myślał, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Nie potrafiłam w to uwierzyć – powiedziała, przełykając łzy. – Wiedziałam, że on nie żyje. – Wytarła nos w rękaw. – Byłam przerażona. Jak skamieniała, rozumiesz?

Kiwnął głową.

– Siedziałam tam bez ruchu, nawet nie wiem, jak długo to trwało. Kiedy się opamiętałam, ogarnęła mnie panika. Powinnam zawiadomić policję, ale powiedzieliby mojemu tacie, a on obdarłby mnie ze skóry i powiesił do wyschnięcia. Więc zadzwoniłam do przyjaciółki, żeby po mnie przyjechała. Pobiegłam do głównej drogi, ukryłam się w krzakach i czekałam na nią. Przez cały czas strasznie się bałam, że on wróci i mnie też zabije. Bo zapłatą za grzech jest śmierć. Tak myślałam.

Szlochała tak rozpaczliwie, że Shaw się obawiał, czy mostek jej nie pęknie.

– Dalej się boję, że on mnie wytropi. Dlatego nie chciałam nikomu nic mówić. Pokażą to w wiadomościach. On się dowie, jak się nazywam. A potem mnie znajdzie.

Shaw był niczym koń wyścigowy czekający na dźwięk dzwonu, zmuszał się jednak, by garbić się na krześle i obojętnie wrzucić ramionami.

– Mówiłaś, że go nie widziałaś.

– Nie, ale on może inaczej myśleć. I boję się, że on...

Otworzyły się podwójne drzwi na końcu korytarza i do środka wpadła para w średnim wieku.

Dziewczyna pisnęła i zgięła się w pół.

Mężczyzna, najwyraźniej gniewny kaznodzieja, był w roboczym ubraniu i ciężkich butach. Kobieta nadal miała fartuch zawiązany na kwiecistej sukience. Kilkoro zastępców następowało im na pięty, próbując powstrzymać marsz kaznodziei. Dwójka, która wcześniej zajmowała się Lindą, wyszła, oceniła sytuację i pośpiesznie zabrała ją do sali przesłuchań.

W środku zamętu Morrow niepostrzeżenie rozkuł Shawa. Wrócili do gabinetu, gdzie czekali Wiley i Hickam.

Shaw zrzucił kaptur i zdjął okulary.

– Ile słyszeliście?

– Większość – odparł Wiley.

– Przekonał ją, żeby z nim pojechała – przypomniał Morrow. – Zjechał z drogi...

– ...i chciał, żeby mu obciągnęła dziewczyna, która niedawno skończyła szesnaście lat – dokończył Shaw. – Właściwie to zasłużył na kulkę w łeb.

– Za nimi zahamował pojazd – powiedział Wiley. – Royce Sherman myślał, że to policja. Zapiął rozporok. Dziewczyna usiadła prosto.

Pałeczkę przejął Shaw.

– Sprawca zostawił włączone reflektory, więc nie wiedzieli, jaki to samochód ani kto się ku nim zbliża. Linda twierdzi, że nie widziała jego twarzy.

– Mniej więcej wtedy zaczęła tak bardzo szlochać, że nie rozumieliśmy ani słowa – wtrącił Wiley.

– Mówiła, że strasznie się boi, że zabójca ją też dopadnie – wyjaśnił Shaw.

– Ale nie potrafi go zidentyfikować.

– Nie z wyglądu. – Dla większego efektu Shaw zrobił krótką przerwę. – Ale po głosie już tak.

W pokoju zapadła cisza. Po kilku sekundach Wiley zrobił krok w tył.

– Chryste.

– Tak – potwierdził ponuro Shaw. – Zabójca powiedział kilka słów do Royce'a, zanim do niego strzelił. Linda nie jest pewna, co to było, bo śmiesznie mówił. Jak jej wujek Clive, który do krtani przytyka sobie takie coś czarne.

Rozdział 30

Jordie przycisnęła przeschumowany telefon do ucha i przysiadła na skraju łóżka. Z poczuciem winy spojrzała na drzwi prowadzące do saloniku.

– Josh? – powiedziała cicho. – Jak...

– Oglądasz telewizję? Słyszałaś?

– O czym? O czym miałam słyszeć? Skąd wiedziałeś, że dostanę tę komórkę?

– Nie wiedziałem, miałem nadzieję. Jesteś teraz w Extravaganzy?

– Nie. FBI przetrzymuje mnie w hotelu, ale pozwolili, żeby przyniesiono mi pocztę...

– Włącz telewizor.

– Josh, gdzie jesteś? Nic ci nie jest?

– Włącz telewizor! Skoro jesteś w hotelu, masz telewizor. Włącz go.

– Dlaczego?

Sapnął zniecierpliwiony i spanikowany.

– Włącz ten cholerny telewizor.

Sięgnęła po pilota na nocnym stoliku.

– W porządku, już.

Wymienił stację, o którą mu chodziło. Szukając w irytującym menu hotelowej telewizji, mówiła:

– Tak bardzo się martwiłam, Josh. Nie powinieneś uciekać. Dobrze się czujesz?

– Nie, wcale dobrze się nie czuję. Zwłaszcza po tym.

– Po czym?

– On mnie zabije!

– Kto?

– A jak myślisz? – zapytał piskliwie.

Rozpoznała symptomy. Miał atak paniki.

– Josh, wysłuchaj mnie, proszę. Wpadłeś w straszne kłopoty.

– Nie pieprz, Sherlocku.

Zagryzła wargę, by powstrzymać ripostę.

– Pomogę ci, wiesz, że tak. Ale musisz się uspokoić i...

– Uspokoić? Uspokoić?! On gdzieś tam jest! Wiem o tym. I zabije mnie!

Jordie w prawym uchu słyszała ponure przepowiednie, lewe natomiast nadstawiała, by zrozumieć głosy z telewizora i poskładać w całość historię, którą jej brat kompletnie pomieszał.

- Oglądasz? – zapytał.
- Tak. – Na ekranie pojawiło się zdjęcie młodego mężczyzny, które wydało jej się zaskakująco znajome. Na fotografii nie miał koziej bródki, od razu jednak rozpoznała bezczelny uśmiech. Do teraz nie wiedziała nawet, jak się nazywa.
- Był w barze w piątek wieczorem. Rozmawiał ze mną.
- Wiem o tym – odparł Josh. – Niedawno wystąpił w telewizji, paplał o waszym krótkim spotkaniu.
- Na szczęście to przegapiłam.
- Opowiadał, że wypiliście drinka...
- Niczego z nim nie piłam...
- Chętnie się „otarciem o śmierć”. O ile reporterzy wiadomości mówią prawdę, wczoraj wieczorem wrócił do tego samego baru, żeby po raz kolejny powtórzyć swoją historię.
- I co z tego? Miał swoje pięć minut. To nie jest powód do paniki...
- Nie wpadłbym w panikę, gdyby nie znaleziono go martwego!
Na moment serce przestało jej bić.
- Co?
- Zamordowany, Jordie. Zamordowany. Myślałem, że oglądasz telewizję.
- Oglądam.
- Strzelono mu w głowę. Po tym, jak wyszedł z baru, gdzie przed widownią przechwalał się spotkaniem z tobą. Teraz rozumiesz, czemu spanikowałem?
- Na ekranie pokazywano pikap z przednią szybą ochlapaną krwią. Stał w lesie, otoczony taśmą policyjną i funkcjonariuszami w mundurach.
- To straszne – mruknęła. – Przypuszczalnie wczoraj wieczorem z kimś się pokłócił. Jestem pewna, że to morderstwo nie ma nic wspólnego ze mną.
- Głupia jesteś?! – krzyknął Josh.
- Jak to może mnie dotyczyć?
- Zanim do ciebie zadzwoniłem, rozmawiali z tym owłosionym i wytatuowanym barmanem. Mówił, że Royce Sherman zachowywał się jak ważniak i przechwalał rolę, którą odegrał w sprawie Panelli i Bennetta. Takiego zwrotu użyli.
- Bo to jest jedna sprawa, Josh.
- Więc mi nie mów, że morderstwo tego faceta nie ma nic wspólnego z tobą. Z nami. – Josh zaszlochał. – Nigdy się od niego nie uwolnię, prawda?
- Od Panelli?
- Jasne, że od Panelli! A kogo miałaś na myśli?
- Proszę, uspokój się. Powiedz mi, gdzie jesteś. Przyjadę...
- Nie!
- Josh, nie dasz rady uciec przed policją.
- Już uciekłem. Nimi się nie przejmuję, tylko Panellą. Wiesz, co myślę? –

Nie pozwalając jej odpowiedzieć, mówił dalej: – Nie sądzę, żeby wyjechał z kraju. Myślę, że się czai i czeka, aż ja...

– ...aż zrobisz coś głupiego w rodzaju rezygnacji z ochrony rządu.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że jesteś po ich stronie.

– Cholera jasna, Josh, jestem po twojej stronie.

– I pewnie wściekasz się na mnie, że powiedziałem Wilejowi o Kostaryce. Musiałem, Jordie. Nie mówiłem nic złego o tobie, tylko że pojechałaś z Panellą.

Powstrzymała się od komentarza, ile szkód mogło wyrządzić to jedno krótkie zdanie. Przyszło jej także do głowy, że chociaż rozmawiają po raz pierwszy od pół roku, Josh nawet nie zapytał, co u niej. Doskonale wiedział o udrękach, które w tym tygodniu z jego powodu przeszła, ale nawet nie przeprosił ani nie okazał, że jej sytuacja go niepokoi. Nie spodziewała się tego po nim, ale to i tak bolało.

– Jeśli chcesz mojej pomocy, musisz mi powiedzieć, gdzie jesteś – powtórzyła z całym spokojem, na jaki było ją stać.

– Wykluczone. Panella jest blisko. Czuję go. Pewnie cię śledzi. Gdybym ci powiedział, gdzie jestem, doprowadziłabyś go tutaj. On nigdy nie ustąpi, znam go. Póki żyję, nie przestanie mnie szukać.

– Przemawia przez ciebie paranoja, Josh. Billy Panella jest tysiąc kilometrów stąd.

– Mylisz się, jest tutaj. Wczoraj w nocy zabił tego gościa.

– To idiotyzm.

– Nieprawda.

Wyobraziła go sobie, jak kręci głową niczym uparte dziecko, czerwony na twarzy i nieustępliwy, niedający sobie przemówić do rozsądku.

– Ten głupi burak się wtrącił i plan Panelli, żeby cię sprzątnąć, nie wypalił. Co gorsza, wczoraj wieczorem darł na ten temat mordę. Barman słyszał jak tamten opowiadał, że to jego zasługa, że żyjesz. Panella uznał te przechwałki za osobistą zniewagę. Nie mógł pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

W telewizji reporter usiłował uzyskać wypowiedź od zastępcy szeryfa Morrowa, którego pamiętała z akcji w warsztacie. Przepychał się przez tłum, powtarzając:

– Bez komentarza.

Niezrażony tym reporter zwrócił się do kamery i powiedział:

– Chociaż policja nie chce ujawnić szczegółów morderstwa, z anonimowych źródeł wiemy, że Royce Sherman został zabity jednym strzałem, jak w czasie egzekucji.

W głowie Jordie zaczęło rodzić się przypuszczenie, że może panika Josha jednak ma jakieś podstawy. To, co mówił, było niebezpiecznie bliskie przestrogi Shawa: „Nie dasz rady ochronić brata przed Panellą”.

Jednak pośpiesznie odrzuciła możliwość, że Panella jest w pobliżu i sam

zabija, zamiast wynająć zawodowca. Ta myśl była zbyt przerażająca, żeby się nad nią zastanawiać.

Poza tym zawsze, kiedy brat miał tego rodzaju załamanie, ona musiała zachowywać się spokojnie i racjonalnie.

– Załóżmy, że Panella nie wyjechał ze Stanów – zaczęła mówić. – Obchodziłby go jakiś przemądrzalec chwalać się spotkaniem ze mną? Miałyby ważniejsze sprawy na głowie.

– Tak jest. Ma. Mnie! Ma mnie na głowie. I to próbuję ci powiedzieć! On mnie zabije.

– Josh, jeśli się go boisz, oddaj się w ręce policji.

– Wsadzą mnie do więzienia i wyrzucą klucz.

– No to czego bardziej się boisz? – zapytała gniewnie. – Więzienia czy Panelli? – Wyobrażała sobie, jak brat żuje wargę. Przynajmniej przestał wrzeszczeć. Zapanowała nad własnym zdenerwowaniem i łagodząco dodała: – Postawiłeś się w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia, Josh. Zagrałeś przeciwko dwóm stronom i przegrałeś. Pozostały ci dwie możliwości: oddać się w ręce policji albo nadal żyć w strachu przed Panellą, aż on lub wynajęty zabójca cię sprzątnie. Nie ulega wątpliwości, że najlepszym wyjściem jest to pierwsze.

– Zostanę ukarany za rzeczy, które nie są moją winą.

– One są twoją winą.

– Chcesz, żebym umarł, prawda? Masz nadzieję, że umrę. Chcesz, żebym na zawsze zniknął z twojego życia. Zawsze tego chciałaś.

Pochyliła głowę i potarła ręką po linii włosów, gdzie czuła pierwsze ukłucia bólu.

– Nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda.

– Jak Panella mnie dopadnie, jak mnie znajdą z kulką w głowie, stanie się to, na czym ci zawsze zależało: wreszcie się mnie pozbędziesz.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane.

*

Kiedy Shaw rzucił bombę w gabinecie Morrowa, sprawy potoczyły się szybko.

Morrow przekazał przesłuchanie Lindy Meeker dwojgu detektywom, którzy wcześniej z nią rozmawiali. Grzmiący głos jej ojca roznosił się po całym budynku, gdy publicznie ogłaszał długą listę grzechów córki skazujących ją na piekło.

Gdyby Shaw miał siły przywalić temu skoremu do sądów sukinsynowi, zrobiłby to, ledwo jednak starczyło mu energii na dojście do samochodu z Wileym i Hickamem. Ściągnął z siebie cholernie gorącą bluzę i okulary, po czym dosłownie padł na tylne siedzenie.

Zniknął z pola widzenia w samą porę. Zanim jeszcze wyjechali z parkingu,

dwa wozy telewizyjne, które najwyraźniej się ze sobą ścigały, zaparkowały przed biurem szeryfa.

– Jasny gwint – rzucił Hickam.

– To była kwestia czasu – stwierdził Wiley. – Dwa morderstwa związane z barem na peryferiach w ciągu kilku dni? Taka sprawa musiała trafić do wiadomości, nawet jeśli się ją uzna za dziwny zbieg okoliczności.

– Morrow zagroził, że osobiście wypatroszy każdego, kto da cynk mediom i zdradzi nazwisko dziewczyny – odezwał się Shaw. – Ale wypłynęło.

– Będzie musiał postawić ludzi do pilnowania jej domu – powiedział Wiley.

To tylko nieznacznie wzmocniło pewność Shawa. Ufał Morrowowi, ale myślał o fatalnie prowadzonej obserwacji Jordie.

– Zrobi się prawdziwy cyrk, jeśli to morderstwo połączą z Panellą – dodał Hickam.

– Morrow się postara, żeby to przypuszczenie nie trafiło do mediów – odparł Wiley.

– Tylko że to nie jest przypuszczenie.

Wiley zgodził się z Shawem.

– Przeraza mnie myśl, że Panella kręci się po okolicy. Choć z drugiej strony kłamałbym, gdybym udawał, że nie jestem też zadowolony. Z radością przygwoździłbym drania raz na zawsze bez konieczności wyprawiania się na koniec świata, żeby go znaleźć. – Spojrzał na Hickama. – Powiadomiłeś biuro szeryfów federalnych?

– Tam facetowi od razu stanął.

Wiley się uśmiechnął. Patrzył, jak reporterzy i kamerzyści biegną do drzwi posterunku.

– Wolałbym nie zostawiać Morrowa samego do odpierania ataku mediów.

– Da sobie radę. Jest twardy – orzekł Shaw i potarł oczy. Nigdy w życiu nie był taki zmęczony.

– Wracasz do szpitala – zawyrokował Wiley, jakby czytał w jego myślach.

Shaw opuścił rękę.

– Akurat, do diabła. Musimy przenieść Jordie Bennett do bezpiecznego domu.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy – oznajmił Hickam.

– Wcale tego nie twierdziłem.

– Poradzimy sobie bez ciebie.

– Pewnie tak, ale ja z wami będę.

Hickam wzruszył ramionami.

– Dobra. To twój pogrzeb.

– Chciałbyś.

– Hej, przestańcie – powiedział Wiley. – Jesteście gorsi od moich dzieci.

Przez ostatni kwadrans Hickam sprawiał wrażenie, że najchętniej obgryzałby paznokcie. Teraz zdecydował, że da upust nerwom, mówiąc do Wileya tak, jakby Shawa z nimi nie było:

– Ten jego numer nawet nie był zgodnym z prawem przesłuchaniem. Nic, co powiedziała mu Linda Meeker, nie może być wykorzystane w sądzie.

– Nie było złamaniem prawa – sprzeciwił się Shaw. – Ani nawet przesłuchaniem. Nie zadałem jej żadnych pytań. Żadnych. Nie prowadziłem tej rozmowy, tylko ona. Nie robiłem nic poza słuchaniem. – Spojrzał na Hickama we wstecznym lusterku i uniósł brwi, prowokując go do zaprzeczenia.

– W takim razie fatalnie, że ta pokojowa taktyka nie okazała się skuteczna wobec Jordie Bennett – odparł agent. – Nie pomogły też plastikowe kajdanki i opaska na oczy. Spędziłeś z nią trzydzieści sześć godzin i guzik osiągnąłeś.

Shaw położył głowę na oparciu i zamknął oczy.

– Nie miała nic do przekazania.

– Nie licząc opowieści o tropikalnych wakacjach z Billym Panellą.

Shaw uniósł głowę na tyle, by spojrzeć w chytre oczy Hickama, i poczuł niepokój.

– Wiley? – Drugi agent obejrzał się na niego. – O czym ten pistolet gada? – Słuchał przez całe pięć minut i nic w tej historii mu się nie podobało.

– Nie może zaprzeczyć, że była z nim w Kostaryce – zakończył Wiley – ale twierdzi, że nie wie nic o pieniądzach, które jej brat zdeponował w banku, ani o zamiarze Panelli, żeby po nie wrócić.

– Więc sam widzisz – powiedział Hickam – nie jesteśmy pewni, czemu zapobiegniemy, przenosząc ją. Kolejnemu zamachowi na jej życie? A może romantycznej randce z Billym Panellą?

W głowie Shawa rozległ się krzyk: „Pierdolić to!”.

Nie zareagował jednak na zaczepki Hickama. Słowem się nie odezwał, tylko usadowił się wygodnie i znowu zamknął oczy.

*

Joe Wiley zadzwonił do Gwen Saunders z hotelowego holu i uprzedził ją, że idą na górę, dlatego kiedy policjantka otworzyła drzwi, Jordie siedziała na sofie. Pierwszy wszedł Wiley, za nim Hickam.

Orszak zamykał Shaw. Nie spodziewała się go tutaj.

Wymienili spojrzenie, od którego w pokoju zaiskrzyło, gniewne i wrogie. Shaw wyglądał okropnie, oczy błyszczały mu od gorączki, ramiona miał zgarbione, krok niepewny.

Joe Wiley wskazał mu fotel.

– Siadaj, zanim upadniesz. – Następnie zwrócił się do Jordie i Gwen: – Mamy niepokojące wiadomości.

– Słyszałyśmy – odparła Gwen. – Jordie odpoczywała w swoim pokoju i widziała w telewizji materiał o zamordowaniu Royce’a Shermana.

– Straszna sprawa – powiedziała Jordie – chociaż nie wierzę, że ma jakiś związek ze mną.

– Mamy nadzieję, że to tylko zbieg okoliczności, ale pojechaliśmy do Tobias, żeby się upewnić. – Wiley głową wskazał Shawa. – Rozmawiał z dziewczyną, która była z Shermanem, kiedy go zastrzelono. – Potem policjant zrelacjonował najważniejsze punkty tej rozmowy. – Powiedziała mu coś, co kompletnie nas zaskoczyło. Zabójca mówił przez krtka elektroniczną.

Jordie wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze z płuc.

– Więc to był Panella?

Trzej agenci bacznie ją obserwowali i widziała wyraźnie, że zszokowała ich rezygnacja w jej głosie.

Pierwszy przemówił Hickam.

– Nie jest pani zaskoczona?

– Nie bardzo. Zaraz wracam.

Poszła do swojej sypialni i spod materaca wyjęła komórkę, którą tam ukryła do czasu, dopóki nie postanowi, co z nią zrobi. Nowa informacja sprawiła, że podjęła decyzję.

Wróciła do salonu i pokazała agentom telefon.

– Josh wie, że zawsze robię korektę materiałów drukowanych przed wysłaniem ich do klientów. Mógł bezpiecznie założyć, że to pudełko z zaproszeniami w końcu do mnie trafi.

– A gdyby odebrał ktoś inny? – zapytał Hickam.

– Pewnie Josh by się rozłączył. A gdyby nie musiał zatelefonować, do końca pozostałoby tajemnicą, skąd komórka wzięła się w pudełku. Kiedy usłyszał o Roysie Shermanie, spanikował i zadzwonił do mnie. Jest przekonany, że Shermana zabił Panella, i boi się, że on będzie następny.

Hickam odebrał jej komórkę i włączył.

Czas oczekiwania na zalogowanie się telefonu Jordie wypełniła relacją z rozmowy z bratem, przerywaną pytaniami zadawanymi przez Hickama i Wileya. Ten ostatni chciał wiedzieć, kiedy zamierzała im powiedzieć o telefonie.

– Przyznaję, nie byłam zdecydowana, czy wam o tym mówić. Josh miał jeden z tych swoich paranoicznych epizodów. Kusiło mnie, żeby zostawić sobie możliwość kontaktu z nim.

– Jest w nastroju samobójczym? – upewnił się Hickam.

– Nawet w trakcie najgorszych ataków paniki nigdy nie groził, że odbierze sobie życie. Dzisiaj też nie. Ale jestem przekonana, że jeszcze trochę, a całkowicie się załamie. Pomyślałam, że jeśli zatrzymam telefon, w końcu uda mi się przekonać go, żeby zgłosił się na policję. Jednak w świetle tego, co ta dziewczyna

powiedziała Shawowi...

Kiedy Jordie mimowolnie wymknęło się jego imię, automatycznie na niego spojrzała. Od wejścia do apartamentu nie odezwał się ani słowem. O nic jej nie pytał. Nie komentował tego, co mówiła. Siedział w absolutnym bezruchu i słuchał, obserwując ją uważnie jak sęp.

Teraz to odruchowe spojrzenie spowodowało, że przeszła ją świadomość jego obecności, głęboka i seksualna. Fakt, że wywoływał taką reakcję, obudził jej gniew na samą siebie i obawę, że jest podatna na jego wpływ.

– Biorąc pod uwagę to, co dziewczyna powiedziała o głosie zabójcy, histeria Josha jest usprawiedliwiona – podsumowała. – Oczywiście wszyscy możemy się mylić.

Wyparcie to niebezpieczna rzecz.

I choć Shaw nie wypowiedział tych słów na głos, spojrzała na niego. Nie poruszył się, nie odrywał od niej drapieżnego wzroku.

– Royce Sherman mógł wielu ludziom zaleźć za skórę – dodała Jordie. – Każdy mógł pojechać za nim z knajpy na tę boczną drogę.

– Musiałem z całej siły się powstrzymać, żeby mu nie przyłożyć, kiedy przeszukiwaliśmy go z Hickamem – przyznał Wiley. – Zgadzam się z panią, pani Bennett. Zastanawiam się tylko, ilu z potencjalnych obrażonych przez Shermana może korzystać z krtani elektronicznej?

Odpowiedź była jednoznaczna, podobnie jak wynikające z niej wnioski. Jordie usiadła na sofie i splotła ręce na brzuchu w podświadomym geście samoobrony.

– Nie sądzę, żeby zabił go wujek Clive – stwierdził Hickam.

– Ja też nie – zgodził się z westchnieniem Wiley. – Ten hotel jest za bardzo na widoku, żeby było tu bezpiecznie. Na wszelki wypadek przeniesiemy panią do naszej kryjówki.

– Zameldowaliście mnie pod fałszywym nazwiskiem i tylko obecni w tym pokoju wiedzą, że tu jestem.

– Wolałbym nie kłaść na tej szali pani życia – powiedział Wiley.

Nie sprzeciwiła się, chociaż nie wierzyła, że przenosiny zapewnią jej bezpieczeństwo. Panella miał długie ręce i trzydzieści milionów do dyspozycji. Jeśli będzie chciał ją znaleźć, to znajdzie.

Przez cały ten czas Hickam w regularnych odstępach dzwonił na nieznany numer w rejestrze komórki. Teraz znowu go wybrał. Słyszeli sygnał, ale nikt nie odebrał.

– Ja też kilka razy dzwoniłam. Bez skutku – wyjaśniła Jordie.

– Orientuje się pani, gdzie jest Josh? – zapytał Wiley.

– Błagałam go, żeby mi powiedział. Odmówił. Boi się, że Panella mnie obserwuje, więc jeśli pojedę do brata, Panella będzie deptał mi po piętach.

Wiley podrapał się po głowie.

– Josh musi być gdzieś w tych stronach, w przeciwnym razie nie zobaczyłby materiału o Shermanie w wiadomościach. Co mi umyka? Kiedy zabrał samochód z magazynu, mógł pojechać w jakiegokolwiek miejsce na kontynencie, ale wrócił tu, gdzie istnieje największe prawdopodobieństwo, że go złapiemy. Poza tym Panella właśnie tutaj zaczęłaby go szukać. Dlaczego wrócił? Przecież to nie jest tak, że ma tabuny przyjaciół i krewnych, którzy pomogliby mu się przycziąć. Wręcz przeciwnie, pomogłaby mu tylko jedna osoba na całym świecie.

Kiedy wypowiadał ostatnie zdanie, jego ton się zmienił i znowu stanął przed Jordie. Przeniosła spojrzenie na Hickama, który trzymał komórkę. Sytuacja zrobiła się trudna.

– Z całą pewnością go nie ukrywam – oznajmiła stanowczo Jordie, znowu patrząc na Wileya. – Niby jak?

– Nie mówiąc nam, gdzie teraz jest.

– Nie wiem! Powtórzyłam wam dokładnie naszą rozmowę. Przekonywałam go, że najlepszym wyjściem dla niego jest oddanie się w ręce policji i przyjęcie kary.

– Nie chciał o tym słyszeć – odparł Wiley.

– Nie... niezupełnie.

– Więc jak dokładnie było, pani Bennett? Co powiedział?

Wreszcie się mnie pozbędziesz, przypomniała sobie.

– Nic. Rozłączył się. Ale wydaje mi się, że przynajmniej skłoniłam go do zastanowienia się, czy zgłoszenie się na policję nie jest dobrym wyjściem.

Wiodła spojrzeniem po twarzach agentów, by ocenić, w jakim stopniu jej uwierzyli. Zaniepokoił ją tylko nieruchomy, przenikliwy wzrok Shawa. Odwróciła od niego oczy.

– No cóż, każdy policjant w tym stanie i poza jego granicami go szuka – odezwał się po chwili Wiley. – Lepiej, żeby sam się zgłosił, zanim zostanie złapany albo ranny w trakcie aresztowania.

– Albo zanim dorwie go Panella – dodał Hick.

– W Bogu nadzieja, że do tego nie dojdzie. Nie możemy jednak niczego zrobić, dopóki znowu się z nami nie skontaktuje. – Wiley wskazał komórkę w dłoni Hickama. – A ponieważ odezwał się do pani Bennett, z większym prawdopodobieństwem zadzwoni do niej niż do mnie, więc niech jeden z techników siedzi na tym telefonie jak kwoka na jajkach.

Na tym spotkanie się skończyło. Hickam usiadł przy biurku i zaczął dzwonić, załatwiając sprawy. Gwen przeprosiła i także wzięła do ręki telefon. Wiley podszedł do Shawa i kazał mu wstać.

– Zawiozę cię do szpitala.

– Pieprzę.

- Dość tego udawania twardziela. Jesteś tylko człowiekiem.
- O tak, na pewno jestem człowiekiem.
- Okay, więc daj sobie czas na wyzdrowienie.
- Wyzdrowieję.
- Nie, o ile nie wypoczniesz.
- Zostaję.
- Posłuchaj – powiedział Wiley gniewnie. – Nie chcę, żebyś mi umarł na rękach z powodu swojego uporu.
- Nie umrę. – Patrząc ponad ramieniem Wileya, Shaw swoje słowa skierował wprost do Jordie. – Ale Panella tak. Zamierzam go zabić.

Rozdział 31

Do Gwen Saunders dołączyło dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfów federalnych, wysportowanych młodych mężczyzn w dżinsach i czarnych koszulkach, których wezwano do pomocy przy przeniesieniu Jordie. Wspólnie z Hickamem i Wileym podjęli decyzję, że z akcją poczekają, aż zrobi się ciemno.

Shaw popierał zwłokę. Dawała im kilka godzin na zaplanowanie przenosin oraz wybór bezpiecznego domu w okolicy, który zapewni najlepszą ochronę.

Zostawił szczegóły techniczne pozostałym i skorzystał z propozycji Wileya, żeby się przespać. Nie chciał wracać do szpitala, ale jego ciało domagało się odpoczynku.

– Idź do sypialni Gwen, bo ją czeka sporo zajęć i nie będzie jej potrzebowała – zaproponował mu Wiley.

Jordie stała w grupie z Hickamem i szeryfami. Wyczuła jego spojrzenie, popatrzyła na niego i zaraz odwróciła wzrok. Nadal była wściekła z powodu jego podstępów. A może podróż z Panellą była powodem, dla którego nie chciała mieć z nim do czynienia. Tak czy owak, nie może wiecznie go unikać. Nawet jeśli zamierza, on jej na to nie pozwoli.

Wszedł do sypialni i zamknął drzwi. Chirurg zalecił, żeby przynajmniej przez tydzień Shaw nie moczył rany. Mimo to wziął prysznic, jedną ręką przytrzymując plastikowy worek na bandażu, drugą namydlając ciało i rozprowadzając szampon na włosach.

Wymienił opatrunek na świeży, miał je w zestawie, który przygotował chirurg, a Morrow mu oddał, gdy pojechali do Tobias. Były tam także antybiotyki i fiolka leków przeciwbólowych. Shaw zażył antybiotyk, z leku przeciwbólowego zrezygnował. Potrzebował snu, a nie kaca.

Kiedy wyszedł z łazienki, na stoliku leżała taca z room service'u. Pochłonął kanapkę z grillowanym serem i zupę z kurczaka z makaronem, notując w myślach, żeby później odszukać dobrego samarytanina i mu podziękować. Po posiłku z ulgą się położył.

Miał straszną ochotę udusić Jordie za to, że nie powiedziała mu o wycieczce z Billym Panellą do Kostaryki.

Niezależnie od tego miał też straszną ochotę się z nią bzykać.

Wsunął dłoń w dżinsy i sprawdził swój sprzęt. Z ulgą stwierdził, że pomimo cewnika, znieczulenia i wyczerpania działał sprawnie.

Fantazjując o miłosnym akcie z Jordie, zapadł w głęboki sen.

Obudziło go pukanie do drzwi. Usiadł szybko i zaraz zaklął, bo zapomniał

o oszczędzaniu lewego boku. W pokoju panował mrok. Shaw spojrzął na zegarek. Przespał prawie sześć godzin i już czuł, że sen dobrze mu zrobił.

W otwartych drzwiach stał Hickam.

– Przedstawienie zaczyna się za dwadzieścia minut.

– Dziękuję.

Zamiast się wycofać, Hickam nie ruszył się z miejsca.

– Nigdy cię to nie męczy?

– Co?

– Manipulowanie ludźmi. Oszukiwanie ich. Okłamywanie.

– Wszyscy kłamią.

– Tak to sobie tłumaczysz?

Shaw spuścił stopy na podłogę i wstał.

– Nie potrzebuję wymówek. To moja praca.

Poszedł do łazienki. Skorzystał z toalety, ochlapał twarz zimną wodą i wypłukał usta hotelowym płynem o smaku mięty. Potem jednak oparł dłonie o umywalkę i spuścił wzrok. Pytanie Hickama wirowało w jego myślach jak woda wokół odpływu.

Podniósł głowę i w lustrze spojrzął twardo w swoje zimne oczy, bezwzględne rysy. Zobaczył siebie tak, jak musieli widzieć go inni ludzie.

– Przeklęty Hickam – mruknął.

W sypialni sprawdził pistolet, wsunął go do kabury na pasku, po czym umieścił berettę w pochwie w cholewce buta. Włożył dwa blistry antybiotyków do kieszeni dżinsów i poszedł do salonu, gdzie trwały podobne przygotowania.

– Jak się spało? Boli cię bok? – zapytał Wiley.

– Jak diabli, ale czuję się lepiej. Wydarzyło się coś ważnego, kiedy spałem?

– Skontaktowaliśmy się z drukarnią, która wykonała zaproszenia. Od razu znaleźli zamówienie. Złożono je ponad pół roku temu. Impreza była fikcyjna, Josh podał fałszywe nazwisko, ale zaproszenia wysłano na adres, pod którym mieszkał, zanim się do nas zgłosił. Pani Bennett opróżniła mieszkanie i zapłaciła czynsz. Twierdzi, że nie znalazła zaproszeń ani niczego takiego.

– Przypuszczalnie odebrał przesyłkę i schował ją gdzieś indziej.

– Też tak uważam – powiedział Wiley. – Ukrył najważniejsze rzeczy plus wszystko, czego mógł potrzebować, żeby skontaktować się z siostrą.

– Myślisz, że ma taki przymus? – zapytał Shaw, który nigdy nie poznał Josha.

– Kontakty z nią? Owszem, tak sędzę. Miał jaja, żeby ukraść miliony, ale potem wszystko spieprzył, zanim naprawdę się do niego dobraliśmy. Starczyło mu sprytu, żeby nas oszukać i uciec, jednak nie potrafi się oprzeć, aby nie dzwonić do nas i do pani Bennett. Jest odważny czy głupi?

– Jedno i drugie.

– Właśnie. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Tak czy owak, obaj z Hickiem myślimy, że przygotował gdzieś w okolicy własny bezpieczny dom, który na niego czekał.

– Nie zaprzeczę. A skoro mowa o bezpiecznych domach, jak bezpieczny jest ten, do którego przenosimy Jordie?

– Bezpieczny – odparł Wiley. Wyglądał na wkurzonego, że to pytanie w ogóle padło.

– Jaki jest plan gry?

– Z hotelu wyjadą jeden za drugim trzy czarne SUV-y. Policjanci na motocyklach zablokują ruch uliczny. Zaraz za bramą każdy skręci w inną stronę.

– Nie sądzisz, że to zwróci uwagę?

– No właśnie. Jeśli Panella gdzieś się czai, pomyśli, że w jednym z nich jedzie Jordie. Dla zmyłki zostawimy też samochód Hicka na parkingu, który stoi tam od powrotu z Tobias. Inny z naszych agentów zaparkował auto na ulicy. Natychmiast po wyjeździe SUV-ów Hick przyprowadzi to auto na parking i zabierze Gwen, Jordie i mnie.

– Ilu funkcjonariuszy obserwuje hotel?

– Dwunastu umundurowanych. Większa grupa po cywilu kręci się po holu i przy wszystkich wejściach.

– Wiedzą, że szukają Panelli?

Wiley potwierdził.

– Aby odświeżyć im pamięć, rozesłaliśmy ostatnią jego fotografię.

– Na czym polega moje zadanie?

– Zniknąć do rana. Masz się gdzie zatrzymać?

– W Nowym Orleanie jest pełno pensjonatów.

– Spotkamy się wcześniej rano w moim biurze. Hick i ja prześlemy ci wszystko, co mamy na Josha Bennetta. Może dostrzeżesz trop prowadzący do jego kryjówki, który my przegapiliśmy.

Shaw rozmyślał o czekającym ich trudnym zadaniu. Nie był graczem zespołowym, nikt nie przyjął go dobrze w tej ekipie, gdzie współpraca była absolutnie niezbędna. Spojrzał na Hickama, potem pytająco na Wileya.

Wiley, podążając za jego wzrokiem i tokiem myślenia, powiedział:

– Nie lubi cię.

– Jestem zdruzgotany. Nadal chce być wrzodem na moim tyłku?

– Porozmawiam z nim, przekonam go, żeby był otwarty, jeśli chodzi o ciebie, ponieważ twoje szczególne umiejętności mogą się nam przydać. Hick i ja nie przepadamy za Joshem, ale nie chcemy, żeby Panella dorwał go pierwszy.

– Chcę przygwoździć Panellę.

– Tak mówiłeś. – Wiley przekrzywił głowę. – Ta sprawa nie nabrała wymiaru osobistego, co?

Shaw tylko na niego popatrzył.

Wiley westchnął.

– Tego się obawiałem. – Zmierzył Shawa spojrzeniem. – Postaraj się dzisiaj w nocy trzymać z daleka od kłopotów. Nikogo nie przeraż. Cokolwiek zrobisz, nie daj się aresztować. Nie zniosę dwóch dawek Xaviera Dupawa w jeden dzień.

Shaw uśmiechnął się porozumiewawczo.

Podeszła do nich Gwen Saunders.

– Panie Kinnard, opuścił pan mój pokój? Muszę zabrać swoje rzeczy.

– Proszę mi mówić Shaw i dziękuję za odstąpienie pokoju. To ty zamówiłaś jedzenie?

Gwen się uśmiechnęła.

– Wyglądałeś, jakbyś potrzebował się wzmocnić.

– Potrzebowałem. Dziękuję. Gdzie jest Jordie?

– Wkłada kamizelkę kuloodporną. – Wskazała zamknięte drzwi drugiego pokoju, po czym poszła do swojego.

Hickam zawołał Wileya do stołu, przy którym nad planem hotelu ustalał z szeryfami drogę wyjścia. Shaw udał, że wybiera jabłko z kosza owoców na minibarze. Kiedy nikt nie patrzył, wsunął się do pokoju Jordie i zamknął za sobą drzwi.

– Już idę – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Przebrała się w czarne dżinsy, białą bluzkę i sportowe buty. Pochylona nad łóżkiem, zapinała płócienną torbę. Skończywszy, odwróciła się i na widok Shawa wyprostowała, wrogo mrużąc oczy. Wzięła torbę z łóżka i podeszła do drzwi.

– Zejdź mi z drogi.

– Musiałem zrobić wszystko, żebyś mi wierzyła, Jordie.

– Powiedziałam: zejdź mi z drogi.

– Były chwile, kiedy siebie za to nienawidziłem...

– To jest nas dwoje.

– Ale były też takie, kiedy nienawidziłem ciebie, bo uniemożliwiłaś mi osiągnięcie celu.

– No, ślicznie. Zapisz to sobie, żeby nie zapomnieć. Może ci się przydać do manipulowania kolejnym zakładnikiem. To znaczy, jak wyczerpiesz błyskotliwe aluzje, półprawdy, oczywiste kłamstwa oraz zestaw innych sposobów zastraszania.

– Chciała go wyminąć, ale jej na to nie pozwolił.

– Nie wszystko było manipulacjami i kłamstwami.

Parsknęła śmiechem.

– Nigdy nie zdołasz mnie przekonać.

– To dobrze. Jestem zmęczony gadaniem.

Ujął jej twarz w obie ręce, wsunął palce we włosy i odwrócił ją plecami do drzwi.

Zesztywniała.

– Jeśli mnie nie puścisz, zacznę wrzeszczeć i postawię cały ten cholerny hotel na nogi.

Zbliżył twarz do jej twarzy.

– Kiedy leżałem z łopatką we flakach, nie skorzystałaś z okazji. Nie uciekłaś. Dlaczego?

– Gdybym musiała zrobić to jeszcze raz...

– Możesz. Tu i teraz. Wrzeszcz, ile sił w płucach. Ale myślę, że gdybyś chciała, już byś to zrobiła. – Lekko ją pocałował.

– Przestań.

Próbowała odwrócić głowę na bok, ale trzymał ją mocno, muskając wargami kącik jej ust.

– Przestań. Mówię poważnie, Shaw. Nie chcę tego.

– Nie, ty nie chcesz tego chcieć. To wielka różnica.

Zaczął ją całować tak, jak sobie wcześniej wyobrażał, jak fantazjował jego oszołomiony lekami umysł, jak pragnął od pierwszego spojrzenia na jej twarz.

Nie obchodziło go, ile zasad etycznych łamie, jak wielu agentów federalnych kręci się w sąsiednim pokoju ani – niech Bóg mu wybaczy – czy Billy Panella we własnej osobie tam jest. O ile Jordie nie przejdzie od słów do czynów i nie powstrzyma go, będzie namiętnie całował jej usta, nie przestanie, dopóki pozwoli mu na to ona i czas.

Nie powstrzymała go. Kiedy wsunął język w jej usta, nie spotkał się z oporem. Po wolnym tańcu cofnął język na tyle, by czubkiem przelotnie musnąć wewnętrzną stronę jej górnej wargi. Pieszczota była tak naładowana erotyzmem, że Jordie zaczęła oddychać równie szybko i urywanie jak on. Pragnąc więcej, znowu wsunął język głęboko.

Wypuściła z ręki torbę, która spadła mu na but. Odepchnął ją, przyciągnął Jordie bliżej i dopasował ich ciała jak fragmenty układanki. Wstrzymała oddech. Był zły, bo ta przekłeta kamizelka kuloodporna chroniła przed nim jej piersi.

Jordie uniosła rękę. Przesunęła kciukiem po bliźnie na jego brodzie, potem poskrobała ją lekko zębami. Przygryzł jej wilgotną wydatną dolną wargę. A potem znowu namiętnie i gorączkowo się całowali. Może szalona zuchwałość tej sytuacji sprawiała, że było im tak cholernie dobrze.

Pomyślał jednak, że to wielkie, wypełniające go po brzegi pożądanie wywołuje bardziej kobieta niż okoliczności.

Położył dłoń na jej piersi, nacisnął w miejscu, w którym, jak sądził, był sutek, potem zsunął ją niżej, między uda, i tam ją gładził. Jęknęła i wygięła ciało, poddając się łagodnej pieszczocie.

Uniósł głowę i chrapliwie szepnął:

– Będę cię miał, Jordie.

W jej oczach nadal błyszczał gniew, chociaż teraz było w nich także pożądanie.

– Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja, prawda?

Wolno kiwnęła głową.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Pani Bennett? – powiedział Hickam.

Shaw ścisnął ją lekko, potem zabrał rękę. Cofnął się, gestem kazał stanąć z boku i otworzył drzwi.

– Jest gotowa.

*

Zanim Hick wyszedł z apartamentu, Joe powtórzył z nim szczegóły akcji.

– Masz słuchawkę?

Hick poklepał się po uchu.

– Nie wyłączaj jej. Dam znać, kiedy wsiądziemy do windy.

– Zapasowy samochód stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy mniej więcej w połowie przecznicy od hotelu. – Hick pokazał mu elektroniczny klucz. – Wjeżdżam na parking w chwili, kiedy SUV-y z niego wyjadą. – Spojrzał na jedzącego jabłko Shawa Kinnarda. – Kiedy mnie posłałeś po panią Bennett, on z nią był. Otworzył drzwi. Z pokoju buchnął żar.

Joe nie zdążył tego skomentować, gdy podszedł Kinnard.

– Na pewno nie chcecie mojej pomocy?

– Mamy pomoc. – Hick zabrał bluzę z fotela i podał mu. – Nie zapomnij o niej. Chyba nie chcesz, żeby cię rozpoznano i aresztowano, kiedy będziesz się wieczorem włóczył po ulicach.

Kinnard dał jasno do zrozumienia, co sądzi o tym cholernym polarowym piecu, ale z jabłkiem w zębach włożył bluzę.

Hick wyszedł, zabierając torby kobiet do samochodu. Szeryfowie ruszyli za nim, żeby zająć pozycje na parkingu.

Kinnard skończył jabłko i wrzucił ogryzek do kosza na śmieci.

– Chyba powinienem się zwijać.

– Środek transportu?

– Coś wykombinuję.

Joe w to nie wątpił.

Kinnard nie pożegnał się z Jordie, ale przystanął w progu apartamentu i posłał jej znaczące spojrzenie. Udając, że tego nie widzi, Joe podszedł do niej.

– Wszystko gotowe, pani Bennett?

– Powiedział mu pan o Kostaryce?

– Komu, Kinnardowi?

– Powiedział pan?

– Musiał się dowiedzieć, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wskazuje na to, że Panella jednak nie przebywa w odległym kraju... Boi się pani jego zemsty?

– Nie może się mścić. Jest agentem federalnym.

Joe odczekał sekundę i sucho wyjaśnił:

– Miałem na myśli Panellę.

– Och.

Jordie nadal płonęła ze wstydu, kiedy Gwen, która rozmawiała przez telefon, rozłączyła się i powiedziała:

– Ci na dole są gotowi.

We troje wyszli z apartamentu i ruszyli korytarzem do windy zapewniającej gościom bezpośrednie połączenie z podziemnym parkingiem. Joe przez mikrofon przypięty do klapy informował biorących udział w akcji funkcjonariuszy, że są w drodze.

W windzie milczeli, chociaż Joe ukradkiem studiował odbicie twarzy Jordie w mosiężnych drzwiach. Minę miała zamysłoną, czoło lekko zmarszczone. Zastanawiał się, co konkretnie wpędziło ją w taką zadumę.

Może niepokoiło ją, że Kinnard wie o jej romantycznym wypadzie z Panellą, którego poprzysiągł wsadzić do pudła albo rozwalić. A tymczasem oboje z Kinnardem rozgrzewali pokój do czerwoności. Dziwna dynamika rodzącego się uczucia.

Wcześniej zadzwonił do Marshy, żeby ją uprzedzić, że wróci późno – znowu. Zrelacjonował wypadki w Tobias i zaszokował ją odkryciem prawdziwej tożsamości Shawa Kinnarda.

– Dobry jest. Oszukał Jordie Bennett. Nas także. Hick o mało go nie zastrzelił.

– Jaki on jest?

– Nie rozumiem.

– Jako człowiek.

Joe próbował przedstawić opis, zwierzał szyki, cofał się, zaczął od nowa.

– Maverick, Iceman czy Goose? – przerwała mu Marsha.

– Podchwytliwe pytanie.

– Którym z nich jest?

– Nie wiem, Marsha. Jest...

– Z tej trójki.

– W takim razie Icemanem.

– Okay.

Zanim się rozłączył, zapytał jeszcze:

– A którym jestem ja?

– Ty to Goose. Bez dwóch zdań.

Nieco rozczarowująca odpowiedź.

Winda stanęła, drzwi się rozsunęły. Czekali na nich dwaj młodzi szeryfowie. Jeden podniósł rękę.

– Poczekajcie. Jadą SUV-y.

Joe z windy patrzył na trzy pędzące pojazdy. Wyglądały oficjalnie i onieśmielająco z przyciemnionymi szybami i światłami błyskającymi w wyrafinowanych maskownicach.

– Opuściły parking – oznajmił po chwili jeden z szeryfów. – Policjanci na motocyklach wznawiają ruch na ulicy.

– Dobra, Hick, możemy jechać – powiedział Wiley do mikrofonu.

– Zaczekajcie – wtrącił szeryf. – Mamy kłowna na trzeciej.

Gwen kazała Jordie cofnąć się w kąt windy. Joe szepnął do Hicka, żeby poczekał, a sam wyjął broń i przez drzwi spojrział na ulicę, po której wolno szedł „kłown”. Automatyczne ramię w czerwono-białe pasy przy kasie nie zrobiło na nim wrażenia, okrążył je, nie zmieniając tempa.

Miał na sobie rdzawą bluzę z kapturem, okulary z niebieskimi szklami, kilka sznurów koralików na Mardi Gras i śmiał się do komórki, którą trzymał przy uchu.

– Cholera. – Jeden z szeryfów wyraźnie się odprężył. – To Kinnard.

W chwili, gdy rozpoznał Kinnarda, na parking wpadli dwaj policjanci, jeden w cywilu, drugi umundurowany.

– To nasz! – zawołał do nich szeryf. – Wszystko pod kontrolą.

Policjanci pomachali i się wycofali.

– Możesz jechać, Hick – powiedział Joe.

Kinnard zrezygnował z udawania i schował komórkę do kieszeni. Ściągnął kaptur i okulary, podchodząc do windy.

– Rozwalasz plan – odezwał się Joe.

– Zły plan. Gdzie jest Jordie? – Joe gestem wskazał windę. Kinnard zajrzał do środka, kiwnął głową do Jordie, po czym zapytał: – A gdzie Hickam?

– W drodze. Masz inny plan?

– Jedziesz z przodu. Jordie siedzi między mną a Gwen z tyłu. – Spojrzał na wejście. – Skoro ja się tu wkręciłem, Panella też może.

– Policjanci deptali ci po piętach.

– Owszem, ale... – Rozejrzał się po parkingu. – Ten ma wiele dziur.

– Panella jest za sprytny, żeby wchodzić...

– Ale mógł wysłać następnego Mickeya Boldena, który rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i nie ma nic do stracenia. Kurwa, gdzie ten Hickam?

– Powinien tu być w każdej chwili.

– Zgadzam się, powinien. Jak daleko stąd zaparkował?

– W połowie przecznicy.

– W połowie przecznicy? – Kinnard spojrział na Joego.

Patrzyli na siebie przez ledwo ułamek sekundy, po czym obaj równocześnie

pobiegli do wejścia. Wyciągając broń, Kinnard zawołał do szeryfów:

– Nie spuszczać Jordie z oka!

Na ulicy Joe wezwał dwóch funkcjonariuszy, którzy wcześniej wpadli za Kinnardem na parking. Odwrócili się i ruszyli za nimi.

Kinnard dotrzymywał kroku Joemu.

– Jak wygląda ten nowy samochód?

– Jak samochód Hicka – wysapał Joe.

– Cholera, ciemno tu.

– O to chodziło.

W tej samej chwili dostrzegli auto i popędzili ku niemu. Joe z kilku metrów zobaczył, że Hick siedzi nieruchomo za kierownicą. Gwałtownie stanął.

– O nie! Nie, nie, nie!

Kinnard nie zwolnił. Ostatni metr pokonał ślizgiem i z rozmachem zatrzymał się na samochodzie. Otworzył drzwi od strony kierowcy. Hick się nie poruszył, przechylony na sąsiedni fotel. Miał krew na twarzy, szyi i ramionach. Lewy rękaw marynarki był mokry, ze zwisającej dłoni kapłała krew.

Shaw przytknął mu palce do szyi.

– Czuję puls! – krzyknął.

Dopiero kiedy później Joe zobaczył siniaki na kolanach, przypomniał sobie, że dosłownie padł na nie, bo poczuł ulgę. W tamtej chwili majstrował przy mikrofonie, krzycząc:

– Ranny funkcjonariusz!

Dwóm policjantom, którzy się z nim zrównali, kazał wezwać pogotowie.

W ciągu kilku sekund ze wszystkich stron nadbiegli funkcjonariusze. Joe z wysiłkiem wstał i chwiejnie podszedł do samochodu, gdzie Kinnard przyciskał palce do szyi Hicka. Sączyla się przez nie krew.

Joe zamrugał, usuwając z oczu mieszaninę potu i łez.

– Jest przytomny?

– Nie.

– Myślisz, że dostał w arterię szyjną?

– Jebany Panella.

– Wyjdzie z tego?

Kinnard już chciał coś powiedzieć, ale przyjrzał się uważnie Joemu i dokonał szybkich poprawek.

– Oddaj do pralni ten garnitur, zanim Hick oprzytomnieje. Wkurzy go, że tak się upieprzył.

Joe chciał mu podziękować, ale gardło miał zbyt ściśnięte, by wykrztusić choć słowo.

Wydawało się, że trwa to wieczność, w rzeczywistości jednak już po kilku minutach zahamowała koło nich karetka na sygnale. Ratownicy odepchnęli Joego

i Kinnarda, wyciągnęli Hicka z samochodu i rozpoczęli akcję. Zanim do Joego dotarło, co właściwie się dzieje, pasami przypięli jego partnera do noszy i umieścili je w karetce.

Instynkt mówił mu, żeby także wsiąść i z nim pojechać. Hick może tego nie przeżyć. Jeśli jeszcze nie umarł, kto wie, czy nie umrze w drodze. Joe musi z nim być. Musi jechać!

Jednak jako funkcjonariusz wiedział, że najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić dla Hicka, niezależnie od tego, czy partner przeżyje, czy umrze, było złapanie sukinsyna, który do niego strzelił.

Wozy patrolowe policji nowoorleańskiej zablokowały ulicę. Policjanci w samochodach i pieszo przeczesywali okolice w poszukiwaniu strzelca. Dwaj ubrani po cywilnemu detektywi z wydziału zabójstw wzięli na bok Joego.

Wyjął swoją odznakę i opisał sytuację.

– Wybiegł pan z parkingu w poszukiwaniu agenta Hickama? – zapytał jeden.

– Spóźniał się, co było dla mnie znakiem, że stało się coś złego.

– Znalazł go pan w samochodzie?

– Tak – odparł Joe. – My...

Nagle urwał i rozejrzał się. Policjanci wykonywali swoje obowiązki. Umundurowani trzymali na dystans ciekawskich, którzy już zaczęli się gromadzić za prowizoryczną barykadą. Detektywi po cywilu przesłuchiwali Gwen i jej dwóch kolegów z biura szeryfa federalnego.

Nigdzie nie było śladu Shawa Kinnarda i Jordie Bennett.

Rozdział 32

- Dokąd idziemy?
- Nie zatrzymuj się.

Shaw przeprowadził Jordie przez Canal Street. Szedł szybko i zdecydowanie, ale musieli się zmagać ze strumieniem przechodniów, których zwabiło jakieś wydarzenie za hotelem, cel pędzących pojazdów z błyskającymi światłami i włączonymi syrenami.

Przeszli przez tory tramwajowe na środku ulicy i tam zatrzymało ich czerwone światło. Gdyby Shaw jej nie ciągnął, Jordie nie mogłaby za nim nadążyć.

Nie zwalniając kroku, zdjął bluzę i odwróconą na lewo rzucił na kolana bezdomnego, który póleżał w bramie opuszczonego budynku. Mężczyzna nie podniósł głowy.

Po drugiej stronie zatłoczonego bulwaru wkroczyli do Dzielnicy Francuskiej, pełnej ludzi nawet w poniedziałkowy wieczór. Zajęty klientami sprzedawca na stoisku z pamiątkami nie zauważył, kiedy Shaw zerwał z wieszaka koszulkę we fioletowo-złoto-zielone pasy z wyszytą cekinami lilią na piersi.

Podał koszulkę Jordie.

- Włóż to na bluzkę.

Zwędził także czapkę z logo uniwersytetu z głowy wypchanego aligatora oraz kilka sznurów koralików na Mardi Gras wiszących na haczyku. Sam włożył czapkę, a koraliki dał Jordie.

Było jej gorąco w ciężkiej kamizelce pod bluzką, w kolejnej warstwie całkiem się rozplynie, ale kiedy Shaw kazał jej ubrać się w jaskrawą koszulkę, zrobiła to bez wahania.

- Z Hickamem jest źle?
- Źle.
- Myślisz, że umrze?
- Przypuszczalnie.

Zabrakło jej tchu.

- Powinniśmy wrócić.
- I pozwolić, żeby Panella ciebie także dorwał?
- Nie możesz mieć pewności, że to Panella.
- Powtarzaj to sobie, skoro poprawia ci to samopoczucie.
- Uciekliśmy z miejsca zbrodni. Joe Wiley będzie wściekły.
- Oddałem mu przysługę.
- Jak to?

- Ma dzisiaj wieczorem jeden problem mniej do rozwiązania.
- Nie sędzę, że tak będzie na to patrzył.
- Ja też nie.
- Zawsze możesz mu powiedzieć, że mnie aresztowałeś.

Zarzucił jej rękę na plecy jak czuły kochanek, przyciągnął do boku i ustami odgarnął jej włosy z ucha.

- To prawda.

Zaskoczona, odchyliła głowę i spojrzała na niego. Górną połowę twarzy zakrywał mu cień z daszka baseballówki, ale zaciśnięta szczęka wysyłała jednoznaczny przekaz. Nie żartował. Próbowala się od niego uwolnić, ale trzymał ją mocno, choć podczas szarpaniny pojękiwał z bólu.

- Nie możesz mnie aresztować.
- Jasne, do diabła, a jeśli nie przestaniesz, skuję cię za stawianie oporu.
- Za co mnie aresztujesz?
- Za okłamywanie agentów federalnych. Tamci się nie zorientowali, ale ja

tak.

- Kiedy skłamałam? W jakiej sprawie?
- Rozmowy telefonicznej z Joshem.
- Nikt by nie wiedział, że do mnie zadzwonił, gdybym o tym nie powiedziała. Mówiłam prawdę.
- Może i tak, ale co pominęłaś?

Milczała.

– Uhu. Chcę usłyszeć te brakujące fragmenty, Jordie. Na razie uważaj się za aresztowaną. – Wygłosił stosowną formułkę, szepcząc jej do ucha konstytucyjne prawa, jakby to były słodkie czułości.

Mimo że od hotelu oddalili się o wiele przecznic, Shaw nadal bacznie się rozglądał. Odgrywając rolę zakochanego, szukającego z partnerką wieczornej zabawy, pozostawał uważny i czujny. Wepchnął do kieszeni poplamioną krwią dłoń, żeby nikt jej nie dostrzegł. Gdy nad ulicą zaczął nisko krążyć policyjny helikopter, pociągnął Jordie do stoiska z daiquiri, gdzie stali w kolejce, dopóki nie odleciał.

Raz przystanął gwałtownie na środku wąskiego chodnika, pośród bandy hałaśliwych, pijanych młodych mężczyzn, i wdał się w rozmowę z jednym z nich, jakby byli kumplami.

- Mamy jakiś cel? – zapytała, kiedy ruszyli dalej. – Dokąd mnie zabierasz?
- Shaw nie odpowiedział, ona nie naciskała.

Dobrze znała miasto i Dzielnicę Francuską, wiedziała więc, że przemierzając ulice i wpadając do zatłoczonych sklepów, krąży w kółko i często chodzi po własnych śladach.

- Boisz się, że nas śledzą? – odezwała się wreszcie.

– Właściwie chciałbym. Nic by mnie tak nie ucieszyło, jak depczący nam po piętach Panella.

– Dlaczego?

– Mógłbym go zlikwidować i nie musiałbym się tłumaczyć.

Teraz też nie żartowałem.

Chodzili jeszcze przez pół godziny. Shaw albo osłabł, albo się przekonał, że nikt ich nie śledzi. Zwolnił tempo i obejrzawszy się ostatni raz za siebie, skręcił za róg.

Ta uliczka w przeciwieństwie do hałaśliwych arterii handlowych była ciemna i cicha. Starsza para prowadziła na smyczy wiekowego psa, poza tym nikogo nie widzieli.

Tuż przed następnym rogiem Shaw zatrzymał się przed żeliwną furtką prowadzącą do wąskiego zaułka pomiędzy dwoma ceglanymi budynkami z zamkniętymi okiennicami. W szparach w tynku rosły maleńkie mchy.

Wystukał cyfry i otworzył kłódkę, pchnął furtkę. Zawiasy zaskrzypiały. Jordie pomyślała, że może hałas służy za alarm.

Kiedy znaleźli się w środku, Shaw sięgnął między ogrodzenie i umieścił kłódkę na miejscu. Wziął Jordie za rękę i poprowadził zaułkiem niewiele szerszym od jego ramion. Kamienie były luźne i nierówne, śliskie od mchu.

Z zaułka wyszli na ogrodzony dziedziniec, osłonięty niczym baldachimem konarami wielkiego dębu. Niegdyś pewnie uroczy ogród teraz był zapuszczony, winorośle na murze po części zdziczały, po części uschły. Cherubinowi w środku betonowej fontanny brakowało ręki i smętnie wpatrywał się w mętną wodę u swoich stóp.

Shaw ruszył po metalowych schodach umocowanych na ścianie domu, ciągnąc Jordie za sobą. Na ich szczycie wyjął luźną cegłę, zabrał leżący pod nią klucz i otworzył drzwi. Poprowadził swoją towarzyszkę w ciemność za progiem. Zamknął drzwi i dopiero wtedy zapalił światło.

Rzucił klucz na półkę z książkami, podszedł do okna i włączył klimatyzator.

– Nie byłem tu od kilku dni, więc trochę potrwa, zanim się ochłodzi.

Jordie ze zdziwieniem rozglądała się wokół siebie. Salon od wnęki kuchennej oddzielał barek, drzwi po lewej prowadziły do sypialni. Mieszkanie było tanio, ale wygodnie urządzone, meble tak rozstawiono, by zajmowały jak najmniej niewielkiej powierzchni.

– Mieszkasz tutaj? – zapytała.

– Nie, moją stałą siedzibą jest mieszkanie w Atlancie. O ile tak to można nazwać. Rzadko tam bywam.

– Więc? – Uniosła rękę, spoglądając na niego pytająco.

– Dom należał do moich rodziców. Dawno temu tanio go kupili. Zatrzymywaliśmy się tutaj, kiedy odwiedzaliśmy dziadków. Mama lubiła Dzielnicę

Francuską.

– Ktoś mieszka na dole?

– Już nie. Pewien kawaler wynajmował mieszkanie od moich rodziców, ale kiedy się wyprowadził, oni... – urwał tak nagle, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. – Nieważne.

– Chyba jednak ważne. Gdyby nie było, nie trzymałbyś domu przez cały czas.

*

Shaw się odwrócił, zanim zdążyła stwierdzić, że trafiła w sedno.

– Zaraz wracam. – W drzwiach sypialni przystanął. – Nawet nie myśl o ucieczce.

Z sypialni wszedł do łazienki. Za pomocą mydła w płynie i tak gorącej wody, jaką mógł znieść, zmył krew Hickama z rąk, starając się nie myśleć, jak dużo jej tryskało.

Kiedy woda w umywalce była czysta, wytarł ręce, odchylił bandaż, by sprawdzić ranę, i wrócił do salonu. Jordie zdjęła koszulkę, koraliki i kamizelkę kuloodporną; wszystko poukładała na fotelu. Nadal stała w tym samym miejscu co wcześniej, z niedowierzaniem wodząc wokół siebie spojrzeniem.

– Co?

– Jesteś pełen niespodzianek, to wszystko.

Ruszył do kuchni.

– Mieszkanie się przydaje. Zatrzymałem się tu, kiedy prowadziłem śledztwo w sprawie Panelli. W zeszły czwartek przed spotkaniem z Mickeyem Boldenem zrobiłem zapasy jedzenia i wody na wypadek, gdyby rozwój wydarzeń w Tobiasz zmusił mnie do przyczajenia się na jakiś czas. Co ja wtedy wiedziałem? – Z lodówki wyjął dwie butelki wody i jedną podał Jordie.

– Czemu nie przywiozłeś mnie tutaj zamiast do tego brudnego warsztatu? – zapytała, kiedy oboje się napili.

– Za wygodnie, za dużo ludzi dokoła, za wiele możliwości ucieczki. Potrzebowałem miejsca odizolowanego i nieprzyjemnego.

– Żeby mnie przerazić i torturować.

– Nie torturowałem cię, ale zapamiętam pomysł. Niewykluczone, że później do tego dojdzie.

Wyjął komórkę z kieszeni koszuli i zadzwonił do Wileya, który odebrał dopiero po kilku sygnałach. Sądząc z głosu, był fizycznie wyczerpany i emocjonalnie rozbity.

– To ja – powiedział Shaw.

– Ona jest z tobą?

– Patrzę na nią.

Jordie gestem dała mu znać, żeby przełączył na głośne mówienie, ponieważ także chciała słyszeć rozmowę.

– Hickam? – zapytał Shaw, obawiając się najgorszego.

– Żyje. Stan krytyczny.

Wstrząśnięta Jordie przysiadła na oparciu fotela, na którym ułożyła rzeczy. Jeszcze przed zamordowaniem Royce'a Shermana mówiła, że nie chce, by kolejna osoba zginęła, a teraz ofiarą był Hickam.

– Jesteś w szpitalu? – zapytał Shaw.

– Właśnie przyjechałem. Detektywi mnie zwolnili. Hicka operują, musieli opróżnić swój bank krwi. Niewykluczone, że potrzeba będzie cudu, aby z tego wyszedł.

Shaw przecesał włosy palcami.

– Przykro mi, stary.

– Dziękuję. – Wiley odchrząknął. Po krótkiej chwili zapytał: – Dlaczego uciekłeś?

– Ze względu na bezpieczeństwo Jordie.

– Śmieszne. Ty i bezpieczeństwo do siebie nie pasujecie.

– Aresztowałem ją i odczytałem jej prawa.

– Naprawdę? Dlaczego teraz?

– Doszedłem do przekonania, że nie do końca była z nami szczerą – odparł Shaw, patrząc Jordie prosto w oczy. – Wie więcej, niż mówi. Pewne jak diabli, że Panella czegoś się boi, w przeciwnym razie nie wysyłałby jej ostrzeżeń. Zabił Royce'a Shermana, bo ten za dużo gadał. Teraz Hickam...

– To nie był Panella.

Shaw skrzywił się, jakby znowu dźgnięto go tą łopatką.

– Co?

– Kamera bezpieczeństwa nagrała podejrzanego idącego szybko chodnikiem w kierunku samochodu Hicka. To było na minutę, góra dwie przed motocyklistami, którzy zatrzymali ruch. Wyglądał na członka gangu ulicznego.

– Aresztowano go?

– Nie.

– Ustalono tożsamość?

– Nie. Nie mają wyraźnego obrazu twarzy. Był w bluzie z kapturem.

– Bluza z kapturem?

– Ciemny kolor jak twoja. Detektywi przypuszczają, że Hick wziął go za ciebie i opuścił szybę.

Myśli Shawa wirowały, ale zawsze wracały do jednego punktu: ile trzeba zbiegów okoliczności, żeby jakiś członek gangu w bluzie podobnej do jego bluzy trafił akurat w to miejsce w tym wąskim przedziale czasu.

Przypomniał sobie zwisającą rękę Hickama z drogim zegarkiem zalany

krwią na przegubie.

– Sprawca coś zabrał? Portfel? Broń?

– Nie.

– Więc tego nie kupuję. – Zdawał sobie sprawę, że Wiley nie jest w nastroju do dyskusji, ale istniało niebezpieczeństwo, że cenny czas zostanie zmarnowany przez błędny wniosek policji nowoorleańskiej. – To był Panella.

– Mówiłem im to. Wiele razy. Detektywi odnosili się do tego podejrzliwie.

– Widziałeś nagrania z kamery bezpieczeństwa?

– Jeden ze śledczych pokazał mi je na swoim iPadzie. – Wiley się zawahał. – Było ciemno, Hicka napędzała adrenalina, chwilę wcześniej dał ci tę bluzę, żebyś ją włożył, więc to prawdopodobne, że mógł pomylić faceta na chodniku z tobą.

– Ale?

– Inna sylwetka. O wiele od ciebie niższy.

– To był Panella.

– Tylko że oszczędzał lewą stronę ciała. Szedł szybko, chociaż utykał.

Jordie wydała cichy okrzyk przestachu.

Shaw spojrział na nią uważnie.

– Zadzwoń później – powiedział do słuchawki.

*

Joe siedział w poczekalni z łokciami na kolanach i pochyloną głową, wpatrując się w brzydki dywan pod stopami, modląc się. Coś w tym rodzaju. Ponieważ wiedział, że to robiłby Hick, gdyby jego życie wisiało na włosku.

– Joe?

Podniósł głowę i zobaczył Marszę. Był taki wściekły, że chciał na nią krzyknąć, a jednocześnie jej widok go ucieszył i nie pozostało mu nic innego, jak tylko wstać i wyciągnąć do niej rękę. Wsunęła się w jego objęcia i długą chwilę po prostu się tulili. Chłonał jej zapach, myśląc przy tym, jak bardzo jest dla niego ważna. Wszystko w niej. Bezczelny humor. Miękkie znajome ciało. A w tej chwili jej siła.

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, wytarł oczy, ale surowym tonem powiedział:

– Powinnaś siedzieć zamknięta w domu i pod strażą.

Chociaż Kinnard nagle i bez wyjaśnienia przerwał rozmowę, jego upór, że sprawcą jest Panella, zaniepokoił Joego na tyle, że zwrócił się o policyjną ochronę swojej rodziny. Jeśli rzeczywiście to był Panella, traktował sprawę osobiście i walczył nie fair. Joe nie zamierzał ryzykować bezpieczeństwa żony i dzieci.

– Musiałam się z tobą zobaczyć – odparła Marsha. – W domu jest policjantka, dzieci śpią i nie wiedzą, że wyszłam. Przywiózł mnie jeden z funkcjonariuszy. Dał mi piętnaście minut. – Kilka razy go pocałowała. – Jak się

czuje Hick?

Poprowadził ją do sofy i oboje usiedli. Przytuliła się do niego, dodając mu sił.

– W ostatniej chwili Hick musiał się zorientować i próbował się uchylić. Strzelec nie trafił w głowę, tylko w szyję. Tutejszy personel czekał na chirurga naczyniowego, który przeprowadził operację. Hick stracił dużo krwi. Ludzie ze wszystkich agencji stawili się do punktu krwiodawstwa w szpitalu. Nawet Morrow, pamiętasz, wspominałem ci o tym zastępcy szeryfa? Więc nawet on przyjechał z kilkoma funkcjonariuszami ze swojego wydziału.

– W telewizji mówili, że poszukują podejrzanego, którego nagrała kamera bezpieczeństwa.

– Próbują go zidentyfikować, ale...

– Uważasz, że to Billy Panella.

– Dziewczyna z Tobias mówiła, że zabójca Royce'a Shermana mówił przez krtań elektroniczną. Nikt przy niej o tym nie wspomniał, więc czy mogłaby wymyślić tego rodzaju szczegół? A ten, co strzelił do Hicka, miał bluzę podobną do tej, którą Hick dał Kinnardowi. Jakby robił sobie z nas żarty.

– Skąd miałyby wiedzieć, gdzie umieściliście Jordie Bennett? Albo o Kinnardzie i jego bluzie?

– Sam zadaję sobie to pytanie. Przychodzi mi do głowy tylko jedno: wrócił na miejsce zbrodni w Tobias. Żeby powęszyć. Napawać się. Może nas tam widział. Pojechał za nami do hotelu. Moja przyczepa go nie zmyliła. Musiał tylko nie spuszczać z oka wozu Hicka. – Joe uderzył się pięścią w kolano. – Jest piekielnie sprytny i znowu mnie przechytrył, niech to szlag. Pół roku temu wyczuł, że idziemy z Hickiem po niego, i zwinął się w ułamku sekundy. Czy kiedyś uda mi się złapać tego skurwysyna?

Marsha pomasaowała go po kręgosłupie.

– Joe, nie rób sobie tego. Nawet nie wiesz na pewno, że to Panella.

– Kinnard nie ma wątpliwości. Jest przekonany na sto procent.

– Gdzie on jest?

– To inna historia. – Opowiedział jej o zniknięciu Kinnarda z miejsca zbrodni. – Twierdzi, że aresztował Jordie Bennett.

Marsha podniosła brwi.

– Właśnie. – Powtórzył jej, co mówił Hick o rozgrzanej atmosferze w pokoju hotelowym. W odpowiedzi tylko mruknęła z namysłem:

– Hm.

Znał to mruknięcie.

– Co?

– Wszyscy mężczyźni w jej życiu rządzą nią, popychają w różne strony. Żal mi jej.

– Niepotrzebnie. Na razie. Kinnard może jej pożąda, ale myśli, że ona wie więcej, niż mówi.

– A ty jak uważasz?

– Zgadzam się z nim. Ona coś ukrywa.

– Na temat Panelli? Na swój temat?

– Możliwe, chociaż twierdzi, że nie. Ale zmienia się w niedźwiedzicę, kiedy chodzi o Josha. Słyszałaś, co mu dzisiaj rano poleciłem. – Marsha leżała obok niego w łóżku, kiedy Josh zadzwonił przed świtem. – Specjalnie chciałem go przestraszyć, żeby się oddał w ręce policji. To było przed odkryciem ciała Royce’a Shermana. Według pani Bennett po tej wiadomości ześwirował. A teraz Hick? Jeśli uzyskamy potwierdzenie, że to Panella...

Zadzwonił telefon. Joe odebrał.

– To był Panella – powiedział Kinnard.

*

– Chorował na młodzieńcze zapalenie stawów. – Shaw przystawił telefon do twarzy Jordie. – Powiedz mu.

– Generalnie z tego wyrósł, ale problem powraca, kiedy jest bardzo zmęczony albo chory, nawet jeśli są to drobne dolegliwości w rodzaju anginy. Wystarczy, że ma osłabiony system odpornościowy, i od razu czuje ból w stawach, zwłaszcza w lewym kolanie. To powoduje, że utyka.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał Wiley.

– Ani ja – odparł Shaw. – Nikt o tym nie wiedział.

– Z wyjątkiem pani Bennett.

– Właśnie. Z wyjątkiem niej.

Zarumieniała się, słysząc gniew w głosie Shawa.

– Mówi, że Panella wstydzi się tego utykania – relacjonował Kinnard. – Świetnie mu wychodzi ukrywanie go.

– Chyba że idzie zabić.

– Tak sędzę. – Shaw chwilę milczał, potem zapytał Wileya, jak się trzyma.

– Dobrze. Żona tu jest. – Opowiedział Shawowi o ochronie policyjnej, której zażądał dla rodziny.

– Doskonały ruch – skomentował Shaw. – Może lepiej byłoby wywieźć ich z miasta.

– Zajmę się tym, jak tylko będę więcej wiedział o stanie Hicka.

– Operacja nadal trwa?

– O ile wiem, to tak. – Głos mu się załamał i zmienił temat. – Powiesz mi, gdzie jesteś?

– W moim własnym bezpiecznym domu. Panella nas tu nie znajdzie.

Wiley westchnął, ale dał temu spokój, pewnie dlatego, że nie miał siły do

dalszej dyskusji.

– Czy brat odezwał się do pani Bennett?

– Nie. A ja nie spuszczałem jej z oka. U ciebie coś nowego?

– Nie. Byłem pewien, że Josh zadzwoni w panice, kiedy się dowie o Hicku.

Jordie chyba myślała tak samo. Shaw z jej miny odgadł, że niepokoi ją milczenie brata.

– Jak się czujesz? – zapytał Wiley. – Bok boli?

– Jest lepiej, ale muszę się położyć. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz o Hickamie. Pora nie gra roli.

– Dobrze.

– Stawiam wszystkie pieniądze, że z tego wyjdzie.

– Ratownicy mówili, że przypuszczalnie uratowałeś mu życie, tamując krwotok.

– Miejmy taką nadzieję.

– Tak. – Głos Wiley'a znowu zadrżał z emocji. Odchrząknął. – Ale i tak nie będzie cię lubił.

– Nikt mnie nie lubi.

*

Shaw się rozłączył i włożył komórkę do kieszeni koszuli.

– Jordie.

Przez całą rozmowę z Joem Wileyem nie odrywał od niej wzroku. Teraz przybliżył się, emanując zdecydowaniem, które wywołało w Jordie dreszcz niepokoju. Musiała sobie nakazać, żeby nie odchylić się, kiedy stanął tuż przed nią.

– Od teraz mówisz mi prawdę. Całą prawdę.

– Albo co? Groziłeś, że mnie zabijesz, i nie zabiłeś. Czym zagroziłeś mi teraz?

– Więzieniem.

Takiej możliwości nawet nie wzięła pod uwagę. Jego odpowiedź zbiła ją z tropu i na chwilę odebrała mowę.

– Gdzie nie będziesz miała żadnych szans pomóc swojemu drogocennemu braciszкови gnojkwowi, ponieważ całą energię pochłoną ci własne batalie prawnicze.

Przełknęła, choć w ustach nie miała śliny.

– Nie oskarżono mnie o żadne przestępstwo.

– Na razie. To się może zmienić. Prokuraturze stanowej i federalnej trochę czasu zajmie przesianie wszystkich informacji i ustalenie, czy można postawić ci zarzuty. A na razie trafisz za kratki.

– Nie mógłbyś tego zrobić.

– Chcesz mnie wypróbować? Czy raczej tu i teraz powiedzieć prawdę?

- Powiedziałałam prawdę.
- Ale nie całą. Zapomniałaś wspomnieć o wakacjach z Panellą. Trzy dni w luksusowym hotelu, limuzyny. Przecież na pewno pamiętasz. Jak mogłabyś zapomnieć?
- Nie zapomniałam.
- To dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, kiedy cię pytałem o osobisty związek z nim?
- Ponieważ nic takiego nie istnieje!
- A istniało?
- Nie.
- Nigdy?
- Nie!
- W takim razie wyjaśnij, dlaczego pojechałaś z nim na trzy dni do Ameryki Środkowej. Przenieść pieniądze?
- Nie.
- Dlaczego pojechałaś, Jordie?
- To bez znaczenia.
- Rząd federalny uważa, że to ma znaczenie. Jak tak uważam.
- Dlaczego?
- Ponieważ muszę wiedzieć, cholera jasna. – Przysunął się do niej, promieniując gniewnym żarem. – Czy kiedyś pieprzyłaś się z Billym Panellą?

Rozdział 33

Jordie zgarbiła się, patrząc mu w twarz.

– Nie, Shaw. Nie.

Zrobił pół kroku w tył, odwrócił się od niej i podszedł do drugiego fotela, na którym usiadł, opierając się o poduchy i na moment zasłaniając oczy ręką.

– Słabo ci? – zapytała zaniepokojona.

– Nie.

– Powinieneś się położyć i odpocząć.

– Później. Najpierw chcę usłyszeć o tej cholernej wycieczce. Jeśli nie spałaś z Panellą, to dlaczego z nim pojechałaś?

– Josh tego chciał.

Parsknął śmiechem.

– Josh?

– Musisz zrozumieć...

– Ale nie rozumiem.

– Próbuję ci powiedzieć – rzuciła gniewnie.

Shaw milczał, chociaż jego stalowe spojrzenie wyprowadzało ją z równowagi. Podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na dziedziniec. Otworzyła żaluzje na tyle, by widzieć smętnego cherubina w fontannie.

– Słyszałeś o bliźnach Josha? – zapytała.

– Bliźnach? Nie.

– Wiley i Hickam wiedzą. Myślałam, że w trakcie dochodzenia...

– Przedmiotem mojego dochodzenia był Panella i chodziło o przestępstwa inne niż ten przekręt z Joshem. Inny wydział. Nie kontaktowałem się z nimi.

Odwróciła się do niego.

– Więc to prawda, że przed zeszłym piątkiem nigdy mnie nie widziałeś?

– Nie.

– Kiedy Josh został informatorem, o mnie też mówiono w mediach.

– Musiałem być zajęty. Albo oglądałem płatne kanały. Nie wiedziałem o twoim istnieniu, dopóki tu nie przyjechałem i Mickey mi nie powiedział, że naszym celem jest siostra Josha.

– W barze od razu zdecydowałeś, że mnie porwiesz i wykorzystasz do ich złapania?

– Tak. – Już chciała się odwrócić z powrotem do okna, ale Shaw dodał: – Gdybym nie miał tego pretekstu, wymyśliłbym inny. Już wtedy zacząłem cię pragnąć i to się nie zmieniło. – Wyraz jego oczu nie pozostawiał wątpliwości.

Jej serce wezbrało splątanymi uczuciami, nie mogła jednak teraz się im poddać. Zbyt wiele należało wyjaśnić. Z ociąganiem się odwróciła, spojrzała na cherubina i zaczęła mówić:

– Josh od karku do pięt jest straszliwie pokancerowany. Ma brzydkie, okropne blizny.

– Co się stało?

– Rano w pierwszy dzień Bożego Narodzenia wpadł do kominka i zapaliła się jego piżama. On miał siedem lat, ja dziewięć.

Mruknęła coś niewyraźnie, w tonie jej głosu słychać było jednak lament.

– Naprawdę powinienesz naprawić tego cherubina w fontannie. Wygląda bardzo smutno.

– Pieprzyć cherubina. Mów dalej. Co się stało?

Nabrała powietrza w płuca.

– Dzień się zaczął bardzo miło. Josh i ja obudziliśmy się wcześniej i pobiegliśmy na dół. Byliśmy podnieceni świętami, jak to dzieci. Piliśmy czekoladę na gorąco i otwieraliśmy prezenty. Mama powiedziała Joshowi, żeby nie pił za szybko, bo sobie oparzy język. Po katastrofie pamięta się tego rodzaju nieistotne szczegóły. W każdym razie po otwarciu prezentów tata wyszedł do swoich psów myśliwskich, mama w kuchni robiła gofry. Ja z Joshem zostaliśmy w salonie i bawiliśmy się nowymi zabawkami. Dostałam między innymi lalkę Barbie. Josh droczył się ze mną, zadzierał jej sukienkę, wicherzył włosy, wyśmiewał się z piersi. Wrzasnęłam na niego, żeby przestał. Mama słyszała kłótnię i jak wszystkie mamy krzyknęła z kuchni, żebyśmy się uspokoili, bo jest Boże Narodzenie i chyba nie chcemy zepsuć dnia. Josh nie posłuchał. Złapał lalkę. Zaczęliśmy się szarpać.

Poczuła znajome ściskanie w gardle i przez chwilę nie była w stanie mówić dalej. Liczyła, że Shaw da jej spokój i powie, że nie musi kończyć. On jednak tego nie zrobił.

– To zdarzyło się bardzo szybko. W jednej chwili Josh wyśmiewał się ze mnie, trzymał Barbie za plecami, prowokował, a w następnej paliła się na nim piżama. Krzyknęłam wcześniej niż on. Przybiegła mama. Wołała tatę, chociaż na tyle zachowała przytomność umysłu, żeby pchnąć Josha na podłogę i przykryć go dywanem. Pojawił się tata, padł na Josha i uderzał go po plecach, aż zgasły wszystkie płomienie. Wtedy Josh też krzyczał. – Dostrzegła krople wody sączące się po policzkach cherubina. Wyglądał, jakby płakał. – Zaczęło padać.

Shaw nie zwrócił uwagi na ten komunikat meteorologiczny.

– I od tamtego dnia pokutujesz za wypadek.

– To nie był wypadek. Popchnęłam go.

– Byliście dziećmi, Jordie. Szarpaliście się.

Spojrzała na niego.

– Gdybym się z nim nie biła...

– Trzyma ten miecz nad twoją szyją, co? Nigdy nie pozwoli ci zapomnieć.

Trafił w sedno i gniew szybko jej minął.

– Nie, nie pozwoli. Dzisiaj wyczułeś, że coś ukryłam, powtarzając naszą rozmowę. Powiedział, że chcę, żeby umarł, zniknął z mojego życia, że kiedy Panella strzeli mu w głowę, wreszcie dostanę to, na czym mi zależy, pozbędę się go raz na zawsze.

Shaw znowu potarł oczy.

– A rodzice?

– Oni też do śmierci nie pozwalali mi zapomnieć. Nie ze złością. Tylko...

– ...ciągle subtelnie przypominali, że jesteś odpowiedzialna za tragedię młodszego brata.

– Coś w tym rodzaju.

– Ciebie obciążając winą, Josha traktowali pobłaźliwie. Każdy jego występki był ignorowany, tolerowany, wybacznany.

– Shaw. – Żarliwa prośba w jej głosie zamknęła mu usta. – To, co mówisz, mówiłam sobie tysiące razy. Terapeuci powtarzali mi to tysiące razy. Tutaj – wskazała swoją głowę – wiem, że nie jestem winna temu, że nasza rodzina nigdy już nie była taka sama. Tata szukał pocieszenia w łóżkach innych kobiet. Nie moja wina. Mamę przy życiu trzymały leki uspokajające i wódka. Nie moja wina. A to, jak wychowywali Josha, także nie zależało ode mnie. Ich pobłażliwość zamieniła go w rozpieszczonego tyrana. Nie zależy mu na niczym ani na nikim. Myśli tylko o sobie, jest przekonany, że z powodu bólu, który cierpiał, wolno mu wszystko. Wiem o tym. Tylko że to nie ja miesiącami się męczyłam. Spędził w szpitalu ponad rok. Musiał znosić przeszczepy skóry, zagrażające życiu infekcje, a to tylko skutki fizyczne. Psychika została uszkodzona znacznie poważniej niż ciało. Nie reagował na psychologów dziecięcych, duchownych, terapeutów wszelkiej maści. Rodzice pozwalali mu na obrażanie ludzi, którzy szczerze chcieli mu pomóc, i rozpieszczając go, psuli osiągnięte przez niego drobne postępy. A Josh zachowywał się jak potwór, ponieważ tak siebie widział. Kiedy wyzdrowiał na tyle, żeby wrócić do szkoły, stał się obiektem okrucieństwa i ciekawości. Wiesz, jakie wredne bywają dzieci.

– Starsza siostra biegła na ratunek.

– Niemal codziennie.

– Nauczył się, że toczyłaś za niego boje.

– Nigdy mi nie odpuszczał. Im więcej ja czy ktoś inny dla niego robiliśmy, tym więcej żądał. Za nic nie brał odpowiedzialności. Niezależnie od rodzaju występków czy porażki to nigdy nie była jego wina. Jego życie stało się jednym wielkim „gdyby tylko”. Gdyby tylko nie miał blizn, uprawiałby sporty, otaczaliby go przyjaciele, dziewczyny by go lubiły. – Jordie znowu poczuła wieczny ciężar

uszcześliwiania Josha i pilnowania, by sprawy dobrze się układały, aż oparła się o parapet. – Zaczęłam chcieć chronić braciszka przed dalszymi krzywdami i kpinami. A potem, sama nie wiem, zadośćuczynienie za tamten bożonarodzeniowy poranek stało się rutyną.

– Tylko że choćbyś stawiała na głowie, nigdy nie jest dość.

Odpowiedź nie była potrzebna.

– Ale sama pozwoliłaś, żeby cię wykorzystywał.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc dlaczego mu nie powiesz, żeby się odpiardolił? – Natychmiast zbył swoje pytanie machnięciem ręki. – Nieważne. Rozumiem, dlaczego tego nie robisz. Nawet kiedy się uparł, żebyś pojechała na weekend z jego szefem.

– Znowu to. – Jordie westchnęła.

– Sprawa wraca jak zły szeląg.

Jego przenikliwy wzrok skruszył tarczę, za którą się chroniła, poczuła się obnażona i bezbronna. Zasłoniła twarz rękoma i wzięła kilka głębokich wdechów, żeby zebrać siły. Zaniepokojony tym Shaw zwrócił się do niej po imieniu. Kiedy w końcu opuściła ręce, nie była w stanie na niego spojrzeć.

– Okłamałam Joego Wileya i agenta Hickama. Okłamałam ciebie – powiedziała cicho. – Pojechałam do Kostaryki pomóc Panelli i Joshowi w wyłudzeniu kilkuset tysięcy dolarów. Nie znam ostatecznej kwoty, ale nie ona jest ważna, tylko mój udział w... oszustwie, tak chyba byś to nazwał. – Shaw oparł łokcie na kolanach i przycisnął kciuki do skroni. – Widzisz, miałaś rację, aresztując mnie.

Spojrzał na nią.

– Co zrobiłaś?

– To, w czym jestem dobra. Urządzałam przyjęcia. Dwie kolacje, jedno późne śniadanie. Serwowane przez kelnerów w białych marynarkach na dziedzińcu willi, w której się zatrzymaliśmy z Panellą. Zamówiłam potrawy, alkohol i ozdoby z kwiatów, pudełka kubańskich cygar dla panów, szale Hermęsa dla pań. Podczas przyjęć, które właściwie były dość skromne, grałam rolę wdzięcznej pani domu, a Panella rozdawał kolorowe foldery reklamujące nieistniejący ośrodek. W każdym razie nie było go tam, gdzie Panella mówił. Przedstawiał ośrodek jako raj dla bogatych i wybrednych emerytów. Zachęcał małżeństwa, żeby kupowały udziały teraz, gdy cena jest dobra. Oczywiście jako współwłaściciele mieli prawo pierwsi wybrać lokale z widokiem na cudowną plażę albo szmaragdowe pole golfowe.

– Wiedziałaś wtedy, że to czysta fikcja? A może dałaś się zrobić w konia jak ci potencjalni inwestorzy?

– Trudno powiedzieć.

– Nieprawda. Tak. Nie. Dwa krótkie słowa.

– Nie pytałam, czy to prawda, ponieważ nie chciałam wiedzieć. Chociaż to

nie umniejsza mojej winy. Byłam przekonana, że to oszustwo, a jednak stałam i patrzyłam, jak sympatyczni ludzie oddają swoje pieniądze Panelli.

– Ile wynosił twój udział?

– Zero. Nic. Nie jestem złodziejką.

Pokręcił głową zdumiony.

– W takim razie co cię do tego skłoniło?

– Pierwszy o pomysł zaczął mówić Josh. Urządzenie przyjęć to mój zawód.

Wiem, jak wprowadzić ludzi w swobodny nastrój, zapewnić im miłe spędzenie czasu, pozwolić się odprężyć. Dodałabym klasy Panelli. Wyglądałabym dobrze u jego boku. Josh użył tych zwrotów, chociaż jestem pewna, że wyszkolił go Panella. Nie chciałam nawet słuchać. Nie tylko powiedziałam „nie”, ale „cholera, wykluczone”. Mimo to Josh nie rezygnował. Mówił, że jego praca, ergo jego życie, zależy od jednej mojej przysługi. Czy prosi o zbyt wiele? Będę aż taką egoistką, żeby odmówić? No i wykorzystał stary argument, który zawsze miał pod ręką: przecież jestem mu coś winna. – Shaw wyraził swój niesmak przekleństwem. Uśmiechnęła się do niego słabo. – To wersja skrócona. Josh namawiał mnie miesiącami. A potem pewnego wieczoru, kiedy wychodziłam z Extravaganzy, czekał na mnie Panella. Powiedział, że dla kariery Josha byłoby lepiej, gdybym pomogła w tym przedsięwzięciu. Roześmiałam się i odparłam, że odpowiadałoby mi, gdyby wylał Josha, bo osobiście wolałabym, żeby mój brat dla niego nie pracował. Kazałam mu spadać, wsiałam do samochodu i pojechałam do domu. – Przerwała i chwilę patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. – Wtedy przekonałam się, że Panella nie przyjmuje odmowy. Nad ranem przysłał mi esemesa. Po zobaczeniu wiadomości odpisałam, że zgadzam się na podróż i odegranie roli gospodyni.

– Co napisał? – zapytał Shaw ponuro.

– Nic. Ani jednego słowa.

– Ale czymś musiał ci zagrozić.

– To był filmik. Zrobił kukłę Josha, ubrał ją w pizamę, polał benzyną i zapalił. Kukła stanęła w płomieniach.

Shaw przymknął oczy.

– Chryste.

– Josh panicznie boi się ognia i oparzeń. Ja... cóż... – Podniosła włosy z karku i roztarła go, ze znużeniem przeciągając plecy. – Skuteczna zachęta, prawda?

– Sadystyczny skurwysyn.

– Tak. Podziałało. Pojechałam do Kostaryki, zrobiłam, czego chcieli. W samolocie Panella poklepał mnie po ręce, skomplementował za świetną pracę i powiedział, że ma inne pomysły, w których realizacji mogę się przydać. Do końca lotu brakowało mi powietrza, bo uświadomiłam sobie, że zawsze będzie trzymał

nas w garści. Josh już był jego marionetką, a ja po obejrzeniu tego upiornego nagrania zawsze będę się bała sprawdzić, czy z jego strony to tylko czcza groźba. Skoro strachem zmusił mnie do urządzenia kilku przyjęć, to czego jeszcze ode mnie zażąda?

– Żebyś z nim spała.

Pochyliła się ku niemu.

– Chciał tego, prawda? W czasie tej podróży?

– Shaw, przysięgam, że tu postawiłam granicę. Powiedziałam, że musiałby mnie zabić. I co wtedy? Jeśli zginę w willi, w której oboje przyjmowaliśmy gości, narazi się na śledztwo. – Wzruszyła ramionami. – Przypuszczam, że trafiły do niego moje logiczne argumenty. Tak czy owak, zostawił mnie w spokoju. Zresztą i tak nie chodziło o seks. Nigdy nie okazał cienia zainteresowania mną. Pożądał kontroli, nie mnie. Ale nigdy nie zapomniał, że mu odmówiłam. Jestem przekonana, że dlatego wynajął Boldena, żeby mnie zabił.

Shaw tak długo patrzył na nią w milczeniu, aż zaczęła się bać, że nadal jej nie wierzy. W końcu zapytał:

– To był jedyny raz, kiedy coś dla niego zrobiłaś?

– Tak. Mniej więcej w miesiąc po Kostaryce Joe Wiley złożył Joshowi ofertę, a ja zaczęłam go namawiać, żeby zeznawał przeciwko Panelli. Gdyby jednak nie było tego śledztwa, gdyby nie zjawili się agenci Wiley i Hickam, to ja coś bym zrobiła, żeby pozbyć się Panelli z naszego życia. Po tych trzech dniach w Kostaryce podjęłam taką decyzję.

– A co z twoim narzeczonym? Jacksonem?

– Pytasz o wyjazd? Powiedziałam mu, że jestem na konferencji organizatorów imprez.

– Kiedy do ciebie dzwonił...

– Nie dzwonił.

– Przez trzy dni?

– Nie miał powodu.

Shaw spojrzał na nią skonsternowany.

– „Skarbie, co u ciebie? Miałaś dobry lot? Jak hotel? Tęsknię za tobą. Co powiesz na seks przez telefon? Możemy ostro się pobawić”.

– Nie widział powodu, żeby dzwonić – odparła poirytowana.

– Gdybyś mnie pytała, Jacksona nie bardzo obchodziło, co porabia jego kobieta.

– Nie pytałam, a Jackson nie miał powodu, żeby we mnie wątpić.

– Nie? To dlaczego przy pierwszych oznakach kłopotów dał nogę? Nie został, żeby się przekonać, czy jesteś w to zaplątana, czy nie. Nie przysiągł, że dla ciebie pokona smoka, czy choćby tylko, że będzie stał przy tobie i moralnie cię wspierał. Nie, zwiewał, aż się kurzyło, byle dalej od ciebie i bliżej tej swojej

panienki. Co właściwie Jackson robił, żeby budzić w tobie miłość i podziw? Nie lubię go – burknął na koniec Shaw.

Cicho się roześmiała.

– On ciebie też by nie polubił.

– Nikt mnie nie lubi.

– Ja cię lubię.

Rozdział 34

Po cichym wyznaniu Jordie żadne z nich nie poruszyło się ani nie odezwało. Jedynym odgłosem był deszcz bębniący w szyby.

Potem Shaw położył swoje dłonie, wielkie, silne, pięknie ukształtowane dłonie, na oparciach fotela i wstał. Podeszedł do niej wolnym, miarowym krokiem, który pamiętała z pobytu w warsztacie. Tylko że kiedy teraz się do niej zbliżał, nie drżała z niepokoju, ale z wyczekiwania.

Stał przed nią, zasłaniając jej widok. Co nie znaczy, że chciała patrzeć na coś poza nim.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego cię lubię? – Jak najlepiej to wytłumaczyć? Po namyśle powiedziała: – Dlatego że nie szukasz dla siebie usprawiedliwienia. Nie przepraszasz za to, kim jesteś.

Wziął ją za rękę i postawił obok siebie. Tak jak wcześniej ujął twarz Jordie w dłonie i odchylił jej głowę do tyłu. Przyglądał się uważnie jej rysom, jakby szukał bardziej wyczerpującego wyjaśnienia niedawnych słów albo sprzeciwu, kiedy wsunął nogę między jej nogi.

Przytulił ją raz, potem drugi, jakby sprawdzał jej chęć. Wygięła się ku niemu zapraszająco, a kiedy musnął górę jej ud wybrzuszeniem w dzinsach, gorące pożądanie rozlało się w jej wnętrzu niczym najlepszy alkohol.

Zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie karku, opierając głowę na jego rękach.

– Nie chcę więcej z tobą walczyć, Shaw – szepnęła. – Ani sprzeciwiać się temu.

Polizał kącik jej ust czubkiem języka, potem zaczął delikatnie ssać miejsce tuż za uchem.

– Czymkolwiek to jest – wydyszała. – Co to jest?

Shaw włożył ręce pod jej bluzkę na plecach i odpiął stanik.

– To jest odwołanie.

– Co?

– Powiedziałem, że będziesz aresztowana do odwołania.

– Przyznałam się do przestępstwa.

– Ja zaraz przestępstwo popełnię.

Przesunął ręce w górę jej żeber do miseczek stanika. Westchnął usatysfakcjonowany, kiedy opuszki jego palców bawiły się z twardniejącymi sutkami, potem delikatnie przycisnął do nich swoje szerokie dłonie i w końcu zamknął na jej piersiach, czule, ale zaborczo.

Przez Jordie przepływały fale pożądania, pragnienia, poddania się. Szukała jego ust z tą samą chciwością, z którą on odpowiadał. Nie przerywając pocałunku, Shaw zdołał zdjąć z niej bluzkę i stanik. Potem całował jej piersi, lekko ciągnąc je lub drażniąc językiem. Wplotła palce w jego włosy i przez chwilę ich głośny oddech i jęki rosnącego pragnienia zagłuszały odgłos deszczu.

Shaw oparł głowę o jej piersi i zaczął odpinać spodnie. Jego pośpieszne gorące wydechy owiewały ją, gdy zmagał się z upartymi guzikami. Uporawszy się z nimi, spojrział Jordie w oczy.

– Może dam radę dojść do łóżka, jeśli się pośpieszymy.

Wziął ją za rękę i pociągnął do sypialni. Nie zapalił żadnej lampy, tylko otworzył żaluzje na jednej szybie i wpuścił światło z latarni ulicznej. Na łóżku powstały pasy blasku i cienia.

Buty Shawa spadły na podłogę z głuchym dudnieniem. Szarpnięciem rozpiął zatrzaski koszuli i rzucił ją na podłogę. Z czasu w warsztacie Jordie zapamiętała pokryte włoskami mięśnie klatki piersiowej, łuki żeber i wabiącą linię włosów, która przyciągnęła jej wzrok do jego pasa. Teraz jednak linia ta prowadziła do rozchylonych spodni i na widok męskości w pełnej erekcji zabrakło jej tchu.

Zsunął spodnie na podłogę. Dostrzegłszy, że Jordie znieruchomiała, zapytał chrapliwie:

– Pomóc ci?

– Nie. – Pośpiesznie zrzuciła buty, rozpięła spodnie, zdjęła je i gdzieś odrzuciła.

Objął ją w pasie, uniósł i posadził na łóżku. Oboje się położyli. Całując ją, Shaw ściągnął jej figi tak daleko, jak zdołał sięgnąć ręką, później ukląkł, by całkiem się ich pozbyć.

Dłońmi musnął piersi, lekko je przycisnął, później pogładził ją po żebrach i chwycił za biodra. Pochylił się, wtulił usta w trójkąt włosów u dołu, włożył język między wargi pochwy i posuwał się dalej. Gdy rozsunął jej uda, językiem zakreślał cudowne wewnętrzne kręgi.

Wyszeptała bez tchu jego imię.

Podniósł się nad nią, męski, fizycznie dominujący, dążący do celu, ale na jego twarzy malowała się bezbronność pomieszana z tęsknotą. Cicho jęknął i jednym pchnięciem wszedł w nią głęboko. Jego drżące westchnienie zawtórowało jej westchnieniu, gdy ciężko na nią opadł.

– Myślałem tylko o tym – powiedział cicho w jej szyję – chciałem tego... być w tobie.

W odpowiedzi zacisnęła mięśnie.

– Cholera jasna, Jordie, nie rób tego. Nie chcę się śpieszyć.

– Ja też.

– Ale nic nie poradzę na to, że muszę się poruszać.

– Ja też. – Wygięła biodra i uderzyła w niego.

Jęknął, oparł mocno dłonie nad jej ramionami i jak wcześniej obiecał, powiedział wprost:

– Teraz będę cię pieprzył.

*

Kilka minut leżał zaspokojony, później wstał i poszedł do łazienki. Po omacku znalazł czysty ręcznik w szafce, poczekał, aż z kranu popłynie ciepła woda, i umył się. Drugi ręcznik wziął do sypialni i umył nim Jordie.

Napotykał jej spojrzenie, kiedy przesuwiał ręcznikiem po jej brzuchu, powiedział:

– Wyjście z ciebie. To najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu musiałem zrobić.

– Nie musiałeś.

– Nie zapytałem o pozwolenie.

– Nigdy nie prosisz o pozwolenie w żadnej sprawie.

– To jedyny wyjątek.

– Mama lepiej cię wychowała?

Nie zdołał ukryć smutnego uśmiechu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Przepraszam. Nie powinnam o niej mówić.

– W porządku. – Shaw odłożył ręcznik na nocny stolik. – Rzeczywiście wychowała mnie lepiej.

Położył się, a Jordie usiadła prosto i nagle z przestachu cicho krzyknęła. Wskazała bandaż na jego boku.

– Krwawisz.

Gazę w kilku miejscach znaczyły czerwone plamy.

– Rana krwawiła mi wcześniej, kiedy z Wilem bieглиśmy do Hickama.

– Obejrzę dokładnie.

– Już to zrobiłem. Nic się nie stało. A nawet jeśli to był krwotok, ty nigdzie stąd nie pójdziesz. – Pociągnął ją ku sobie i skłonił, by się położyła, później wziął jej rękę i umieścił na swoim penisie.

– To dobrze – powiedziała. – Podoba mi się tutaj.

Jęknął z rozkoszy, kiedy go ścisnęła.

– Zauważyłem, że wcześniej się przyglądałaś.

– Jak mogłabym to przegapić?

Posłał jej drapieżny uśmiech.

– W moich snach nie umiałaś oderwać od niego rąk.

– Śniłaś o mnie?

– Kiedy wychodziłem ze znieczulenia. To były naprawdę niegrzeczne sny.

– Mogę zapytać jakie?

– Chyba że chcesz się zawstydzić.
Śmiejąc się, potarła nosem włosy na jego piersi i położyła na niej głowę.

– Tamtego wieczoru w barze chciałam, żebyś to był ty.
– Kto?
– Ten mężczyzna, który do mnie dzwonił.
– To byłem ja.
– Tak, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Zobaczyłam, jak idziesz w moją stronę. Serce zaczęło mi walić. Ale ty się nie zatrzymałeś, nie zwróciłeś na mnie uwagi. Byłam rozczarowana.

– Opowiadasz brednie – odparł Shaw. – Nawet raz na mnie nie spojrzałaś.
– Och, wręcz przeciwnie.
– Naprawdę?
– Hm. Pomyślałam: „Uwaga, niegrzeczny chłopiec”.
– A dokładnie co to znaczy?
– Niebezpiecznie seksowny.
– Mów dalej.

Roześmiała się i oparła brodę o jego mostek.
– Już dość powiedziałam. Masz ogólny obraz.
– A ja nie mogłem się napatrzeć na twój tyłek na tym barowym stołku. Ludzie. I czułem twoje perfumy. Chciałem wtulić twarz w twoją szyję. I w twoje piersi. – Schrypniętym głosem dodał: – Chyba się domyślasz, gdzie jeszcze.

Nieśmiało pochyliła głowę, ale zaraz ją podniosła i palcem przesunęła po bliźnie na jego brodzie.

– Powiesz mi, skąd to masz?
– Od jednego z ludzi Panelli.
– Tego, którego musiałeś...
– Taa. Był nożownikiem, ja broniłem się pistoletem, choć najpierw udało mu się raz mnie zaciąć.
– Mój Boże, Shaw, jak możesz traktować to z taką nonszalancją? Mógł cię oszpecić.
– I oszpecił.

Pocałowała bliźnę, potem w jego usta szepnęła:
– Mało wiesz.
– Jedno wiem... twój kciuk to druga najlepsza rzecz, jaka zdarzyła się mojemu fiutowi – powiedział, nie odrywając od niej warg.
– Błagam. Rumienie się.
– W dodatku we wszystkich odpowiednich miejscach. Chodź tutaj.

Gestem kazał się Jordie podnieść, żeby mógł dosięgnąć sutka ustami. Pod pieśczętą jego języka momentalnie stwardniał, ale tak długo go drażnił, aż poczuł, że jej brzuch przyciska się do niego. Przeniósł się na drugą pierś. Boże, były

doskonale.

Podobnie jak tyłek, który jego dłonie lekko muskały, a potem mocno złapały, kiedy ten jej kciuk odkrył ciekącą kroplę nasienia i rozsmarował ją po czubku.

– Chryste, Jordie. – Głowa opadła mu na poduszkę. Nie wierzył, że mógłby bardziej się podniecić, dopóki nie zobaczył jej sterczących i błyszczących od jego pieśczoł sutków. – Wilgoć ci odpowiada.

– A tobie?

Zalała go fala żądy, gdy zaczęła się powolutku zsuwać po jego torsie. Całowała go po klatce piersiowej, mierzwiła włoski, dmuchając na nie delikatnie, skłoniła do wygięcia bioder, kiedy uderzyła językiem w jego sutek.

Jej włosy płynęły po jego brzuchu jak welon jedwabiu. Gdy przybliżyła się do rany, którą mu zadała, popatrzyła na niego przeprasząco i czule ucałowała bandaż.

Powędrowała niżej, pieściła ustami pępek i linię włosów, która od niego się zaczynała. Później jej twarz unosiła się nad nim i wydawało mu się, że trwa to w nieskończoność. Czuł jej oddech, wstrzymał swój.

Najpierw wilgotny aksamitny dotyk jej warg, potem przelotna pieśczoła języka, wreszcie wzięła go w usta.

Jego erotyczne halucynacje w żaden sposób nie mogły się równać z rzeczywistością. W przeciwieństwie do Jordie–gwiazdy porno ze snu prawdziwa Jordie była bardziej szczodra, mniej doświadczona i przez to słodsza.

Zacisnął dłonie na pościeli, ale po chwili nie mógł się powstrzymać, chwycił jej włosy. Oblał się potem. Jęknął błagalnie jej imię. Nie był pewien, o co prosi.

Ale Jordie najwyraźniej wiedziała.

Po wszystkim położył ją na plecach, przytulił się do niej całym ciałem, całował długo i głęboko, czując swój smak na jej ustach. Kiedy się od niej oderwał, by złapać powietrze, szepnął:

– Cofam to.

– Co?

– Twój kciuk jest trzecią najlepszą rzeczą.

Rozdział 35

– Pan Panella?

– Przy telefonie.

– Wiem, jak strasznie późno jest u pana, ale zostawił mi pan wiadomość, żebym zadzwonił, zanim dzisiaj zakończymy pracę.

– Rzeczywiście, a pora nie ma znaczenia. Dopiero wróciłem. – Ocierając pot z czoła, spojrzął na bluzę z kapturem, teraz leżącą na podłodze koło drzwi. Była poplamiona krwią agenta FBI i trzeba będzie ją spalić.

– Przed telefonem do pana pozwoliłem sobie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku – ciągnął bankowiec. – Zauważyłem, że nie zażądał pan tego dwumilionowego przelewu, o którym rozmawialiśmy kilka dni temu.

Nie, nie potrzebował dwóch milionów dolarów, ponieważ pomocnik Mickeya Boldena okazał się gliniarzem!

Shaw Kinnard nie porwał Jordie z baru, on ją uratował. Całe to targowanie się o więcej pieniędzy? Brednie. Kinnard ranny, pojmany, aresztowany? Kolejne pieprzone brednie.

– Panie Panella, w kwestii tego przelewu...?

– Racja, przepraszam, zamyśliłem się.

Został wykołowany. Przez Shawa Kinnarda, który próbował zawrzeć nową umowę i nie zamierzał nigdy jej dotrzymać. Przez agenta FBI Joego Wileya, który mu powiedział, że Kinnarda aresztowano.

Nie mógł znieść tej myśli.

Gdyby dzisiaj nie pojechał do Tobiasa, pewnie nie odkryłby podstępu. Ale ciągnęło go do miasta, żeby samemu rozkoszować się chaosem po morderstwie Royce'a Shermana. Jasne, nie zbliżył się nawet do tamtej bocznej drogi, gdzie raz na zawsze zamknął wieśniakowi jego wielką gębę, ale wybrał miejsce, gdzie pozostając poza zasięgiem wzroku innych, mógł obserwować ożywioną krzątanicę w biurze szeryfa.

Poznał dziewczynę od razu. Miała na sobie to samo ubranie co wczorajszego wieczoru, kiedy obmacywał ją Sherman. Dzisiaj wyglądała okropnie, wypłakiwała sobie oczy i musiała opierać się na przyjaciółce, kiedy chwiejnie wchodziła do budynku.

Na pewno cieszyła się, że żyje, i w równym stopniu się bała, że morderca dojdzie do wniosku, że nie powinien zostawiać świadka, i ją dopadnie. Nie miał zamiaru zaprzętać sobie nią głowy. Nigdy nie będzie w stanie go zidentyfikować. Krtań elektroniczna mogłaby go obciążać, ponieważ jednak każdy może ją kupić,

w sądzie taki dowód zostałby odrzucony.

Co nie znaczy, że go złapią albo postawią przed sądem.

Wcale nie był zaskoczony, że do ekipy dołączyli agenci Wiley i Hickam. Jak wszyscy dobrzy stróże prawa połączyli kropkę A z kropką B i doszli do wniosku, że istnieją zbiegi okoliczności oraz dziwne zbiegi okoliczności, a morderstwo Royce'a Shermana kwalifikowało się do tej drugiej kategorii.

Wstrząsnął nim dopiero – bardziej, niż gotów był przyznać – zaskakujący widok Kinnarda wysiadającego z tylnego siedzenia nieoznakowanego sedana. Gdyby ktoś rzucił tylko przelotne spojrzenie, mógłby przegapić ostro zarysowane kości policzkowe pod tymi idiotycznymi okularami przeciwsłonecznymi.

Jeśli jednak ktoś przyjrzałby się uważnie, rozpoznałby Kinnarda z policyjnego zdjęcia pokazywanego w telewizji. Oskarżono go o to, że jest porywaczem, z którego łap uratowano Jordie Bennett. Był także domniemanym zabójcą Mickeya Boldena.

Tylko że on wcale nie człapał w pomarańczowym kombinezonie i kajdanach na nogach jak więzień. Miał na sobie kowbojki i bluzę z kapturem. Pomimo stroju bez cienia wątpliwości należał do policji.

Ja pierdolę, zaklął w duchu.

Grupa spędziła w budynku około godziny. Kiedy wrócili do samochodu i wyjechali z Tobias, śledził ich przez całą drogę do miasta, bo uznał, że w końcu doprowadzą go do Jordie. Mimo wszystkich sztuczek nadal miał zamiar ją zabić. A to, że sprawa się komplikowała, tylko umocniło go w postanowieniu.

Wóz federalnych wjechał na podziemny parking wielopiętrowego hotelu. Firma Panella Investments Group urządzała kiedyś seminarium w jednej z sal konferencyjnych, znał więc rozkład pomieszczeń. Świadomy wyjątkowych trudności i równie wyjątkowych okazji, jakich dostarcza pełen ludzi hotel, przejechał koło wjazdu na parking i zatrzymał się kilka przecznic dalej.

Wracając pieszo, pożyczył pomysł od FBI i na stoisku z pamiątkami kupił bluzę z kapturem. Z pochyloną głową wtopił się w strumień przechodniów na chodnikach otaczających hotel i nie spuszczał oka z wjazdu na parking.

O zmierzchu wjechały tam trzy oficjalne z wyglądu SUV-y. Zaraz potem zwiększyła się liczba policjantów, zarówno mundurowych, jak i w cywilu. (Naprawdę uważają, że uda im się go oszukać?)

Coś miało się zdarzyć. Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić po swój samochód. Jeśli będą przewozić Jordie w jednym z SUV-ów, potrzebuje auta, żeby za nimi jechać. Jeśli jednak nawet na kilka minut się oddali, może przegapić ważne wydarzenie.

Nadal dyskutując ze sobą, zauważył przystojnego czarnego agenta wychodzącego z parkingu z dwiema płóciennymi torbami. Agent przeszedł na drugą stronę ulicy i chodnikiem ruszył w stronę stojącego niedaleko samochodu.

Nie tym jechali do Tobias.

To było jak prezent! Tylko tchórz albo głupiec nie dostosowałby do tego swoich planów. Dlaczego nie skorzystać z okazji do podkreślenia, że jeśli pogrywasz z Billym Panellą, podejmujesz wielkie ryzyko osobiste?

Wymknął się z kryjówki pomiędzy dwoma budynkami i poszedł chodnikiem. Kiedy zbliżał się do samochodu, agenta zwiódła jego bluza. Otworzył nawet okno. Ostatnie słowa, jakie powiedział, brzmiały: „Kinnard, czego tu do diabła...”.

Bum!

Uśmiechając się z telefonem przy uchu, zastanawiał się, co azjatycki bankowiec pomyślałby o jego dzisiejszym wyczynie. Komu potrzebny płatny pomocnik?

– Nie zażądałem przelewu, ponieważ te fundusze jednak nie były mi potrzebne.

– Rozumiem.

Oczywiście nie rozumiał. Nie miał pieprzonego pojęcia.

– Mam nadzieję, że odpowiadają panu nasze usługi.

Rozkoszował się pełnym szacunku tonem tego człowieka. Nikt nie chciał wchodzić Billy’emu Panelli w drogę.

– Zakontraktowałem ludzi na wykonanie pracy. Okazali się niekompetentni i niewiarygodni. Zadanie nie zostało wykonane, ale problemem nie były usługi pańskiego banku.

– Cudownie. Miło mi to słyszeć... Co dzisiaj mogę dla pana zrobić?

Kim ten facet był, kurwą? Cóż, w pewnym sensie tak. I dlatego to, co usłyszysz, będzie dla niego druzgoczące.

– Chciałem zamknąć wszystkie moje rachunki.

– Przepraszam?

Poprawił krtań elektroniczną.

– Chcę zamknąć wszystkie moje rachunki. Proszę naliczyć opłatę za tego rodzaju usługę, następnie wypłacić wszystko do ostatniego centa.

– Nie rozumiem.

– Przenoszę się do innej instytucji finansowej. Czy to kwestię wyjaśnia?

Wydawało się, że facet połknął swój złoty język. Mijały sekundy.

– Jest pan tam?

– Tak, panie Panella. Ja tylko...

– Może pan załatwić moje polecenie czy powinienem rozmawiać z pańskim przełożonym?

– Nie, załatwię to.

– Dziękuję.

Wyraźnie skonsternowany bankowiec zapytał, dokąd pieniądze należy

przelać. W tle słychać było stukanie w klawiaturę komputera.

– Pańskie hasło?

Podał je.

Następne stukanie.

– Dziękuję, panie Panella.

– Nie ma za co. – Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były tak udane, że poczuł, iż stać go na wielkoduszność. – Proszę posłuchać, to nie ma nic wspólnego z panem. Załatwianie interesów z panem było prawdziwą przyjemnością. Podoba mi się pański akcent. Z klasą, bardzo...

– Proszę wybaczyć, ale potrzebne mi drugie hasło.

– Co?

– Hasło Jordan Bennett.

Hasło Jordan Bennett?, powtórzył w myślach. Dobrze słyszał?

– O czym pan mówi?

– Skontaktował się pan ze mną kilka dni po otwarciu konta, na którym zdeponował pan lwią część swoich funduszy, i zastrzegł pan, że aby uzyskać do niego dostęp, trzeba podać dwa hasła. Pańskie i Jordan Bennett.

Nie zrobił nic takiego!

– Zapomniał pan o dokonaniu tego zastrzeżenia, panie Panella?

Kurwa mać.

Rozdział 36

Obudziło ich wibrowanie telefonu na nocnym stoliku. Shaw oderwał się od Jordie i sięgnął po komórkę.

Nastawił głośnie mówienie, słyszała więc Joego Wileya.

– Hick przeżył operację. Jest teraz na OIOM-ie. Radzi sobie, ale sam wiesz... nadal może być różnie.

– Na razie jest dobrze – odparł Shaw. – Jak się trzymasz?

– Padam ze zmęczenia, ale nie ruszę się stąd.

– Informuj mnie.

Shaw już miał się rozłączyć, ale Wiley zapytał:

– Nadal masz panią Bennett w zasięgu wzroku?

Shaw położył dłoń na jej biodrze wtulonym w jego lędźwia.

– Tak.

– Hm.

– Co?

Wiley powtórzył to, co już wcześniej go niepokoiło.

– W wiadomościach mówiono o zamachu na Hicka. Spodziewałem się, że odezwie się kompletnie ześwirowany Josh.

– Wykluczone, żeby skontaktował się z Jordie bez naszej wiedzy – przypomniał Shaw.

– Prawda, ale nawet nie spróbował. No i wie, że może zadzwonić do mnie.

– Boi się, to wszystko. Niepotrzebnie się denerwujesz.

Jordie odniosła wrażenie, że Shaw mówił to w takim samym stopniu do niej, jak do Joego Wileya.

– Może skłonimy go do zadzwonienia, jeśli damy przeciek do mediów, że jest aresztowana.

Shaw tego nie skomentował.

Wiley zaklął.

– Złamałeś zasady etyczne, tak?

– Daj mi znać, jeśli w stanie Hickama nastąpi przełom. W jedną albo w drugą stronę.

W odpowiedzi Wiley się rozłączył.

Odłożywszy telefon na nocny stolik, Shaw umościł się na plecach z lewą dłonią opartą na bandażu i z namysłem zapatrzył się w sufit.

Jordie pogładziła go po dłoni.

– Boli cię?

– Nie.

– Kłamca.

Uśmiechnął się z lekka.

– Może zerwałem kilka szwów podczas ostatniej rundy. Wiesz, ciągle wyginałem plecy. Ale było warto.

Uśmiechnęła się i przytuliła policzek do jego piersi.

– Nigdy o tym nie mówiłeś, ale mam nadzieję, że nie jesteś żonaty.

– Pytasz trochę za późno. Nie, nie jestem.

– Nigdy?

– Przez niecałe dwa lata. Lubiła mnie, tak myślę, tylko nienawidziła mojej pracy. Wróciłem do domu z misji i jej nie było. Wyprowadziła się.

– Szukałeś jej?

– Dokonała lepszego wyboru. Dla nas obojga.

– Dzieci?

– Nie.

– To wszystko prawda?

– Słowo harcerza.

Delikatnie pociągnęła za włoski na jego piersi.

– Ze wszystkich kłamstw, które mi opowiedziałeś...

– Część mojej pracy.

– Wiem, ale najbardziej bym chciała, żeby nieprawdą było to, co mówiłeś o rodzicach i ich śmierci.

Spiął się, nic jednak nie powiedział.

– Mówiłeś, że poszedłeś w ślady ojca.

– Nie chcę o tym rozmawiać, Jordie.

– Ja nie chciałam rozmawiać o Joshu.

– W porządku – oznajmił po krótkim wahaniu. – Tak będzie fair. Rzeczywiście poszedłem w ślady ojca. Nosił odznakę i broń. Był twardy, kiedy trzeba. Źli faceci nienawidzili, kiedy się do nich zbliżał. Dobrzy faceci go podziwiali.

– FBI?

– Policja miejska.

– Gdzie?

– Jeśli ci powiem, będę musiał cię zabić.

Nie naciskała.

– Mama nie była szczęśliwa, kiedy wybrałeś tę samą drogę.

– Nie. Tata po czterdziestu latach służby przeszedł na emeryturę bez jednego zadrapania. To kazało jej myśleć, że moje szanse maleją. Bała się, że będę ranny albo gorzej.

Uniosła głowę na tyle, by spojrzeć mu w oczy.

– Umarli w taki sposób, jak mówiłeś?

Pogładził ją po włosach, przesunął kciukiem po jej policzku.

– Jesteś gorąca, wiesz o tym? Wręcz dymisz.

Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że się nie wymiga.

Westchnął zrezygowany.

– Emeryturę spędzali tutaj. Kiedy lokator się wyprowadził, to mieszkanie przekazali mnie, a sami przeprowadzili się do większego na parterze. Mama traktowała je jak domek dla lalek. Wyremontowała i urządziła. Kochała je. – Gładził ją po włosach, ale pustym wzrokiem wpatrywał się w sufit. – Mógłbym to przedstawić na tysiąc sposobów, ale krótka wersja jest taka, że tata zdeponował wszystkie pieniądze u Panelli, który do spółki z twoim bratem je ukradł. Czterdziestoletnie oszczędności przepadły. Według standardów Panelli to nie była wielka suma, nawet nie zauważyłby jej braku, ale dla moich rodziców przedstawiała nagrodę za życie wypełnione ciężką pracą i wyrzeczeniami. Która wyparowała. W dodatku Panella ukradł więcej niż tylko pieniądze. Obrabował tatę z jego dumy. Tata czuł się jak idiota, który dał się oszukać. To złamało go pod każdym względem. Miał zamiar sprzedać ten dom, bo nie dawał rady udźwignąć kredytu. Kiedy do mnie zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć, płakał. Mówił, że najgorsza jest konieczność powiedzenia mamie, że musi porzucić swój domek dla lalek. Nie wiedział, jak to zrobić. – Shaw urwał, nabrał powietrza w płuca. – Chyba rzeczywiście nie potrafił. Spała, nie zorientowała się, co się dzieje, chociaż z drugiej strony nie pojmuję, jak mógł się na to zdobyć.

– Tak mi przykro, Shaw.

– Dziękuję.

– Nie zbywaj moich przeprosin podziękowaniami. – Ujęła go pod brodę i zmusiła, by na nią spojrzał. – Szczerze mi przykro, że mój brat odegrał taką rolę w śmierci twoich rodziców.

– Josh jest najbardziej pokreconą osobą, o jakiej w życiu słyszałem. Nie podoba mi się władza, którą ma nad tobą. Chociaż on tylko pomagał Panelli, sama tak mówiłaś. Jest bystry, jasne, ale czy sam popełniłby przestępstwo, gdyby nie zepsuł go Panella? To Panella jest destrukcyjny. Zły.

Znowu położyła policzek na jego piersi.

– Nie przeczę, ale biorąc pod uwagę twoich rodziców, czuję się winna z powodu związków z Joshem i Panellą. Nie rozumiem, jak możesz ze mną być.

– Więc pozwól, że ci to wytłumaczę. – Ułożył ją na boku i uniósł się nad nią.

– Zobaczyłem cię, zapragnąłem i guzik mnie obchodziło, kto jest twoim krewnym. Nadal mnie nie obchodzi.

Pierwszy pocałunek pozbawił ją tchu, następne sprawiły, że się rozplynęła. Jego usta i język były wszędzie, delikatne ssanie połączone z płynnym wirowaniem po wewnętrznej stronie rąk i ud, pod kolanami, na podbiciu stóp. Wyznaczały mapę

jej gardła, piersi, sutków, pępka i wąskich kanałów prowadzących z bioder do waginy. Tam pozostały na dłużej. Mruczając czułości w mowie grzeszników i świętych, obsypywał ją pieszczotami. Zanim doszła, odwrócił ją na brzuch, usiadł na jej nogach i całował po kręgosłupie.

Wsunął dłoń między jej uda, wepchnął palce tam, gdzie wcześniej zostawił ją boleśnie spragnioną i wilgotną, później z obrazowymi szczegółami mówił, co jej robi. To było erotyczne, podniecające i właściwe tylko dla Shawa.

Ale ostatecznie straciła panowanie nad sobą, kiedy urywanym szeptem opowiadał, jak mu z nią dobrze. Jego głos i dotyk nie pozostawiły jej wyboru, naparła na dłoń Shawa i falowała pomiędzy jego klatką piersiową a łóżkiem, aż upadła.

Nie zdążyła odzyskać sił, bo odwrócił ją na plecy i rozchylił jej uda. Wszedł w nią, twardy, męski i witalny. Pociągnął jej rękę nad głowę i tam je trzymał, choć nie tak mocno, jak jego wzrok przykuwał jej wzrok.

W intensywności jego poczynań nie chodziło wyłącznie o własne zaspokojenie. Odpowiadał na jej reakcje, dopasowując się do najdrobniejszej zmiany pozycji, interpretując każdy odgłos, uprzedzając jej pragnienia.

Nie była tak nasycona, jak jej się wcześniej wydawało, bo kiedy dostosowywał kąt pchnięć, jednych wolnych, innych szybkich, trafiał w miejsca najbardziej wrażliwe i mimowolnie się wyginała, prosząc o więcej.

W idealnym momencie wszedł głęboko i połączył ich ciała w jedno. Ruch jego bioder był nieznaczny, za to rozkosz niezmierna. Rozkosz ta zebrała się i skupiła w miejscu, gdzie się stapiali, później zaś eksplodowała, po raz kolejny biorąc Jordie we władanie.

Doszedł z czołem opartym o jej czoło, z dłońmi splecionymi z jej dłońmi nad jej głową. Na twarzy czuła jego nierówny, gorący oddech.

Długo odpoczywali, wreszcie Shaw uniósł głowę i spojrzał jej w twarz. Odgarnął kosmyk włosów Jordie, który zaplątał się w jego krótki zarost. Nie zdawała sobie sprawy, że z oczu płyną jej łzy, dopóki ich nie scałował.

– Przeze mnie płaczesz.

Gorzej, pomyślała. Sprawiliś, że jesteś mi bliski.

Żadne nie wspomniało, że tym razem nie zabezpieczył się jak wcześniej, ale kiedy się od siebie odsunęli, wymienili spojrzenia przyznające, że są tego świadomi.

Leżąc na boku, przytulili się do siebie. Otoczył ją ręką, ona przycisnęła ją do piersi.

– Znowu jestem aresztowana?

– Zastanawiam się.

– Powiesz, kiedy podejmiesz decyzję?

– Oczywiście.

– Założysz mi kajdanki? Zwiążesz nogi bandaną?
– Nie trzeba. Nigdzie nie możesz pójść.
– Świetnie. Mówiłam, że mi się tu podoba.
– To dobrze. – Przyciągnął ją bliżej, wsunął uda pod jej uda. – A poza tym nie znasz kombinacji do zamka w bramie.

*

Nadszedł poranek.

Kiedy Shaw brał prysznic, a potem owinięty w pasie ręcznikiem wszedł do salonu, Jordie zdążyła zaparzyć kawę.

– Nie musiałś tego robić – powiedział, biorąc od niej kubek.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie, tylko dla siebie. Rozpaczliwie potrzebowałam kawy.

Rowek ponad jej ręcznikiem był pokusą, której nie umiał się oprzeć. Pocałował go, potem lekko cmoknął ją w usta i trącili się kubkami. Jordie o mało nie oblała gorącą kawą swojej ręki, wzdrygając się na dźwięk dzwonka.

– Na litość boską, co to jest?

– Ktoś stoi pod bramą. – Shaw odstawił naczynie i pobiegł do sypialni, gdzie pośpiesznie wciągnął dzinsy i wyjął broń. W drodze do drzwi polecił: – Zamknij za mną drzwi na klucz, a jeśli nie wrócę, tylko przyjdzie ktoś inny, dzwoni na policję.

Zbiegał po schodach, ale jego rana zaprotestowała, resztę stopni pokonał więc w wolniejszym tempie. Na rogu budynku przystanął i zerknął na ulicę.

– Nie strzelaj – powiedział Joe Wiley. – Wpuść mnie.

Shaw opuścił broń i ruszył ścieżką, zapinając rozporek.

– Hickam?

– Oddycha samodzielnie. Pewnie zadziałało wudu jego ciotki. Lekarze są ostrożnie optymistyczni.

– Wudu?

– Na moją prośbę wyjęła szpilki z twoich laleczek.

– Dzięki. Masz u mnie dług. – Rezygnując z żartobliwego tonu, dodał: – Cieszę się, że Hickamowi się poprawia. Mówię poważnie.

– Wiem, że tak. – Wiley wskazał bandaż. – Jak się czujesz?

– W porządku. Za to ty nie wyglądasz dobrze.

– Jestem piekielnie zmęczony. Ale Marsha się wścieka. Mówi, że powinienem spać w domu.

– W takim razie sprawa jest poważna. – Shaw sięgnął przez ogrodzenie, wystukał szyfr i otworzył. Wpuścił Wileya, po czym znowu zamknął. – Co się dzieje?

– Jest u ciebie?

– Tak.

– Aresztowana?

– Nie. Skłoniłem ją, żeby opowiedziała wszystko o Kostaryce. – W trzech, czterech zwięzłych zdaniach zrelacjonował Wileyowi ograniczony udział Jordie w przekręcie. – Panella ją zmusił i jej groził. Nie przekonywała klientów ani nie skorzystała finansowo na wzroście sprzedaży. Nic z tego nie miała, a w całej tej sprawie najbardziej straciło jej sumienie.

– Okay. Na razie dam tej sprawie spokój, zajmę się nią później.

– Tak myślałem. Więc co jest?

– Opowiem wam obojgu. Chodzi o Josha.

Shaw stanął jak wryty i z troską spojrzął na schody.

– Nie żyje? – zapytał.

– Nie wiemy. – Wiley brodą wskazał goły tors Shawa. – W każdym razie musisz się ubrać.

Weszli na górę, Shaw zastukał do drzwi. Jordie otworzyła. Gdy go nie było, zamieniła ręcznik kąpielowy na swoje rzeczy, ale włosy wciąż miała wilgotne i Wiley to zauważył.

Jego uwagi nie umknęła też splątana pościel na łóżku, które widział przez otwarte drzwi, kiedy Shaw poszedł tam po buty, koszulę i baseballówkę zwędzoną ze stoiska z pamiątkami.

Jordie zaproponowała Wileyowi kawę, ale odmówił.

– Dziękuję. Nie mamy czasu.

– Josh?

Agent wyczuł niepokój Jordie, więc najpierw rozproszył jej najgorsze obawy.

– Nie mamy powodu myśleć, że coś mu się stało, ale zgłosił się świadek, który twierdzi, że go widział.

– Gdzie? – zapytał Shaw, zatraskując guziki koszuli.

– W Bayou Gauche. To pomiędzy...

– Wiem – przerwał mu Shaw. – Trzeba tam brodzić.

– To mokrada, dlatego poszukiwania stają się prawdziwym wyzwaniem – odparł Wiley. – Podrzucimy Jordie do biura FBI. Zostanie z nią Gwen, a my tam pojedziemy i sprawdzimy.

– Brzmi jak plan. – Shaw wciągnął buty. – To twoja kamizelka. – Podał Wileyowi tę, której używała Jordie wczoraj wieczorem. – Jesteśmy gotowi.

Zeszli na wąską ścieżkę, po czym ruszyli do furki tak szybko, jak pozwalały ruchome kamienie. Shaw powtórzył czynności niezbędne do otworzenia i zamknięcia kłódki.

Gdy przechodzili przez ulicę do nieoznakowanego sedana, Shaw zapytał Wileya, skąd dowiedział się o tym mieszkaniu.

– Od twojego człowieka w Atlancie. Kontakt w razie nagłej sytuacji.

Powiedziałem mu, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

– Mam sporo zastrzeżeń.

– Zabiorę do grobu tajemnicę twojej kryjówki w Dzielnicy Francuskiej.

– Wiesz, mogłeś po prostu zadzwonić.

– Masz pod ręką samochód?

Shaw nie odpowiedział. Im mniej ludzie wiedzieli o jego życiu, tym lepiej. Dla niego. Dla nich. Z Jordie był bardziej szczery niż z kimkolwiek przedtem, jak sobie przypominał.

Otworzył przed nią tylne drzwi, po czym zwrócił się do Wileya:

– Daj, poprowadzę. – Wyciągnął rękę po kluczyki. Wiley się zawahał. – Ty będziesz dzwonił i załatwiał te główniane sprawy FBI. Poprowadzę.

Wiley rzucił mu kluczyki i usiadł od strony pasażera.

– Gwen powiedziała, że spotka się z nami przy głównym wejściu.

Ulice Dzielnicy Francuskiej nadal spały, ruchu właściwie nie było, jeździły tylko wozy dostawcze. W samochodzie jednak wszyscy troje siedzieli spięci i niespokojni. Zwłaszcza Jordie.

– Kiedy i gdzie widziano Josha?

– O ile to był on – odparł Wiley. – Choć wygląda na to, że tak. W sobotę po południu w miejscu nadawania paczek.

– Skąd wysłał paczkę z ukrytą komórką?

Wiley potaknął.

– Agenci dotarli do tego punktu. Znajduje się na parkingu przy centrum handlowym. Przepytali właścicieli sklepów. Jeden w soboty zamyka wcześniej. Kiedy wychodził do domu, widział faceta oddalającego się od punktu. Zawołał do niego, że ma szczęście, bo zdążył tuż przed ostatnim opróżnieniem pojemnika. Coś w tym rodzaju. Tamten się nie odwrócił, tylko pomachał ręką. Właścicielowi sklepu pokazano fotografię Josha zrobioną przez kamerę bezpieczeństwa w sklepie całodobowym. Powiedział, że nie ma pewności, ale to chyba ten sam facet.

– O której to było?

– O wpół do czwartej. Piętnaście minut przed ostatnim opróżnieniem pojemnika.

– Oraz trzy i pół godziny po tym, jak Josh dowiedział się o porwaniu Jordie z południowych wiadomości – dodał Shaw. – Chociaż i tak wysłał paczkę do Extravaganzy.

– Przypuszczam, że w desperacji – odrzekł Wiley. – Próbował nie dopuścić do siebie myśli, że już ją uziemiłeś. Jak wtedy, kiedy później wieczorem zadzwonił do mnie i targował się o jej bezpieczny powrót.

– Chyba tak – zgodził się Shaw, choć wyjaśnienie nie całkiem się kleiło. – Przynajmniej to daje nam punkt wyjścia do poszukiwania jego przystani.

– Przystani? – powtórzyła Jordie.

– Musi jakąś mieć. – Wiley wyjaśnił, dlaczego tak uważają: – Dom zaopatrzony w podstawowe artykuły, w którym może przebywać przez nieokreślony czas. Gdzieś blisko ciebie. – Dostrzegł zmarszczone czoło Shawa, więc zapytał: – Co, nie zgadzasz się?

– Zgadzam, Jordie to bez dwóch zdań jego ostatnia deska ratunku. Ale może jesteśmy krótkowzroczni. Może nie wrócił w tę okolicę tylko dlatego, że to jego dom. Może ma tutaj niedokończoną sprawę.

– Pieniądze? – rzucił Wiley.

– To moja teoria – potwierdził Shaw. – Ponieważ gdyby je miał Panella...

– ...zapalałby cygara studolarówkami – dokończyła cicho Jordie.

– Właśnie. – Shaw spojrzał na Wileya. – Ona mnie cytuje.

– Aha. Cóż, nie będziemy wiedzieli, dopóki nie znajdziemy jednego z nich.

– Jakies ślady w jego sprawie?

– Policja nowoorleańska nadal jest przekonana, że do Hickama strzelał członek ulicznego gangu. Bez przekonania rozsyłają rysopis Panelli.

– Nawet po tym, co Linda Meeker powiedziała o jego dziwnym głosie?

– Według nich Linda Meeker to rozhisteryzowana córka kaznodziei przyłapana na niegrzecznym zachowaniu, więc jej zeznanie uważają za niewiarygodne, a poza tym tego rodzaju urządzenia można bez problemu kupić przez Internet. Mówią też, że gość taki jak Royce Sherman miał dziesiątki wrogów wśród podobnej do niego białej hołoty, co bez wątplenia jest prawdą. Podsumowując, uważają, że Royce Sherman i Hick to dwie różne sprawy, i sceptycznie podchodzą do teorii, że Panella znajduje się na tysiącach kilometrów kwadratowych naszego pięknego stanu.

– Sceptyczni, jasna cholera – oburzył się Shaw. – Pewnie niektórzy byli na liście płac Panelli. Nadal są.

– Daj spokój – uciszył go Wiley. – Sugerujesz, że policja nowoorleańska jest skorumpowana?

Shaw posłał mu ironiczny uśmiech.

– Miejscowe służby szukają Josha w Bayou Gauche i w okolicy?

– Oraz oddział szeryfów federalnych i policji stanowej. Szkoda, że nie mamy Morrowa, ale to nie jego okręg. Poleciałem im, żeby zajrzeli pod każdy kamień.

Shaw podjechał pod budynek FBI tak blisko, jak się dało.

– Zostaw silnik włączony – powiedział do Wileya. – Odprowadzę Jordie do środka.

– Nie idę.

Shaw i Wiley jednocześnie odwrócili się ku niej. Wyraz twarzy Jordie był tak zdecydowany jak jej ton. A dowodem świadczącym o tym, że nie żartuje, był pistolet, z którego do nich celowała.

Rozdział 37

Shaw przeniósł wzrok z pistoletu na Jordie.

– Wygląda jak moja beretta.

– Bałam się, że zapomnisz ją wsadzić do buta, gdy je wkładałeś.

– Śpieszyłem się.

– Zabrałam ją, żeby się bronić, gdyby potem zamiast ciebie pojawił się ktoś inny.

– Sprytne. Ale dlaczego do nas celujesz?

– Trzymajcie ręce tak, żebym je widziała, bardzo proszę.

Shaw posłuchał, podnosząc ręce w nieco szyderczym geście poddania.

– Już miałam oddać ci pistolet, ale potem agent Wiley powiedział, że zostanę z Gwen, podczas gdy wy dwaj będziecie polować na mojego brata. Postanowiłam, że zatrzymam broń i dzięki niej przekonam was, że powinniśmy pojechać razem.

Wiley spojrzał na Shawa.

– Takie są skutki sypiania z podejrzaną.

– Ona do mnie nie strzeli.

– Dźgnęła cię.

– Ale wtedy nie wiedziała, że jestem agentem federalnym. Wydaje się dość mądra, żeby pamiętać, że nie strzela się do agenta federalnego ani nawet nie trzyma się go na muszce, zwłaszcza przed kurewskim budynkiem FBI. – Pod koniec Shaw krzyczał.

– Proszę, przestań mówić o mnie w trzeciej osobie.

– Celujesz do dwóch agentów federalnych i tylko to cię niepokoi? Trzecia osoba?

– Niepokoję się o swojego brata.

Shaw spojrzał na Wileya i mruknął:

– Całe życie tak ma.

– Dość tego, Shaw! Ruszaj.

– Nie mogę tego zrobić, skoro mam trzymać ręce tam, gdzie je widzisz.

– Nie bądź taki sprytny. Mówię poważnie.

– Naprawdę to zrobisz? Narazisz się na zarzuty kryminalne?

– Jeśli będę musiała.

– Twoje szanse na sukces są zerowe, Jordie. Obaj z Wileym jesteśmy uzbrojeni. Z podniesionymi rękami czy nie, możemy...

– Nie zrobisz mi krzywdy.

– Racja. Ponieważ zaczniesz zachowywać się rozsądnie i oddasz mi pistolet.

Natychmiast. – Wepchnął prawą rękę między przednie siedzenia.

Szarpnięciem usunęła broń z jego zasięgu.

– Daj mi ten pieprzony pistolet.

– Albo co?

– Albo ci go odbiorę, jeśli będę musiał – ostrzegł łagodnie. – Nie chcę cię skrzywdzić, jeśli jednak zajdzie taka potrzeba, nie zawaham się.

– Nieprawda.

– Dlaczego tak myślisz? Z powodu ostatniej nocy? To była rozrywka, teraz wracamy do interesów.

To zabolalo, ale nie wytraciło jej z równowagi.

– Nie zrobisz nic...

– Nie licz na to.

– ...ponieważ wiem, gdzie jest Josh.

Widziała wyraźnie, że się tego nie spodziewał. Spojrzał na Wileya, a kiedy znowu zwrócił na nią wzrok, oczy miał ostre niczym brzytwa jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w tamtej knajpie. Tylko że teraz błyszczał w nich gniew.

– Wiedziałas od początku? Od samego początku?!

– Nie. – Pokręciła głową. – Przysięgam. Agent Wiley wspomniał o Bayou Gauche i wtedy się zorientowałam.

Nie potrafiła stwierdzić, czy jej uwierzył, czy nie. Nadal patrzył na nią twardo i rozkazująco.

– W porządku, więc gdzie jest?

– Jedź.

– Nie ruszymy się stąd, dopóki nie powiesz, gdzie znajdziemy Josha.

– Zaprowadzę was do miejsca, gdzie myślę, że jest, ale dopiero z Bayou Gauche. Nie wcześniej.

– Marnujemy czas tymi targami.

– Wiem o tym.

– Jesteś więc gotowa dać Panelli czas, żeby pierwszy dopadł Josha?

– Nie, ty to robisz, siedząc tutaj!

– Kurwa!

Przekleństwo zawirowało w powietrzu, a Shaw się odwrócił, przełączył skrzynię biegów i zrobił ostry zakręt.

– Nie krępuj się, odczytaj jej prawa – powiedział do Wileya. – A może się jej boisz?

Wiley skrzywił się na tę uwagę, ale spojrzał na Jordie.

– Dobra, zwróciłaś naszą uwagę. Zaczynaj.

– Widziałeś Josha, kiedy na całego ześwirował, jak to ująłeś.

– Łatwo się załamuje.

– Słusznie. Jeśli w potrzask weźmie go oddział szeryfów federalnych

i policji stanowej, jak myślisz, na kogo lepiej zareaguje? Na uzbrojonych funkcjonariuszy czy na mnie?

– Ma rację – powiedział Wiley do Shawa. – Przekonała go, żeby zgodził się na układ z prokuratorem, podczas gdy argumenty moje, Hicka i adwokata nie robiły na nim wrażenia. Jeśli ktoś potrafi go przekonać, żeby się teraz poddał, to tylko ona.

Shaw tego nie skomentował, chociaż mowa jego ciała nie pozostawiała wątpliwości. Jechał szybko, palce zaciskał na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły. Pewnie bardziej był wściekły na siebie, że pozwolił zabrać sobie broń, niż na nią.

– Więc gdzie znajdziemy twojego brata? – zapytał Wiley.

– Nie wiem, czy go znajdziemy, ale wiem, gdzie szukać. Słyszeliście o zabawie bożonarodzeniowej i paradzie łódek, którą urządzają na zatoce Gauche?

– Owszem, choć nigdy na niej nie byłem. Marsha mówi, że powinniśmy kiedyś wybrać się z dziećmi.

– Cieszę się, że o tym mówisz – powiedział Shaw. – Przypomnij, żebym zarezerwował bilet.

Zignorowała go.

– Po... wypadku nasza rodzina przestała obchodzić Boże Narodzenie w domu i pojechaliśmy tam, kiedy urządzili pierwszą paradę. Ciotka taty mieszkała w Bayou Gauche. Zabraliśmy ją na brzeg zatoki. Josh zawsze dokładał wszelkich starań, żeby rodzinne wyjścia nie były udane. Tamtego wieczoru wydawał się szczególnie ponury, chciał wszystkim popsuć nastrój. Mówił, że wolałby trzymać się z daleka od tłumu. Dlaczego nie zostawiliśmy go w domu ciotki? Mógłby stamtąd oglądać paradę. – Przerwała, żeby popatrzeć na agentów. Na twarzach obu malował się sceptycyzm, ale żaden się nie odezwał. – Mnie dom wydawał się odizolowany. Żadnych sąsiadów, z którymi można pogadać. Na skraju mokradeł. Prowadzi tam kręta droga. W prostej linii jest o wiele bliżej do miasta. Josh pokazał mi, że z brzegu zatoki, gdzie staliśmy, widać było lampy na pomoście ciotki. Ledwo, ledwo. Co jakiś czas migotały między drzewami.

– Migotały? – Shaw utkwiał przenikliwy wzrok w jej odbiciu we wstecznym lusterku.

Udała, że nie słyszy jego lekceważącej uwagi, i wpatrywała się w Wileya.

– Starsza pani nadal żyje? – zapytał.

– Umarła niedługo potem. Nie myślałam o niej ani o tamtych świętach od lat, dopiero kiedy wymieniłeś Bayou Gauche, przypomniałam to sobie.

– Co się stało z jej domem?

– Nie mam pojęcia. Tata nie był spadkobiercą, jeśli o tym myślisz. Nigdy więcej tam nie pojechaliśmy.

Wiley zmarszczył czoło.

– Myślę, że to...

– Kupa gówna – wtrącił Shaw.

– ...dość banalne.

– W normalnych okolicznościach zgodziłabym się z tobą – odparła Jordie na komentarz Wileya, nie Shawa. – Jednak Josh nie jest zwyczajny. Ma obsesje na punkcie różnych rzeczy. Nigdy niczego nie zapomina. Jeśli w dzieciństwie nawet raz usłyszał coś o domu ciotki, nadal to pamięta. Zresztą tylko tamto wspomnienie łączy go z tym miastem. Z jakiego innego powodu wysłałaby paczkę akurat stąd?

– To dość naciągane... – zaczął mówić Shaw.

– Ale to coś! – przerwała mu ostro. – Masz coś lepszego?

Wiley podniósł rękę, prosząc o spokój, i zapytał Jordie, czy zna adres lub choć jakąś jego część.

– Nie.

– To prawda czy po prostu nie chcesz powiedzieć?

– Prawda, ale nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym. Powiadomilibyście szeryfów i całą resztę, a oni by nas wyprzedzili. Chcę mieć szansę jako pierwsza porozmawiać z Joshem. – Nieznacznie uniosła pistolet. – Żądam tego.

Nie ukrywając irytacji, Wiley spojrział na Shawa, który najwyraźniej wyczerpał zapas sardonicznych komentarzy.

– Pamiętasz, jak dojechać do tego domu?

– Byłam mała i nie zwracałam uwagi na kierunki i tak dalej. Ale myślę, że z miasta już trafię.

Wiley chwilę się jej przyglądał.

– Lepiej, żeby się nie okazało, że nas nie oszukujesz.

– Nie oszukuję.

– Faktycznie, nie oszukuje.

Samochód zjechał z drogi tak szybko, że jego pasażerowie polecili do przodu. Jordie ledwo zdołała utrzymać pistolet w dłoni, kiedy Shaw z poślizgiem nagle zahamował. Odwrócił się do niej.

– Nie przyszło ci do głowy, że zauważyłem brak pistoletu w bucie? – Spojrział na Wileya, który się na niego gapił szeroko otwartymi oczami. – Chciałem się przekonać, co z nim robi. Skoro nas nie zastrzeliła, to myślę, że powiedziała nam prawdę.

*

Josh nie miał pojęcia, jak Panella dowiedział się o domu niegdyś należącym do jego ciotecznej babki. Po jej śmierci dom przez lata stał niezamieszkanym i wśród miejscowych zaczął się cieszyć sławą „nawiedzonego”.

Kiedy o niego zapytał, pośrednik handlu nieruchomościami ucieszył się, że wreszcie się go pozbywa. Josh kupił dom na fałszywe nazwisko i dopilnował, by

nie został żaden ślad w dokumentach wskazujący na niego. Myślał o domu jako o schronieniu, o którym nikt poza nim nie wie.

Teraz to nie miało już znaczenia, skoro Panella go odkrył.

Przyszedł wczesnym rankiem, nie nocą, kiedy Josh by się go spodziewał. Siedział w kuchni, bawiąc się pudełkiem wykałaczek, jak miał w zwyczaju, kiedy zastanawiał się nad kolejnymi posunięciami prowadzącymi do rozwiązania problemu, gdy nagle otworzyły się tylne drzwi i do środka wpadł Panella.

Josh o mało się nie zmoczył.

– Ty fałszywy skurwysynu! Naprawdę myślałeś, że to ci ujdzie na sucho?

Pytanie było retoryczne. Panella ściągnął go z krzesła z taką siłą, że Josh przygryzł sobie język. Poczul w ustach własną krew. Panella rzucił go na ścianę, lewą dłonią przycisnął mu jabłko Adama i przysięgł, że jeśli Josh nie powie mu tego, co on chce wiedzieć, to przed śmiercią pozna wszystkie średniowieczne tortury.

Teraz Josh przeniósł wzrok z nieruchomych oczu Panelli na sygnet lśniący na małym palcu jego lewej ręki, a potem na pistolet w prawej.

Joshowi chciało się sikać, płakać, wrywać sobie włosy ze złości, urządzać scenę nad scenami. Był tak blisko... i udałoby mu się wywinąć. Teraz perspektywa najbliższej oraz dalszej przyszłości nie rysowała się dobrze.

– Bankowiec musiał się pomylić – powiedział. – Hasło dla Jordan Bennett? Dla Jordie? Dlaczego miałyby potrzebować hasła do twojego konta?

Panella tylko patrzył. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– Może to nazwa jej firmy. Extravaganza. Niewykluczone. Ale nie, za długie. A hasła często wymagają połączenia cyfr i liter, prawda? Zwykle też małych i wielkich liter. Może data jej urodzin? Od tyłu? Nazwisko panięskie naszej matki?

Uświadamiając sobie, że bełkocze, umilkł, wziął kilka wdechów, by nie dopuścić do hiperwentylacji, i starał się powstrzymać rodzący się w nim niepokój. Spojrzał jednak w twarz Panelli i atak paniki ruszył na niego jak niemożliwy do powstrzymania pociąg towarowy.

Musi poznać to hasło, postanowił.

Rozdział 38

Do Bayou Gauche pozostało kilka kilometrów. Shaw, Wiley i Jordie omawiali sytuację.

Agenci zgodzili się, że wstrzymają się z powiadomieniem ekip funkcjonariuszy poszukujących Josha z podanego wcześniej powodu: Jordie miała na brata większy wpływ niż ktokolwiek inny.

– Im mniejszą presję będzie czuł, tym większa szansa, że przejrzy na oczy i się podda – powiedziała.

Shaw ją poparł.

– Poza tym jak wpadnie tam banda gorliwych gliniarzy, zanim w ogóle stwierdzimy, że to ten dom i Josh w nim jest, to moja przykrywka będzie zdemaskowana bez powodu, a ty będziesz wyglądał jak idiota, bo uwierzyłeś w opowieść o migoczących światłach snutą przez siostrę zbiega.

– Zgadzam się – potwierdził Wiley, przez ramię oglądając się na Jordie. – Będziesz miała okazję przemówić mu do rozsądku. Jeśli jednak nie podda się po kilku minutach albo zrobi coś choć trochę zwariowanego, wezwę wsparcie. Mówię poważnie. I nie obchodzi mnie, czy mnie zastrzelisz. Rozumiesz?

– Podpisuję się pod każdym słowem – powiedział Shaw.

– Dajcie mi pięć minut.

– Trzy – odparł Shaw.

Z jego upartego tonu wnioskowała, że on nie zamierzał ustąpić.

– W porządku, trzy. I przyrzeknijcie, że Josh wyjdzie z tego bez szwanku.

– Nie możemy tego przyrzec, Jordie – odrzekł szczerze Shaw – ponieważ nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co on zrobi.

Oczywiście miał rację. Pragnęła spokojnego zakończenia bez ofiar, ale ani Shaw, ani nikt inny nie mógł tego zagwarantować. Rozwiązanie w dużej części zależało od stabilności emocjonalnej jej brata, a to nie dodawało otuchy.

– Musimy rozważyć coś jeszcze – odezwał się Wiley. – Możemy natknąć się na Panellę.

– Tego akurat nie musimy rozważać – zauważył Shaw. – Wpadamy na Panellę, powinien poddać się natychmiast, w przeciwnym wypadku posyłam go na tamten świat.

Później wszyscy troje zamilkli jak żołnierze przygotowujący się psychicznie do niebezpiecznej misji.

Kolejna ponura ewentualność wpadła Jordie do głowy: miejscowa policja zlokalizuje Josha przed nimi. Gdyby próbował uciekać, mógłby zostać ranny lub

zabity. Czują, że dla brata czas się kończy, i w myślach nakazywała Shawowi, żeby jechał tak szybko, jak się da.

Kiedy jednak wjechali do Bayou Gauche, ogarnęły ją strach i niepewność co do rozwoju wydarzeń.

– Dobra, w którą stronę? – zapytał Shaw.

– O ile pamiętam, dom był po tej stronie miasta w tamtym kierunku. – Machnęła ręką. – Skręć w lewo na najbliższych światłach.

Ledwo skręcili, zapiszczał telefon Wileya. Spojrzał na ekran.

– Mama Hicka.

– Odbierz. – Shaw zjechał na parking stacji benzynowej. – Muszę omówić zasady gry z Jordie.

Wiley wysiadł i odebrał, oddalając się od samochodu.

– Zasady gry? – zdziwiła się Jordie, nieszczęśliwa z powodu zwłoki.

– Do negocjacji. Po pierwsze. – Wyciągnął rękę przez lukę między siedzeniami.

Zawahała się, ale położyła pistolet na jego dłoni.

– Postąpiłam pochopnie, przyznaję. Ale czy w innym przypadku zabrałbyś mnie tutaj?

– Cholera, wykluczone. Zastrzełiłabyś mnie?

– Poważnie brałam to pod uwagę, kiedy nazwałeś wczorajszą noc rozrywką.

– Powiedziałem tak, żeby cię sprawdzić, zobaczyć, co zrobisz.

– Teraz wiem.

Wymienili znaczące spojrzenia. Shaw lekko potrząsnął głową, jakby chciał się zmusić do powrotu do chwili obecnej.

– To nie groźba kulki przekonała mnie do twojego sposobu myślenia. Mówiłaś rozsądnie. Jeśli znajdziemy Josha, możesz być cennym atutem.

– Dziękuję.

– Zaczekaj z podziękowaniami, bo jest coś jeszcze. – Jego poważny ton przykuł jej uwagę. – Powiedziałem Wileyowi o Kostaryce.

Jasne, spodziewała się tego, chociaż skutki były przerażające.

– Według niego jestem współniczką?

– Zastanawia się jeszcze. Mówię ci o tym na wypadek, gdybyś chciała nas wykiwać, pomóc Joshowi w ucieczce, coś w tym rodzaju. Wtedy wyglądałabyś naprawdę źle w oczach prawa.

– Nic takiego nie zrobię.

– Okay.

– Przysięgam.

– Okay. – Przez kilka sekund patrzył jej w oczy. – A teraz... teraz pozostałe zasady.

*

Kilka minut później Wiley wsiadł do samochodu.

– Przepraszam, że trwało to dłużej, niż powinno. Mama Hicka czuła taką ulgę, że nie potrafiła przestać mówić. Hick odzyskał świadomość. Jest przytomny. Odpowiada prawidłowo na zadawane pytania.

Jordie krzyknęła z radości.

– To dobra wiadomość – powiedział Shaw.

– Nie dla ciebie – odparł Wiley. – Ocknął się wściekły jak diabli. Pamiętał bluzę, myślał, że to ty do niego strzeliłeś.

– Mam nadzieję, że ktoś wyprowadził go z błędu.

– Nadal cię nie lubi. Ale nikt cię nie lubi, prawda?

Shaw spojrział na Jordie we wstecznym lusterku. Odwzajemniła uśmiech, ale zaraz na jej twarzy pojawił się niepokój.

Zgodnie ze wskazówkami Shaw zjechał z głównej drogi na taką, której bieg dyktował kręty brzeg zatoki. Mokrała po obu stronach wyglądały identycznie. Bez drogowskazów naturalnych lub wykonanych ręką człowieka łatwo było się zgubić. Shaw zaczął wątpić w pamięć Jordie.

– Tutaj – powiedziała nagle. – Po prawej.

Skręt znaczyła jedynie zardzewiała i powyginana skrzynka pocztowa na pochyłym drewnianym słupku, który sprawiał wrażenie, jakby od przewrócenia chroniły go rosnące wokół zielska. Po czterystu metrach wąskiej zwirowanej ścieżki ich oczom ukazał się dom.

– To ten? – zapytał Shaw.

– Tak. Jestem pewna.

Nie wyglądał na gościnny ani nawet na zamieszkania. Nie było tu śladu życia ani źdźbła zielonej trawy czy krzewów. Nawet drzewa zdusił hiszpański mech wiszący na gołych konarach.

– Wygląda jak nawiedzony dom – stwierdził Wiley.

– To pociągałoby Josha – odparła Jordie. – Lubi gry wideo o duchach i horrory.

Shaw zatrzymał samochód jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, ale nie wyłączył silnika. Dom w typowym stylu akadiańskim stał na mocnych cyprysowych palach, z trzech stron otaczała go weranda z daszkiem. Ściany pewnie były białe, ale żywioły pozbawiły je farby i teraz budynek miał barwę żałobnej szarości pasującej do monochromatycznego otoczenia. Rdza zżarła większość blaszanego dachu. Wyszczerbione okiennice zabezpieczające przed huraganami wisały krzywo na oknach.

– Nie wierzę w duchy – powiedział Shaw – i dlatego nie podoba mi się, że jest tu tyle okien. Siedzimy wystawieni jak kaczki dla każdego, kto może na nas patrzeć.

– Josh nikogo by nie zastrzelił – odparła Jordie.
– Nie miałem na myśli Josha.
– Panella? – Nie czekając na odpowiedź, Wiley wyciągnął swoją broń w tej samej chwili, w której zrobił to Shaw. – Nie ma samochodu.
– Zauważyłem – przyznał Shaw. – Nie wiem, co to znaczy.
– Może to, że się myliłam. Tu od wieków nikogo nie było.
– Nie sędzę. – Shaw nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak uważa. Podpowiadał mu to instynkt.
– Powiniennem wezwać wsparcie – rzucił Wiley.
– Nie! – zaprotestowała Jordie. – Ustalmy najpierw, że Josha tu nie ma.
– Albo jest – dodał Shaw. – Schył się. – Zdjął nogę z hamulca i pojechał wolno w stronę domu. Zatrzymał się dziesięć metrów od stopni prowadzących na ganek. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wysiadł, ale stał schylony. Wiley zrobił to samo. Shaw spojrzął do samochodu i powiedział: – To twoje przedstawienie.

Wiley zawołał Josha i się przedstawił.

– Przywiozłem twoją siostrę. Chce z tobą porozmawiać.

Czekali, wstrzymując oddech, ale w domu nic się nie poruszyło. Wiley podjął następną próbę, wołając głośniej.

– Josh? Czas się poddać. Ciągniesz dalej te bzdury, tracisz swoją pozycję w negocjacjach i nie możesz liczyć na pobłażliwość.

Zegar na desce rozdzielczej był analogowym modelem retro. Shaw słuchał tykania i kiedy po sześćdziesięciu sekundach nadal nic się nie stało, otworzył tylne drzwi i gestem dał znać Jordie, żeby wysiadła.

– Zajmij miejsce za kierownicą.

Jedna z zasad gry brzmiała, że jeśli Jordie z nimi pojedzie, będzie natychmiast wykonywała jego polecenia. Teraz przesiadła się bez pytań czy sprzeciwu.

Położył dłoń na jej głowie i zmusił ją do zsunięcia się w fotelu.

– Nie podnoś się. Zostawiłbym z tobą Wileya, ale musimy obejść dom z dwóch stron. Dostrzeżesz Josha, usłyszysz szelest liści, jakiś robak puści bąka, naciskasz na klakson.

– Jeśli Josh tu jest, modłę się, żeby wyszedł z rękami w górze.

– Ja też. Jeśli jednak rozegra się inny scenariusz...

– Na przykład z Panellą?

– Jakikolwiek. Wtedy najpierw klakson, potem gaz do dechy.

– A wy?

– Nie czekaj na nas. Spadasz. Zrozumiano?

Z wyraźnym ociąganiem kiwnęła głową.

Wyjął pistolet ze schowka w bucie i podał jej.

– Gotowy do strzału, gdyby sprawy się spieszyły. Masz siedem pocisków. Nie wahaj się. Wyceluj i naciśnij spust. Zrozumiałas?

– Tak.

– Zrobisz to?

Przełknęła ślinę.

– Nie wiem.

– Super. Akurat w tym momencie postanowiłaś być całkiem szczerą. Przywykłem, że pyskujesz.

Posłała mu drżący uśmiech.

– Uważaj na siebie.

Pocałował ją mocno i szybko.

– Możesz na to liczyć.

Zgarbiony za drzwiami od strony kierowcy, spojrzął na Wileya, który zasygnalizował, że wejdzie od frontu. Shaw kiwnął głową. Obaj wzięli głęboki wdech, wyszli z ukrycia i pobiegli w stronę domu.

Wiley ciężko pokonał stopnie prowadzące na ganek i zanim Shaw stracił go z oczu, przypadł do ściany pomiędzy dwoma wysokimi oknami. Nic się nie wydarzyło. Na razie wszystko dobrze.

Schylając się i trzymając blisko domu, Shaw pobiegł na jego tyły. Raz przykląkł, żeby zajrzeć między pale, ale nic tam nie było.

Dotarłszy do rogu, zatrzymał się i obejrzał na samochód. Słońce odbijało się od przedniej szyby, dlatego widział tylko zarys głowy Jordie. Niespodziewanie przeszło mu przez myśl, że zabiłby każdego, kto wyrwałby jej choćby jeden włos. Nieważne, kto by to był.

Wsunął się za róg.

Na tylnym podwórku połacie gołej ziemi przeplatały się z zielskami. Ślady opon prowadziły w stronę frontu domu i przypuszczalnie na podjazd. Stały tam szopa i oddzielny garaż, oba budynki zrujnowane, niemal się rozpadające. Chwiejny drewniany pomost na zgniłych palach wchodził w zatokę, w kątach na rogu rdzewiały słupy z lampami.

Shaw zarejestrował to w kilka sekund, bo tyle mu zajęło dojście do drzwi. Nie były zamknięte na klucz i otwierały się wprost na kuchnię. Omiótł ją zamaszystym gestem ręki z pistoletem. To był chlew. Wszędzie walały się puste pojemniki po jedzeniu, zlew wypełniała tłusta, mętna woda. Na stole prócz kilku tacek po gotowych daniach leżało pudełko drewnianych wykałaczek, okulary przeciwsłoneczne i zwinięty kupon loteryjny.

Wiley wszedł przez drzwi łączące kuchnię z resztą domu i pokręcił głową.

– Czysto.

Shaw jednak wskazał przedmioty na stole. Kupon był jednoznacznym dowodem. Josh kupił go w sklepie całodobowym.

Wyznaczył Wileyowi miejsce, w którym ten miał na oku oba wejścia, i kiwnął głową w stronę holu na znak, że tam idzie. Wiley też kiwnął głową. Shaw skradał się holem, aż dotarł do uchylonych drzwi. Pchnął je lufą pistoletu, po czym błyskawicznie, choć cicho wpadł do środka.

Spuszczone rolety sprawiały, że w pokoju panował mrok. Był skąpo umeblowany. Na podwójnym łóżku leżała splątana, wypłowiała pościel. Na nocnym stoliku stał wyłączony wentylator, na pewno przydałoby się tu przewietrzyć. W kącie wznosił się stos brudnych ubrań, pomiędzy którymi był też wojskowy mundur khaki.

Shaw się wycofał, niczego nie ruszając. Druga sypialnia była pusta, grubej warstwy kurzu na podłodze nie tknęły stopy. Pokoje rozdzielała maleńka łazienka. Kabinę prysznicową porastała czarna pleśń, zastała woda w sedesie cuchnęła, ale z umywalki niedawno korzystano. Na dnie pozostały krople wody, na krawędzi wisiał złożony wilgotny ręcznik.

Wrócił do kuchni i zrelacjonował Wileyowi, co zauważył w łazience.

– Nie możemy być zbyt daleko za nim. Albo za kimś.

Wcale nie sądził, że Wiley przegapił kogoś ze zbiegów, ale chciał na własne oczy zobaczyć pokoje od frontu, a poza tym przez nie prowadziła najkrótsza droga do samochodu, w którym czekała Jordie.

Z kuchni wychodziło się do jadalni, zupełnie pustej z wyjątkiem lampy wiszącej pod sufitem na drucie. Znajdujący się za nią salon także był nieumeblowany, zniszczony i niezapewniający kryjówek. W podłodze brakowało desek, ale żadna luka nie była dostatecznie duża, by zmieścić się w niej człowiek, zresztą Shaw zajrzał pod dom. Nikogo tam nie widział.

Wyszedł na ganek. Jordie z niepokojem na twarzy wygramoliła się z samochodu. Gestem kazał jej wrócić.

– To jego nora, miałaś rację. Na pewno tu był, choć teraz nie ma po nim śladu. – Po żywym, pomyślał. Bał się, co Wiley może znaleźć w zabudowaniach gospodarczych. – Zostań tutaj.

– Sama chcę zobaczyć.

Shaw pokręcił głową.

– Straszny tam bałagan. Nieprzyjemnie. Dziury w podłodze. Niebezpiecznie.

– Dokąd idziesz?

– Sprawdzić szopę i garaż za domem. Nadal obowiązują te same zasady.

Trzymaj palec na klaksonie.

*

Jordie poczekała, aż obaj mężczyźni znikną za domem, po czym wysiadła i ruszyła do frontowych drzwi. Mówiła sobie, że mogli przegapić jakąś wskazówkę dotyczącą obecnego miejsca pobytu Josha, chociaż prawdziwym powodem, dla

którego sama chciała obejrzeć dom, były uniki Shawa. Dlaczego nie chciał, żeby tam poszła?

Pchnięciem otworzyła drzwi i przystanąła na progu, z przerażeniem wodząc wokół spojrzeniem. Szybko przeszła przez salon i jadalnię do kuchni, gdzie jak pamiętała, cioteczna babka serwowała jej i Joshowi ciasteczka i poncz.

Wstrząsnęło nią to, co teraz zobaczyła. Czy stan psychiczny brata się pogorszył, osiągając poziom kompletnego obłądu? Jak może żyć w takim brudzie? Czy w ogóle postrzega to jako brud?

Wiedziała, że niedługo zostaną wezwani śledczy do zebrania dowodów, więc niczego nie dotykała, co nie znaczy, że w innej sytuacji by to zrobiła.

Widok zabałaganionej sypialni nappełnił ją rozpaczą. Kiedy po rocznym pobycie Josha wypisano wreszcie ze szpitala, w domu czekała na niego nowo urządzona sypialnia. Mama miała nadzieję, że niespodzianka poprawi mu samopoczucie. Oczywiście się myliła.

Porównanie tamtej kolorowej sypialni z nowymi sprzętami i tej smutnej nory stanowiło alegorię tragicznego i nieuniknionego upadku Josha.

Wróciła do kuchni. Przez okno zobaczyła Wileya wychodzącego z szopy i Shawa, który schylony zaglądał pod rozpadający się pomost. Zdenerwuje się na nią, że nie przestrzega zasad.

Z ganku zeszła na podwórko. Obejrzała się na fasadę domu, zadając sobie pytanie, dlaczego tak fascynował Josha. Co w nim tak go intrygowało, że zapragnął wrócić? Dom nie był ładny, nie był nawet duży, w stylu...

Nagle uderzyła ją pewna sprzeczność. Ze stromego dachu nad gankiem wystawały dwa okna, symetrycznie usytuowane, ale przecież dom nie miał piętra. A może miał? Czyżby przegapiła schody?

Zaintrygowana wróciła do środka, ale zapamiętała dobrze. Nie było schodów w miejscu, gdzie zwykle prowadzą z salonu na piętro. Wiedziała, że nie ma ich także na tyłach domu ani przy kuchni, ponieważ by je zobaczyła.

Pomiędzy salonem a jadalnią wolno się okręciła. Przedtem nie zwracała uwagi na detale architektoniczne, za to teraz rozejrzała się i dostrzegła w kącie jadalni wąskie drzwi, które zlewały się z boazerią.

Włoski na karku stanęły jej dęba.

Powinna wezwać Shawa.

Zamiast tego podeszła do drzwi i otworzyła je.

W nozdrza uderzył ją smród. Intensywny.

Zakryła nos i usta, zarówno po to, by zdusić szloch, jak i zapobiec wdychaniu odoru. Przetykając strach i przerażenie, mocniej pchnęła drzwi. Otworzyły się, odsłaniając strome schody.

– Josh? – Oddychając szybko przez usta, zawołała ponownie: – Josh? Jeśli tam jesteś, proszę, zejść na dół.

Ciszę mąciło wyłącznie bicie jej serca.

Promienie słońca wpadały przez dwa okna, Jordie widziała więc wystarczająco dużo, by wejść po schodach. Z każdym stopniem stawało się jaśniej. Gdy dotarła na górę, przekonała się, że światło nadaje strychowi niestosownie wesołą atmosferę, ponieważ w pustym pomieszczeniu leżał jedynie zamknięty czarny worek na ciało.

– Jezu, nie! – Bezwładnie oparła się o framugę, tłumiąc jęki i wpatrując się w worek. Zacisnęła kurczowo powieki, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że kiedy znowu je otworzy, worka nie będzie.

Oczywiście był.

Powinna wezwać Shawa.

Była jednak winna Joshowi ostatnie pożegnanie.

Na uginających się nogach podeszła do worka i uklękła. Dygoczącą ręką ujęła zamek błyskawiczny i pociągnęła w dół, potem rozsunęła worek.

Krzyknęła. Czy raczej chciała krzyknąć.

Tylko że z tyłu czyjaś dłoń zatkała jej usta i upiorny, wzmocniony elektronicznie, straszliwie zniekształcony głos powiedział:

– Zgadnij, kto to?

Rozdział 39

Idąc z Shawem od pomostu z powrotem do samochodu, Wiley rękawem wytarł pot z czoła.

- Bałem się, że w jednym z tych budynków znajdziemy jego ciało albo grób.
- Też mi to przeszło przez myśl.
- Boli cię bok?
- Tak.
- Masz krew na koszuli.

Shaw sprawiał wrażenie, jakby go nie słyszał. Był zamyślony, czoło przecinały mu zmarszczki.

– Wezwalesz wsparcie?

– Są w drodze. Musimy dopilnować, żeby nie zdeptali śladów opon. Jeśli będziemy mieć odlew, może uda nam się zidentyfikować samochód Josha.

Utrzymując tempo, Shaw spojrzał na dom.

– Niech to zrobią szybko i znikną z widoku. Powinniśmy urządzić zasadzkę. Nie wygląda na to, żeby się zmył stąd na dobre, co? Zostawił ubrania i okulary.

– Może nie odszedł z własnej woli – odparł Wiley. – Może go zabrano.

– Masz na myśli Panellę?

– Właśnie.

– Może – powiedział z namysłem Shaw. – Ale nic nie wskazuje na to, że doszło tu do szarpaniny.

– Trudno stwierdzić w tym bałaganie.

– Owszem, ale...

– Co? – ponaglił go Wiley.

– Sam nie wiem. Coś mi tu nie pasuje.

– Mnie nie pasuje upał – mruknął Wiley, znowu wycierając czoło. – A konkretnie co masz na myśli?

– Nie potrafię powiedzieć. – Shaw zwolnił, Wiley się do niego dostosował. – Moja pierwsza rozmowa z Panellą miała miejsce w sobotę po południu, koło drugiej. Zadzwoiłem do niego z komórki Mickeya, żeby negocjować nową umowę.

– Okay.

– Tego samego popołudnia koło trzeciej Josh wysłał Jordie telefon.

Spojrzał na Wileya, ale ten odniósł wrażenie, że Shaw wcale go nie widzi, raczej zastanawia się nad brakującym istotnym elementem.

– Te urządzenia można bez problemu kupić przez Internet – odezwał się

nagle Shaw.

– Słucham?

– Sam to dzisiaj powiedziałaś. – Shaw przeniósł wzrok na dom i zaraz wielkimi susami popędził w jego stronę. Kiedy Wiley go dogonił, on już otwierał tylne drzwi.

– O czym myślisz? – zapytał Wiley, idąc za nim przez kuchnię do jadalni.

– Josh nie zaklinał rzeczywistości, wysyłając ten telefon. On wiedział, że Jordie żyje. Półtorej godziny wcześniej słyszał jej krzyk przez telefon.

Byli już na ganku. Shaw gwałtownie się zatrzymał, w tej samej chwili Wiley zobaczył puste miejsce za kierownicą.

– Ja pierdolę – rzucił Shaw, wyciągając pistolet. – Przeszukaj dom! – krzyknął, zeskoczył na ziemię i ruszył biegiem.

Wiley wpadł do domu. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były drzwi w kącie jadalni. Podbiegł do nich i zobaczył schody.

Niemal dławiąc się od smrodu, ruszył na górę, gdzie na podłodze strychu zobaczył otwarty worek na ciało.

W środku znajdowały się zwłoki w zaawansowanym rozkładzie. Otwarte powieki były podtrzymywane przez wykałaczki. Prawa dłoń zaciskała się na pistolecie, na małym palcu lewej błyszczał sygnet z brylantem.

To był Billy Panella.

Rozdział 40

Josh przyłożył Jordie w głowę ręką pistoletu. Bliska utraty przytomności, nie mogła się bronić, kiedy skuł jej ręce na brzuchu plastikowymi kajdankami. Ledwo zdążyła przełknąć nudności wzbierające w gardle, kiedy wepchnął jej w usta chusteczkę, żeby nie mogła zawołać Shawa i Wileya.

Powlókł ją w dół po schodach z takim pośpiechem, że o mało się na niego nie przewróciła. Żałowała, że tak się nie stało. Jasne, mógł ją wtedy zastrzelić, kończąc jej życie, zanim Shaw w ogóle by się zorientował, że ona ma kłopoty.

Shaw – wołała w myślach.

Cios ją oszołomił, wzrok miała rozmazany. Na dole Josh złapał ją za związane ręce i pociągnął przez salon, po schodach, a potem na drugi koniec placu przed domem. Tam skoczył w zarośla.

Przedzierali się kilka minut. Zdezorientowana Jordie, której kręciło się w głowie, popatrzyła przez ramię, gdy szła, potykając się, za bratem, ale domu już nie widziała. Wydawało się, że wrogi teren ich połknął. Shaw ostrzegał ją przed niebezpieczeństwami czyhającymi na mokradłach tamtego wieczoru, kiedy ją porwał.

Shaw.

Gdyby nie była zakneblowana, wypowiedziałaby jego imię na głos. W tym samym czasie Josh przemówił:

– Jasne, ten tępak Mickey Bolden mógł sobie wybierać pomocników, no nie? Ale żeby wybrać gliniarza? A może ten cały Shaw Kinnard jest z FBI? Ze skarbówki?

Kiedy i jak Josh odkrył, że Shaw nie jest płatnym zabójcą i porywaczem?

– Nieważne, z jakiej jest agencji – ciągnął Josh. – Zepsuł piątkowy wieczór. Najbardziej mnie jednak wkurza, że przepadła zaliczka wypłacona temu tłuściochowi Boldenowi.

Umysł zaczynał się jej przejaśniać, ale nic, co mówił Josh, nie miało sensu.

– Pośpiesz się, Jordie. – Zwiększył tempo, brutalnie ciągnąc ją za sobą. – Nie mamy czasu. Niedługo on i Wiley odkrywają zgniłego trupa Panelli. To będzie niespodzianka, co? Dla ciebie to musiał być szok jak diabli. – Nagle przystanął i odwrócił się. – Użycie krtani elektronicznej uważam za przebłysk mojego geniuszu. – Wyjął urządzenie z tylnej kieszeni, przytknął do gardła i powiedział: – Nawet Mickey Bolden myślał, że jestem Panellą, a wiesz, jak blisko się kumplowali.

Jordie się wzdrygnęła.

– Co jest? Nie podoba ci się brzmienie? – Śmiejąc się, schował krtań do kieszeni. – Zachowam ją jako pamiątkę po czasach, gdy grałem Panellę. Wiesz, to nie było łatwe, musiałem pamiętać, która komórka jest Panelli, a która moja. Mówić ostro i twardo, jak on by mówił. „Zabij ją, natychmiast!” A potem przerażony kociak Josh. „Tak strasznie się boję. Jordie nic się nie stało? Proszę, uratujcie moją siostrę” – ostatnie zdania powiedział fałszem.

Resztki mgły się rozwiały i w umyśle Jordie sprawy nabrały przerażającej jasności. To Josh, nie Panella, zaplanował jej śmierć. To on targował się z Shawem o cenę za jej życie.

Opowiadał teraz, jak Panella jakimś sposobem odkrył, że Josh zamierza zostać informatorem.

– Nie miałem pojęcia, że wie o tym domu, ale wpadł tu pewnego ranka. Był wściekły, groził mi najbardziej ohydnyimi torturami. Nie uwierzyłybyś, co miał zamiar mi zrobić, jeśli nie powtórzę wszystkiego, co powiedziałem federalnym o przekręcie. Tylko że ja wcale nie czułem, że go zdradziłem. Bo niby czemu? Ja odwaliłem całe myślenie. Jeśli się zastanowić, on był niczym więcej jak przymilnym frontmenem z koronką na zębach.

To nie był ten Josh, który miał ataki hysterii i paniki, który bełkotał, kiedy się bał. Ten Josh zachowywał spokojną obojętność i budził w Jordie przerażenie. Gorączkowo obejrzała się za siebie, ale zarośla, przez które przed chwilą przeszli, wydawały się nieporuszone, tylko unosiła się nad nimi chmara maleńkich owadów.

– Tak czy owak, wracając do poranka sześć miesięcy i trzynaście dni temu, on tu przyszedł, przyciskał mnie do ściany i dusił, warczał i syczał, jak to Panella. Nie spodziewał się, że kulący się ze strachu, histeryczny Josh strzeli mu w brzuch. Nie jestem dobrym strzelcem, wybrałem miejsce, gdzie było go najwięcej. Gdybyś widziała jego minę!

Odwrócił głowę i wykrzywił się ohydnie.

Jordie myślała, że Shaw i Joe Wiley odkryją, że jej nie ma, i zaczną poszukiwania. Musi przeżyć na tyle długo, żeby do niej dotarli, ponieważ wiedziała z całą pewnością, że Josh zamierza ją zabić. Nie przyznawałby się do tego wszystkiego, gdyby miał puścić ją żywą.

Ile ma czasu? Ile czasu potrzebuje Shaw, żeby ją znaleźć? Czy jeszcze zobaczy jego twarz? Jego surową, piękną twarz z blizną.

Josh mówił, że nie zdążył pozbyć się ciała Panelli, bo musiał oddać się pod opiekę Wuja Sama.

– Nie miałem wyboru, musiałem wsadzić go do worka i zostawić tutaj. Prawdę mówiąc, od jego powrotu przeprowadziliśmy kilka interesujących rozmów. – Zachichotał. – Oczywiście mówiłem głównie ja, on tylko leżał i patrzył. Dla odmiany musiał mnie słuchać. Uwielbiałem to. Chociaż okropnie zasmrodził cały dom.

Jordie rozejrzała się, szukając czegoś, czym mogłaby go zaatakować. Mimo że pełno tu było potencjalnej broni, dłonie miała unieruchomione, a Josh szedł szybko. Za każdym razem, kiedy się potykała albo zwalniała, szarpał ją mocno, omal nie wyrrywając jej stawów barkowych.

– Kiedy go zabiłem, pojechałem do jego domu i zrobiłem tak, żeby wyglądało, że wyjeżdżał w pośpiechu – mówił Josh. – Policjanci wyciągnęli wniosek, że udało mu się uciec z kraju. Wiedziałem, że tak będzie. Musiałem tylko przyczać się na chwilę, pozwolić, żeby wszystko się uspokoilo, stopniowo zmieniać wygląd w oczekiwaniu na dzień, kiedy ucieknę. Zaryzykowałem, powracając tu, ale nie chciałem przegapić całej zabawy. Zamierzałem ukryć się w tym domu, żeby mieć przyjemność z zamętu, z szumu w mediach. Ale dzięki potężnej wpadce Boldena sprawy nagle się popieprzyły, przez co opóźnił się mój plan zniknięcia na dobre. Wiesz, udoskonaliłem sposób na niewidzialność – oznajmił tym przerażająco normalnym, konwersacyjnym tonem. – Nikt mnie nie widzi, ponieważ ja nie chcę, żeby mnie widział. Dlatego mogłem niezauważony pójść do tej knajpy dla wieśniaków. W zeszły piątek o mało się nie załamałem, kiedy Bolden zadzwonił i powiedział, że weszłaś do baru, w którym on i Kinnard byli na drinku. To nie jest lokal w twoim typie, Jordie. Skąd się tam wzięłaś?

Obejrzał się, jakby spodziewał się, że siostra mu odpowie, ale ona wydała błagalne pomruki przez zakneblowane usta.

Josh szedł, ciągnąc opowieść.

– Nieważne, teraz to bez różnicy. Poszedłem w niedzielę wieczorem, żeby obejrzeć tę knajpę. Gaduła wprawił mnie w fatalny humor. Tego samego wieczoru Wiley powiedział mi, że cię uratowano. Po raz drugi. Znowu mnie wykołowano. Uznałem, że Panella musi się ujawnić, przerazić wszystkich śmiertelnie. „On tam jest, wiem o tym! Chce mnie zabić!” – pisnął, przedrzeźniając własną histerię. – A ten czarny glina? Hickam? Jak gdyby spadł mi z nieba. Działąłem spontanicznie, ale to było błyskotliwe. Co ty na to? – Zaczął utykać. – Wiedziałem, że sobie przypominisz i powiesz im, że to musiał być Panella. – Cmoknął z żalem. – Ale Hickam nie umarł. Też powinienem wybrać miejsce, gdzie jest najszerszy. Dobrze mi poszło z tamtym burakiem, więc pomyślałem, że strzał w głowę wystarczy. No cóż, nie można mieć wszystkiego.

Był szalony. Jak mogła się bronić przed człowiekiem, który stracił kontakt z rzeczywistością? Miała coraz mniej czasu. Tuż przed nimi rozciągała się zatoka. Na brzegu leżała mała łódka, najwyraźniej cel jego wędrówki.

Szarpięciem wyrwał jej chusteczkę z ust.

– Josh – sapnęła. – Proszę, pozwól, żebym ci pomogła.

– Pomogła mi? Ale śmieszne.

– Czego chcesz?

Ostrożnie się cofnął, ale nadal stał o krok od niej. Podniósł pistolet.

– Zniknąć i nigdy więcej nie musiec się przejmować, że ludzie się na mnie gapią.

– Nikt się na ciebie nie gapi.

– Gapią się. Dopilnowałaś tego. Wepchnęłaś mnie do kominka i zrobiłaś ze mnie dziwadło.

Zwlekaj, zwlekaj, zwlekaj, pomyślała. Głową wskazała łódkę.

– Zamierzasz tym uciec?

– Nie, głupia. Mój samochód stoi zaparkowany za następnym zakrętem. Dopłynę tam tą łódką. Ty będziesz martwa, a ja daleko stąd, zanim tu trafią. Ale żeby zniknąć, potrzebuję moich pieniędzy. – Zakołysał pistoletem, jakby przypominając jej, że nadal ma ją na muszce. – Tylko ty stoisz między moją fortuną a mną. Jakie jest hasło?

– Hasło?

Przewrócił oczami.

– Nie mamy czasu na te gierki. Podaj mi hasło. Drugie hasło. Potrzebne do głównego konta. Hasło Jordan Bennett – powiedział tym swoim idiotycznym brytyjskim akcentem.

– Josh, przysięgam, nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Błagalnie uniosła związane ręce. – Jak mogłabym mieć hasło do konta, o którym nic nie wiem?

– Złamałaś moje kody bezpieczeństwa.

– Absurd. Nie wiedziałabym jak ani nawet od czego zacząć.

Wykrzywił twarz w grymasie nieufności, ale potem jej słowa trafiły mu do przekonania.

– Nie wiedziałabyś, prawda? Nawet gdybyś miała dostęp do moich komputerów, a nie miałaś, to nie jesteś dość bystra, żeby wiedzieć, jak zrobić coś tak skomplikowanego.

– Racja – przytaknęła, czepiając się tego z nadzieją, że odwoła się do jego dumy. – Ty jesteś geniuszem, nie ja. Nigdy nie byłam taka mądra jak ty.

– Nawet w przybliżeniu.

– A ponieważ jesteś bardzo inteligentny, musisz zdawać sobie sprawę, że nie dasz rady uciec.

– Teraz myślę – ciągnął Josh, jakby Jordie nic nie powiedziała – że skoro Panella wiedział o mojej zdradzie i o tym domu, musiał mnie uprzedzić i dodał drugie hasło. Na twoje nazwisko, bo się orientował, jak strasznie mnie to wkurzy. Na pewno tak to było.

– Nie wątpię, że masz rację. Ale to przeszłość, Josh. Znajdą ciało. Policja przyjdzie i...

– Nie twoje zmartwienie. Będziesz martwa.

– Nie chcesz mnie zabić, Josh.

– Bardzo chcę, Jordie – odparł z przesadną szczerością. – Zrobiłaś ze mnie

potwora. Zniszczyłaś moje życie.

Wiedziała, że dalsza dyskusja z nim nie ma sensu, że prawdopodobnie sprowokuje go tylko do natychmiastowego strzału.

– Wiem, popełniałam błędy – przyznała ze skrucą.

– Owszem. A największym było to, jak mi powiedziałaś: „Zrobiłam swoje”. Pamiętasz? Oto ja, skuty jak zwykły kryminalista, i ty, ze łzami w oczach tuląca mnie na pożegnanie. Co za słodka, wspierająca, lojalna siostra. Czy nie jesteś cudowna? – Wykrzywił się złośliwie. – Ale poczekaj, co takiego szepczesz mi do ucha? „Ja już swoje zrobiłam, Josh”. – Machnął pistoletem w jej stronę. – Nie możesz mówić: „Ja już swoje zrobiłam”, skoro to ty mnie zniszczyłaś. Nigdy! Nigdy! – Jego głos zmienił się w obłąkańczy pisk. Uświadomiwszy to sobie, opanował się i z przerażającą nonszalancją oznajmił: – Pod pewnym względem właściwie się cieszę, że Bolden zawałił sprawę. Mam przyjemność osobiście cię zabić.

– Nikogo nie zabijesz.

Rozdział 41

Shaw podążał za śladami kroków w zaroślach.

Już nie miał złudzeń, że to nie Panella odpowiadał za morderstwa i zamęt zeszłego tygodnia. Kiedy połączył wszystkie rozrzucone kawałki, obraz nabrał zdumiewającej jasności. Elementy sprawy, które wcześniej nie całkiem pasowały do siebie, teraz nagle trafiły na właściwe miejsce.

Josh udawał Panellę, stróże prawa koncentrowali się na złoczyńcy, a kapuś wszystkich wykołował. Shaw później będzie na siebie wściekły, że tego nie dostrzegał, kiedy jednak wszedł w zarośla, koncentrował się wyłącznie na ochronie Jordie przed jej szalonym bratem.

Josh był dostatecznie inteligentny, żeby przeprowadzić tę skomplikowaną grę, ale też obłąkany jak szczur w domu wariatów. Jak wszystkie szczury, popadł w jeszcze większy obłąd, gdy znalazł się w pułapce. Shaw miał w Bogu nadzieję, że Wilejowi wystarczy rozsądku, żeby ostrzec wsparcie przed ogłoszeniem swojego przybycia. Myślał o przerwaniu pościgu i wysłaniu esemesa do Wileya, ale to kosztowałoby cenny czas. Szedł dalej.

Panowały niezdolny upał i duchota. Pot zalewał mu oczy i przykleił koszulę do tułowia, mimo to Shaw utrzymywał szybkie tempo marszu, aż do jego uszu dotarły urywki rozmowy, co oznaczało, że ich doganiał. W normalnych okolicznościach martwiłby się, że trzask gałązek pod jego stopami da znać Joshowi o jego nadejściu.

Wątpił jednak, czy do świadomości Josha to dociera, który robił więcej hałasu niż Shaw, miażdżył krzewy, szeleścił liśćmi i mówił na cały głos. Facet miał psychozę.

A to niemal doprowadzało do szaleństwa samego Shawa. Nie słyszał Jordie. Była poważnie ranna albo nieprzytomna? Josh już mógł ją zabić i teraz niósł jej ciało, żeby się go pozbyć.

Chociaż ta myśl zmroziła Shawa, to jednocześnie sprawiła, że bardziej się spocił. Mruknął pod nosem wiązanek przekleństw, a po niej modlitwę. Wściekłość i niepokój wiązały mu w supeł wewnętrzności, czuł, jak szwy ustępują przed napięciem i wysiłkiem.

Kiedy sobie uświadomił, że Josh się zatrzymał, sam też zwolnił, dokładając starań, by dzielący ich dystans pokonać w miarę bezszelestnie. Zajął pozycję za pniem drzewa i ostrożnie wyjrzał.

Jordie żyła! Dzięki Bogu. Stała na własnych nogach, ale ręce miała spętane na brzuchu. Ramiona pokrywały jej liczne zadrapania, z rany na głowie krew

płynęła po policzku i kapłała z brody.

Wyraz jej twarzy przedstawiał udręczoną mieszaninę współczucia, odrazy i przerażenia, bo chyba po raz pierwszy zrozumiała, że nawet jej pełna poświęcenia, wyzbyta egoizmu miłość nie zdoła się przebić przez szaleństwo brata.

Josh celował do niej z pistoletu, ale Jordie mimo paniki patrzyła mu prosto w oczy i nie kuliła się.

Shaw zwalczył pierwszy odruch, żeby natychmiast zlikwidować Josha, ponieważ to byłoby za wielką traumą dla Jordie, a on nigdy by czegoś takiego jej nie zrobił. Poza tym wymiar sprawiedliwości nie chciał śmierci Josha, potrzebował go żywego, żeby odzyskać utracone miliony.

Tak więc Shaw mruganiem oczyścił oczy z potu i jako agent FBI ocenił sytuację z całym profesjonalnym obiektywizmem, na jaki umiał się zdobyć.

Mimo to przysiągł sobie, że jeśli ten obłąkany skurwysyn zabije Jordie, on wyrwie mu jego pieprzone serce.

– Nikogo nie zabijesz – powiedział niezbyt donośnie, lecz stanowczo.

Na dźwięk jego głosu Jordie gwałtownie odwróciła głowę i jęknęła z ulgi.

Josh nawet nie drgnął.

– Kto się czai za drzewem?

– Agent specjalny FBI Shaw Kinnard. Rzuć broń.

– Nie.

– Jeśli tego nie zrobisz, jesteś martwy.

– On mówi poważnie, Josh – wtrąciła Jordie.

Wrzasnął na nią, żeby się zamknęła.

Kątem oka Shaw dostrzegł ruch pomiędzy zaroślami na brzegu zatoki. Przybyło wsparcie, funkcjonariusze zajmowali pozycje. Miał tylko nadzieję, że jeśli dojdzie do wymiany ognia, wszyscy okażą się dobrymi strzelcami. Jordie stała cholernie blisko Josha.

– W zeszły piątek zrujnowałeś mój plan, Kinnard – powiedział Josh. – Ale tym razem nie uda ci się uratować mojej kochanej siostry.

– Mogę cię zabić. Chyba że rzucisz broń.

– Josh, proszę.

– Lepiej jej posłuchaj, Josh. Widziała, jak bez mrugnięcia okiem zlikwidowałem Mickeya Boldena. Ostatnia szansa. Rzuć pistolet i cofnij się od niej.

– Zrób, jak mówi. Proszę. – Jordie uniosła ręce pod brodę w błagalnym geście, potem znowu je opuściła. – Połóż pistolet na ziemi, Josh. Poddaj się. Pomogę ci.

– Jak wcześniej mi pomagałaś?! – krzyknął. – Już nie potrzebuję twojej pomocy.

– Josh, proszę cię. – Próbowała się uwolnić z kajadanek. – Proszę. Błagam.

– Zamknij się, Jordie! Po prostu się zamknij!

– Josh, nie rób...

– Wszystko psujesz! Nienawidzę cię!

Shaw zobaczył, jak palec Josha na spuście się napina, a potem niemal równocześnie rozległo się kilka strzałów.

Rozdział 42

– Kiedy znowu włożyłaś kamizelkę kuloodporną? – zapytał Joe Wiley.

– Jak wysiadłeś, żeby odebrać telefon od matki Hickama – odparła Jordie.

– Jedna z zasad gry Kinnarda?

– Uparł się. – Gdy zostali sami w samochodzie, Shaw kazał jej zdjąć bluzkę i włożyć pod nią kamizelkę. – Myślałam, że to niepotrzebne, ale gdybym jej nie miała, już bym nie żyła.

Stojący przy szpitalnym łóżku Wiley odchrząknął i zaszurał nogami, wyraźnie zakłopotany sytuacją.

– Josh... uch... żadne z was nie miało wyboru.

– Wiem.

Wsunęła pistolet od Shawa do kieszeni spodni, gdy poszła rozejrzeć się po domu. Na brzegu zatoki uświadomiła sobie psychotyczną determinację Josha, by ją zabić, i odwróciła jego uwagę błagalnym gestem. Opuściwszy ręce, zdołała wyjąć pistolet z kieszeni.

Jej kula była jedną z wielu, które odebrały mu życie.

– Patolog mówi, że każdy ze strzałów mógł być śmiertelny, więc jeśli nie chcesz się dowiedzieć...

– Nie chcę.

– Tak myślałem. Jeśli to jakaś pociecha, umarł natychmiast.

Ominęło ją najgorsze. Leżała na plecach, zwalona z nóg kulą, którą posłał jej brat.

– Słyszałem, że masz niezłego siniaka – powiedział Wiley.

– Większego od mojej pięści. Prześwietlenie wykazało, że doszło do cienkiego jak włos pęknięcia. – Jordie wskazała swój mostek. – Daję mi leki przeciwbólowe i nadal jestem pod obserwacją.

Przewieźli ją na izbę przyjęć karetką, choć ledwo to pamiętała. Zresztą chyba lepiej się stało, że miała tylko mgliste wspomnienia z tamtych godzin po kryzysie.

Zadrapania na jej ramionach lekarze potraktowali maścią z antybiotykiem. Rana na głowie wymagała dwóch szwów. Cios spowodował także lekki wstrząs mózgu.

Poza obrażeniami fizycznymi doznała także urazów emocjonalnych. Cierpiała na niekontrolowane ataki płaczu, po których następowały okresy depresji prowadzące niemal do stanów katatonii. Lekarze uznali, że na dojście do siebie po traumatycznych przeżyciach Jordie potrzebuje kilku dni.

– Co znaczy jeden dzień więcej? Lepiej przesadzić z ostrożnością, niż potem

żałować – odezwał się Wiley, żeby cokolwiek powiedzieć.

Nic do tego nie dodała.

Prowadzili rozmowę obowiązkową dla dwojga osób, które przeżyły katastrofę. Mieli wiele do przedyskutowania, ale to były kwestie delikatne i żadne z nich nie chciało poruszać ich teraz.

– Dzwoniła Gwen Saunders – odezwała się Jordie po długim, niezręcznym milczeniu. – To miłe z jej strony, prawda? A rano odwiedził mnie zastępca szeryfa Morrow.

– Służbowo?

– Prowadził śledztwo w sprawie morderstwa Royce’a Shermana. Wyznanie Josha je zamknęło. Jednak to nie wyglądało na wizytę służbową. Złożył mi kondolencje.

– Moja żona także prosiła, bym przekazał ci wyrazy współczucia.

– Podziękuj jej za te kalie. – Jordie wskazała parapet, na którym stało kilka bukietów.

– Są od nas obojga, ale wybrała je Marsha.

– Pewnie czuje wielką ulgę, że wczoraj nie zostałeś ranny.

– Jest wkurzona, jeśli chcesz znać prawdę. Powiedziała, że księgowy, choć jest agentem, nie ma żadnego interesu w bieganiu po okolicy z naładowaną bronią.

Jordie słabo się uśmiechnęła.

– Wygląda na rozsądną kobietę. – Po krótkiej chwili dodała: – Opowiedziałeś agentowi Hickamowi, jak to się skończyło?

– Leży piętro wyżej. Nadal jest na OIOM-ie, ale owszem, opowiedziałem mu. Nadal nie potrafi uwierzyć... cóż, cała ta sprawa nie mieści mu się w głowie.

– Mój brat próbował go zabić.

– Nie ma o to do ciebie pretensji. Jedyne Josh ponosi odpowiedzialność za swoje zbrodnie.

Jordie zaczęła skubać brzeg bawełnianego prześcieradła.

– Doskonale odgrywał swoje role. Rozpieszczony mężczyzna–dziecko z atakami paniki. Poniewierany podwładny skorumpowany przez apodyktycznego szefa. Ale morderstwo z zimną krwią? Nigdy bym nie pomyślała, że Josh jest do tego zdolny.

– Albo do nienawiści na tyle silnej, by pragnąć twojej śmierci.

– Nie – mruknęła Jordie. – Tego też nigdy bym nie przypuszczała.

Wiley wyczuł, że wzbierają w niej emocje, i milczał, dopóki nie wytarła oczu. Powiedział jej wtedy o bankowcu z Malezji, który zadzwonił, żeby zapytać pana Panellę, czy przypomniał sobie już drugie hasło, które wprowadziło go w taką konsternację.

– Zadzwonił na jedną z wielu komórek znalezionych w domu Josha. Zapytałem bankowca, czy kiedykolwiek rozmawiał osobiście z Jordan Bennett.

Nie, odparł, nie miał przyjemności kontaktować się z tym dżentelmenem. Zakładał, że Jordan Bennett to mężczyzna.

– Czy to mnie oczyszcza? Już mnie nie podejrzewacie o współpracę z Joshem i Panellą?

– Przeanalizujemy twój udział w przekręcie w Kostaryce, chociaż nie sądzę, żeby postawiono ci zarzuty, zwłaszcza jeśli się zgodzisz nam pomóc.

– Pomóc?

– To bardzo splątana, wielowarstwowa sprawa. Nadal nie wiemy o wszystkim, co Josh i Panella robili wspólnie i pojedynczo, by wykołować nie tylko klientów, lecz także siebie nawzajem. Sprawy w rodzaju konta w Malezji będą latami wychodziły na światło dzienne.

– Latami?

To nie była przyjemna perspektywa. Czyżby była taka naiwna, sądząc, że wraz z odkryciem zwłok Panelli i śmiercią Josha sprawa definitywnie się zakończy i wszyscy o niej zapomną? Kiedy zwolnią ją ze szpitala, media znowu się na nią rzucą. Zamierzała poprosić Adrian Dover, żeby została jej rzeczniczką i wystosowała oświadczenie, które miejmy nadzieję, ich zadowoli, mimo że Jordie w to wątpiła.

Czekał ją też ponury obowiązek pochowania urny z prochami Josha. Uznała, że powinien spocząć z rodzicami, chociaż nie wiedziała, czy Josh by tego chciał.

Wszystko wskazywało na to, że będzie współpracowała z wymiarem sprawiedliwości w toczącym się śledztwie. Chciała w ten drobny sposób zadośćuczynić za zbrodnie brata. Wymagał tego obowiązek obywatelski, ale też moralny.

– Może uda mi się pomóc niektórym ofiarom Josha odzyskać to, co stracili.

Niestety, nie mogła naprawić tego, na czym najbardziej jej zależało: przywrócić życie rodzicom Shawa.

Wiley kiwnął głową, choć znowu z zakłopotaniem zmienił pozycję.

– Przykro mi, że poniosłaś osobistą stratę.

– A mnie nie. – Widząc jego zaskoczenie, uśmiechnęła się smutno. – Pozwól, że wytłumaczę, zanim zaczniesz myśleć, jaką okropną jestem osobą. Bardziej płaczę z powodu życia mojego brata niż jego śmierci. Jakie inne zakończenie byłoby lepsze lub bardziej miłosierne? Upokorzenie rozprawy sądowej, w czasie której byłby na oczach wszystkich? Lata spędzone w więzieniu, gdzie stałby się obiektem Bóg wie jakich okrucieństw? Nie, agencie Wiley, to byłby najgorszy rodzaj tortury. Pociągając za spust, nie ratowałam siebie, tylko Josha. Nie mogę żałować, że jego udręki się zakończyły.

– Udręki, których tobie przyczyniał, także się zakończyły. Musisz czuć się wolna.

– I tak się czuję. Prawdę mówiąc, największym smutkiem napełnia mnie to –

głos się jej załamał – że nie płacę po nim. To naprawdę mnie przygnębia. Ze względu na nas oboje.

Wyraz współczucia i zrozumienia na jego twarzy wzruszył ją głęboko. Oczy znowu zaszyły jej łzami.

Zakaszła, zakłopotany ich widokiem.

– Cóż, zostawię cię teraz, żebyś odpoczęła. Masz mój numer, jeśli czegoś będziesz potrzebowała. – Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Agencie Wiley?

Przystanął, ale nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Kiedy wreszcie się zmusił i zobaczył w nich niewypowiedziane na głos pytanie, westchnął i pokręcił głową.

– Nie wiem, Jordie – po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. – Uszkodził sobie szwy, więc go przywieziono tutaj na ponowne szycie, wieczorem przyszedł do biura i wypełnił niezbędne dokumenty. Wyszedłem na kawę, a kiedy wróciłem, już go nie było. Później nikt go nie widział.

Wcisnęła głowę w poduszkę i zamknęła oczy.

– I nikt go nie zobaczy.

Epilog

Trzy miesiące później

Jordie i personel Extravaganzy świętowali przeniesienie praw własności.

Przyjęcie zaczęło się o czwartej wręczeniem Jordie wysadzonej kryształami maski na Mardi Gras – to był prezent pożegnalny od nich. Jedli kanapki. Wznosili toasty. Żegnali się zbiorowo i pojedynczo, obiecując sobie, że pozostaną w kontakcie.

O piątej Jordie zakończyła spotkanie, zanim atmosfera stała się zbyt cikliwa.

– Moją ostatnią oficjalną czynnością jako szefowej, byłej szefowej, jest wysłanie was do domu. Pogaszę światła i zamknę drzwi.

Wyczuwali, że chce spędzić chwilę sama w miejscu, gdzie zbudowała swoją firmę. Jedno po drugim ściskali ją i wychodzili. Ostatnia stanęła przy niej osobista asystentka.

– Kiedy otwieraliśmy szampana, dostarczono dla ciebie przesyłkę. Pewnie od wdzięcznego klienta. Zostawiłam ją na biurku.

Pożegnawszy się z asystentką, poszła do swojego gabinetu. Wszystkie osobiste rzeczy już stąd zabrała, ale pokój nadal był taki znajomy. Nasłuchiwała pogwizdywania klimatyzacji i dostrzegła, że pęknięcie w płycie podłogowej jest tej samej długości co w dniu, kiedy się tu wprowadziła. Roleta na oknie nigdy nie wisiała prosto, niezależnie od tego, jak bardzo Jordie starała się ją poprawić. Będzie z czułością wspominała te wszystkie niedoskonałości.

Po raz ostatni usiadła za biurkiem. Wzięła do ręki kopertę FedExu, otworzyła ją i wytrzymała jej zawartość na blat.

– Sprzedają je po dwanaście sztuk w opakowaniu.

Stał w otwartych drzwiach, opierając się o framugę, i był ubrany prawie tak samo jak w dniu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Perłowe zatrzaski na jego koszuli migotały w późnopołudniowym słońcu wpadającym przez okno z krzywą roletą.

Odzyskała oddech i głos. Serce straciła trzy miesiące temu.

– Chyba ja byłam ci winna tuzin?

– Naprawdę? – Wzruszył ramionami. – A kto by to pamiętał?

W obawie, że gość w jej oczach zobaczy emocje, spuściła wzrok na bandany. Podniosła jedną i potarła tkaninę w palcach.

– To na jakiś czas mi wystarczy.

- Zależy, do czego je wykorzystasz.
- Mają wiele zastosowań.
- Mnie od razu przychodzi na myśl kilka – powiedział aluzyjnie.

Wstała i obeszła biurko, choć dalej nie była w stanie iść, ponieważ kolana się pod nią ugięły. Odepchnął się od framugi i ruszył ku niej. Zatrzymał się, gdy dzieliło ich kilka kroków. Przez chwilę tylko na siebie patrzyli. Jego blizna kontrastowała z kilkudniowym zarostem. Włosy miał zmierzwiłone i wymagające przystrzyżenia. Wyglądał podejrzanie, a zarazem niezwykle pociągająco.

- Przeszedłeś obok ochroniarza w holu? – zapytała.
- Jestem agentem federalnym, pamiętasz?
- Ach, racja. Teraz nosisz odznakę?
- Nie. Tego ochroniarza po prostu ominąłem.

Jasne, że tak. Równocześnie chciało się jej śmiać i płakać. Wskazała na jego lewy bok.

- Jak rana?
 - Dobrze. Czasami tylko świerbi.
- Szybko nabrała powietrza w płuca.
- Tak mi przykro.
 - Zasłużyłem sobie. – Wzrokiem tak przenikliwym jak zawsze powiódł po jej ciele. – Wyglądasz niezwykle ponętnie w spódnicy.
 - Shaw?
 - Niech mnie. Te nogi.
 - Shaw?
 - Hm? – Znowu spojrzał jej w oczy.
 - Ja... ja... – urwała i przy następnym wydechu rzuciła: – Jestem zaskoczona twoim widokiem.

- Zniknął billboard.
- Słucham?
- Ten przy autostradzie. Extravaganza. Złoczone litery. Fajerwerki. Przyjechałem, żeby naprawić cherubina. W drodze z lotniska zauważyłem, że twoją reklamę zastąpił kubełek smażonych kurczaków.

– Skończył mi się okres wynajmu. Nie przedłużyłam go, ponieważ budżet reklamowy firmy nie zależy ode mnie. Moi pracownicy zebrali pieniądze i wykupili mnie.

- Dom także sprzedałaś.
- Powiedział ci Joe Wiley?
- Zadzwoń do niego z samochodu. Mówił, że załatwiasz wszystkie niedokończone sprawy.

– Myślę... mam nadzieję, że mój udział w śledztwie dotyczącym sprawy Panelli i Bennetta niedługo się skończy. Na razie mogę być potrzebna do

zweryfikowania pewnych faktów.

– Wiley mówił, że Hickam daje radę pracować po kilka godzin.

– Zeszczupłał.

– Jego zadowolony krawiec będzie miał sporo roboty.

Uśmiechnęła się.

– Hickam przyznaje, że uratowałeś mu życie.

– Zrobiłby to samo dla mnie... Więc wyjeżdżasz?

– Jak będzie po wszystkim... – Wykonała drobny gest rękami. – Potrzebna mi zmiana. Nowy początek.

– Rozumiem. – Rozejrzył się po pustym gabinecie. – Dokąd pojedziesz?

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła, potem nagle wyrzuciła z siebie: – Naprawiłeś tego cherubina?

– Owszem. Taniej byłoby kupić nowego, ale ten był mamy i uwielbiała go, więc kazałem dorobić brakującą rękę. Zamówiłem też firmę do wysprzątania podwórka i pomalowania schodów. Teraz siedziba wygląda niemal szacownie.

Aby zamaskować ściskające się gardło, zapytała, czy dom w Dzielnicy Francuskiej będzie jego stałym adresem.

– Nie, nadal pozostanie miejscem, do którego wpadam.

– Kiedy musisz się przycząić.

Wsunął dłonie w tylne kieszenie dżinsów.

– Prawdę mówiąc, nie pracuję już pod przykrywką.

To ją zaskoczyło.

– Co takiego?

– Pamiętasz tę dziewczynę z Meksyku?

– Którą bez lepszego wykształcenia czeka krwawa śmierć?

– Powiedziałem to tyle razy do tylu osób, że w końcu trafiło do niewłaściwych uszu. Czy raczej właściwych. No i te właściwe uszy powiedziały, że skoro nie chcę, żeby ludzie krwawo umierali, dlaczego nie zacznę lepiej ich szkolić? To mnie zainteresowało. Ale postawiłem warunki.

– Jakie?

– Żadnych przenosin do Quantico. Do mnie należy ostatnie słowo w kwestii przyjęcia lub odrzucenia kandydata, zastosuję twarde metody, ponieważ będę ich uczył rzeczy, których nie ma w podręczniku.

– Co jeszcze?

– Żaden biurokrata nie będzie mi zaglądał przez ramię i mamrotał o strategii albo właściwych procedurach. Mojej strategii nie będzie kwestionował nikt, kto nie brodził w rynsztoku z Panellami tego świata.

– Jeszcze coś?

– Krawat i fryzura jak u Wileya odpadają. To by umowę uniemożliwiło.

– Co powiedzieli?

Wzruszył ramionami.

– Powiedzieli: „Zgoda”.

– Muszą wysoko cenić to, co masz do zaoferowania.

– Hickama strasznie to wkurzyło. Tak czy owak pracuję pod Atlantą, dokładny adres jest utajniony. Oczywiście szkolenie w większości odbywa się poza salą wykładową.

– Brzmi ekscytująco. Będziesz...

– Jordie?

– Co?

– Dość tych bredni.

W sekundę ujął w dłonie jej głowę i przycisnął usta do jej ust. Całowali się z takim żarem i nienasyceniem, że była zaskoczona, kiedy o wiele za szybko się od niej odsunął.

– Jordie, musiałem wtedy odejść. Ja...

– Wiem.

– Nadal byłem pod przykrywką. A tam szykowało się prawdziwe zoo.

– Rozumiem. Naprawdę.

– Nie byłaś poważnie ranna, kazałem Wileyowi przysiąc na głowy jego dzieci. Dlatego po załatwieniu wszystkich oficjalnych bzdur się zwinąłem.

– I więcej się nie pokazałeś – powiedziała głosem niespodziewanie zachrypniętym z emocji.

Z wyraźnym żalem westchnął.

– Owszem.

– Dlaczego?

Odwrócił od niej wzrok, wziął głęboki oddech i znowu na nią spojrzął.

– Ponieważ nie wiedziałem, co czujesz w związku z Joshem i tym, jak ta sprawa się zakończyła. Przecież zabił go mój pocisk.

– Nie wiedzą, z którego...

– Ja wiem. Nie poczuł go ani żadnego z następnych. Nie zniósłbym, gdybyś z tego powodu mnie znienawidziła.

– Nie nienawidzę cię.

Mocniej ścisnął jej głowę.

– Musisz to wiedzieć. Musisz się z tym pogodzić. Gdybym miał znowu to zrobić, nie wahałbym się. Zrobiłbym...

Przyłożyła palce do jego ust.

– Ja też zrobiłabym to znowu. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć. Josh odzyskał wolność, ja też.

– Wiley mówił, że tak czujesz.

– Z całego serca.

– Za wiele lat nie będziesz...

– Nie.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy i najwyraźniej zyskał pewność, że Jordie jest szczerą.

– Potem Wiley, który jest jak stara intrygantka, dodał, że skoro jestem w okolicy, to może będę chciał zamienić z tobą słowo – powiedział z kpiącą miną.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Przypomnij mi, żebym posłała mu butelkę wina. Dobrego wina.

– Chcę pogadać, jasne. I nie tylko. – Zsunął rękę na jej pośladki i przytulił ją do siebie. Znowu się pocałowali i kiedy w końcu podniósł głowę, zobaczyła utkwione w siebie te przenikliwe oczy, które tak kochała. – W Atlancie urządzają eleganckie przyjęcia. Nigdy na żadnym nie byłem, ale tak mi mówiono.

– To wygląda na obiecujący rynek. Na pewno wart zbadania.

– Zastanawiałem się nad remontem mieszkania. No wiesz, nad kupnem mebli, pieca kuchennego.

Roześmiała się. Shaw też się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.

– Jordie, wcześniej parszywie mi to wychodziło i to może się nie zmienić. Ale nie chcę do końca życia zastanawiać się, jakby mogło być z tobą. Z nami. Jestem pewien, że nie chcę spędzić kolejnej nocy bez ciebie. Już stałaś się moim nawykiem. Chcę ciebie w moim łóżku i pode mną co noc. Nawet jeśli to oznacza zwiążanie cię tymi chustkami i wyniesienie na ramieniu, jak zrobiłem to wtedy.

Pocałowała bliznę w kształcie litery C na jego brodzie.

– A co, jeśli ja chcę, żebyś ty był pode mną?

Wyszczrzył zęby, przesunął kciukiem po jej dolnej wardze i zanim znowu ją pocałował, szepnął:

– Nadal pyskata.

